

Brzydecy

Scott Westerfeld



BRZYDCY

Scott Westerfeld

Tłumaczenie
Paulina Braiter

Część I

DZIEŃ ZMIANY

*Czyż nie byłoby dobrze stworzyć
społeczeństwo pełne pięknych ludzi?*

Yang Yuan, cytowany w „The New York Timesie”

MIASTO NOWYCH ŚLICZNYCH

Wieczorne letnie niebo miało barwę kocich wymiocin.

Oczywiście, pomyślała Tally, aby uzyskać właściwy odcień różu, przez jakiś czas trzeba by podawać kotu wyłącznie karmę o smaku łososiowym. Przesuwające się szybko chmury istotnie kojarzyły się nieco z rybami, wiejący na wysokościach wiatr tworzył z nich wzór przypominający łuski. W miarę jak światło przygasało, w prześwitach między chmurami pojawiał się głęboki granat nocnego nieba, niczym zawieszony nad głowami ocean, lodowaty i bezdenny.

Każdego innego lata podobny zachód słońca Tally uznałaby za piękny. Lecz nic nie było piękne, odkąd Peris stał się śliczny. Utrata najlepszego przyjaciela to kiepska sprawa, nawet jeśli ma trwać tylko trzy miesiące i dwa dni.

*

**

Tally Youngblood czekała, aż zapadnie ciemność.

Przez otwarte okno widziała Miasto Nowych Ślicznych — wieże imprez już się świeciły, a rzędy płonących migotliwym blaskiem pochodni sunęły niczym węże w ogrodach rozkoszy. Kilka balonów na gorące powietrze szarpało się na uwięzi na tle ciemniejącego, różowego nieba. Ich pasażerowie wystrzelili bezpieczne fajerwerki w stronę innych balonów i przelatujących obok parolotni. Śmiechy i muzyka odbijały się od powierzchni wody niczym kamień rzucony pod właściwym kątem i równie mocno raziły napięte nerwy Taily.

Obrzeża miasta, oddzielone od dzielnicy ślicznych czarnym owalem rzeki, pogrążyły się w ciemnościach. Wszyscy brzydcy leżeli już w łózkach.

Tally zdjęła obrączkę interfejsową.

— Dobranoc — powiedziała.

— Słodkich snów, Tally — odparł pokój.

Rozgryzła pigułkę do czyszczenia zębów, wytrzepała poduszki i wsunęła pod kołdrę stary przenośny grzejnik, produkujący mniej więcej tyle ciepła, ile śpiąca istota ludzka rozmiarów Tally.

A potem wymknęła się przez okno.

Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, pod nocnym, czarnym jak węgiel niebem, natychmiast poczuła się lepiej. Może plan, który obmyśliła, nie należał do

najmądrzejszych, ale wszystko było lepsze niż kolejna bezsenna noc w łóżku i uzalanie się nad sobą. Na znajomej zarośniętej ścieżce prowadzącej nad wodę łatwo było wyobrazić sobie, że Peris stąpa bezszelestnie tuż za nią, tłumiąc śmiech, gotów do kolejnej nocy szpiegowania nowych ślicznych. Razem. Tally i Peris wymyślili, jak oszukać centralę domu, gdy mieli dwanaście lat. Wtedy trzymiesięczna różnica wieku wydawała się kompletnie pozbawiona znaczenia.

— Przyjaciele na zawsze — szepnęła Tally, przesuwając palcem po niewielkiej bliźnie na prawej dłoni.

Woda połyskiwała między drzewami; Tally słyszała, jak niewielkie, wzburzone przez przepływający ślizgot fale liżą brzeg. Pochyliła się gwałtownie, ukryta pośród sitowia. Lato nadawało się najlepiej do wypraw szpiegowskich: trawa rosła wysoko, nigdy nie było zimno i następnego dnia w szkole nie trzeba było walczyć z sennością.

Teraz, oczywiście, Peris mógł spać do woli. Jeszcze jedna zaleta bycia ślicznym.

Stary most wznosił się ciężko ponad wodą, jego masywna żelazna konstrukcja była równie czarna jak nocne niebo. Zbudowano go tak dawno, że sam utrzymywał własny ciężar, bez pomocy lotociągów. Za milion lat, gdy reszta miasta rozsypie się w pył, most zapewne pozostanie niezmienny niczym skamieniała kość.

W odróżnieniu od innych mostów wiodących do Miasta Nowych Ślicznych, stary most nie umiał mówić — ani, co ważniejsze, zgłaszać intruzów. Lecz dla Tally właśnie ten milczący most zawsze był bardzo mądry, pełen sędziwej wiedzy niczym stare drzewo.

Jej oczy przywykły już do ciemności i potrzebowała zaledwie sekundy, by znaleźć żyłkę przywiązaną jak zawsze do tego samego kamienia. Szarpnęła ją i po chwili usłyszała plusk liny opadającej w miejscu, w którym ukryła ją między wspornikami. Ciągnęła dalej i wkrótce niewidzialna żyłka zamieniła się w mokry sznur z węzłami. Drugi koniec pozostał przywiązany do żelaznej konstrukcji mostu. Tally naciągnęła linę i jak zwykle przywiązała ją do drzewa.

Raz jeszcze musiała ukryć się w trawie przed kolejnym przepływającym ślizgotem. Ludzie tańczący na pokładzie nie zauważyli liny rozciągniętej pomiędzy mostem a brzegiem, nigdy jej nie dostrzegali. Nowi śliczni zbyt dobrze się bawili, by zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Gdy światła ślizgotu przygasły w oddali, Tally uwiesiła się na linie całym swym ciężarem. Kiedyś węzeł puścił i oboje z Perisem polecili najpierw w dół, potem w górę i dalej na środek rzeki, gdzie runęli do zimnej wody. Uśmiechnęła się na to wspomnienie, uświadamiając sobie, że wołałaby brać udział w tamtej wyprawie — przemoczona, zmarznięta, z Perisem — niż być dziś sucha, w ciepłe, lecz sama.

Wisząc głową w dół i obejmując rękami i nogami linę, Tally podciągnęła się w mrok, mocno chwytając kolejne węzły. Wkrótce znalazła się pod mostem, przemknęła po żelaznym szkielecie i dotarła do Miasta Nowych Ślicznych.

*

**

Z jednej jedynej wiadomości, którą Peris raczył jej przysłać, odkąd stał się śliczny, wiedziała, gdzie mieszka. Nie podał wprawdzie adresu, lecz Tally umiała odszyfrowywać pozornie przypadkowe cyfry znajdujące się na dole notki. Wskazywały miejsce zwane apartamentowcem Garbo, w pagórkowatej części miasta.

Dotarcie tam mogło stanowić pewien problem. Podczas wcześniejszych ekspedycji Tally i Peris zawsze trzymali się okolic rzeki. Tutejsza roślinność i ciemne tło Brzydalowa anakomicie ułatwiały ukrywanie się. Teraz jednak wybierała nią w samo serce wyspy, gdzie na skąpanych w jaskrawych światłach ulicach całą noc roilo się od lotków i imprezowi— czñw. Nowi śliczni, tacy jak Peris, zawsze mieszkali tam, gdzie urządzano najlepsze imprezy.

Tally nauczyła się na pamięć całej mapy. Wiedziała jednak, że gdyby choć raz źle skręciła, to już po niej. Bez obrączki interfejsowej stawała się niewidzialna dla pojazdów; rozjechałyby ją, jakby była niczym.

Oczywiście, tutaj faktycznie była niczym.

Co gorsza, była brzydka. Miała jednak nadzieję, że Peris podejdzie do tego inaczej, inaczej podejdzie do niej.

Tally nie miała pojęcia, co by się stało, gdyby ją przyłapano. Wypad do miasta był czymś znacznie poważniejszym niż „zapomnienie” obrączki, wagary czy namówienie domu, by grał muzykę głośniejszą, niż było wolno. Każdy to robił i każdy wcześniej czy później wpadał. Ale razem z Perisem bardzo uważali, by nie dać się przyłapać na swoich wycieczkach. Przeprowadzenie przez rzekę stanowiło poważne wykroczenie.

Teraz jednak było już za późno, by się tym przejmować. A zresztą co mogli jej zrobić? Za trzy miesiące sama będzie śliczna.

Zaczęła skradać się wzdłuż rzeki, aż w końcu dotarła do ogrodu rozkoszy i wśliznęła się w mrok za rzędem płaczących wierzb. Pod ich osłoną ruszyła naprzód ścieżką oświetloną niewielkimi, migoczącymi płomykami.

Nagle na dróżce pojawiła się para ślicznych. Tally zamarła, oni jednak niczego nie dostrzegli, zbyt zajęci patrzeniem sobie w oczy, by zauważyć drobną sylwetkę przycupniętą w ciemności. W milczeniu odprowadziła ich wzrokiem. Jak zawsze na widok ślicznych twarzy ogarnęło ją dziwne ciepło. Nawet gdy szpiegowali z Perisem i chichotali na dźwięk wszystkich głupstw mówionych i robionych przez ślicznych, nie potrafili powstrzymać się od patrzenia. W ich wielkich, doskonałych oczach było coś

magicznego, coś, co sprawiało, że człowiek chciał słuchać uważnie każdego słowa, chronić ich przed niebezpieczeństwem, uszczęśliwiać. Byli tacy... śliczni.

Para zniknęła za następnym zakrętem i Tally potrząsnęła głową, próbując uwolnić się od sentymentalnych myśli. Nie przyszła tu po to, by się gapić. Była intruzem, szpiegiem. Była brzydka. I miała do wypełnienia misję.

Ogród ciągnął się w głąb miasta, wił niczym czarna rzeka pomiędzy jasnymi wieżami i domami. Po kilku minutach skradania wpadła na parkę ukrytą wśród drzew (ostatecznie był to ogród rozkoszy), lecz w ciemności nie dostrzegli jej twarzy i jedynie wykpiłi żartobliwie, podczas gdy ona wymamrotała słowa przeprosin i umknęła. Nie widziała zresztą zbyt wiele, jedynie płataninę idealnych rąk i nóg.

I wreszcie ogród się skończył, kilka przecznic od miejsca, gdzie mieszkał Peris.

Tally wyjrzała zza zasłony gęstych pnączy. Nigdy wcześniej z Perisem nie zapuściła się aż tutaj. Dalej jej plan nie sięgał. Na ruchliwych, jasnych ulicach w żaden sposób nie zdołaby się ukryć. Uniosła dłoń do twarzy, obmacując szeroki nos i wąskie wargi, zbyt wysokie czoło i splątany gąszcz kędzierzawych włosów. Wystarczy jeden krok, by ją zauważono. Gdy światło padło na jej twarz, ta zapiekła, jakby liznął ją ogień. Co właściwie Tally tu robiła? Powinna wrócić w ciemność Brzydalowa i czekać na swoją kolej.

Ale musiała zobaczyć się z Perisem, musiała z nim porozmawiać. Nie wiedziała do końca dlaczego. Po prostu miała dość wyobrażania sobie tysięcy rozmów z przyjacielem każdej nocy przed zaśnięciem. Od wczesnego dzieciństwa całe Unie spędzali razem, a teraz... nic. Może gdyby mogli poga— dłużej przez parę minut, jej mózg przestałby zwracać się do wymagowanego Perisa. Może trzy minuty wystarczą, by Wytrzymała trzy miesiące.

Powiodła wzrokiem wzdłuż ulicy, szukając podwórek, na których mogłaby się ukryć, ciemnych wejść, czegokolwiek. Czowała się niczym alpinista w obliczu gładkiej ściany, wypatrujący szczelin i uchwytów.

Ruch zaczął nieco słabnąć. Czekala, pocierając bliznę na prawej dłoni, w końcu westchnęła cicho.

— Przyjaciele na zawsze — szepnęła i postąpiła naprzód.

Z prawej strony dobiegła ją eksplozja dźwięków. Tally skoczyła z powrotem w ciemność, potykając się o pnącza i lądując ciężko na kolanach na miękkiej ziemi. Przez parę sekund była pewna, że już ją złapali.

Lecz kakofonia zmieniła się w pulsujący, ogłuszający rytm. To był automat perkusyjny sunący powoli ulicą. Szeroki jak dom, poruszał dziesiątkami mechanicznych rąk, tłukąc w bębny wszelkich możliwych rozmiarów. Za nim dreptała

rosnąca grupa zabawowiczów, tańczących do rytmu, pijących i ciskających pustymi butelkami, które rozbijały się z trzaskiem o ścianę potężnej, niewzruszonej maszyny.

Tally uśmiechnęła się. Zabawowicze nosili maski.

Automat wyrzucał je do tyłu, próbując zwabić kolejnych gości na zaimprovizowaną paradę: oblicza diabłów i upiornych kłownów, zielonych potworów i szarych kosmitów o wielkich, owalnych oczach, kotów, psów i krów. Twarze o krzywych uśmiechach bądź wielkich nosach.

Procesja przeszła powoli i Tally z powrotem wcisnęła się między rośliny. Paru zabawowiczów minęło ją tak blisko, że drażniąca słodka woń unosząca się z butelek, które mieli ze sobą, napelniła jej nozdrza. W minutę później, gdy maszyna zdążyła już oddalić się o pół przecznicy, Tally wyprysnęła z zarośli i podniosła porzuconą maskę. Poczula w dłoni miękki plastik, wciąż ciepły — zaledwie parę sekund wcześniej opuścił wnętrze maszyny.

Nim Tally przycisnęła maskę do twarzy, zorientowała się, że jest ona tego samego koloru co kociowymiotne różowe niebo o zachodzie słońca, ma długi ryj i dwoje małych, różowych uszu. Inteligentny materiał zafalował i przywarł do jej twarzy.

Tally przecisnęła się przez korowód pijanych tancerzy i puściła biegiem boczną ulicą w stronę apartamentowca Garbo, ukryta za maską świni.

PRZYJACIELE NA ZAWSZE

Apartamentowiec Garbo był masywny, jasno oświetlony i bardzo głośny.

Przycupnął pomiędzy dwiema wieżami imprez jak przysadzisty imbryk pomiędzy dwoma wysokimi kieliszkami do uzampana. Każda z wież wspierała się na pojedynczej kolumnie szerokości windy, wyżej rozszerzały się przez pięć pięter kolistych balkonów, na których tłoczyli się nowi śliczni. Tally szybko wspięła się na wzgórze, zmierzając w stronę trzech budynków i chłonąc widoki przez otwory w masce.

Ktoś wyskoczył, a może został wyrzucony z jednej z wież. Leciał w dół, krzycząc i wymachując rękami. Tally zachłysnęła się i zmusiła, by patrzeć aż do końca. Na kilka sekund przed tym, jak jego ciało miało się roztrzaskać o ziemię, zadziałała kamizelka bungee. Parę razy odbił się w górę, aż w końcu, roześmiany, osiadł delikatnie na ziemi tak blisko Tally, że zdołała usłyszeć w jego głosie nerwową czkawkę. Był równie przerażony jak ona.

Zadrzała, chociaż skok nie był wcale niebezpieczniejszy niż stanie pod wyniosłymi wieżami. W kamizelkę bungee wmontowano te same liftery co w lotociągi podtrzymujące wyniosłe budowle. Gdyby wszystkie błyszczące zabawki nagle przestały działać, całe Miasto Nowych Ślicznych runęłoby w gruzy.

*

**

W apartamentowcu pełno było świeżo przemienionych ślicznych — tacy są najgorsi, mawiał zawsze Peris. Mieszkali podobnie jak brzydcy, około setki razem w jednym wielkim domu. Lecz w tym domu nie obowiązywały żadne zasady, chyba że brzmiały: Bądź Głupi, Baw się Dobrze i Hałasuj, ile Wlezie.

Grupka dziewcząt w sukniach balowych tłoczyła się na skraju dachu, krzycząc ile sił w płucach i wystrzeliwując w stronę ludzi na ziemi bezpieczne fajerwerki. Kula pomarańczowego ognia odbiła się od ziemi tuż obok Tally, chłodna niczym jesienny wiatr, rozpraszając otaczającą ciemność.

— Hej, tam na dole jest świnią! — krzyknął ktoś z góry.

Odpowiedziały mu chóralne śmiechy; Tally przyspieszyła kroku, kierując się w stronę szeroko otwartych drzwi apartamentowca. Weszła do środka, nie dbając o zaskoczone spojrzenia dwójki wychodzących ślicznych.

Wewnątrz odbywała się wielka zabawa, tak jak zawsze obiecywano w szkole. Dziś mieszkańcy wystroili się w eleganckie stroje wieczorowe, garnitury, fraki. Wszystkich okropnie śmieszyła maska świnki, wytykali ją palcami, zaśmiewając się, a Tally nie przystawała ani na moment, nie dając im szansy na zrobienie czegoś jeszcze.

Oczywiście tu wszyscy zawsze się śmiali, nie jak na przyjęciach u brzydkich, gdzie często dochodziło do sporów czy nawet kłótni.

Przepychała się z pokoju do pokoju, próbując rozpoznać twarze i nie dać się zdekoncentrować tym wielkim, ślicznym oczom i świadomości, że jest tu obca. Z każdą sekundą czuła się coraz brzydsza, a fakt, że wszyscy z niej się śmiali, jeszcze pogarszał sprawę. Nadal jednak uważała, że lepsze to niż ich reakcja na widok jej prawdziwej twarzy.

Zastanawiała się, czy w ogóle rozpozna Perisa. Od czasu operacji widziała go tylko raz, wtedy gdy wyszedł ze szpitala, zanim zniknęła opuchlizna. Ale przecież tak dobrze знаła jego twarz. Mimo tego, co często powtarzał, śliczni nie wyglądali dokładnie tak samo. Podczas wspólnych wypraw zauważali czasem ślicznych, którzy wydawali się im znajomi, podobni do znanych kiedyś brzydkich. Przypominali brata bądź siostrę — starszych, bardziej pewnych siebie, znacznie, znacznie ładniejszych. Takich, którym zazdrościłoby się całe życie, gdyby człowiek urodził się sto lat wcześniej.

Peris nie mógł się aż tak zmienić.

*

**

— Widzieliście świnkę?

— Co takiego?

— Po domu biega świnka!

Rozchichotane głosy dobiegały z niższego piętra. Tally przystanęła, wyęzając słuch. Była zupełnie sama na schodach, najwyraźniej śliczni woleli windy.

— Jak śmiała przyjść na nasze przyjęcie przebrana za świnkę? Tu obowiązują stroje wieczorowe!

— Widocznie źle trafiła.

— Co za brak wychowania! Jak można tak wyglądać?

Tally przełknęła ślinę. Maską nie była wcale lepsza niż jej własna twarz. Robiło się niebezpiecznie.

Pobiegła po schodach, zostawiając za sobą głosy. Może, jeśli zniknie im z oczu, zapomną o niej. Zostały jej jeszcze tylko dwa piętra do sprawdzenia, a potem dach. Peris musiał gdzieś tu być.

Chyba że bawił się właśnie poza domem albo w balonie, albo w jednej z wież. Albo zabawiał się z kimś gdzieś w ogrodzie rozkoszy. Tally szybko przegnała przed oczu tę ostatnią wizję i pobiegła korytarzem, puszczając mimo uszu wciąż te same dowcipy na temat jej maski i ryzykując jedynie zerknięcie w głąb kolejnych pomieszczeń.

Nie dostrzegła niczego oprócz zdumionych spojrzeń, celujących w nią palców i ślicznych twarzy. Żadna z nich z niczym jej się nie kojarzyła. Perisa tam nie było.

— Chodź tu, świnko! Hej, tu jest!

Pomknęła na najwyższe piętro, przeskakując po dwa stopnie naraz. Jej szybki oddech rozgrzał wnętrze maski, czoło spływało potem. Samoprzylepna powierzchnia wibrowała, próbując pozostać na miejscu. Ścigali Tally całą grupą, chichocząc i potykając się na schodach.

Nie miała czasu przeszukać tego piętra. Rozejrzała się szybko po korytarzu, ale nikogo nie dostrzegła, wszystkie drzwi były zamknięte. Może kilkoro ślicznych zdecydowało się jednak zdrzemnąć.

Gdyby pobiegła na dach w poszukiwaniu Perisa, znalazłaby się w pułapce.

— Chodź tu, świnko!

Czas uciekać. Tally pomknęła w stronę windy i z poślizgiem wpadła do środka.

— Parter — poleciała. Czekwała nerwowo, wyglądając na zewnątrz i dysząc w rozgrzaną plastikową maskę. — Parter! — powtórzyła. — Zamknij drzwi!

Nic się nie stało.

Tally westchnęła, przymykając oczy. Bez obrączki interfejsowej była nikim. Winda jej nie posłucha.

Umiała oczywiście oszukać windę, ale potrzebowała do tego czasu i scyzoryka, a nie miała ani jednego, ani drugiego. Pierwszy z prześladowców wybiegł z klatki schodowej i potykając się, skręcił w korytarz.

Natychmiast przywarła do bocznej ściany windy, stojąc na palcach i próbując jak najbardziej się rozplaszczyć, by jej nie dostrzegli. Zjawili się kolejni, zdyszani i spoceni — typowi śliczni bez formy. Tally obserwowała ich w lustrze wiszącym na tylnej ścianie windy.

Oznaczało to, że oni także mogli ją zobaczyć, gdyby tylko wpadli na pomysł, aby obejrzeć się w tę stronę.

— Gdzie się podziała świnka?

— Chodź tu, świnko!

— Może jest na dachu?

Ktoś wszedł cicho do windy, z rozbawieniem oglądając się na grupkę pościgową. Gdy zobaczył Tally, podskoczył gwałtownie.

— Rany, przestraszyłaś mnie! — Zamrugał długimi rzęsami, przyglądając się masce, a potem własnemu frakowi. — Ojej, czy na przyjęciu nie obowiązują stroje wieczorowe?

Tally zabrakło powietrza, w ustach jej zaschło.

— Peris? — wyszeptwała.

Przyjrzał się jej uważniej.

— Czy ja cię...?

Już miała wyciągnąć do niego rękę, przypomniała sobie jednak, że musi stać przy ścianie. Napięte mięśnie łydek drętwiały z bólu.

— To ja.

— Hej, świnko!

Słyszając głos w korytarzu, odwrócił się szybko, uniósł brwi i zerknął na nią.

— Zamknij drzwi! Stój! — poleciał bez namysłu.

Drzwi zasunęły się i Tally postąpiła naprzód. Zdjęła maskę, by widzieć go lepiej. To był Peris: jego głos, piwne oczy, to, jak marszczył czoło, gdy czegoś nie rozumiał.

Ale był teraz taki śliczny.

W szkole wyjaśniali ten mechanizm. Nieważne, czy człowiek znał się na ewolucji, czy też nie, to działało. Na wszystkich.

Istniał pewien szczególny rodzaj urody, którą dostrzegali wszyscy. Wielkie oczy i pełne wargi jak u dziecka; gładka, nieskazitelna skóra; symetryczne rysy; i tysiące innych drobiazgów. Gdzieś w głębi umysłów ludzie zawsze poszukiwali tych cech. Nikt, niezależnie od wykształcenia, nie był na nie odporny. Milion lat ewolucji uczyniły z nich nieodłączny składnik ludzkiego mózgu.

Wielkie oczy i usta mówiły: jestem młody i delikatny, nie mogę cię skrzywdzić, a ty chcesz mnie chronić. A reszta dodawała: jestem zdrowy, nie zarazisz się ode mnie chorobą. I nieważne, co człowiek myślał o ślicznych, jakaś jego część szeptała: gdybyśmy mieli dzieci, one też byłyby zdrowe. Pragnę tego ślicznego człowieka.

To biologia, mówili w szkole, tak jak bicie serca. Nic nie można poradzić na to, że się w to wierzy, nie w obliczu podobnej twarzy. Ślicznej twarzy.

Takiej jak twarz Perisa.

— To ja — powtórzyła Tally.

Peris cofnął się o krok, unosząc brwi. Spojrzał na jej ubranie.

Tally uświadomiła sobie, że ma na sobie rozciągnięty czarny dres, ubłocony po wspinaczce po linie i przekradaniu się przez ogrody oraz upadku między pnącza. Peris był ubrany w czarny aksamit, jego koszula, kamizelka i muszka połyskiwały oślepiającą bielą.

Cofnęła się szybko.

— Przepraszam, nie chcę cię ubrudzić.

— Co ty tu robisz, Tally?

— Po prostu... — zająknęła się. Teraz, gdy go znalazła, nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystkie wyobrażone rozmowy zniknęły w otchłani owych wielkich, pięknych oczu. — Musiałam sprawdzić, czy wciąż jesteśmy... — Wyciągnęła prawą rękę dłonią do góry. Warstewka potu i brudu podkreślała wszystkie linie oraz bliznę przecinającą skórę.

Peris westchnął. Nie patrzył na jej dłoń ani w jej oczy. Nie w jej lekko zezujące, blisko osadzone, nieciekawe, nijakie piwne oczy. Oczy niczyje.

— Tak — odparł. — Ale, no wiesz... nie mogłaś po prostu zaczekać, Zyzolu?

Jej ksywka zabrzmiała dziwnie w ustach ślicznego. Oczywiście jeszcze dziwniej byłoby nazwać go Nochalem, jak kiedyś po sto razy dziennie.

— Czemu do mnie nie pisałaś?

— Próbowałem, ale wydało mi się to strasznie przegięte. Jestem teraz zupełnie inny.

— Ale my wciąż... — Wskazała bliźnię.

— Sama zobacz, Tally! — Wyciągnął rękę.

Skóra jego dłoni była gładka, bez skazy. Oto ręka mówiąca: nie muszę ciężko pracować i jestem zbyt mądry, by mieć jakieś wypadki.

Blizna, którą stworzyli razem, zniknęła.

— Zabrali ją.

— Oczywiście, że tak, Zyzolu. Cała moja skóra jest nowa.

Tally zamrugła. Nie pomyślała o tym. Peris pokręcił głową.

— Wciąż jesteś jak dziecko.

— Wezwanie windy — powiedziała winda. — Góra czy dół?

Tally podskoczyła, słysząc automatyczny głos.

— Stój, proszę — rzekł spokojnie Peris.

Przełknęła ślinę i zacisnęła dłoń w pięść.

— Ale krwi nie zmienili. Ją także połączyliśmy, nieważne, co się stanie.

Peris spojrzał wreszcie w jej twarz. Mimo obaw Tally nie wzdrygnął się, tylko uśmiechnął się przepięknie.

— Nie, nie zmienili. Nowa skóra, też mi coś. Za trzy miesiące będziemy się z tego śmiać. Chyba że...

— Chyba że co? — Podniosła wzrok i spojrzała w jego wielkie, piwne oczy, przepełnione troską.

— Obiecuj mi: żadnych niemądrych wybryków, takich jak przyjdzie tutaj. Nic, co wpędziłoby cię w kłopoty. Chcę cię zobaczyć śliczną.

— Oczywiście.

— Obiecuj.

Peris był zaledwie o trzy miesiące starszy od Tally. Kiedy jednak spuściła wzrok, znów poczuła się jak maluch.

— No dobrze, obiecuję. Żadnych głupstw. A dziś też mnie nie złapią.

— W porządku. Załóż maskę i... — umilkł.

Spojrzała szybko w miejsce, gdzie odrzuciła maskę, i odkryła, że plastik sam poddał się recyklingowi i rozsypał w różowy pył. Wykładzina windy już go wsysała.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

— Wezwanie windy — nalegał automat. — Góra czy dół?

— Peris, obiecuję, że mnie nie złapią. Żaden śliczny nie potrafi biegać tak szybko jak ja. Po prostu zabierz mnie na dół i...

Peris pokręcił głową.

— Proszę na górę. Na dach. Winda ruszyła.

— Na górę? Peris, jak...

— Za drzwiami na wielkim stojaku leżą kamizelki bungee. Jest ich mnóstwo na wypadek pożaru.

— Chcesz, żebym skoczyła? — Tally przełknęła ślinę. Jej żołądek ścisnął się, gdy winda zwolniła.

Peris wzruszył ramionami.

— Ja ciągle to robię, Zyzolu — mruknął. — Spodoba ci się. Grymas ów sprawił, że jego śliczna twarz stała się jeszcze

piękniejsza i Tally skoczyła naprzód, i objęła go gwałtownie. Poczwała, że jest wciąż taki sam, no, może nieco wyższy i szczuplejszy. Ale był ciepły, silny i wciąż był Perisem.

— Tally!

Cofnęła się gwałtownie, gdy drzwi się otworzyły. Na białej kamizelce pozostały plamy błota.

— O nie! Przepra...

— Biegnij!

Jego niepokój sprawił, że Tally znów zapragnęła go uściskać. Tak bardzo chciała zostać, wyczyścić strój Perisa, dopilnować, żeby wyglądał doskonale na swym przyjęciu. Wyciągnęła rękę.

— Ja...

— Idź.

— Ale wciąż jesteśmy przyjaciółmi? Westchnął, ścierając brązową plamę.

— Jasne, na zawsze. Za trzy miesiące.

Odwróciła się i pobiegła, a drzwi zamknęły się za nią.

*

**

Na początku nikt jej nie zauważył, wszyscy patrzyli w dół. Ciemność od czasu do czasu rozjaśniały tylko rozbłyski bezpiecznych ogni sztucznych.

Tally znalazła stojak z kamizelkami bungee i pociągnęła jedną. Okazała się przypięta do wieszaka. Palce Tally na oślep szukały zatrzasku. Pożałowała, że nie ma obrączki interfejsowej, która udzieliłaby jej instrukcji.

A potem zobaczyła guzik z napisem: NACISNAĆ W RAZIE POŻARU.

— O kurczę — mruknęła.

Jej cień podskoczył i zatańczył. Dwoje ślicznych zbliżało się ku niej z zimnymi ogniami w dłoniach.

— Kto to? Co ma na sobie?

— Hej, ty, obowiązuja stroje wieczorowe!

— Spójrz na jej twarz!

— O kurczę — powtórzyła Tally.

I nacisnęła guzik.

Rozległa się rozzwierająca syrena i kamizelka bungee niemal sama wskoczyła jej w ręce. Tally wciągnęła ją, oglądając się w stronę dwójki ślicznych. Odskoczyli, jakby na ich oczach zamieniła się w wilkołaka. Jeden z nich upuścił zimny ogień, który natychmiast zgasł.

— Ćwiczenia przeciwpożarowe — rzuciła Tally i pobiegła w stronę skraju dachu.

Gdy tylko wciągnęła kamizelkę na ramiona, pasek i zamki jakby ożyły i owinęły się wokół niej niczym węże. Po sekundzie plastik opasywał już ciasno jej talię i uda. Na kołnierzu migąło zielone światło, dokładnie w miejscu, którego nie mogła ominąć wzrokiem.

— Grzeczna kamizelka — powiedziała.

Strój nie był dość inteligentny, by odpowiedzieć.

Śliczni bawiący się na dachu umilkli. Krążyli bez celu, zastanawiając się, czy naprawdę wybuchł pożar. Wskazywali Tally ręką i ujrzała, jak ich wargi układają się w jedno słowo: brzydka.

Co uznaje się za gorsze w Mieście Nowych Ślicznych?, pomyślała. Pożar budynku czy brzydką pojawiającą się bez zaproszenia na przyjęciu?

Gdy dotarła na skraj dachu, wskoczyła na poręcz i lekko się zachwiała, próbując złapać równowagę. W dole śliczni zaczęli wybiegać z apartamentowca Garbo na trawnik i pędzili dalej w dół wzgórza.

Gapili się w górę, wypatrując dymu bądź płomieni. Ujrzeni tylko ją.

Od ziemi dzieliła ją daleka droga i miała wrażenie, jakby jej żołądek już zaczął spadać. Jednocześnie jednak czuła dreszcz podniecenia. Zawodziła syrena, tłum w dole wpatrywał się w Tally, światła Miasta Nowych Ślicznych migotały niczym milion świateł.

Odetchnęła głęboko, po czym ugięła kolana, przygotowując się do skoku.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy skoro ona nie ma obrączki interfejsowej, kamizelka zadziała. Czy odbije się dla nikogo? A może po prostu runie w dół?

Tally obiecała jednak Perisowi, że nie da się złapać. A kamizelka miała służyć w sytuacjach alarmowych, no i świeciła się zielona lampka.

— Uwaga! — krzyknęła Tally.

I skoczyła.

Syrena za jej plecami ucichła. Tally zdawało się, że spadanie trwa całe wieki — a może zaledwie kilka sekund? Zagapione twarze w dole z każdą chwilą stawały się coraz większe i większe.

Ziemia pędziła ku niej, spanikowany tłum rozpierzchł się, opuszczając miejsce, w które miała uderzyć. Przez kilka chwil przypominało to sen o lataniu, bezgłośny, cudowny,

A potem rzeczywistość powróciła. Tally poczuła szarpnięcie. Kamizelka pociągnęła jej ramiona i uda, siatka boleśnie wciągała się w ciało. Tally była wyższa niż przeciętni śliczni; zapewne strój nie oczekiwał tak dużego ciężaru.

Wykręciła w powietrzu salto, przez parę przerażających chwil zwiślała głową w dół, z twarzą tak nisko, że dostrzegła nawet leżący w trawie odrzucony kapsel. A później znów pomknęła w górę, dopełniając kręgu. Niebo zawirowało jej nad głową, a ona poleciała w dół. Tłum znów się rozstąpił.

Doskonale. Odepchnęła się tak szybko, że po odbiciu zaczęła spadać ze wzgórza, zostawiając za sobą apartamentowiec Garbo. Kamizelka niosła ją w stronę ciemnych, bezpiecznych ogrodów.

Jeszcze dwukrotnie Tally obróciła się w powietrzu, a potem kamizelka opuściła ją na trawę. Dziewczyna zaczęła na oślep pociągać za paski. W końcu ochronny strój Z' sykiem opadł na ziemię.

Przez moment walczyła z zawrotami głowy, próbując zorientować się, gdzie jest góra, a gdzie dół.

— Czy ona nie jest... brzydka? — spytał ktoś z tłumu.

Nad ich głowami przemknęły czarne sylwetki dwóch strażackich lotowozów, które migały oślepiającymi, czerwonymi światłami. Oba miały włączone syreny.

— Świetny pomysł, Peris — wymamrotała Tally. — Fałszywy alarm.

Teraz, jeśli ją złapią, naprawdę będzie miała kłopoty. Nigdy nie słyszała, by ktokolwiek aż tak bardzo napsocił.

Puściła się biegiem w stronę ogrodów.

*

**

Ciemność pod wierzbami dodała jej otuchy.

Tutaj, w połowie drogi do rzeki, Tally nie słyszała już odgłosów poważnego alarmu przeciwpożarowego w centrum miasta. Widziała jednak oznaki zorganizowanych

poszukiwań. W powietrzu krążyło więcej lotowozów niż zwykle, a rzeka jaśniała niepokojąco w mroku. Może to tylko zbieg okoliczności? Ale zapewne nie.

Ostrożnie skradała się między drzewami. Było późno; nigdy wcześniej z Perisem nie zostawali tak długo w Mieście Nowych Ślicznych. W ogrodach rozkoszy przebywało więcej osób, zwłaszcza w ciemniejszych miejscach. Teraz, kiedy podniecenie towarzyszące ucieczce minęło, Tally zaczynała rozumieć, jak głupi był to pomysł.

Oczywiście, że Peris nie miał już blizny. Kiedy się skaleczyli i złączyli swe dłonie, użyli zwykłego scyzoryka. Lekarze podczas operacji posługiwali się znacznie ostrzejszymi i większymi nożami. Oskrobywali człowieka do żywego ciała, tak by mogła mu wyrosnąć zupełnie nowa, nieskazitelna skóra. Ślady starych wypadków, złego odżywiania i chorób dziecięcych znikają bez śladu. Nowy początek.

Lecz Tally zepsuła nowy początek Perisa — zjawiała się u niego niczym natrętny, niechciany malec i pozostawiła go z paskudnym smakiem brzydoty w ustach, nie wspominając już o biocie na eleganckim stroju. Miała nadzieję, że znalazł w szafie inną, czystą kamizelkę.

Przynajmniej nie sprawiał wrażenia . zbyt poirytowanego. Powiedział, że znów będą najlepszymi przyjaciółmi, na zawsze, kiedy tylko stanie się śliczna. Ale to, jak patrzył na jej twarz... Może dlatego właśnie brzydki i śliczni żyli osobno. To musi być straszne: ujrzeć brzydką twarz, gdy cały czas otaczają cię tak piękni ludzie. A jeśli wszystko dziś zniszczy— ła i Peris już zawsze będzie widział ją taką — lekko zezujące oczy, niesforne kędzierzawe włosy?

W górze przemknął lotowóz. Tally przykucnęła. Pewnie zresztą i tak dziś ją złapią i nigdy nie stanie się śliczna. Zasłużyła sobie. Czemu była taka głupia?

Przypomniała sobie w duchu obietnicę złożoną Perisowi. Nic złapią jej— musi stać się śliczna. Dla niego.

Kącikiem oka dostrzegła jakieś światło. Przykucnęła jesz— t ze niżej i zerknęła przez liście wierzby płaczącej.

W parku była jedna z opiekunek, średnia śliczna, nie nowa. W blasku ognia Tally widziała wyraźnie efekty drugiej operacji: szerokie ramiona i stanowczą szczękę, ostry nos, wydatne kości policzkowe. Kobietę otaczała aura tego samego niekwestionowanego autorytetu co nauczycieli w Brzydaluwie.

Tally przełknęła ślinę. Nowi śliczni mieli swych własnych opiekunów. Istniał tylko jeden powód, dla którego średnia Śliczna przebywała tu, w mieście: opiekunowie szukali kogoś i bardzo poważnie podchodzili do swego zadania.

Kobieta oświetliła parkę siedzącą na ławce. Wystarczył jej moment, by potwierdzić, że są śliczni. Oboje podskoczyli, opiekunka jednak zaśmiała się i przeprosiła. Tally

usłyszała jej niski, władczy głos i ujrzała, jak nowi śliczni odprężają się. Skoro powiedziała, że wszystko jest w porządku, to tak być musiało.

Tally zapragnęła się ujawnić, zdać na mądrą łaskę opiekunki. Gdyby tylko wyjaśniła, opiekunka zrozumiałaby i wszystko naprawiła. Średni śliczni zawsze wiedzieli, co robić.

Ale obiecała Perisowi.

Cofnęła się w cień, próbując zignorować straszne uczucie, że jest szpiegiem, intruzem, że powinna poddać się władzy tej kobiety. Zaczęła skradać się przez zarośla najszybciej, jak umiała.

W pobliżu rzeki usłyszała przed sobą hałas; na tle jasnych rzecznych świateł dostrzegła ciemną sylwetkę. Nie była to para, lecz samotna postać w mroku.

Z pewnością opiekun czekający na nią w zaroślach.

Tally nie śmiała nawet oddychać, zastygła w bezruchu, wspierając cały ciężar ciała na jednym kolanie i jednej zabłoconej dłoni. Jak dotąd opiekun jej nie dostrzegł. Jeśli Tally odczeka dość długo, może sobie pójdzie.

Czekała bez ruchu, kolejne minuty ciągnęły się bez końca. Postać nawet nie drgnęła. Musieli "wiedzieć, że ogrody to jedyne bezpieczne wyjście z Miasta Nowych Ślicznych.

Ręka Tally zaczęła drżeć, mięśnie zmuszone do bezruchu protestowały coraz bardziej. Nie śmiała jednak podeprzeć się drugą dłonią, nawet trzask gałązki mógł ją zdradzić.

Czekała, aż w końcu wszystkie mięśnie zaczęły wrzeszczeć z bólu. Może postać to jedynie złudzenie, może tylko ją sobie wyobraziła.

Zamrugnęła, próbując sprawić, by opiekun zniknął.

On jednak wciąż tam był, wyraźnie widoczny na tle falującej, migotliwej wody.

Gałązka trzasnęła pod kolaniem — obolałe mięśnie Tally w końcu nie wytrzymały. Postać nadal się nie poruszyła, chociaż z pewnością ją usłyszała...

Opiekun najwyraźniej czekał, aż sama się podda. Sama podejmie decyzję. Czasami nauczyciele w szkole też tak postępowali. Czekali, aż zrozumiesz, że nie możesz uciec, i wyznasz wszystko.

Tally odchrząknęła — cicho, żałośnie.

— Przepraszam — zaczęła. Postać westchnęła głośno.

— O rany. Hej, nie ma sprawy, pewnie też cię wystraszyłam. Dziewczyna pochyliła się do przodu i skrzywiła, jak gdy-

by ona także była obolała od długiego czekania. Światło padło na jej twarz.

Ona też była brzydka.

*

**

Na imię miała Shay. Jej długie włosy były związane w kucyki, z twarzy spoglądały zbyt szeroko rozstawione oczy. Usta miała pełne, lecz była nawet chudsza niż nowi śliczni. Ona również urządziła sobie wyprawę do miasta i przez godzinę ukrywała się tu, nad rzeką.

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego — wyszeptała.

— Wszędzie roi się ód opiekunów i lotowozów. Tally odchrząknęła.

— To chyba moja wina.

Shay spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— Jak ci się to udało?

— No, byłam w centrum miasta na imprezie.

— Wprosiłaś się na imprezę? To wariactwo! — Shay zniżyła głos do szeptu. — Wariactwo, ale super. Jak się tam dostałaś?

— Założyłam maskę.

— Rany, maskę ślicznej?

— Nie, maskę świnki. To długa historia. Shay zamrugwała.

— Maską świnki. No dobra. I niech zgadnę, spotkałaś złego wilka?

— He? Nie, o mało mnie nie złapali, więc tak jakby... włączyłam alarm przeciwpożarowy.

— Niezły numer.

Tally uśmiechnęła się. Faktycznie, teraz, gdy miała z kim pogadać, była to całkiem niezła historia.

— A ponieważ utknęłam na dachu, złapałam kamizelkę bungee i zeskoczyłam. Odbijałam się przez pół drogi.

— Nie gadaj!

— No, przynajmniej część drogi.

— Naprawdę super! — Shay uśmiechnęła się, po chwili jednak spoważniała. Zaczęła obgryzać paznokcie. To jeden z paskudnych nawyków, z których leczyła operacja. — Powiedz, Tally, poszłaś na imprezę, żeby... z kimś się zobaczyć?

Teraz to Tally spojrzała na nią z uznaniem.

— Jak się domyśliłaś?

Shay westchnęła, wbiła wzrok w połamane paznokcie.

— Ja też mam tu przyjaciół, to znaczy byli moimi przyjaciółmi, czasami ich szpieguję. — Uniosła wzrok. — Zawsze byłam najmłodsza, wiesz? A teraz...

— Jesteś zupełnie sama.

Shay przytaknęła.

— Wygląda na to, że ty nie tylko szpiegowałeś.

— Zgadza się, poszłam się przywitać.

— Rany, to wariactwo! Twój chłopak czy co?

Tally pokręciła głową. Peris spotykał się z innymi dziewczynami, a ona jakoś sobie z tym radziła i próbowała postępować podobnie. Lecz ich przyjaźń zawsze odgrywała główną rolę w życiu obojga. Najwyraźniej to już się skończyło.

— Gdyby był moim chłopakiem, chyba bym się nie zdecydowała, wiesz? Nie chciałam mu pokazać mojej twarzy. Ale byliśmy przyjaciółmi i pomyślałam, że może...

— Jasne. I jak poszło?

Tally zastanawiała się przez moment, spoglądając na migotliwą wodę. Peris był taki śliczny i zupełnie dorosły. I powiedział, że znów będą przyjaciółmi. Kiedy ona też stanie się śliczna.

— Krótko mówiąc? Marnie — odparła.

— Tak też myślałam.

— Oprócz ucieczki, ta była naprawdę ekstra.

— Na to wygląda. — Tally usłyszała uśmiech w głosie Shay. — Trudna sprawa.

Przez chwilę milczały, nad ich głowami przemknął lotowóz.

— Ale wiesz, że jeszcze do końca nie uciekłyśmy? — podjęła Shay. — Kiedy następnym razem włączysz alarm przeciwpożarowy, najpierw mnie uprzedź.

— Przepraszam, że przeze mnie tu utknęłaś. Shay spojrzała na nią i zmarszczyła brwi.

— Nie o to chodzi. Po prostu skoro mamy razem uciekać, mogłam też dołączyć do zabawy.

Tally zaśmiała się cicho.

— Zgoda, następnym razem dam ci znać.

— Zrób tak! — Shay przebiegła wzrokiem rzekę. — Jest nieco spokojniej. Gdzie twoja deska?

— Moja co?

Shay wyciągnęła spod krzaka deskolotkę.

— Masz przecież deskę, prawda? Jak się tu dostałaś? Przyplłynęłaś?

— Nie, ja... Hej, zaczekaj. Jak zmusiłaś deskę, żeby zabrała cię za rzekę?

Wszystko, co latało, pozostawało pod kontrolą.

Shay zaśmiała się.

— To najstarsza sztuczka pod słońcem. Sądziłam, że wiesz o tym wszystko.

Tally wzruszyła ramionami.

— Rzadko latam na desce.

— Ta zdoła przewieźć nas obie.

— Zaczekaj. Ciii.

W ich polu widzenia pojawił się kolejny lotowóz, przelatywał nad rzeką na wysokości mostów.

Gdy zniknął, Tally policzyła do dziesięciu.

— Nie sądzę, żeby lot z powrotem był dobrym pomysłem.

— No to jak się tu dostałaś?

— Chodź za mną! — Tally na czworakach popęzła kawałek, potem się obejrzała.

— Możesz ją nieść?

— Jasne, waży niewiele. — Shay pstryknęła palcami i deska poszybowała w górę.

— Ścisłej mówiąc, jeśli jej tak każę, to w ogóle nic nie waży.

— Wygodne.

Shay zaczęła pełznąć na czworakach, deska leciała obok niczym balonik malucha. Tally jednak nie widziała ani śladu sznurka.

— Dokąd idziemy? — spytała jej towarzyszka.

— Znam jeden most.

— Ale przecież wypaple.

— Nie ten. To stary przyjaciel.

WYSYPKA

Tally spadła. Znowu. Tym razem wysypka aż tak nie bolała. W chwili gdy jej stopa zsunęła się z deski, Tally odprężyła się, tak jak kazała Shay. Obrót nie był o wiele gorszy niż chwile, gdy ojciec unosił ją w dzieciństwie za ręce i okręcał dookoła.

Tyle że ojciec był nadczołowiekiem i próbował jej wyrwać ręce ze stawów.

Siła rozpędu musiała gdzieś się podziąć, wyjaśniła Shay. A lepiej latać w kółko, niż rąbnąć o drzewo. Tu, w parku Kleopatry, rosło mnóstwo drzew.

Po kilku obrotach Tally ponownie opadła na trawę, oszołomiona, lecz w jednym kawałku.

Shay podleciała do niej, zgrabnie hamując na desce, tak jakby się na niej urodziła.

— To wyglądało już nieco lepiej.

— Ale wcale nie czułam się lepiej.

Tally ściągnęła jedną z bransolet bezpieczeństwa i roztarta przegub. Poczerwieniała; miała wrażenie, że traci czucie w palcach.

Bransoleta ciążyła jej w dłoni. Musiały mieć w środku metal, bo działały na zasadzie magnesu, tak jak deski. Gdy stopa Tally ześlizgiwała się, wkraczały do akcji i powstrzymywały upadek niczym przyjazny olbrzym, chwytający ją i zatrzymujący w powietrzu.

Za przeguby. Znowu.

Tally zdjęła drugą bransoletę i rozmasowała rękę.

— Nie poddawaj się, prawie ci się udało!

Deska wróciła do niej i otarła się lekko o kostki, niczym skruszony pies. Tally skrzyżowała ręce i zaczęła rozcierać ramiona.

— Chcesz powiedzieć, że o mało nie rozerwało mnie na pół.

— To się nigdy nie zdarza. Sama wiem najlepiej; wysypywałam się częściej niż torebka mąki na kolejce górskiej.

— Na czym?

— Nieważne. No chodź, jeszcze raz.

Tally westchnęła. Nie chodziło tylko o przeguby, kolana też ją bolały od gwałtownych skrętów, tak ostrych, że jej ciało zdawało się ważyć tonę. Shay nazywała to „wzrostem ciężenia”, który następował za każdym razem, gdy szybko poruszający się obiekt zmieniał kierunek.

— Latanie na desce wydaje się świetną zabawą, coś jak bycie ptakiem. Ale tak naprawdę to ciężka praca.

Shay wzruszyła ramionami.

— Bycie ptakiem to pewnie też ciężka praca. Cały dzień trzeba machać skrzydłami.

— Może. Czy kiedyś będzie lepiej?

Ptakom? Nie wiem. Na desce — zdecydowanie.

— Mam nadzieję.

Tally włożyła bransolety i stanęła na desce, która zachy— botala lekko, dostrajając się do jej wagi. Przypominało to nieco sprężynowanie trampoliny.

— Sprawdź czujnik na brzuchu.

Tally dotknęła pępka, do którego Shay przypięła maleńki czujnik. Informował deskę, gdzie pasażerka ma środek ciężkości i w którą stronę patrzy. Czujnik odczytywał nawet stan mięśni brzucha; jak się okazało, deskarze zawsze napinali je tuż przed zwrotem. Deska była dość inteligentna, by stopniowo nauczyć się interpretować ruchy ciała. I wychodziło jej to coraz lepiej, im dłużej Tally latała.

Oczywiście, Tally także musiała się wiele nauczyć. Shay powtarzała, że jeśli stopy nie znajdują się we właściwym miejscu, nawet najmądrzejsza deska świata nie utrzyma pasażera. Powierzchnię deski pokrywały wypukłości, które zapewniały lepszą przyczepność, zdumiewające jednak, jak łatwo można się było ześliznąć.

Deska miała owalny kształt, była dwa razy dłuższa od Tally, czarną powierzchnię pokrywały srebrzyste cętki jak u geparda — jedyne zwierzęcia na świecie biegnące szybciej niż rozpędzona deskolotka. Shay uczyła się na niej latać i nie poddała jej recyklingowi. Do dziś dnia wisiała na ścianie nad jej łóżkiem.

Tally pstryknęła palcami, ugięła kolana, wzlatując w powietrze, i pochyliła się do przodu, żeby nabrać szybkości.

Shay krążyła tuż nad nią, odrobinę z tyłu.

Drzewa zaczęły pędzić w jej stronę. Mijając je, Tally czuła na rękach ostre ukłucia zielonych szpilek. Deska nie pozwoliłaby jej wpaść na nic twardego, ale nie przejmowała się gałązkami.

— Wyciągnij ręce, stopy szeroko! — krzyknęła po raz tysięczny Shay.

Tally nerwowo przesunęła w bok lewą stopę.

Na końcu parku przechyliła się w prawo i deska weszła w długi ostry zakręt. Tally ugięła kolana; czuła się bardzo ciężka, zawracając w kierunku, z którego wyruszyła.

Teraz pędziła w stronę slalomowych słupków. Zbliżywszy się, przykucnęła. Wiatr wysuszał jej wargi, unosił kucyk.

— O raju — szepnęła.

Deska minęła pierwszy słupek, a ona przechyliła się ostro w prawo, wyciągając ręce jak najdalej, żeby utrzymać równowagę.

— Zmiana! — zawołała Shay.

Tally przekrzywiła ciało, przerzucając gwałtownie deskę pod sobą na drugą stronę i wymijając kolejny słupek. Gdy to /robiła, przerzuciła ją ponownie.

Lecz stopy miała za blisko. Tylko nie to. Jej buty ześlizgnęły się po powierzchni deski.

— Nie! — wykrzyknęła, zaciskając palce stóp i zgarniając powietrze dłońmi, byle tylko utrzymać się na desce.

Prawy but zsuwał się dalej w stronę krawędzi, aż w końcu ujrzała czubek stopy na tle drzew.

Drzewa! Leciała niemal bokiem, z ciałem nachylonym równoległe do ziemi.

Słupek przemknął obok i nagle slalom dobiegł końca. Deska zakołysała się pod Tally, gdy jej lot zaczął się prostować.

— Udało się!

Tally obróciła się, by spojrzeć na Shay.

— Udało mi się! — krzyknęła.

I spadła.

Oglupiała z powodu jej obrotu, deska próbowała zrobić to samo i zrzuciła ją. Tally odprężyła się, czując potężną siłę szarpiącą ją za ręce. Świat wokół zawirował. Śmiała się, opadając na trawę, podtrzymywana przez bransolety.

Shay także się śmiała.

— Prawie się udało.

— Nie! Zaliczyłam wszystkie słupki, widziałaś!

— No dobra, dobra, udało ci się. — Shay ze śmiechem zeszła na trawę. — Ale po wszystkim nie tańcz tak z radości. To dziecinne, Zyzolu.

Tally pokazała język. Przez ostatni tydzień przekonała się, że Shay używa jej przezwiska tylko po to, żeby jej dogryźć. Przez większość czasu upierała się, by zwracały się do siebie prawdziwymi imionami. Tally szybko do tego przywykła, nawet jej się to podobało. Nikt prócz Sola i Ellie — jej rodziców — oraz paru nadętych nauczycieli nigdy wcześniej nie nazywał jej „Tally”.

— No dobra, skoro tak mówisz, Chudzino. Było super! — Wyciągnęła się na trawie. Bolało ją całe ciało, każdy mięsień.

Bicmal jęczał ze zmęczenia. — Dzięki za lekcję, latanie jest ekstra.

Shay usiadła obok.

— Na desce nigdy się nie nudzisz.

— Nie czułam się tak dobrze, odkąd... — Tally nie wymówiła jego imienia.

Spojrzała w niebo barwy głębokiego błękitu. Idealne niebo. Zaczęły dopiero późnym popołudniem, na paru obłokach dostrzegała już ślady różu, choć do zachodu pozostało jeszcze parę godzin.

— Tak — zgodziła się Shay. — Ja również. Miałam dosyć samotności.

— Ile ci zostało?

— Dwa miesiące i dwadzieścia sześć dni — odparła bez namysłu Shay.

Tally, oszołomiona, przez chwilę milczała.

— Jesteś pewna?

— Jasne, że jestem.

Poczuła, jak jej twarz powoli się rozpromienia. Ze śmiechem upadła z powrotem na trawę.

— Żartujesz chyba. Urodziłyśmy się tego samego dnia!

— Nie gadaj!

— Gadam. Idealnie! Obie razem staniemy się śliczne.

Shay przez chwilę milczała.

— Tak, chyba tak.

— Dziewiątego września. Zgadza się?

Shay przytaknęła.

— Ale ekstra! Nie zniosłabym chyba utraty jeszcze jednej przyjaciółki, wiesz?

Teraz nie musimy się martwić tym, że jedna porzuci drugą. Nawet na jeden dzień.

Shay siedziała sztywno, jej uśmiech zniknął.

— I tak bym tego nie zrobiła.

Tally zamrugła.

— Tego nie powiedziałam, ale...

— Ale co?

— Ale kiedy się zmieniasz, przenosisz się do Miasta Nowych Ślicznych.

— I co z tego? Ślicznym przecież wolno tu wracać. I pisać.

Tally parsknęła.

— Ale tego nie robią.

— Ja bym zrobiła... — Shay spojrzała ponad rzeką w stronę wież imprez i przygryzła kciuk.

— Ja też, Shay. Odwiedziłabym cię.

— Na pewno?

— Tak, jasne.

Jej towarzyszka wzruszyła ramionami i położyła się, patrząc w niebo.

— Dobra, ale wiesz, że nie jesteś pierwszą osobą, która mi to obiecała?

— Tak, wiem.

Przez chwilę obie milczały. Chmury powoli zasnuwały słoneczną tarczę, powietrze stygło. Tally myślała o Perisie, próbowała sobie przypomnieć, jak wyglądał, kiedy był jeszcze Nochalem. Lecz z jakichś powodów nie pamiętała już jego brzydkiej twarzy, zupełnie jakby parę minut oglądania ilicznego Perisa zatarło wiele lat wspomnień. Teraz widziała go tylko ślicznego. Te oczy, uśmiech.

— Ciekawe, czemu oni nigdy nie wracają? — odezwała się % namysłem Shay. — Nawet z wizytą.

Tally przełknęła ślinę.

— Bo jesteśmy tacy brzydcy, Chudzino. Oto dlaczego.

OBLICZE PRZYSZŁOŚCI

— Oto opcja numer dwa. — Tally dotknęła obrączki interfejsowej i obraz na ściennym ekranie się zmienił.

Ta Tally była smukła, miała niewiarygodnie wydatne kości policzkowe, ciemnozielone kocie oczy i szerokie usta, rozciągnięte w porozumiewawczym uśmiechu.

— To dość, no... duża zmiana.

— Tak, wątpię, czy w ogóle legalna. — Podkręciła nieco parametry brwi, zmniejszając ich wygięcie niemal do poziomu normalności. W niektórych miastach zezwalano na egzotyczne operacje — wyłącznie u nowych ślicznych — lecz miejscowe władze słynęły z konserwatyizmu. Nie sądziła, by doktor zechciał nawet spojrzeć na podobny morf, ale zabawnie było sprawdzać, co potrafi program. — Myślisz, że wyglądam zbyt groźnie?

— Nie, wyglądasz jak prawdziwa kocica. — Shay zachichotała. — Niestety, w dosłownym, puchatym znaczeniu tego słowa.

— No dobra, jedźmy dalej.

Następna Tally była niemal standardowym modelem morfologicznym. Miała podługne orzechowe oczy, proste czarne, lekko wycieniowane włosy, ciemne usta nastawione na maksimum wydatności.

— Dość sztapowe, Tally.

— Daj spokój, strasznie długo nad nim pracowałam. Uważam, że wyglądam tu świetnie. No wiesz, w stylu Kleopatry.

— Słuchaj — odparła przyjaciółka — czytałam gdzieś, że prawdziwa Kleopatra nie była taka ładna. Uwodziła wszystkich swoją inteligencją.

— Tak, jasne. A widziałaś jej zdjęcie?

— Wtedy nie znano aparatów fotograficznych, Zyzolu.

— Pewnie. To skąd wiesz, że była brzydka?

— Bo tak właśnie twierdzili ówcześni historycy.

Tally wzruszyła ramionami.

— Pewnie była klasyczną śliczną, a oni nawet tego nie wiedzieli. W tamtych czasach mieli dziwne pojęcie o urodzie. Nie znali biologii.

— Szczęściarze! — Shay wyjrzała przez okno.

— Skoro uważasz, że wszystkie moje twarze są takie do kitu, to może pokażesz mi swoje. — Tally oczyściła ekran i wyciągnęła się na łóżku.

— Nie mogę.

— Chętnie narzekasz, ale krytyki nie potrafisz znieść?

— Nie, naprawdę nie mogę. Nigdy żadnej nie przygotowałam.

Tally opadła szczęką. Wszyscy robili morfy, nawet maluchy abyt małe, by ustaliła się ich struktura kostna. To świetna zabawa: sprawdzanie, jak się zmienia, gdy już będą śliczni.

— Nawet jednej?

— Może kiedy byłam mała. Ale razem z przyjaciółmi daliśmy sobie spokój wiele lat temu.

— W takim razie — Tally usiadła — powinnyśmy to naprawić, natychmiast.

— Wolalabym polatać na desce. — Shay sięgnęła nerwowo pod koszulę.

Tally przypuszczała, że przyjaciółka sypia z czujnikiem na brzuchu, latając nawet w snach.

— Później, Shay. Nie mogę uwierzyć, że nie masz nawet jednego morfa. Proszę.

— To głupie. Lekarze i tak robią, co zechcą, nieważne, co im każesz.

— Wiem, ale to zabawne.

Shay demonstracyjnie wywróciła oczami, w końcu jednak skinęła głową. Zwlokła się z łóżka i usiadła przed ekranem, odgarniając włosy z twarzy.

— A zatem jednak już to robiłaś — prychnęła Tally.

— Tak jak mówiłam, kiedy byłam maluchem.

— Jasne.

Tally obróciła obręczkę interfejsową, przywołując na ekran menu, i mrugając oczną myszą, zaczęła dokonywać wyborów. Kamera wypuściła z siebie laserową wiązkę i na twarzy Shay zapłonęła zielona siatka, setki maleńkich kwadracików narzuconych na kości policzkowe, nos, usta i czoło.

W parę sekund później na ekranie pojawiły się dwie twarze. Obie należały do Shay, istniały jednak wyraźne różnice.

Jedna wydawała się energiczna, lekko zagniewana. Druga wyglądała jak twarz śniącego na jawie.

— Dziwne, jak to działa, prawda? — mruknęła Tally. — Jakbyś była dwiema różnymi osobami.

Shay kiwnęła głową.

— Upiorne.

Twarze brzydkich zawsze były niesymetryczne, ich połówki do siebie nie pasowały. Pierwsze, co robił program do morfów, to dzielił twarz i dublował obie połówki, tak by tworzyły dwa przykłady idealnej symetrii. Już teraz obie symetryczne Shay wyglądały lepiej niż oryginał.

— I jak, Shay, która twoja strona jest lepsza?

— Czemu muszę być symetryczna? Wolę mieć dwie różne połówki twarzy.

Tally jęknęła.

— To oznaka dziecięcego stresu. Nikt nie chce patrzeć na coś takiego.

— Rany, nie chciałabym wyjść na zestresowaną! — Shay parsknęła i wskazała zagniewaną twarz. — No dobra, ta jest chyba lepsza. Nie sądzisz?

— A ja nie znoszę mojej prawej strony. I zawsze zaczynam od lewej.

— No cóż, tak się składa, że ja lubię moją lewą stronę. Wygląda twardziej.

— Jasne, ty tu rządzisz.

Tally zamrugała i prawa twarz wypełniła cały ekran.

— Najpierw podstawy.

Program zaczął automatycznie wprowadzać zmiany.

Oczy stopniowo rosły, zmniejszając rozmiar nosa pomiędzy nimi. Kości policzkowe Shay powędrowały w górę, jej usta stały się nieco pełniejsze (i tak już były niemal wielkości warg ślicznych). Wszystkie skazy i znamiona zniknęły, skóra zrobiła się nieskazitelnie gładka. Czaszka poruszyła się lekko, czoło cofnęło nieco, podbródek stał się wyraźniejszy, linia szczęki mocniejsza.

Po wszystkim Tally zagwizdała z uznaniem.

— Rany, już teraz jest całkiem nieźle.

— Świetnie — jęknęła Shay. — Wyglądam zupełnie jak każdy inny nowy śliczny na świecie.

— Jasne, to przecież dopiero początek. Może dodamy ci włosy. — Tally szybko przemrugała menu, losowo wybierając fryzurę.

Gdy obraz się zmienił, Shay padła na podłogę, zwijając się ze śmiechu. Wysoki kok górował nad jej szczupłą twarzą niczym błazeńska czapka, a jasnozłociste włosy zupełnie nie pasowały do oliwkowej cery.

— No dobra, może nie — wykrztusiła z trudem Tally, nie mogąc powstrzymać chichotu. Znów zaczęła przerzucać menu i wybrała prostą fryzurę, ciemną i krótką. — Najpierw dokończmy twarz.

Podkręciła brwi, tak że wygięły się dramatycznie, lekko zaokrągliła policzki. Shay wciąż była zbyt chuda, choć program zbliżył ją do standardu.

— I może nieco jaśniejsza? — Rozjaśniła skórę o odcień.

— Hej, Zyzolu! — zaprotestowała Shay. — Czyja to w końcu twarz?

— Tylko się bawię. Chciałabyś spróbować?

— Nie, chcę polatać.

— Jasne, świetnie. Ale najpierw zróbmy to jak należy.

— Co to znaczy: jak należy, Tally? A może uważam, że już teraz wyglądam jak należy?

— Jasne, wyglądasz świetnie. — Tally wywróciła oczami. — Jak na brzydką. Przyjaciółka skrzywiła się.

— No co, nie możesz mnie znieść? Musisz utrwalić sobie w głowie wymyślony obrazek zamiast mojej twarzy?

— Shay! Daj spokój, to tylko zabawa!

— Sprawianie, że czujesz się brzydka, to nie zabawa.

— Ale my jesteśmy brzydkie!

— Cała ta gra służy tylko temu, żebyśmy znieawidziły same siebie.

Tally jęknęła i z rozmachem padła na łóżko, patrząc gniewnie w sufit. Czasami Shay bywała strasznie dziwna i narzekała na zbliżającą się operację, jakby ktoś zmuszał ją do tego, by ukończyła szesnaście lat.

— Jasne. A kiedy wszyscy byli brzydcy, było super. Czy może tego dnia opuściłaś zajęcia?

— Tak, tak, wiem — wyrecytowała Shay. — Wszyscy osądzali innych, kierując się ich wyglądem. Wyżsi ludzie dostawali lepszą pracę, niektórych wybierano nawet na urzędy polityczne tylko dlatego, że wyróżniali się urodą. Bła, bła, bła.

— Owszem. I zabijali się nawzajem z powodu rzeczy takich jak kolor skóry. — Tally pokręciła głową. Nieważne, ile razy powtarzali to w szkole, wciąż nie mogła uwierzyć. — Co z tego, że teraz ludzie wyglądają podobnie? Tylko dzięki temu mogą stać się równi.

— Czemu nie dodać im rozumu?

— Też mi pomysł — roześmiała się Tally. — Zresztą to tylko zabawa, pozwala nam zobaczyć, jak będziemy wyglądały zaledwie za... dwa miesiące i piętnaście dni.

— Nie możemy poczekać?

Tally z westchnieniem zamknęła oczy.

— Czasami wydaje mi się, że nie mogę.

— To masz problem. — Poczowała ciężar przyjaciółki na łóżku i lekkie pacnięcie w rękę. — Hej, możemy przynajmniej to wykorzystać. Pójdziemy już polatać? Proszę.

Tally uniosła powieki i przekonała się, że jej towarzyszka się uśmiecha.

— Dobra: deska. — Wstała i spojrzała na ekran. Nawet bez zbytnich starań twarz Shay już teraz przyciągała wzrok. Była taka bezbronna, zdrowa... śliczna. — Nie uważasz, że jesteś piękna?

Shay nawet nie spojrzała, jedynie wzruszyła ramionami.

— To nie jestem ja. To wersja mnie, wymyślona przez jakąś komisję.

Tally z uśmiechem uściśnęła swą towarzyszkę.

— Ale to będziesz ty. Naprawdę ty. Już niedługo.

— Chyba jesteś gotowa.

Tally zatrzymała się gwałtownie — prawa stopa w dół, lewa w górę, ugiąć kolana.

— Gotowa? Na co?

Shay przepłynęła powoli obok, dając się nieść wietrzykowi. Były tak wysoko i daleko, jak tylko mogły je unieść de— skołotki, nad czubkami drzew na skraju miasta. Zdumiewające, jak szybko Tally przywykła do wysokości i świadomości, że nic oprócz deski i bransolet nie chroni jej przed długim spadaniem.

Widok z góry był fantastyczny. Za nimi z centrum wyrastały iglice Miasta Nowych Ślicznych, otoczone szerokim pasem zieleni, lasu oddzielającego średnich i starych ślicznych od młodzieży. Starsze pokolenia ślicznych mieszkały na przedmieściach ukrytych za wzgórzami, w rzędach wielkich domów porozdzielanych pasmami zamkniętych ogrodów, w których bawiły się maluchy.

Shay uśmiechnęła się.

— Gotowa na nocną przejażdżkę?

— Aha. Posłuchaj, nie wiem, czy chcę jeszcze raz przeprować się przez rzekę — Tally przypomniała sobie obietnicę złożoną Perisowi. Przez ostatnie trzy tygodnie pokazały sobie z Shay mnóstwo sztuczek, ale od tamtej nocy, gdy się poznały, ani razu nie odwiedziły Miasta Nowych Ślicznych. — Oczywiście póki się nie zmienimy. Po ostatnim razie opiekunowie są pewnie...

— Nie mówiłam o Mieście Nowych Ślicznych — przerwała jej Shay. — Tam jest strasznie nudno. Całą noc musiałybyśmy się przekradać.

— Jasne. Chcesz polatać po Brzydalowie?

Shay pokręciła głową, wciąż powoli szybując z wiatrem.

Tally niespokojnie przeniosła ciężar z nogi na nogę.

— A gdzie jeszcze można?

Przyjaciółka schowała ręce do kieszeni i uniosła ramiona, zamieniając swą kurtkę z symbolem domu w żagiel. Wietrzyk unosił ją coraz dalej od Tally, która odruchowo nacisnęła na deskę palcami stóp, by przyspieszyć.

— Możemy polecieć tam! — Shay skinieniem głowy wskazała ciągnące się przed nimi otwarte tereny.

— Na przedmieścia? To nudziarstwo.

— Nie przedmieścia, dalej. — Shay rozstawiła stopy na szerokość deski, jej spódnica wyduła się w powiewie wiatru, niosąc ją szybciej. Zbliżała się do skraju zieleni. Do terenów zakazanych.

Tally zapała się mocniej, przechyliła deskę i dobiła do przyjaciółki.

— Co masz na myśli? Poza granice miasta?

— Tak.

— To wariactwo, tam nic nie ma.

— Wcale nie, jest bardzo dużo. Prawdziwe drzewa, liczące setki lat. Góry. I ruiny.

Byłaś tam kiedyś?

Tally zamrugła.

— Oczywiście.

— Nie chodzi mi o szkolną wycieczkę, Tally. Byłaś tam kiedyś nocą?

Tally gwałtownie zatrzymała deskę. Rdzawe Ruiny były pozostałością starego miasta, ponurą pamiątką czasów, gdy na świecie żyło zbyt wielu ludzi, niewiarygodnie głupich ludzi. I brzydkich.

— W życiu! Nie mów mi, że ty tam byłaś!

Shay skinęła głową.

Tally opadła szczęką.

— To niemożliwe!

— Myślisz, że tylko ty znasz świetne numery?

— No dobra, może ci wierzę — odparła Tally. Twarz Shay miała wyraz, który Tally nauczyła się rozpoznawać i którego się obawiała. — A co, jeśli nas złapią?

Przyjaciółka zaśmiała się.

— Tally, tam nic nie ma, sama powiedziałaś. Nic, nikogo, kto mógłby nas przyłapać.

— Czy deski w ogóle tam działają? I inne rzeczy?

— Specjalne owszem, jeśli wiesz, jak je oszukać i którądy lecieć. Wyminiecie przedmięt to fraszka, całą drogę lecisiz nad rzeką. Trochę dalej zaczyna się biała woda, zbyt niebezpieczna dla ślizgotów.

Tally otworzyła usta z niedowierzaniem.

— Faktycznie już to robiłaś.

Powiew wiatru wydał kurtkę Shay, która odpłynęła dalej, wciąż uśmiechnięta. Tally znów musiała się pochylić, by pozostać w zasięgu jej głosu. Czubek drzewa musnął jej kostki, ziemia zaczęła się przybliżać.

— To świetna zabawa! — zawołała Shay.

— Wygląda niebezpiecznie.

— Daj spokój, marzyłam, by ci to pokazać, od chwili gdy cię spotkałam, odkąd powiedziałaś, że wprosiłaś się na imprezę ślicznych — i uruchomiłaś alarm przeciwpożarowy.

Tally przełknęła ślinę, żalując, że nie wyznała Shay całej prawdy o tamtej nocy — o tym, że wszystko stało się właściwie samo. Teraz Shay najwyraźniej uważała ją za największego śmiałka pod słońcem.

— No wiesz, ten alarm to w sumie był przypadek. W pewnym sensie.

— Tak, jasne.

— To znaczy, może powinniśmy poczekać. Zostało tylko parę miesięcy.

— Zgadza się — przytaknęła Shay. — Parę miesięcy i trafimy za rzekę. Będzie ślicznie. I nudno.

— Nie uważam, żeby to było nudne — parsknęła Tally.

— Robienie tego, co należy, zawsze jest nudne. Nie wyobrażam sobie niczego gorszego, niż musieć dobrze się bawić.

— A ja tak — szepnęła Tally. — W ogóle nie móc się bawić.

— Posłuchaj, te dwa miesiące to nasza ostatnia szansa zrobienia czegoś super. Bycia sobą. Gdy się zmienimy, będziemy już tylko nowymi ślicznymi, średnimi ślicznymi, późnymi ślicznymi. — Shay opuściła ręce, jej deska zatrzymała się. — A potem martwymi ślicznymi.

— Lepsze martwe niż brzydkie — przypomniała Tally.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami i ponownie rozłożyła kurtkę. Były już niemal na skraju pasa zieleni. Wkrótce Shay usłyszy ostrzeżenie, a potem deska powiadomi opiekunów.

— Poza tym — upierała się Tally — to, że przejdziemy operację, nie znaczy od razu, że nie będziemy mogli robić fascynujących rzeczy.

— Ale śliczni nigdy ich nie robią, Tally. Nigdy!

Tally westchnęła, przesuwając stopy i podążając za Shay.

— Może dlatego, że mają lepsze zajęcia niż dziecinne zabawy? Może imprezy w mieście są lepsze niż wałęsanie się po starych ruinach?

Oczy Shay rozbłyły.

— A może, kiedy poddają cię operacji, kiedy zgniatają i rozciągają kości, by nabrały właściwego kształtu, modelują twarz, zdierają całą skórę i wtykają plastikowe implanty policzkowe, żebyś wyglądała jak wszyscy, może kiedy przez to wszystko przejdiesz, przestajesz po prostu być kimś ciekawym?

Tally wzdrygnęła się; nigdy dotąd nie słyszała, by ktoś tak opisywał operację. Nawet na zajęciach biolo, podczas omawiania szczegółów, nie brzmiało to tak okropnie.

— Daj spokój, nie wiemy nawet, co się dzieje. Po prostu przez dłuższy czas ma się śliczne sny.

— Tak, jasne.

W głowie Tally odezwał się głos. Uwaga, teren zamknięty, wstęp wzbroniony. Teraz, gdy słońce zaszło, wiatr robił się zimny.

— Chodź, Shay, wracajmy. Już prawie pora kolacji.

Shay uśmiechnęła się i pokręciła głową, po czym zdjęła obrączkę. Teraz nie słyszała już ostrzeżeń.

— Lećmy tam dzisiaj. Umiesz latać prawie tak dobrze jak ja.

— Shay...

— Zrób to ze mną. Pokażę ci kolejkę górską.

— Co to je...

Drugie ostrzeżenie. Teren zamknięty, wstęp wzbroniony.

Tally zatrzymała deskę.

— Jeśli będziesz lecieć dalej, Shay, złapią cię i nigdzie się dziś nie wybierzemy.

Przyjaciółka tylko wzruszyła ramionami. Wiatr niósł ją coraz dalej.

— Chcę ci pokazać moją wersję zabawy, Tally, zanim zrobimy się śliczne i będziemy się bawić tak, jak wolą inni.

Tally pokręciła głową. Chciała powiedzieć, że Shay już nauczyła ją latać na desce i że to najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek poznała. W niecały miesiąc stały się najlepszymi przyjaciółkami, niemal tak jak wtedy, gdy jako maluch spotkała Perisa i natychmiast zrozumieli, że będą razem na zawsze.

— Shay...

— Proszę...

Tally westchnęła.

— Dobra.

Shay opuściła rękę i podkurczyła palce, zatrzymując deskę.

— Naprawdę? Jeszcze dzisiaj?

— Jasne. Lecimy do Rdzawych Ruin.

Tally uspokajała się w duchu. To przecież nic wielkiego, CAły czas łamała zasady. A poza tym wszyscy co roku odwie— dsftli ruiny w ramach szkolnych wycieczek. Nie mogły być niebezpieczne ani nic takiego.

Shay zawróciła i pomknęła ku niej. Gdy dotarła do Tally, objęła ją ramieniem.

— Zaczekaj, aż zobaczysz rzekę.

— Mówiłaś, że tam jest biała woda?

— Tak.

— Co to?

Shay uśmiechnęła się.

— To woda, ale znacznie, znacznie lepsza.

— Dobranoc.

— Słodkich snów — odparł pokój.

Tally włożyła kurtkę, przypięła do pępka czujnik i otworzyła okno. Powietrze trwało w bezruchu, woda w rzece była tak gładka, że dziewczyna dostrzegała odbity w niej każdy szczegół miejskiego pejzażu. Wyglądało na to, że śliczni świętowali. Słyszała dobiegający zza rzeki ryk wielkiego tłumu, tysiąc wiwatów wznoszących się i opadających w zgodnym chórze. Pod niemal okrągłym księżycem — od pełni dzieliło ich zaledwie parę dni — rysowały się ciemne sylwetki wież imprez, a migotliwe błękitne fajerwerki wystrzelały tak wysoko, że eksplodowały bez dźwięku.

Miasto nigdy nie wydawało jej się tak odległe.

— Wkrótce się zobaczymy, Perisie — rzekła w duchu.

Po wieczornym deszczu dachówki zrobiły się śliskie. Tally zsunęła się ostrożnie aż do narożnika, gdzie dachu dotykała stara sykomora. Szybko odszukała jakże znajome uchwyty wśród mocnych gałęzi i opuściła się w mrok za recyklerem.

Wydostawszy się z terenu należącego do domu, spojrzała na siebie. Układ cieni rozchodzących się od budynku wydawał się bardzo korzystny, niemal zaplanowany. Zupełnie jakby opiekunowie chcieli, aby brzydcy wymykali się stąd od czasu do czasu.

Pokręciła głową. Zaczynała myśleć jak Shay.

*

**

Spotkały się przy tamie, gdzie rzeka rozwidlała się, opływając Miasto Nowych Ślicznych. Dziś mroku nie przecinały światła żadnego ślizgolotu i kiedy zjawiała się Tally, Shay ćwiczyła manewry na desce.

— Czy powinnaś to robić tutaj? — zawołała Tally, przekrzykując szum wody płynącej przez wrota tamy.

Shay zatańczyła, przerzucając ciężar z nogi na nogę na szybującej desce i wymijając wyimaginowane przeszkody.

— Po prostu sprawdzam, czy działa, na wypadek gdybyś wciąż się martwiła.

Tally przyjrzała się własnej desce. Shay oszukała system zabezpieczający, tak by nie wydał ich, kiedy będą latać w nocy lub przekroczą granice miasta. Obawiała się nie tego, że deska je zdradzi, tylko czy w ogóle będzie latać albo czy nie pozwoli jej zderzyć się z drzewem. Lecz deska Shay zdawała się unosić jak zwykle.

— Przeleciałam całą drogę, nikt mnie nie ścigał — oznajmiła przyjaciółka.

Tally położyła swą deskę na ziemi.

— Dzięki, że sprawdziłaś. Nie chciałam być mięczakiem.

— Nie byłaś.

— Owszem, byłam. Muszę ci coś powiedzieć. Tamtej nocy, kiedy się poznałyśmy, w pewnym sensie obiecałam mojemu przyjacielowi Perisowi, że nie będę już ryzykować. No wiesz, żeby nie wpaść w kłopoty i żeby się na mnie nie wściekli.

— Kogo to obchodzi? Masz prawie szesnaście lat.

— A co, gdyby wściekli się tak bardzo, że nie zmieniliby mnie w śliczną? Shay przestała podskakiwać.

— Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

— Właściwie ja też nie, ale może po prostu nic nam nie mówią. W każdym razie Peris kazał mi obiecać, że nie będę się narażać.

— Tally, nie myślałaś, że może powiedział tak po to, żebyś go więcej nie odwiedzała?

— Słucham?

— Może kazał ci złożyć obietnicę po to, żebyś więcej nie zwracała mu głowy, żebyś bała się odwiedzać Miasto Nowych Ślicznych?

Tally próbowała coś odpowiedzieć, lecz zaschło jej w gardle.

— Posłuchaj, jeśli nie chcesz lecieć, nie ma sprawy — dodała Shay. — Mówię serio, Zyzolu. Ale nikt nas nie złapie. A jeśli nawet, wezmę winę na siebie. — Roześmiała się. — Powiem im, że cię porwałam.

Tally weszła na deskę i pstryknęła palcami. Gdy wzniosła się na poziom Shay, oznajmiła:

— Lecę z tobą. Powiedziałam przecież.

Przyjaciółka uśmiechnęła się i przez sekundę przytrzymała jej rękę, ściskając mocno.

— Super, to będzie świetna zabawa. Nie w stylu nowych ślicznych, tylko prawdziwa. Załóż to.

— Co to, noktowizor?

— Nie, gogle. Spodoba ci się biała woda.

*

**

W dziesięć minut później dotarli do bystrzyn.

Tally całe dotychczasowe życie przeżyła nad wodą. Rzeka, powolna, dystygowana, była sercem miasta, znaczyła granicę między światami. Nigdy dotąd jednak Tally nie zdawała sobie sprawy, że parę kilometrów w górę stateczny srebrzysty nurt zmienia się w spienionego potwora.

Wzburzona woda rzeczywiście była biała, rozbijała się na skałach, przeciskała wąskimi przesmykami, bryzgała w powietrze, lśniąca w promieniach księżyca, rozdzielała się, zlewała i opadała w spienione wiry u stóp stromych katarakt.

Shay szybowiała tuż nad powierzchnią, tak nisko, że przy każdym zwrocie wzbudzała fale. Tally podążała za nią w bezpiecznej — jak miała nadzieję — odległości, licząc na to, że oszukana deska nie zechce roztrzaskać się na okrytych zasłoną ciemności skałach i gałęziach drzew. Las po obu stronach był niczym czarna otchłań, pełna nieposkromionych, pradawnych drzew, zupełnie nieprzypominających sztamponowych pochłaniaczy dwutlenku węgla, zdobiących miasto. Chmury nad ich głowami lśniły między gałęziami; w blasku księżyca przypominały perłowe sklepienie.

Za każdym razem gdy Shay krzyczała, Tally wiedziała, że za moment pograży się w ścianie piany bryzgającej z wiru. Niektóre wiry jaśniały w srebrzystym świetle niczym białe koronkowe firanki, inne zaś atakowały niespodziewanie z ciemności. Co chwila też przelatywała przez rozbryzgi zimnej wody, wyrzucane przez deskę Shay podczas kolejnych zwrotów. Przynajmniej jednak informowały ją, kiedy ma skręcić.

Przez pierwszych parę minut czuła jedynie grozę, zęby zaciskały się tak mocno, że bolała ją szczęka. Palce w nowych, antypoślizgowych butach podkurczały się; dłonie rozkładała szeroko, by utrzymać równowagę. Stopniowo jednak przywykła do ciemności, ryku rzeki w dole, nagłych uderzeń zimnego wodnego pyłu na twarzy. To było coś nowego, szalonego. Dotarła dalej niż kiedykolwiek wcześniej. Rzeka wiła się w mrocznym lesie, rwąc w nieznaną dal.

W końcu Shay zamachała rękami i wyhamowała. Tył jej deski zanurzył się w wodzie. Tally poderwała się szybko, by uniknąć fali, zatoczyła ciasny krąg i zatrzymała się gładko.

— Jesteśmy na miejscu?

— Jeszcze nie, ale popatrz! — Przyjaciółka wskazała ręką w stronę, z której przybyły.

Tally spojrzała i aż się zachłysnęła. Odległe miasto było niczym jasna moneta połyskująca w ciemności. Ognie sztuczne z Miasta Nowych Ślicznych migotały słabo na niebie. Tally widziała plamy księżycowego światła przesuwane powoli po niskich wzgórzach wokół miasta, niesione słabym wiatrem, który ledwie poruszał chmurami.

Nigdy nie była w nocy poza miastem i nigdy nie widziała go z daleka tak rozświetlonego.

Ściągnęła opryskane wodą gogle i odetchnęła głęboko. W powietrzu unosiła się cała gama ostrych zapachów — aromat żywicy iglastych drzew i dzikich kwiatów, elektryzująca Woń wzburzonej wody.

— Fajnie, co?

— Owszem — wy dyszała Tally. — To znacznie lepsze niż skra — danie się po Mieście Nowych Ślicznych.

Shay uśmiechnęła się radośnie.

— Naprawdę się cieszę, że tak sądzisz. Tak bardzo chciałam tu wrócić, ale nie sama, wiesz?

Tally rozejrzała się po otaczającym je lesie, próbując przeniknąć wzrokiem zalegający między pniami mrok. To była prawdziwa głusza, z dala od ludzkich siedzib, w której mogło kryć się wszystko. Zadrzała na myśl, że mogłaby znaleźć się tu sama.

— Dokąd teraz?

— Teraz pójdziemy pieszo.

— Pieszo?

Shay podleciała do brzegu i zeszła z deski.

— Tak, pół kilometra dalej w tę stronę pod ziemią jest złożę żelaza, ale wcześniej nic.

— O czym ty mówisz?

— Tally, deskolotki unoszą się tylko w polu magnetycznym, w pobliżu zatem musi być metal, inaczej nie mogą działać.

— No, chyba tak. Ale w mieście...

— W mieście w ziemi ułożono sieć stalowych prętów. Są wszędzie. Tutaj trzeba bardzo uważać.

— Co się dzieje, kiedy pole nagle znika?

— Deska wtedy spada, a bransolety bezpieczeństwa przestają działać.

— Ach!

Tally zeszła z deski i wzięła ją pod pachę. Po szaleńczej jeździe bolały ją wszystkie mięśnie. Dobrze było znaleźć się na twardej ziemi. Kamienie pod jej uginającymi się nogami stanowiły na szczęście całkowite przeciwieństwo chwiejnej, niestabilnej deski.

Po paru minutach jednak deska zaczęła jej ciążyć. Nim jeszcze szum wody zamienił się w niewyraźny pomruk za plecami, Tally miała wrażenie, że taszczy kawał dębowego kłoca.

— Nie wiedziałam, że one aż tyle ważą.

— No tak, tyle waży deska, kiedy nie lata. Tu, w głuszy, szybko się przekonasz, że miasto oszukuje cię co do prawdziwej natury rzeczy.

Niebo coraz bardziej się chmurzyło, w ciemności chłód wydawał się wyjątkowo przenikliwy. Tally podniosła wyżej deskę, chwytając ją mocno. Zastanawiała się, czy będzie padać. I tak była już mokra po locie nad bystrzynami.

— Chyba lubię, jak się mnie oszukuje co do pewnych rzeczy.

*

**

Po długiej wędrówce wśród skał Shay przerwała milczenie.

— Tędy pod ziemią biegnie naturalna żyła żelaza. Powinnaś to poczuć w swoich bransoletach.

Tally zmarszczyła brwi, nie do końca przekonana. Lecz kolejnej minucie poczuła lekkie szarpnięcie, jakby duch

Chwycił i pociągnął bransoletę. Deski stawały się coraz lżejsze i wkrótce dziewczyny znów na nie wskoczyły i pofrunęły nad skalną krawędzią, dalej w głąb mrocznej doliny.

Znalazłszy się na desce, Tally odetchnęła głęboko i zadali pytanie, które nie dawało jej spokoju.

— Skoro deski do latania potrzebują metalu, to jak to robią nad rzeką?

— Szukają złota.

— Słucham?

— Rzeki wypływają ze źródeł tryskających z głębi gór. Woda wypłukuje z wnętrza ziemi minerały i metale, które osiadają na dnie rzek.

— Jasne, słyszałam o ludziach, którzy przecedzali strumienie sitami, szukając złota.

— Właśnie tak, tyle że deski wolą żelazo. Nie wszystko, co się świeci, nadaje się do latania.

Tally zmarszczyła brwi. Czasami Shay używała dziwnych sformułowań, jakby cytowała teksty zespołu, którego już nikt nie słucha. Miała zadać pytanie, gdy jej towarzyszka zatrzymała się nagle i wskazała w dół.

Chmury rozsunały się, pomiędzy nich wylała się fala księżycowego blasku i oświetliła dno doliny. Wyrastały z niego masywne wieże rzucające poszarpane cienie. Ich sztuczne kształty kontrastowały wyraźnie z równiną rozkołysanych drzew.

— Rdzawe Ruiny.

Ze szkieletów gigantycznych budynków spoglądało na nie w milczeniu kilka pustych okien. Szyby już dawno wypadły, drewno przegniło i pozostała jedynie metalowa konstrukcja, cement i kamień, kruszące się pod naporem ekspansywnej roślinności.

Patrząc na puste, czarne otwory drzwi, Tally poczuła dreszcz na myśl, że mogłaby polecieć w dół i zajrzeć przez nie do środka.

Przyjaciółki przemykały pomiędzy zrujnowanymi budowlami, lecąc wysoko, w milczeniu, by nie zakłócać snu duchów martwego miasta. Pod nimi na ulicach leżały spalone wraki samochodów stłoczone pomiędzy wyniosłymi ścianami. Cokolwiek zniszczyło to miasto, ludzie próbowali przed tym uciec. Tally przypomniawszy sobie z ostatniej szkolnej wycieczki, że te wozy nie potrafiły latać, toczyły się na gumowych kołach. Rdzawcy tkwili na ulicach niczym stado szczurów uwieczonych w płonącym labiryncie.

— Hej, Shay, jesteś całkiem pewna, że nasze deski nagle nie wysiądą?

— Nie martw się, ktokolwiek zbudował to miasto, uwielbiał marnować metal. Nie nazywają tych ruin rdzawymi wyłącznie z powodu koloru.

Tally musiała się zgodzić. Ze strzaskanych ścian wszystkich budynków sterczały ostre metalowe pręty, podobne do kości dawno padłego zwierzęcia. Przypomniawszy sobie, że Rdzawcy nie używali lotociągów; wszystkie budynki były prymitywne, przysadziste i masywne i potrzebowały stalowego szkieletu, by nie runąć.

A niektóre z nich były takie wielkie! Rdzawcy nie ukrywali swych fabryk pod ziemią i wszyscy pracowali razem niczym pszczoły w ulu, zamiast w zaciszu własnych domów. Najmniejsza z tutejszych ruin i tak była większa niż najpotężniejszy grupowy dom w Brzydalowie, większa nawet niż apartamentowiec Garbo.

Kiedy patrzyła na nie teraz, w nocy, ruiny wydały jej się nagle znacznie bardziej rzeczywiste. Podczas szkolnych wycieczek nauczyciele zawsze mówili o Rdzawcach jak o ludziach niezwykle głupich. Trudno było uwierzyć, że mogli tak żyć, palić drzewa, by oczyścić ziemię, palić olej dla uzyskania ciepła i energii, podpalać atmosferę swą bronią. Lecz teraz, w blasku księżyca, wyobraziła sobie ludzi przeciskających się między płonącymi samochodami w poszukiwaniu sposobu ucieczki z walącego się miasta, umykających w panice z tego nieprzyjaznego stosu metalu i kamienia.

— Chodź, chcę ci coś pokazać — odezwała się Shay.

Poleciała na skraj budynków i dalej nad drzewami.

— Jesteś pewna, że możemy...

— Spójrz w dół.

Między drzewami coś błyszczało.

— Ruiny są znacznie większe, niż nam mówili — wyjaśniła Shay. — Zachowali tylko część miasta. Organizują tu wycieczki, spotkania muzealne. Ale miasto ciągnie się bez końca.

— Mnóstwo metalu?

— Tak, całe tony. Nie martw się, latałam tu wszędzie.

Tally przełknęła ślinę, wypatrując śladów ruin w dole. Bardzo się cieszyła, że Shay porusza się z bezpieczną, umiarkowaną prędkością.

*

**

Z lasu wyłonił się dziwny kształt, długa, szkieletowa konstrukcja, która wznosiła się i opadała niczym zamarznęta fala i biegła dalej w ciemność.

— No, jest.

— Dobra, jest. Ale co? — spytała Tally.

— Nazywali to kolejką górską. Pamiętasz, obiecywałam, że ci ją pokażę?

— Ładna. Ale do czego służy?

— Do zabawy.

— Nie gadaj.

— Właśnie, że tak. Najwyraźniej Rdzawcy też się czasem bawili. To coś jak tory, przyczepiali do nich swoje wozy i jechali jak najszybciej w górę, w dół, dookoła. Jak lot na desie, tyle że bez lotu. I zbudowali ją ze stali, która nie rdzewieje, pewnie dla bezpieczeństwa.

Tally zmarszczyła brwi. Zawsze wyobrażała sobie Rdzawców pracujących w olbrzymich, kamiennych ulach i usiłujących uciec owego ostatniego, straszliwego dnia.

— Zróbmy to — zaproponowała Shay. — Przejedźmy się kolejką.

— Jak?

— Na desce. — Shay odwróciła się do Tally i dodała z powagą: — Ale musisz poruszać się szybko, w przeciwnym razie to niebezpieczne.

— Dlaczego?

— Sama zobaczysz.

Shay odwróciła się i pomknęła w dół tuż nad torami. Tally westchnęła i pochylając się, popędziła za nią. Przynajmniej tory zbudowano z metalu.

Zabawa okazała się przednia. Tor przypominał trasę do lotów, tyle że materialną. Takie same ostre, nachylone pod dużym kątem zakręty, gwałtowne wzniesienia, a po nich długie spadki. A nawet pętle, podczas których Tally przez moment wisiała głową do dołu, a jej bransolety włączały się, by utrzymać ją na

desce. Zdumiewające, że kolejka przetrwała w tak dobrym stanie. Rdzawcy musieli ją zbudować z wyjątkowego materiału, tak jak mówiła Shay.

Tor wznosił się znacznie wyżej, niż potrafiła deska. Frunąc nad nim, Tally naprawdę czuła się jak ptak.

Po pewnym czasie tor skręcił szerokim, łagodnym łukiem, zawracając w stronę punktu wyjścia. Ostatnie podejście zaczynało się ostrą wspinaczką.

— Teraz musisz przyspieszyć! — zawołała Shay przez ramię, pędząc naprzód.

Tally podążyła za nią z największą szybkością, mknąc nad wąską konstrukcją. W dali widziała ruiny: połamane czarne iglice na tle drzew, a za nimi jaśniejszy migotliwy pas — czyżby morze? Naprawdę musiały być wysoko.

Dotarwszy na szczyt, usłyszała okrzyk radości. Shay zniknęła. Tally pochyliła się do przodu, jeszcze przyspieszając.

Nagle deska uciekła spod jej stóp, pozostawiając Tally w powietrzu. Torów w dole nie było.

Zacisnęła pięści, czekając, aż włączą się bransolety i uniosą ją za przeguby. Przekonała się jednak, iż są równie bezużyteczne jak deska — dwa zwykłe kręgi metalu ciągnące ją w dół ku ziemi.

— Shay! — wrzasnęła, spadając w ciemność.

I wtedy ujrzała przed sobą szkielet kolejki górskiej. Brakowało tylko krótkiego odcinka.

Nagle bransolety pociągnęły ją w górę i poczuła pod stopami twardą powierzchnię deski. Siła rozpędu przeniosła ją na drugą stronę. Przez tych kilka sekund bezwładnego spadania deska musiała lecieć tuż pod jej nogami.

Poczuła, że frunie dalej wzdłuż torów. Na dole czekała na nią Shay.

— Zwariowałaś?

— Niezłe, co?

— Nie! — wrzasnęła Tally. — Czemu mnie nie uprzedziłaś, że tor jest pęknięty?

Shay wzruszyła ramionami.

— Bo to lepsza zabawa.

— Lepsza zabawa? — Serce waliło jej w piersi, postrzegając wszystko niezwykle wyraźnie, przepelniały ją gniew, ulga i... radość. — No dobra, może trochę. Ale i tak jesteś głupia!

Tally zeskoczyła z deski i ruszyła po trawie na drżących nogach. Znalazła kawał kamienia dość duży, by na nim usiąść, i opadła na niego, roztrzęsiona.

Shay także zeskoczyła z deski.

— Hej, przepraszam.

— To było straszne, Shay. Spadałam.

— Ale niezbyt długo, najwyżej pięć sekund. Zdawało mi się, że wspominałaś o skoku z dachu budynku.

Tally posłała jej niechętnie spojrzenie.

— Owszem, ale wiedziałam, że się nie rozbiję.

— Fakt. Tylko że i ten, kto pokazał mi kolejkę górską, też nie uprzedził mnie o dziurze. Uznałam, że to fajne odkryć ją w taki sposób. Pierwszy raz jest najlepszy. Chciałam, żebyś

też to poczuła.

— Uważasz, że spadanie jest fajne?

— No, może z początku trochę się wkurzyłam. Zdecydowanie. — Shay uśmiechnęła się szeroko. — Ale mi przeszło.

— Daj mi parę sekund, dobrze?

— Nie spiesz się.

Oddech Tally uspokoił się, serce stopniowo zaprzestało prób wyrwania się z piersi. Lecz umysł pozostał czysty, jak podczas tych kilku sekund bezwładnego spadania, i odkryła, że zastanawia się, kto pierwszy natrafił na tę kolejkę górską i jak wielu brzydkich odwiedziło ją od tego czasu.

— Shay, kto ci to wszystko pokazał?

— Przyjaciele, starsi ode mnie. Brzydcy jak my, próbujący odkryć, w jaki sposób działają różne rzeczy. I jak je oszukać.

Tally powiodła wzrokiem po starodawnej, węzowej konstrukcji kolejki. Po metalowym szkielecie wspinały się pędy roślin.

— Zastanawiam się, od jak dawna przychodzą tu brzydcy.

— Pewnie od bardzo dawna. Ludzie przekazują sobie informacje, no wiesz: jedna osoba wymyśla, jak oszukać deskę, druga znajduje bystrzyny, trzecia dociera do ruin.

— A potem ktoś zbiera się na odwagę i przeskakuje przez dziurę w kolejce — Tally przełknęła ślinę. — Albo robi to przypadkiem.

Shay przytaknęła.

— Ale w końcu wszyscy stali się ślicznymi.

— Szczęśliwe zakończenie — dodała Tally. Jej przyjaciółka wzruszyła ramionami. — Skąd w ogóle wiesz, że to się nazywa kolejka górską? Sprawdziłaś to gdzieś?

— Nie, ktoś mi powiedział.

— A skąd on wiedział?

— Ten gość wie bardzo dużo o różnych numerach, o tych ruinach. Jest naprawdę super.

Coś w głosie Shay sprawiło, że Tally odwróciła się i ucisnęła jej rękę.

— Ale domyślałam się, że teraz jest śliczny?

Shay cofnęła się i zaczęła obgryzać paznokcieć.

— Nie, nie jest.

— Bo myślałam, że wszyscy twoi przyjaciele...

— Tally, obiecasz mi coś, tak naprawdę?

— Jasne. Co takiego?

— Nigdy nikomu nie powiesz o tym, co ci pokażę.

— Ale bez żadnych upadków.

— Zgoda.

— Dobra, przysięgam. — Tally uniosła dłoń z blizną, którą zrobili razem z Perisem. — Nigdy nikomu nie powiem.

Shay przez chwilę patrzyła jej w oczy, jakby próbując przez nie przeniknąć wzrokiem, w końcu skinęła głową.

— W porządku. Chcę, żebyś kogoś poznała, dziś w nocy.

— Dziś w nocy? Ale przecież nie wrócimy do miasta przed...

— Jego nie ma w mieście. — Shay uśmiechnęła się. — Jest tutaj.

CZEKAJĄC NA DAVIDA

— To jakiś żart, prawda?

Shay nie odpowiedziała. Znajdowały się z powrotem w sercu ruin, w cieniu najwyższego budynku w okolicy. Przyglądała mu się z zamyśloną miną.

— Chyba pamiętam, jak to zrobić — rzekła.

— Ale co?

— Dostać się na górę. Tak, to tędy.

Posłała deskę naprzód, po czym schylając głowę, przemknęła przez otwór w wałacej się ścianie.

— Shay?

— Nie martw się, już to robiłam.

— Przeszłam już dziś inicjację — zaprotestowała Tally.

Nie była w nastroju na kolejny dowcip przyjaciółki. Czuła ogromne zmęczenie, a czekała je jeszcze długa droga do miasta, jutro zaś przypadała jej kolej na sprzątanie wspólnego domu. Owszem, było lato, nie znaczyło to jednak, że może spać cały dzień.

Mimo wszystko podążyła za Shay przez otwór w ścianie. Dyskusja zapewne zabrałaby więcej czasu.

Wzleciały pionowo w powietrze. Deski wykorzystały do tego metalowy szkielet budynku. Czuła się niesamowicie, tu w środku, wyglądając przez puste okna na ostre sylwetki otaczających je budowli — zupełnie jak duch Rdzawca patrzący, jak jego miasto z upływem stuleci wali się w gruzy.

Budynek nie miał dachu i gdy dotarli na górę, wokół nich roztoczył się niewiarygodny widok. Chmury niemal już zniknęły i w blasku księżyca ruiny rysowały się ostro na tle drzew, niczym rzędy połamanych zębów. Tally przekonała się, że z kolejki rzeczywiście widać ocean. Stąd, z góry, woda błyszczała w świetle księżyca niczym wąskie pasemko srebra.

Shay wyciągnęła coś z plecaczka i rozdarła na pół.

Świat stanął w płomieniach.

— Au, musisz mnie jeszcze oślepić? — krzyknęła Tally, zasłaniając oczy.

— A, tak, przepraszam.

Shay odsunęła zimny ogień na odległość wyciągniętej ręki, pozwalając, by zapłonął pełną mocą pośród milczących ruin, rzucając wokół roztańczone cienie. W jego blasku twarz dziewczyny wyglądała potwornie. Iskierki opadały niczym deszcz, gasnąc gdzieś w głębinach zrujnowanego budynku.

W końcu ogień zgasł. Tally zamrugła, próbując pozbyć się migających jej przed oczami plamek. Po nagłym rozbłysku oślepienie oczy dostrzegały tylko księżyc na niebie.

Przełknęła ślinę, pojmując nagle, że ogień był z pewnością widoczny dla każdego, kto znalazłby się teraz w dolinie, a może nawet dalej, na morzu.

— Shay, czy to był sygnał?

— Owszem.

Spojrzała w dół. Wśród ciemnych budynków w dole połyskiwały iskierki światła, widmo rozbłysków utrwalaonych w jej oczach. Nagle świadoma tego, jak bardzo stała się ślepa, poczuła strużkę zimnego potu spływającą po plecach.

— Z kim się właściwie spotkamy?

— Nazywa się David.

— David? Dziwne imię — Tally uznała, że przyjaciółka je sobie wymyśliła i że to z pewnością żart. — I zjawi się tu, tak po prostu? Bo chyba nie mieszka w ruinach, prawda?

— Nie, mieszka daleko stąd. Ale może akurat jest blisko. Czasami się tu pojawia.

— Chcesz powiedzieć, że jest z innego miasta?

Shay spojrzała na nią, lecz Tally nie była w stanie odczytać w ciemności wyrazu jej twarzy.

— Coś w tym stylu.

Ponownie odwróciła wzrok i zapatrzyła się w horyzont, jak gdyby czekała na jakiś sygnał. Tally owinęła się mocniej kurtką. Gdy tak stała bez ruchu, poczuła, jak zrobiło się zimno. Zastanawiała się, która jest godzina; bez obrączki interfejsowej nie mogła tego sprawdzić.

Niemal okrągła tarcza księżycy obniżała się na niebie, toteż musiała już minąć północ. Przynajmniej tyle pamiętała z astronomii. Trzeba przyznać, że pobyt poza miastem sprawiał, iż wszystkie szkolne wiadomości z przyrody nagle wydawały się dużo bardziej przyteczne. Pamiętała też, że woda spada z deszczem na góry i wsiąka w ziemię, po czym wypływa wzbogacona w minerały. Następnie spływa z powrotem do morza, przez stulecia żłobiąc w ziemi rzeki i kaniony. Gdyby Tally tu mieszkała, mogłaby latać na desce wzdłuż rzek, jak w bardzo dawnych czasach, przed Rdzawcami, gdy mniej szaleni Przedrdzawcy podróżowali w niewielkich łódkach zrobionych z drzew.

*

**

Powoli jej oczy znów przyzwyczajały się do ciemności. Powiodła wokół wzrokiem. Czy ujrzy w mroku kolejny rozbłysk odpowiadający na sygnał Shay? Miała nadzieję, że

nie. Nigdy nie poznała nikogo spoza miasta. Ze szkoły wiedziała, że mieszkańcy niektórych miast posługiwali się innymi językami albo przechodzili operacje dopiero w wieku osiemnastu lat. Mieli też inne dziwaczne zwyczaje.

— Shay, może powinniśmy już wracać do domu?

— Zaczekajmy jeszcze chwilkę.

Tally przygryzła wargę.

— Posłuchaj, może tego Davida akurat dziś nie ma?

— Możliwe. Pewnie tak. Ale miałam nadzieję, że tu będzie. — Odwróciła się i spojrzała na Tally. — Byłoby super, gdybyś go poznała. On jest... inny.

— Na to wygląda.

— Ja tego nie wymyśliłam, poważnie.

— Hej, wierzę ci! — rzuciła Tally, chociaż jeśli chodziło o Shay, nigdy nie miała pewności.

Shay odwróciła się i rozejrzała, ponownie obgryzając paznokiec.

— No dobra, chyba go nie ma. Wracajmy, jeśli chcesz.

— Po prostu jest bardzo późno i czeka nas długa droga, a jutro mam sprzątanie.

Shay kiwnęła głową.

— Ja też.

— Dzięki, że pokazałaś mi to wszystko. Jest naprawdę niewiarygodne, ale myślę, że jeszcze jedna superrzecz mogłaby mnie zabić.

Przyjaciółka roześmiała się.

— Kolejka górską cię nie zabiła.

— O mały włos.

— Wybaczyłaś mi już?

— Dam ci znać, Chudzino.

— W porządku — odparła ze śmiechem Shay. — Ale pamiętaj, nie mów nikomu o Davidzie.

— Hej, obiecałam przecież. Możesz mi zaufać. Serio.

— W porządku, ufam ci, Tally.

Shay ugięła kolana i jej deska zaczęła się obniżać.

Tally rozejrzała się wokół jeszcze raz, omiatając wzrokiem ciemne ruiny, mroczny las, perłowe pasmo rzeki ciągnące się ku połyskliwemu morzu. Zastanawiała się, czy naprawdę ktoś tam jest. A może David to jedynie historyjka, którą wymyślili brzydycy, by straszyć się nawzajem?

Tyle że Shay nie sprawiała wrażenia wystraszonej. Z wyraźnym zawodem stwierdziła, iż nikt nie odpowiedział na jej sygnał, jakby spotkanie z Davidem miało być jeszcze lepsze niż oglądanie bystrzyn, ruin i kolejki górskiej.

Nieważne, czy David istnieje, czy nie, uznała Tally. Dla Shay był aż nadto realny.

*

**

Wyleciały przez dziurę w murze, przemknęły przez ruiny i podążyły wzdłuż złoza żelaza poza dolinę. Na jej skraju deski zaczęły się chwiać i obie zsiadły. Mimo potwornego zmęczenia tym razem Tally nie uznała niesienia deski za coś dziwnego. Przestała o niej myśleć jak o zabawce, baloniku malucha. Deskolotka stała się czymś solidniejszym, czymś, co stosuje się do własnych reguł i co może być niebezpieczne.

Uznała, że co do jednego Shay ma rację: ciągłe przebywanie w mieście sprawiało, że w pewnym sensie wszystko stawało się nierzeczywiste. Jak budynki i mosty wsparte na łożach — tociągach albo skok z dachu w kamizelce bungee. Tam nic nie było do końca prawdziwe. Cieszyła się, że Shay zabrała ją do ruin. Pozostawione przez Rdzawców rumowisko świadczyło choćby o tym, że jeśli ludzie nie zachowają ostrożności, coś może pójść okropnie nie tak.

W pobliżu rzeki deski znów stały się lżejsze i dziewczyny z ulgą na nie wsiadły. Shay jęknęła, wzlatując w powietrze.

— Nie wiem jak ty, ale ja nie zamierzam już dziś postawić ani jednego kroku.

— Bez dwóch zdań.

Przyjaciółka pochyliła się do przodu i skierowała deskę nad rzekę, owijając się ciasniej kurtką dla ochrony przed pianą z bystrzyn. Tally odwróciła się i jeszcze raz spojrzała za siebie. Chmury odpłynęły i nawet z tego miejsca widziała ruiny.

Zamrugnęła; miała wrażenie, jakby w miejscu, w którym stała kolejka górską, dostrzegła słabutki błysk. Może to tylko złudzenie, odbicie światła księżyca od odsłoniętego kawałka metalu.

— Shay? — zagadnęła cicho.

— Idziesz czy nie? — zawołała Shay, usiłując przekrzyczeć ryk rzeki.

Tally znów zamrugnęła, nie zauważyła jednak nic więcej. Poza tym i tak były za daleko. Gdyby teraz wspomniała o tym Shay, ta zechciałaby wrócić. Nie ma mowy, aby jeszcze raz zdołały pokonać tę trasę.

A poza tym to pewnie nic takiego.

Odetchnęła głęboko.

— Ruszaj, Chudzino, ścigamy się! — krzyknęła i skierowała deskę nad wodę, wpadając w zimną pianę i przez moment pozostawiając z tyłu roześmianą Shay.

— Spójrz na nich, co za sieroty.

— Czy my też tak kiedyś wyglądałyśmy?

— Pewnie tak, ale to, że same byłyśmy sierotami, nie zmienia faktu, iż oni też nimi są.

Tally przytaknęła, próbując sobie przypomnieć czasy, gdy miała dwanaście lat, i to, jak wyglądał wspólny dom, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Pamiętała, że wydał jej się straszny i przytłaczający, znacznie większy niż dom Sola i Ellie, większy od chat, w których uczyły się maluchy, dziesięcioosobowe grupki i w każdej jeden nauczyciel.

Teraz wspólny dom zdawał jej się mały i klaustrofobiczny— fkle ciasny, właśnie dziecinny ze swymi jaskrawymi barwami i wyściełanymi schodami; strasznie nudny za dnia i zachęcający do nocnych eskapad.

Nowi brzydzy tłoczyli się razem, zbici w ciasną gromadkę* obawiając się odejść za daleko od przewodnika. Ich małe, brzydkie twarzyczki wpatrywały się w czteropiętrowy gmach OCKami pełnymi zachwyty i grozy jednocześnie.

Shay cofnęła wystawioną za okno głowę.

— To będzie świetny numer.

— Tej orientacji nigdy nie zapomną.

Do końca lata pozostały dwa tygodnie. Przez ostatni rok liczba mieszkańców domu Tally nieustannie malała, gdy kolejni seniorzy kończyli szesnaście lat. Czas, by ich miejsce zajęła nowa partia. Patrzyła, jak ostatni nowi wchodzą do środka, niezgrabni i zdenerwowani, sztywni i zagubieni. Dwanaście lat to punkt przełomowy, wówczas człowiek ze słodkiego malucha zamienia się w przerośniętego, niedouczonego brzydkiego.

Cieszyła się, że wkrótce zostawi za sobą ten etap życia.

— Jesteś pewna, że to zadziała? — spytała Shay.

Tally uśmiechnęła się. Nieczęsto Shay bywała bardziej ostrożna z nich dwóch. Wskazała kołnierz kamizelki bungee.

— Widzisz to zielone światełko? Oznacza, że kamizelka jest sprawna. Używa się jej w sytuacjach alarmowych, więc zawsze musi być gotowa.

Shay wsunęła dłoń pod kamizelkę i pociągnęła czujnik na brzuchu. Zwykle robiła tak, gdy się denerwowała.

— A jeśli zorientuje się, że nie ma żadnego alarmu?

— Nie jest aż tak mądra. Spadasz, a ona cię łapie. Nie potrzeba żadnych sztuczek.

Przyjaciółka wzruszyła ramionami i wciągnęła kamizelkę.

Wypożyczyły ją ze szkoły teatralnej, najwyższego budynku w wiosce brzydkich. Leżała w magazynku w piwnicy i nie musiały nawet oszukiwać stojaka. Tally zdecydowanie nie miała ochoty dać się przyłapać na majstrowaniu przy alarmach przeciwpożarowych. A gdyby opiekunowie skojarzyli ją z pewnym incydentem w Mieście Nowych Ślicznych na początku lata? Shay włożyła na kamizelkę luźny blezer. Był w barwach jej domu, a żaden z tutejszych nauczycieli nie znał jej twarzy.

— Jak wyglądam?

— Jakbyś przybrała na wadze. Pasuje ci.

Shay skrzywiła się lekko. Nie znosiła, kiedy nazywano ją Patyczakiem czy Świńskim Okiem ani żadnym z przydomków nadawanych sobie przez brzydkich. Czasami twierdziła, że nie obchodzi jej, czy kiedykolwiek przejdzie operację. Oczywiście tylko tak gadała. Owszem, Shay nie była paskudna, ale też z całą pewnością nie należała do grona urodzonych ślicznych. Ostatecznie w całych dziejach ludzkości naliczono ich zaledwie dziesięcioro.

— Może ty chcesz skoczyć, Zyzolu?

— Już to zrobiłam, Shay, nim się poznałyśmy. A poza tym to ty wpadłaś na ten wspaniały pomysł.

Przyjaciółka rozpromieniła się.

— Jest wspaniały, prawda?

— Nie połapią się nawet, co na nich spadło.

*

**

Zaczekały, aż wszyscy nowi brzydacy przejdą do biblioteki i rozsiądą się przy biurkach, by obejrzeć film szkoleniowy. Shay i Tally leżały na brzuchach na górnym poziomie regałów, gdzie przechowywano stare, zakurzone papierowe książki. Zerkały przez poręcz w dół na dzieci, czekając, aż przewodnik uciszy rozszechbioną grupę.

— To niemal zbyt łatwe. — Shay narysowała sobie kredką nowe, grube, czarne brwi.

— Dla ciebie. Znikniesz za drzwiami, nim ktokolwiek połapie się, co się stało. Ja muszę zbiec po schodach.

— I co z tego, Tally? Jeśli nawet nas złapią, co niby nam zrobią?

— Faktycznie. — Tally wzruszyła ramionami.

Ale i tak włożyła szarobrązową perukę.

W miarę jak ostatni seniorzy kończyli szesnaście lat i zmieniali się w ślicznych, numery stawały się coraz śmielsze, lecz nikogo nie karano, i Tally miała wrażenie, że złożyła swą obietnicę Perisowi wieki temu. Zresztą gdy sama stanie się śliczna,

wszystko, co zrobiła przez ostatni miesiąc, straci znaczenie. Nie mogła się już doczekać chwili, gdy zostawi to obecne życie za sobą. Ale najpierw wielki finał.

Myśląc o Perisie nałożyła wielki, plastikowy nos. Poprzedniej nocy dokonały najazdu na siedzibę kółka teatralnego w domu Shay i zapewniły sobie mnóstwo przebrań.

— Gotowa? — spytała i zachichotała, słysząc nosowe brzmienie własnego głosu.

— Chwileczkę! — Shay chwyciła z półki wielką, grubą książkę. — No dobra, zaczynamy!

Wstały.

— Oddawaj zaraz tę książkę! — krzyknęła Tally do Shay. — Jest moja.

Usłyszała, jak brzydycy na dole milkną, i z trudem oparła się pokusie zerknięcia na ich skupione twarze.

— Nie ma mowy, świński ryju, pierwsza ją wypożyczyłam.

— Żartujesz, grubasko? Nie umiesz nawet czytać.

— Ach tak? Przeczytaj to!

Shay zamachnęła się książką na Tally, która uskokczyła, Wyrwała tom przyjaciółce i uderzyła na oślep, mocno trafiając Shay w uniesione przedramiona. Jej towarzyszka zachwiała się i przeleciała przez poręcz.

Tally pochylała się, patrząc z podziwem, jak Shay leci na górny poziom biblioteki trzy piętra niżej. Nowi brzydycy Wrzasnęli unisono i rozbiegli się, umykając przed pędzącym ku nim ciałem.

W sekundę później zadziałała kamizelka bungee i Shay odbiwszy się, wzleciała w powietrze, śmiejąc się szaleńczo. Tally odczekała chwilę, patrząc, jak zdziwienie nowych zamienia się w przerażenie. Shay odbiła się jeszcze raz, chwyciła się jednego ze stołów i skierowała do drzwi.

Tally odrzuciła książkę i pomknęła ku schodom, przeskakując po kilka stopni naraz. Chwilę potem dotarła do tylnego wyjścia.

*

**

— Och, to było świetne!

— Widziałaś ich twarze?

— Szczerze mówiąc, nie — przyznała Shay. — Byłam zajęta obserwowaniem zbliżającej się podłogi.

— Tak, pamiętam to ze skoku z dachu. Przykuwa uwagę człowieka.

— A skoro już mowa o twarzy, fajny nos.

Tally zachichotała i ściągnęła go.

— Racja, nie ma sensu udawać jeszcze brzydszej niż zwykle.

Shay zachmurzyła się, starła ręką brwi i spojrzała ostro na przyjaciółkę.

— Nie jesteś brzydka.

— Daj spokój, Shay.

— Mówię serio! — Wyciągnęła rękę i dotknęła prawdziwego nosa Tally. — Masz piękny profil.

— Och, przestań. Ja jestem brzydka, ty jesteś brzydka i potrwa to jeszcze dwa tygodnie. To nic takiego. — Tally zaśmiała się. — Ty na przykład masz jedną wielgachną brew i jedną malutką.

Shay odwróciła wzrok, w milczeniu pozbywając się reszty kostiumu.

Ukryły się w przebieralni obok piaszczystej plaży. Zostawiły tam obrączki interfejsowe i zapasowe ubrania. Gdyby ktoś spytał, miały twierdzić, że cały czas pływały. Pływanie było świetnym wytłumaczeniem — woda ukrywała sygnaturę ciepłą ciała, pływak musiał się przebrać i mógł spokojnie zostawić na brzegu obrączkę. Rzeka zmywała wszystkie grzechy.

W minutę później z pluskiem wpadły do wody, posyłając na dno przebrania. Kamizelka bungee miała w nocy trafić z powrotem do piwnicy.

— Mówię serio, Tally — oznajmiła Shay, kiedy wyszły na brzeg. — Twój nos wcale nie jest brzydki i masz ładne oczy.

— Oczy? Oszalałaś chyba. Są stanowczo za blisko osadzone.

— Kto tak twierdzi?

— Biologia.

Shay ochlapała ją wodą.

— Nie wierzysz chyba w te wszystkie bzdury, że istnieje tylko jeden wzorzec wyglądu i wszyscy są zaprogramowani tak, by się nim zachwycać?

— To nie kwestia wiary, Shay, po prostu tak jest. Widziałas przecież ślicznych. Wyglądają... cudownie.

— Wszyscy wyglądają tak samo.

— Kiedyś też tak myślałam. Ale kiedy przekradaliśmy się l Perisem do miasta, widzieliśmy ich mnóstwo i po jakimś czasie zorientowaliśmy się, że różnią się od siebie. Wyglądają jak wcześniej, tyle że różnice są dużo bardziej subtelne, bo nie są paskudami.

— My nie jesteśmy paskudami, Tally. Jesteśmy normalne, może nie superpiękne, ale przynajmniej nie przypominamy wypindrzonych lalek Barbie.

— Jakich lalek?

Shay odwróciła wzrok.

— To coś, o czym wspominał mi David.

— No super, znów ten David.

Tally odepchnęła się od brzegu i odplynęła na plecach, patrząc w niebo. Bardzo chciała, żeby ta rozmowa dobiegła już końca. Jeszcze parę razy odwiedzały ruiny i Shay zawsze z uporem wysyłała sygnał, lecz David się nie zjawił. Tally uważała, że czekanie w martwym mieście na faceta, który najwyraźniej nie istnieje, robi się upiorne. Owszem, zabawa była ekstra, ale obsesja Shay na punkcie Davida coraz mniej jej się podobała.

— On jest prawdziwy. Spotkałam go kilka razy.

— No dobra, Shay, David jest prawdziwy. Ale prawdziwe jest też bycie brzydkim. Nie możesz tego zmienić samą myślą, wmawianiem sobie, że jesteś śliczna. Po to właśnie wynaleźli operacje.

— Ale to tylko podstęp, Tally. Przez całe życie oglądałaś wyłącznie śliczne twarze: twoich rodziców, nauczycieli, wszystkich powyżej szesnastu lat. Lecz nie urodziłaś się, oczekując, że każdy będzie tak samo śliczny, po prostu zaprogramowano cię, mówiono ci, że wszystko inne jest brzydkie.

— To nie programowanie, to naturalna reakcja. I co ważniejsze, to przecież sprawiedliwe. W dawnych czasach wszystko odbywało się losowo — niektórzy byli bardziej śliczni, większość całe życie pozostawała brzydka. Teraz wszyscy są brzydki... dopóki nie staną się śliczni. Nikt nie przegrywa.

Shay milczała długą chwilę.

— Są tacy, którzy przegrywają, Tally — powiedziała w końcu.

Tally zadrżała. Wszyscy wiedzieli o dożywotnich brzydkich, tych nielicznych, u których operacja nie zadziałała. Nieczęsto się ich widywało. Wolno im było przebywać w miejscach publicznych, lecz większość wolała żyć w ukryciu. Kto by nie wolał? Brzydki wyglądali dziwacznie, ale przynajmniej byli młodzi. Starzy brzydki? Niewiarygodne.

— To wszystko? Boisz się, że operacja się nie uda? Nie bądź niemądra, Shay. Nie jesteś dziwolągiem, a za dwa tygodnie będziesz śliczna jak inni.

— Ja nie chcę być śliczna!

Tally westchnęła. Znowu się zaczyna.

— Mam dosyć tego miasta — ciągnęła Shay. — Mam dosyć granic i przepisów. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest zostać pustogłową nową śliczną, która cały dzień nic tylko imprezuje.

— Daj spokój, Shay, robią przecież to samo co my: skaczą, Utają, puszczają fajerwerki. Tyle że oni nie muszą wykradać lię chyłkiem.

— Brak im wyobraźni, by się wykradać.

— Słuchaj, Chudzino, rozumiem cię — powiedziała ostro Tally — Robienie numerów jest super, łamanie przepisów to Iwiczna zabawa. Ale w końcu trzeba stać się kimś więcej niż małym, przebiegłym brzydkim.

— Pustym, nudnym ślicznym?

— Nie, dorosłym. Nie myślałaś nigdy, że kiedy stajesz się tliczna, może nie musisz już robić żadnych numerów? Może brzydki kłóć się i przezywają dlatego, że nie znoszą samych siebie. Nie są szczęśliwi. Ale ja chcę być szczęśliwa, a wyglądanie jak prawdziwy człowiek to pierwszy krok.

— Ja nie boję się wyglądać tak, jak wyglądam, Tally.

— Może nie, ale boisz się dorosnąć.

Shay nic nie odpowiedziała. Tally w milczeniu unosiła się na wodzie, patrząc w niebo, tak wściekła, że ledwie widziała chmury. Chciała stać się śliczna, chciała znów zobaczyć Perisa. Wydawało jej się, że minęły lata, odkąd ostatnio z nim rozmawiała — z nim czy z kimkolwiek prócz Shay. Miała po dziurki w nosie życia brzydkiej i marzyła, by już się skończyło.

W chwilę później usłyszała, jak Shay płynie do brzegu.

OSTATNI NUMER

To dziwne, lecz Tally nie umiała uwolnić się od smutku. Wiedziała, że będzie jej brakowało widoku z tego okna.

Przez ostatnie cztery lata patrzyła na Miasto Nowych Ślicznych i pragnęła jedynie przekroczyć rzekę i nigdy już nie wracać. Może właśnie te marzenia zachęciły ją do tak częstego wymykania się przez okno, poznawania wszystkich sztuczek i numerów pozwalających podkraść się bliżej nowych ślicznych, podglądania życia, którego w końcu i ona zazna.

Teraz jednak, gdy do operacji pozostał zaledwie tydzień, czas zdawał się przyspieszać. Niekiedy Tally żałowała, że nie przeprowadzają jej stopniowo. Najpierw mogliby naprawić jej zezujące oczy, potem usta, a ona równie stopniowo przeprowadzałaby się za rzekę, tak by nie musieć po raz ostatni wyjrzeć przez okno, wiedząc, że nigdy już nie ujrzy tego widoku.

Bez Shay wszystko wydawało jej się jakby niepełne i jeszcze więcej czasu spędzała tutaj, siedząc na łóżku i wyglądając na Miasto Nowych Ślicznych.

Oczywiście, ostatnio nie miała wiele do roboty. Wszyscy w domu byli młodszy od niej i nauczyła już trzecioklasistów owych najlepszych sztuczek. Obejrzała dziesięć razy wszystkie filmy, jakie znał jej ekran, łącznie ze starymi, czarno-białymi, w których aktorzy posługiwali się ledwie zrozumiałą angielszczyzną. Nie miała z kim chodzić na koncerty, a rozgrywki sportowe, teraz kiedy nie znała nikogo z drużyn, okropnie ją nudziły. Wszyscy brzydki patrzyli na nią zazdrośnie, ale nikt nawet nie próbował się zaprzyjaźnić. Może i lepiej, że operują człowieka od razu? Czasami marzyła, by lekarze porwali ją w środku nocy i załatwili sprawę. Wyobrażała sobie wiele znacznie gorszych rzeczy, niż ocknąć się rano i odkryć, że jest śliczna. W szkole mówili, że operacja kończy się sukcesem już u piętnastolatków. Czekanie do szesnastych urodzin to wyłącznie głupia tradycja.

Lecz nikt prócz paru brzydkich nigdy jej nie kwestionował, toteż Tally miała przed sobą jeszcze tydzień czekania w samotności.

Shay nie odzywała się do niej od czasu wielkiej kłótni. Tally próbowała napisać jej pinga, ale widok słów na ekranie jeszcze bardziej ją rozżłościł. A poza tym godzenie się teraz i tak nie miało sensu. Gdy obie staną się śliczne, nie będzie się już o co kłócić. Zresztą nawet gdyby Shay wciąż jej nienawidziła, pozostawał jeszcze Peris i starzy przyjaciele, czekający na drugim brzegu ze swymi wielkimi oczami i cudownymi uśmiechami.

Mimo wszystko Tally bardzo często zastanawiała się, jak będzie wyglądała Shay po operacji — chude ciało przyjemnie zaokrąglone, i tak już pełne wargi jeszcze udoskonalone, poobgryzane paznokcie zastąpione nowymi. Zapewne przerobią jej oczy na intensywniej zielone, a może nadadzą im inny kolor, jeden z tych nowych — fioletowy, srebrny, złoty.

— Hej, Zyzolu!

Słyszac szept, Tally podskoczyła. Wyjrzała w ciemność i na widok znajomej postaci, pełznacej ku niej po dachu, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Shay!

Postać zastygła na moment.

Tally nie zniżała nawet głosu do szeptu.

— Nie leż tam! Chodź do środka, głuptasie.

Shay ze śmiechem przecisnęła się przez okno i Tally chwyciła ją w objęcia, mocne, ciepłe, radosne. Cofnęły się, wciąż trzymając się za ręce. Przez moment brzydka twarz Shay wyglądała idealnie.

— Jak dobrze znów cię widzieć.

— Ciebie też, Tally

— Tęskniłam. Chciałam... tak mi przykro z powodu...

— Nie — przerwała jej Shay. — Miałaś rację, sprawiłaś, że zaczęłam myśleć. Zamierzałam do ciebie napisać, ale...

Tally przytaknęła, ściskając jej dłonie.

— Tak, było okropnie.

Przez chwilę stały w milczeniu. Tally zerknęła ponad ramieniem przyjaciółki przez okno. Nagle Miasto Nowych Ślicznych nie wydawało jej się już takie smutne. Wyglądało jasno i kusząco, jakby zniknęły wszystkie wątpliwości. Otwarte okno znów wzywało.

— Shay?

— Tak?

— Chodźmy gdzieś dziś w nocy. Zróbmy jakiś numer.

Shay roześmiała się.

— Miałam nadzieję, że to powiesz.

Tally dopiero teraz zauważyła strój przyjaciółki. Shay miała na sobie kostium do poważnych numerów: czarne ubranie, ciasno związane włosy, plecak na ramieniu.

— Widzę, że masz już plan — uśmiechnęła się. — Super.

— Tak — odparła cicho Shay. — Mam plan.

Podeszła do łóżka Tally i zsunęła z ramienia plecak. Każdemu jej krokowi towarzyszył cichy pisk i Tally uśmiechnęła się, widząc, że Shay ma na sobie

antyślizgowe buty. Sama od kilku dni nie wsiadała na deskę. Samotne latanie to wciąż była ciężka praca i tylko połowa przyjemności.

Shay wysypała na łóżko zawartość plecaka i zaczęła pokazywać palcem.

— Pozycjomierz, zapalacz, oczyszczacz wody. — Podniosła dwa lśniące rulony wielkości kanapek. — Rozwijają się w śpiwory i są naprawdę ciepłe.

— Śpiwory, oczyszczacz wody? — wykrzyknęła Tally. — To musi być niesamowity, wielodniowy numer. Wybierzemy się nad morze czy co?

Shay pokręciła głową.

— Dalej.

— Och, super! — Tally wciąż się uśmiechała. — Ale do operacji zostało nam tylko sześć dni.

— Wiem, jaki dzień dziś mamy! — Shay otworzyła wodoodporną torebkę i wysypała jej zawartość obok reszty. — Prowiant na dwa tygodnie — liofilizowany, wystarczy wrzucić do oczyszczacza i dodać wody, jakiegokolwiek... Oczyszczacz działa tak dobrze, że można tam nawet nasuszyć — zachichotała.

Tally usiadła na łóżku, odczytując etykiety.

— Dwa tygodnie?

— Dwa tygodnie dla dwóch osób — powiedziała ostrożnie Shay. — Cztery dla jednej.

Tally milczała. Poczuła, że nie może już dłużej patrzeć na leżące na łóżku rzeczy ani na Shay. Wyjrzała przez okno na Miasto Nowych Ślicznych, nad którym zaczynały rozkwitać fajerwerki.

— Ale to nie potrwa dwa tygodnie, Tally, znacznie krócej.

Pióropusz czerwieni wystrzelił z serca miasta, macki sztucznych ogni szybowwały w dół niczym liście olbrzymiej wierzby.

— Co nie potrwa dwa tygodnie?

— Dotarcie tam, gdzie mieszka David.

Tally skinęła głową i zamknęła oczy.

— Tam jest zupełnie inaczej niż tutaj, Tally. Nie oddzielają wszystkich od siebie: brzydkich od ślicznych, nowych od średnich i późnych. I możesz wychodzić, kiedy tylko chcesz i dokąd chcesz.

— To znaczy dokąd?

— Wszędzie. W ruiny, do lasu, nad morze i... nie musisz przechodzić operacji.

— Słucham?

Shay usiadła obok, dotknęła palcem policzka Tally, która

Otworzyła oczy.

— Nie będziemy musiały wyglądać jak wszyscy inni, Tally, zachowywać się jak wszyscy inni. Mamy wybór. Możemy wyrosnąć tak, jak chcemy.

Tally przełknęła ślinę. Czowała, że głos więźnie jej w gardle, wiedziała jednak, że musi coś powiedzieć. Zmusiła słowa, by wydostały się z ust.

— Miałybyśmy nie stać się śliczne? To wariactwo, Shay! Do tej pory, kiedy tak gadałaś, sądziłam, że po prostu udajesz, wygłupiasz się. Peris też tak mówił.

— Owszem, wygłupiałam się. Ale kiedy powiedziałaś, że boję się dorosnąć, zaczęłam myśleć poważnie. Dzięki tobie.

— Dzięki mnie?

— Dzięki tobie zrozumiałam, że gadam bzdury. Tally, mu— izę ci zdradzić jeszcze jeden sekret.

Tally westchnęła.

— No dobra, gorzej już chyba nie będzie.

— Moi starsi przyjaciele, ci, z którymi się trzymałam, nim ipotkałam ciebie, nie wszyscy skończyli jako śliczni.

— To znaczy?

— Niektórzy uciekli, tak jak ja teraz. Chciałam, żebyśmy /robiły to obie.

Tally spojrzała Shay prosto w oczy, szukając oznak świadczących, że to żart. Lecz napięty wyraz twarzy przyjaciółki nic zmienił się. Mówiła poważnie.

— Znasz kogoś, kto naprawdę uciekł?

Shay kiwnęła głową.

— Ja też miałam z nimi pójść. Wszystko zaplanowaliśmy, na tydzień przed szesnastymi urodzinami pierwszego z nas. Ukradliśmy już niezbędny sprzęt i uprzedziliśmy Davida, że się zjawimy, wszystko przygotowaliśmy. To było cztery miesiące temu.

— Ale ty nie...

— Niektórzy z nas poszli, ale ja stchórzyłam. — Shay wyjrzała przez okno. — I nie byłam sama; paru z nas zostało i stało się ślicznymi. Pewnie ze mną też by tak było, ale spotkałam ciebie.

— Mnie?

— Nagle nie byłam już sama. Nie bałam się wrócić do ruin i znów poszukać Davida.

— Ale my nigdy... — Tally zamrugwała. — W końcu go znalazłaś, prawda?

— Dopiero dwa dni temu. Latałam tam co noc, odkąd się... od czasu naszej kłótni. Po tym, jak powiedziałaś, że boję się dorosnąć, zrozumiałam, że masz rację. Raz stchórzyłam, ale nie muszę tego powtarzać. — Shay chwyciła ją mocno za rękę; spojrzały sobie głęboko w oczy. — Chcę, żebyś ze mną poszła, Tally.

— Nie — odparła Tally bez namysłu. Pokręciła głową. — Zaczekaj. Czemu nigdy wcześniej mi o tym nie wspominałaś?

— Bardzo chciałam, ale bałam się, że uznasz mnie za wariatkę.

— Bo nią jesteś!

— Może, ale nie do końca. Dlatego chciałam, żebyś poznała Davida, żebyś zrozumiała, że wszystko to jest prawdą.

— Nie wydaje mi się prawdą. O jakim właściwie miejscu mówisz?

— Nazywają je Dymem. To nie jest miasto, nikt nim nie rządzi. I nikt nie jest śliczny.

— Brzmi jak koszmar. A jak się tam dostaniesz? Pieszko?

Shay roześmiała się.

— Żartujesz? Na desce, jak zawsze. Istnieją deski długodystansowe, zasilane energią słoneczną, a trasę opracowano tak, by biegła wzdłuż rzek i innych takich. David bardzo czę— Ito odwiedza ruiny, zabierze nas do Dymu.

— Ale jak ludzie mogą tam żyć, Shay? Tak jak Rdzawcy? Ogrzewają się, paląc drzewa, wszędzie zakopują swoje śmieci? Nie powinno się żyć wśród przyrody, żyć jak zwierzę.

Shay pokręciła głową, westchnęła.

— To tylko szkolna gadanina, Tally. Oni nadal mają technikę i nie są tacy jak Rdzawcy, nie palą wcale drzew. Ale nie oddzielają się murem od natury.

— I wszyscy są brzydki.

— Co znaczy, że nikt nie jest brzydki.

Tally zdołała się roześmiać.

— Chcesz powiedzieć: co znaczy, że nikt nie jest śliczny.

Siedziały w milczeniu, Tally oglądała fajerwerki. Czuła się tysiąc razy gorzej niż przed pojawieniem się Shay w oknie.

W końcu przyjaciółka wypowiedziała słowa, które Tally obawiała się usłyszeć.

— Stracę cię, prawda?

— To ty uciekasz.

Shay opuściła zaciśnięte w pięść dłonie na kolana.

— To wszystko moja wina. Powinnam była powiedzieć ci wcześniej. Gdybyś miała więcej czasu i przywykła do tej myśli, to może...

— Shay, ja nigdy nie przywykłabym do tej myśli. Nie chcę być brzydka całe życie. Pragnę idealnych oczu i ust, chcę, żeby wszyscy patrzyli na mnie i zachłystywali się z podziwu, żeby na mój widok myśleli sobie „kto to?” i pragnęli mnie poznać, słuchać tego, co mówię.

— Ja wolę mieć coś do powiedzenia.

— Na przykład co? Dziś zastrzeliłam wilka i go zjadłam? — prychnęła Tally. Shay zachichotała.

— Ludzie nie jadają wilków, Tally, tylko króliki i chyba jelenie.

— Ble, ohyda! Dzięki za tę wizję.

— Tak, sama chyba ograniczę się do jarzyn i ryb. Ale tu nie chodzi o życie poza miastem, Tally, chodzi o to, by stać się tym, kim chcesz się stać, a nie tym, kogo uważa za odpowiedniego komisja chirurgiczna.

— Wewnątrz wciąż pozostajesz sobą, Shay. Ale kiedy jesteś śliczna, ludzie zwracają na Ciebie uwagę.

— Nie wszyscy tak myślą.

— Jesteś pewna? Ze możesz pokonać ewolucję dzięki inteligencji, błyskotliwości? Bo jeśli się mylisz... jeśli nie wrócisz do dnia dwudziestych urodzin, operacja już się nie uda. Zawsze już będziesz wyglądać nie tak jak trzeba.

— Ja nie wrócę. Nigdy.

Tally poczuła, że coś ściska ją w gardle, zmusiła się jednak, by powiedzieć:

— A ja nie pójdę z tobą.

*

**

Pożegnały się pod tamą.

Długodystansowa deska Shay była grubsza, połyskiwała niezliczonymi fasetkami baterii słonecznych. Shay ukryła też pod mostem ogrzewaną kurtkę i czapkę. Tally domyśliła się, że zimy w Dymie są mroźne i ponure.

Nie mogła uwierzyć, że przyjaciółka naprawdę odchodzi.

— Zawsze możesz wrócić. Gdyby było do kitu.

Shay wzruszyła ramionami.

— Nikt z moich przyjaciół nie wrócił.

Tally poczuła dreszcz. Przyszło jej do głowy mnóstwo okropnych powodów, dla których nikt stamtąd nie wracał.

— Uważaj na siebie, Shay.

— Ty też. Nie powiesz nikomu, prawda?

— Nigdy.

— Przysięgasz? Nieważne, co się stanie?

Tally uniosła dłoń przeciętą blizną.

— Przysięgam.

Shay uśmiechnęła się.

— Wiem, po prostu musiałam zapytać, zanim... — Wyciągnęła kawałek papieru i wręczyła go Tally.

— Co to? — Rozłożywszy kartkę, Tally ujrzała nabazgrane na niej litery. — Kiedy nauczyłaś się pisać ręcznie?

— Wszyscy się nauczyliśmy, kiedy zaczęliśmy planować ucieczkę. To dobry pomysł, jeśli nie chcesz, by opiekunowie grzebali ci w pamiętniku. No, w każdym razie to jest dla ciebie. Nie powinnam zostawiać żadnych informacji na temat miejsca, do którego się wybieram, więc zapisałam to czymś w rodzaju szyfru.

Tally zmarszczyła brwi, odczytując pierwszą linijkę zapisaną pochyłym pismem:

— „Leć nad kolejką w rozpędzie za skok”...

— Tak. Chwytasz? Tylko ty zdołasz to zrozumieć. To na wypadek, gdyby ktoś inny znalazł tę kartkę. No wiesz, gdybyś zdecydowała się polecieć za mną.

Tally chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Udało jej się jedynie pokiwać głową.

— Na wszelki wypadek — dodała Shay. — Wskoczyła na deskę i pstryknęła palcami, zakładając plecak na ramiona. -

Zegnaj, Tally.

— Pa, Shay. Żałuję...

Shay czekała, kołysząc się lekko w powiewach chłodnego wrześnieowego wiatru. Tally próbowała wyobrazić ją sobie, jak się starzeje, marszczy, podupada, nigdy nie poznawszy, jak to jest być prawdziwie piękną, nigdy nie nauczywszy się właściwie ubierać i zachowywać na oficjalnym przyjęciu. Nigdy nie wiedząc, jak to jest, gdy ktoś patrzy ci w oczy i niemal umiera z zachwyty.

— Żałuję, że nie zobaczę, jak byś wyglądała... no wiesz. Śliczna.

— Chyba więc będziesz musiała żyć ze wspomnieniem mojej twarzy takiej, jaka jest teraz — odparła Shay.

Następnie odwróciła się i jej deska pomknęła w stronę rzeki, a ryk wody zagłuszył następne słowa Tally.

OPERACJA

Gdy nastał ów dzień, Tally samotnie czekała na lotowóz.

Jutro, gdy operacja dobiegnie końca, przed szpitalem pojawią się jej rodzice wraz z Perisem i innymi dawnymi przyjaciółmi. Tak nakazywała tradycja. Dziwne jednak, że nikt nie przyszedł pożegnać się z nią przed zabiegiem. Nikt nie powiedział do widzenia, oprócz kilkorga przechodzących obok brzydkich. Wydawali jej się teraz tacy młodzi, zwłaszcza najnowsi przybysze, gapiący się na nią niczym na stos pradawnych kości dinozaura.

Tally zawsze lubiła niezależność, teraz jednak czuła się jak ostatni maluch wyrwany ze szkoły, samotny i opuszczony. Ze też musiała urodzić się we wrześnieu.

— Ty jesteś Tally, prawda?

Uniosła wzrok. Nowy brzydki, niezgrabny i wyrośnięty, a jeszcze nieprzywykły do swego wzrostu, obciążał mundurek, jakby już stał się za ciasny.

— Tak.

— To nie ty masz się dzisiaj zmienić?

— Zgadza się, ja.

— To czemu jesteś taka smutna?

Tally wzruszyła ramionami. Co w ogóle mógł zrozumieć ten półmaluch, półbrzydki? Myślała o tym, co Shay powiedziała o operacji.

Wczoraj dokonali ostatnich pomiarów Tally, przepuścili ją całą przez tunel skanujący. Czy powinna powiedzieć temu nowemu brzydkiemu, że jeszcze tego samego popołudnia chirurdzy otworzą jej ciało, zmiażdżą i przytną kości, nadając im właściwy kształt, część naciągną, inne dosztukują. Usuną chrząstki z nosa i kości policzkowe i zastąpią programowanym plastikiem. Zetrą skórę i zasieją na nowo niczym boisko piłkarskie na wiosnę. A potem zabieg laserowy zapewni jej doskonały wzrok do końca życia, a pod tęczęwką znajdą się lustrzane implanty dodające złotych iskerek nudnemu brązowi jej własnych oczu. Potraktowane prądem mięśnie staną się długie i sprawne, z ciała znikną resztki szczenięcego sadła. Zęby zostaną zastąpione implantami z materiału ceramicznego twardego niczym skrzydło pojazdu suborbitalnego i białego jak najlepsza porcelana.

Ludzie mówili, że to nie boli, oprócz nowej skóry, która przez parę tygodni potwornie piecze, jak po ostrych oparzeniach słonecznych.

I kiedy tak myślała o szczegółach operacji, zaczęła rozumieć, czemu Shay uciekła. Faktycznie, wydawało się, że to zbyt duże poświęcenie tylko po to, by wyglądać inaczej. Ach, gdyby ludzie byli mądrzejsi, dość rozwinięci, by traktować wszystkich tak samo, nawet tych innych. Brzydkich.

Gdyby tylko Tally znalazła odpowiedni argument i przekonała przyjaciółkę, żeby została.

Wymyślone rozmowy powróciły i były znacznie gorsze niż po odejściu Perisa. W myślach tysiąc razy kłóciła się z Shay — prowadziły długie, burzliwe dyskusje na temat urody, biologii i dorastania. Kiedy razem odwiedziły ruiny, Shay sporo jej powiedziała na temat brzydkich i ślicznych, miasta i świata zewnętrznego, tego, co sztuczne, i tego, co prawdziwe. Lecz Tally nie miała pojęcia, że przyjaciółka może naprawdę uciec, zrezygnować z nowego życia, urody, szyku, elegancji. Gdyby tylko powiedziała jej co trzeba, cokolwiek.

Siedząc tak, czuła się, jakby w ogóle nie próbowała.

Spojrzała prosto w oczy nowemu brzydkiemu.

— Bo wszystko sprowadza się do tego: dwa tygodnie ostrych poparzeń słonecznych jest warte urody do końca życia.

Dzieciak podrapał się po głowie.

— Hę?

— To coś, co powinnam była powiedzieć, ale nie powiedziałam. I tyle.

*

**

Gdy szpitalny lotowóz w końcu się zjawił, osiadł na szkolnym trawniku tak lekko, że tylko odrobinę przygniótł świeżo skoszoną trawę.

Kierowca, średni śliczny, promieniował pewnością siebie i władczością. Tak bardzo przypominał Sola, że Tally o mało nie pozdrowiła go imieniem ojca.

— Tally Youngblood? — spytał.

Dostrzegła już błysk światła odczytującego wzór oka, ale j tak potwierdziła.

— Tak, to ja.

Coś w tym człowieku sprawiało, że było jej trudno podchodzić do wszystkiego lekko. Wyglądał jak uosobienie mądrości, taki poważny i oficjalny, iż pożałowała, że nie ubrała się odświętnie.

— Gotowa? Nie zabierasz zbyt wiele.

Jej torba była wypełniona zaledwie w połowie. Wszyscy wiedzieli, że nowi śliczni i tak wkrótce poddają recyklingowi większość rzeczy, które zabierają za rzekę. Oczywiście dostanie nowiutkie ubrania i wszystkie zabawki ślicznych, jakich zapragnie. W sumie zachowała tylko liścik od Shay ukryty pośród przypadkowych drobiazgów.

— Wystarczy.

— Brawo, Tally. To bardzo dojrzałe.

— Tak jak ja.

Drzwi się zamknęły i wóz wystartował.

*

**

Wielki szpital mieścił się na skraju Miasta Nowych Ślicznych. Tam właśnie udawali się wszyscy potrzebujący poważnych operacji: maluchy, brzydcy, a nawet późni śliczni ze Starykowa na zabiegi przedłużania życia.

Rzeka lśniła pod bezchmurnym niebem i Tally dała się porwać urokowi Miasta Nowych Ślicznych. Nawet bez nocnych świateł i fajerwerków w szklanych i metalowych powierzchniach budynków odbijało się światło, a niewiarygodne iglice wież imprez rzucały smukłe cienie na całą wyspę. Nagle stwierdziła, że wszystko wygląda znacznie bardziej porywająco niż Rdzawe Ruiny. Miasto nie było może równie mroczne i tajemnicze, ale żyło.

Czas przestać zawracać sobie głowę Shay. Od tej pory jej życie stanie się jedną wielką imprezą, pełną pięknych ludzi. Takich jak Tally Youngblood.

Lotowóz opadł na dach szpitala i kierowca odprowadził Tally do środka, do poczekalni. Pielęgniarski sprawdził jej nazwisko, ponownie przeskanował oko i kazał czekać.

— Dasz sobie radę? — spytał kierowca.

Spojrzała wprost w przejrzyste, łagodne oczy. Tak bardzo chciała, by został. Uznała jednak, iż podobna prośba nie stanowiłaby oznaki dojrzałości.

W porządku, dam sobie radę. Dzięki.

Uśmiechnął się i wyszedł.

W poczekalni nie było nikogo. Tally rozsiadła się wygodnie i zaczęła liczyć płytki na suficie. W jej głowie znów rozbrzmiały rozmowy z Shay. Tu jednak wydawały się mniej niepokojące. Już za późno na zmianę zdania.

Pożałowała, że nie ma okna, z którego mogłaby wyjrzeć na Miasto Nowych Ślicznych. Była już tak blisko. Wyobraziła sobie jutrzejszy wieczór, jej pierwszy jako ślicznej, wystrojonej w nowe, cudowne ciuchy (mundurki ze wspólnego domu od razu wrzuci do recyklera). Stanie na szczycie najwyższej wieży imprez, jaką zdoła znaleźć, i będzie patrzeć na światła gasnące za rzeką w Brzydaluwie ze świadomością, że wciąż ma przed sobą całą noc z Perisem i nowymi przyjaciółmi, mnóstwem nowych, pięknych ludzi.

Westchnęła.

Szesnaście lat. Wreszcie.

Przez długą godzinę nic się nie działo. Tally bębniła niecierpliwie palcami, zastanawiając się, czy zawsze każą brzydkim tak długo czekać.

A potem zjawił się mężczyzna.

Wyglądał dziwnie, inaczej niż wszyscy znani jej dotąd śliczni. Był niewątpliwie w średnim wieku, lecz ktokolwiek przeprowadzał jego operację, schrzanił sprawę. Owszem, nikt nie mógł odmówić mu urody, była to jednak uroda straszliwa.

Zamiast wyglądać mądrze i szacownie, ten człowiek wydawał się zimny, władczy, groźny niczym wyniosłe, drapieżne zwierzę. Kiedy wszedł do poczekalni, Tally chciała spytać, co się dzieje, lecz jedno jego spojrzenie ją uciszyło.

Nigdy dotąd nie spotkała dorosłego, który tak by na nią działał. Średni i późni śliczni zawsze budzili jej szacunek, lecz w obecności tego okrutnie pięknego mężczyzny szacunek zabarwił się strachem.

— Jest pewien problem z twoją operacją — oznajmił przybysz. — Chodź ze mną. Poszła.

WYJĄTKOWE OKOLICZNOŚCI

Ten lotowóz był większy, ale nie tak wygodny.

Przejażdżka okazała się o wiele mniej przyjemna niż pierwsza jazda Tally tego dnia. Niezwykły mężczyzna leciał z agresywną niecierpliwością, nurkując gwałtownie, by wcisnąć się między sznury pojazdów; zakręty pokonywał ostro jak na

desce. Tally nigdy wcześniej nie cierpiała na chorobę powietrzną, teraz jednak zaciskała palce na pałaku siedzenia tak mocno, że aż zbieleły jej kostki, wzrok utkwiała w przepływającej w dole ziemi. Dostrzegła Miasto Nowych Ślicznych, umykające szybko do tyłu.

Skierowali się w dół rzeki, przez Brzydalowo, ponad pasem zieleni i dalej, w stronę pierścienia transportowego, gdzie fabryki wystawiały głowy nad powierzchnię. Obok wielkiego bezkształtnego wzgórza wóz opadł w sam środek kompleksu kanciastych budynków pomalowanych na kolor wyschniętej trawy, przysadzistych i ciężkich niczym wspólne domy brzydkich.

Wylądowali z bolesnym szarpnięciem. Mężczyzna skierował się do jednego z budynków, w głąb labiryntu żółto-brązowych korytarzy pogrążonych w półmroku. Tally nigdy dotąd nie widziała tak wielkich przestrzeni pomalowanych na tak ohydne kolory. Zupełnie jakby budynki zaprojektowano po to, by budziły u ludzi mdłości.

Wokół dostrzegła więcej osób podobnych do jej towarzysza.

Wszyscy nosili oficjalne stroje, surowe jedwabie, czernie, szarości, a ich twarze miały te same zimne, jastrzębie rysy. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety byli wyżsi niż standardowi śliczni i mocniej zbudowani, oczy mieli jasne jak u brzydkich. Zauważyła też kilka zwykłych osób, lecz obok drapieżnych postaci wędrujących z wdziękiem korytarzami wydawały się nie mieć znaczenia.

Tally zastanawiała się, czy w to miejsce trafiają ludzie, których operacje poszły nie tak i uroda przekształciła się w okrucieństwo. Dlaczego jednak ona się tutaj znalazła? Nie przeszła jeszcze operacji. Przełknęła ślinę. A co, jeśli ci straszni śliczni zostali stworzeni całkowicie świadomie? Może, kiedy ją wczoraj mierzyli, doszli do wniosku, że nigdy nie uda się jej dopasować do wdzięcznego wzorca sarnookich ślicznych. Może wybrano ją na kandydatkę do tego dziwnego, innego świata.

Mężczyzna zatrzymał się przed metalowymi drzwiami, Tally przystanęła za nim. Znów czuła się jak maluch ciągnięty przez opiekuna na niewidzialnym sznurku. W chwili gdy w szpitalu ujrzała owego mężczyznę, cała jej pewność siebie zniknęła bez śladu. Jakby cztery lata numerów i niezależności w ogóle nie istniały.

Drzwi przeskanowały jej oko i otwarły się; towarzysz gestem polecił jej wejść do środka. Tally uświadomiła sobie, że odkąd zabrał ją ze szpitala, nie odezwał się ani

słowem. Odetchnęła głęboko, przez co sparaliżowane mięśnie klatki piersiowej zakłuły boleśnie, i zdołała wychrypieć:

— Powiedz: proszę.

— Do środka — odparł tylko.

Tally uśmiechnęła się, zapisując w duchu drobne zwycięstwo. Przynajmniej zmusiła go, by znów się odezwał. Zrobiła, jak kazał.

*

**

— Jestem doktor Cable.

— Tally Youngblood.

Doktor Cable uśmiechnęła się.

— Och, doskonale wiem, kim jesteś.

Należała do okrutnych ślicznych; nos miała orli, zęby ostre, oczy matowoszare. Jej głos brzmiał równie neutralnie i spokojnie jak w książkach na dobranoc, lecz Tally nie czuła senności, gdyż dźwięczała w nim ponadto ostra nuta, niczym kawałek metalu powoli przesuwany po szkle.

— Masz problem, Tally.

— Sama zgadłam, hm... — Nie знаła imienia kobiety.

— Doktor Cable wystarczy.

Tally zamruwała. Nigdy w życiu nie zwracała się do nikogo po nazwisku.

— W porządku, doktor Cable. — Odchrząknęła i zdołała powiedzieć coś więcej ochryłym głosem: — W tej chwili moim problemem jest to, że nie wiem, co się dzieje. Zatem... może mi powiesz?

— A jak sądzisz, co się dzieje, Tally?

Tally przymknęła oczy, odpoczywając od ostrych rysów twarzy rozmówczynie.

— No... kamizelka bungee była przecież zapasowa i odłożyliśmy ją z powrotem do ładowarki.

— Tu nie chodzi o jakiś numer brzydkich.

Westchnęła i uniosła powieki.

— Tak podejrzewałam.

— Chodzi o twoją przyjaciółkę, która zniknęła.

Oczywiście. Shay posunęła się za daleko i teraz Tally musiała się tłumaczyć.

— Nie wiem, gdzie ona jest.

Doktor Cable uśmiechnęła się. Gdy to zrobiła, warga odsłoniła jedynie górne zęby.

— Ale coś wiesz.

— Kim ty w ogóle jesteś? — wyrzuciła z siebie Tally. -1 gdzie ja jestem?

— Jestem doktor Cable — odparła kobieta. — A to są Wyjątkowe Okoliczności.

*

**

Najpierw kobieta zadała jej mnóstwo pytań.

— Niezbyt długo przyjaźniłaś się z Shay, prawda?

— Nie, tylko tego lata. Mieszkałyśmy w różnych domach.

— I nie znałaś żadnych z jej przyjaciół?

— Nie, wszyscy byli starsi od niej, już się przeobrazili.

— Jak twój przyjaciel Peris?

Tally przełknęła ślinę. Jak dużo wiedziała o niej ta kobieta?

— Tak, jak Peris i ja.

— Ale przyjaciele Shay nie stali się śliczni, prawda? Tally odetchnęła powoli, przypominając sobie złożoną

Shay obietnicę. Nie chciała jednak kłamać, doktor Cable z pewnością by się zorientowała. A Tally i tak miała już dość kłopotów.

— Czemu mieliby tego nie robić?

— Opowiadała ci o przyjaciołach?

— Nie rozmawiałyśmy o takich rzeczach, po prostu trzymałyśmy się razem. Bo... samotność boli i obie lubiłyśmy robić numery.

— Wiedziałaś, że należała do gangu?

Tally spojrzała w oczy doktor Cable. Wielkością niemal dorównywały oczom zwykłych ślicznych, lecz ich kąciki wznosiły się skośnie jak u wilka.

— W gangu? To znaczy?

— Tally, czy odwiedzałyście z Shay Rdzawe Ruiny?

— Jak wszyscy.

— Ale czy wykradałyście się do nich?

— Tak, mnóstwo ludzi to robi.

— Czy kiedykolwiek spotkałyście tam kogoś? Tally przygryzła wargę.

— Co to są Wyjątkowe Okoliczności?

— Tally! — Ostry ton, dotąd starannie skrywany, zabrzmiał nagle w głosie niczym brzytwa.

— Jeśli wyjaśnisz mi, czym są Wyjątkowe Okoliczności, odpowiem.

Doktor Cable wyprostowała się, splotła dłonie i skinęła głową.

— To miasto to raj, Tally. Karmi cię, kształci i chroni, pozwala ci stać się śliczną.

Tally nie zdołała się powstrzymać, spojrzała z nadzieją na doktor Cable.

— Nasze miasto daje ludziom naprawdę dużą swobodę. Młodzi mogą robić swoje numery, rozwijać instynkt twórczy i niezależność. Lecz od czasu do czasu spoza miasta pojawia

się coś złego. — Oczy doktor Cable zwięzły się, jej twarz stała się jeszcze bardziej drapieżna. — Żyjemy w równowadze z naszym środowiskiem, Tally. Oczyszczamy wodę, którą odprowadzamy do rzeki, poddajemy recyklingowi biomasę i używamy wyłącznie energii słonecznej z naszych własnych słonecznych baterii. Czasami jednak nie możemy oczyścić tego, co pobieramy z zewnątrz. Czasami pojawiają się zagrożenia, którym musimy stawić czoło — uśmiechnęła się. — Czasami występują Wyjątkowe Okoliczności.

— Czyli jesteście tak jakby opiekunami całego miasta? Doktor Cable skinęła głową.

— Czasami zagrażają nam inne miasta. A czasem nieliczni ludzie mieszkający poza miastami bywają kłopotliwi.

Oczy Tally rozszerzyły się. Poza miastami? To znaczy, że Shay mówiła prawdę, miejsca takie jak Dym rzeczywiście istnieją.

— Twoja kolej, Tally. Odpowiedz na moje pytanie. Czy kiedykolwiek spotkałaś kogoś w ruinach? Kogoś nie z tego miasta, z żadnego miasta?

Tally uśmiechnęła się szeroko.

— Nie, nigdy.

Doktor Cable zmarszczyła brwi i na sekundę jej wzrok powędrował w dół, jakby coś sprawdzała. Gdy ponownie spojrzała na Tally, oczy miała jeszcze zimniejsze. Tally uśmiechnęła się znowu, pewna, że doktor Cable wie, iż powiedziała prawdę. Pokój musiał odczytywać rytm jej serca, pot, rozszerzanie się i zwięzanie źrenic. Ale ona nie mogła wyznać czegoś, czego nie wiedziała.

W głosie doktor Cable znów zadźwięczała ostra jak brzytwa stal.

— Nie próbuj ze mną pogrywać, Tally. Twoja przyjaciółka Shay ci za to nie podziękuje, bo nigdy jej już nie zobaczysz.

Radość towarzysząca drobnemu zwycięstwu minęła. Z twarzy Tally zniknął uśmiech.

— Sześcioro jej przyjaciół zniknęło jednego dnia, żadnego z nich nigdy nie znaleziono. Kolejna dwójka, która miała do nich dołączyć, zdecydowała się nie marnować życia i dowiedzieliśmy się nieco o tym, co spotkało tamtych. Nie uciekli sami z siebie, skusił ich ktoś z zewnątrz, ktoś, kto pragnął wywabić naszych najmądrzejszych brzydkich. Natychmiast zrozumieliśmy, że to Wyjątkowa Okoliczność.

Jedno słowo sprawiło, że po plecach Tally przebiegł lodowaty dreszcz. Czy ktoś naprawdę wywabił Shay? Co właściwie Shay bądź jakikolwiek inny brzydki tak naprawdę wiedzieli o Dymie?

— Od tego czasu obserwowaliśmy Shay z nadzieją, że doprowadzi nas do swych przyjaciół.

— To czemu nie... — wypaliła Tally — no wiesz, nie powstrzymaliście jej?!

— Przez ciebie, Tally.

— Przeze mnie?

Głos doktor Cable złagodniał.

— Sądziliśmy, że znalazła sobie przyjaciółkę, powód, by zostać tu, w mieście. Myśleliśmy, że nic się nie stanie.

Tally mogła jedynie zamknąć oczy i pokręcić głową.

— Ale potem Shay zniknęła — podjęła doktor Cable. — Okazała się bardziej podstępna niż jej przyjaciele. Dobrze ją wyedukowałaś.

— Ja?! — wykrzyknęła Tally. — Nie znam wcale więcej sztuczek niż inni brzydki.

— Nie doceniasz siebie.

Tally odwróciła się od wilczych oczu, nie słuchając ostrego jak brzytwa głosu. To nie była jej wina, w końcu ona zdecydowała się zostać w mieście. Chciała być śliczna, próbowała nawet przekonać Shay.

Ale jej się nie udało.

— To nie moja wina.

— Pomóż nam, Tally.

— Pomóc w czym?

— Znaleźć ją. Znaleźć ich wszystkich.

Odetchnęła głęboko.

— A jeśli oni nie chcą dać się znaleźć?

— A jeśli chcą? Jeżeli ich okłamano?

Tally próbowała sobie przypomnieć twarz Shay tej ostatniej nocy, widoczną na niej nadzieję. Shay pragnęła opuścić miasto równie mocno, jak Tally stać się śliczna. I choć wybór ten był zapewne głupi, Shay dokonała go świadomie

i uszanowała decyzję Tally.

Spojrzała na okrutną, piękną twarz doktor Cable, na żółto— brązowe ściany koloru wymiocin. Przypomniała sobie wszystkie sztuczki Wyjątkowych Okoliczności — to, jak kazali jej czekać godzinę w szpitalu, gdy była przekonana, że wkrótce stanie się śliczna, brutalny lot, okrutne twarze w korytarzach — i podjęła decyzję.

— Nie mogę wam pomóc — oznajmiła. — Obiecałam.

Doktor Cable wyszczerzyła zęby. Tym razem nie był to nawet pozór uśmiechu. Teraz kobieta wyglądała jak potwór, mściwy, nieludzki.

— Zatem ja też ci coś obiecuję, Tally Youngblood. Dopóki nam nie pomożesz, nie dołożysz wszelkich starań, nigdy nie staniesz się śliczna. — Doktor Cable odwróciła się. — Jeśli o mnie chodzi, możesz umrzeć brzydka.

Drzwi się otwarły, za nimi stał straszny mężczyzna. Cały czas tam czekał.

BRZYDKA DO ŚMIERCI

Musieli uprzedzić opiekunów o jej powrocie. Pozostali brzydcy zniknęli, wyjechali na niezaplanowaną szkolną wycieczkę. Nie dowiedzieli się jednak o wszystkim na tyle szybko, by zachować jej rzeczy. Gdy Tally dotarła do swego dawnego pokoju, stwierdziła, że cały jej dobytek został poddany recyklingowi. Ubrania, pościel, meble, zdjęcia na ekranie ściennym — wszystko wróciło do standardowego stanu wyjściowego. Wyglądało nawet, jakby ktoś wprowadził się tu na chwilę i szybko zniknął, pozostawiając w lodówce puszkę z dziwnym napojem.

Tally usiadła na łóżku, zbyt oszołomiona, by płakać. Wiedziała, że wkrótce zacznie ryczeć, zapewne w najgorszej chwili i miejscu. Teraz, kiedy spotkanie z doktor Cable dobiegło końca, jej gniew i upór osłabły i nie miała nic, co dodałoby jej sił. Straciła rzeczy, straciła przyszłość, pozostał jedynie widok z okna.

Siedziała i gapiała się przed siebie, zmuszona co parę minut przypominać sobie, że to wszystko naprawdę się wydarzyło. Okrutni śliczni, dziwne budynki na skraju miasta, straszliwe ultimatum doktor Cable. Tally czuła się, jakby skomplikowany numer paskudnie nie wypalił i otworzyła się przed nią nowa, potworna rzeczywistość, pochłaniająca świat, który znała i rozumiała.

Pozostała jej tylko niewielka brezentowa torba, którą spakowała przed wyjazdem do szpitala. Nie pamiętała nawet, że ją tutaj przyniosła. Wyciągnęła na chybił trafił kilka ubrań i znalazła liścik Shay. Odczytała go, szukając wskazówek.

*Leć nad kolejką w rozpędzie za skok,
aż znajdziesz drugą, długą i płaską.
Strzeż się złamanych, nad morzem goń,
przy drugim straszny popelnij błąd.
I dalej prosto, cztery dni długie,
tę stronę wybierz, której nie lubisz.
W kwiatach owadzie oczy ogniste,
do rana czekaj na głowie tysej.*

Tally nie zrozumiała. Zaledwie kilka krótkich fragmentów miało jakiś sens. Shay najwyraźniej postanowiła ukryć znaczenie słów przed każdym, kto mógł je przeczytać, posługując się odniesieniami, które rozumiały tylko one. Teraz jej paranoja miała o wiele większy sens. Po spotkaniu z doktor Cable Tally pojęła, czemu David chciał utrzymać istnienie swego miasta — albo obozu czy co to było — w tajemnicy.

Trzymając w dłoni liścik, uświadomiła sobie, że to właśnie chciała dostać doktor Cable. Kobieta cały czas miała ten list niemal w zasięgu ręki, ale nie zadała sobie nawet trudu, by przeszukać Tally. To zaś znaczyło, że Tally dochowała sekretu Shay i dysponowała pewną kartą przetargową.

Znaczyło też, że Wyjątkowe Okoliczności popełniają czasem błędy.

*

**

Przed lunchem Tally zobaczyła wracających do domu brzydkich. Wysypując się ze szkolnego transportowca, część z nich wyciągała szyje, gapiąc się w jej okno. Paru wskazało ją nawet ręką, nim cofnęła się szybko w cień. W kilka minut później usłyszała dzieci na zewnątrz. Mijając jej drzwi, milkły; kilkoro zachichotało, jak czasem nowi brzydcy próbujący zachować ciszę.

Czyżby się z niej śmiali?

Burczenie w brzuchu przypomniało Tally, że nie jadła śniadania ani kolacji poprzedniego dnia. Przed operacją obowiązywał szesnastogodzinny post. Umierała z głodu.

Została jednak w pokoju do końca lunchu. Nie potrafiła zjawić się w stołówce pełnej brzydkich obserwujących każdy jej ruch, zastanawiających się, co zrobiła, by zasłużyć sobie na wciąż brzydką twarz. Gdy nie była w stanie dłużej znieść głodu, zakradła się na górę, na dach, gdzie zostawiano resztki dla każdego, kto miał na nie ochotę.

Paru brzydkich dostrzegło ją na korytarzu. Zatrzymali się i odstępili na bok, gdy ich mijala, jakby cierpiała na niebezpieczną, zakaźną chorobę. Co powiedzieli im opiekunowie? Ze wymyśliła zbyt wiele numerów, że nie nadaje się do operacji i że do końca życia pozostanie brzydka? A może, że to Wyjątkowe Okoliczności?

Wszędzie gdzie się pojawiała, obecni odwracali wzrok, ale nadal czuła się okropnie na widoku.

Na dachu przygotowano dla niej talerz owinięty folią z nalepionym nazwiskiem. Ktoś zauważył, że nic nie zjadła, i oczywiście wszyscy się zorientowali, że się ukrywa.

I właśnie widok samotnego talerza pełnego oklapłego, przywiedłego jedzenia sprawił, że do oczu napłynęły jej wstrzymywane dotąd łzy. Piekło ją gardło, zupełnie jakby połknęła coś ostrego. Odwróciła się i pobiegła do pokoju, gdzie wybuchnęła głośnym, bolesnym płaczem.

Zamknawszy za sobą drzwi, Tally uświadomiła sobie, że nie zapomniała zabrać talerza. Jadła płacząc, i z każdym kęsem połykała gorzkie, słone łzy.

*

**

Godzinę później przyjechali jej rodzice.

Ellie pierwsza wmaszerowała do pokoju, chwytając Tally w objęcia tak mocno, że podniosła ją z ziemi i wycisnęła powietrze z płuc.

— Tally, moje biedactwo!

— Nie zrób krzywdy małej, Ellie. Miała ciężki dzień.

Nawet bez tlenu dobrze było poczuć ten miazdzący uścisk.

Ellie zawsze pachniała jak należy, jak mama, i Tally czuła się w jej ramionach maleńka. Uwolniona po długiej, lecz i tak za krótkiej chwili, cofnęła się o krok; miała nadzieję, że nie zacznie płakać. Spojrzała niemądrze na swych rodziców, zastanawiając się, co sobie myślą. Czuła się okropnie, jakby ich

Zawiodła.

— Nie wiedziałam, że przyjedziecie.

— Oczywiście, że przyjechaliśmy — odparła Ellie.

Sol pokręcił głową.

— Nigdy nie słyszałem, by doszło do czegoś podobnego. To śmieszne. Nie martw się, razem jakoś to załatwimy!

Tally poczuła się, jakby z ramion spadł jej wielki ciężar. W końcu miała kogoś po swojej stronie. W ślicznych oczach ojca dostrzegła spokojne zdecydowanie. Ani przez moment nie wątpiła, że Sol wszystko naprawi.

— Co wam powiedzieli? — spytała.

Ojciec machnął ręką i Tally usiadła na łóżku. Ellie usadowiła się obok, on tymczasem przechadzał się tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu.

— Cóż, opowiedzieli nam o tej twojej Shay. Niezłych napytała sobie kłopotów.

— Sol! — przerwała mu Ellie. — Biedaczka zaginęła.

— Wygląda na to, że sama tego chciała.

Matka milczała, zaciskając usta.

— To nie jej wina, Sol — powiedziała Tally. — Po prostu nie chciała stać się śliczna.

— A zatem jest osobą niezależną. Świetnie, ale powinna mieć dość rozsądku, by nie pociągać za sobą innych.

— Nigdzie mnie nie pociągnęła, wciąż jestem tutaj. — Tally wyrzała przez okno na znajomą panoramę Miasta Nowych Ślicznych. -I najwyraźniej zostanę tu na zawsze.

— Nie mów tak — odparła Ellie. — Powiedzieli, że kiedy pomożesz im znaleźć tę Shay, wszystko potoczy się tak jak powinno.

— Nawet jeśli operacja opóźni się o parę dni, nic się nie stanie. A potem będziesz miała świetną historię do opowiadania. — Sol zachichotał.

Tally przygryzła wargę.

— Nie wydaje mi się, żebym mogła im pomóc.

— Po prostu postaraj się, jak umiesz — podsunęła Ellie.

— Ale ja nie mogę. To znaczy obiecałam Shay, że nikomu nie zdradzę jej planów. Przez chwilę wszyscy milczeli.

Sol usiadł, ujął jej dłoń. Miał takie ciepłe, silne ręce, pomarszczone jak u staryka po pracy w warsztacie. Tally nagle uświadomiła sobie, że nie odwiedzała rodziców od czasu wakacji, kiedy spędziła u nich tydzień i przez cały czas nie mogła się doczekać powrotu do Shay. Dobrze było znów ich zobaczyć.

— Tally, w dzieciństwie wszyscy składamy różne obietnice, to część bycia brzydkim — wszystko jest fascynujące, ważne, porywające. Ale w końcu musisz z tego wyrosnąć. Nie jesteś jej przecież nic winna. Shay jedynie narobiła ci kłopotów.

Ellie uścisnęła jej drugą dłoń.

— No i przecież tylko jej pomożesz. Kto wie, gdzie po— dziewa się teraz i co się z nią dzieje. Dziwię się, że w ogóle pozwoliłaś jej uciec. Nie wiesz, jak niebezpiecznie jest poza miastem?

Tally odkryła, że kiwa głową. Gdy patrzyła w twarze Sola i Ellie, wszystko wydawało jej się takie proste. Może współpracując z doktor Cable, naprawdę pomoże Shay? I oczywiście samej sobie. Lecz myśl o doktor Cable sprawiła, że się wzdrygnęła.

— Trzeba było widzieć tych ludzi. Tych badających sprawę zniknięcia Shay. Wyglądają jak...

Sol roześmiał się.

— No tak, w twoim wieku to pewnie był szok. Ale oczywiście my, starsi, wiemy wszystko o Wyjątkowych Okolicznościach. Owszem, są twardzi, ale robią tylko to, co do nich należy. Taki już mamy świat.

Tally westchnęła. Być może upierała się tylko dlatego, że okrutni śliczni tak bardzo ją wystraszyli.

— Spotkaliście ich kiedyś? Nie mogłam uwierzyć, że tak wyglądają.

Ellie zmarszczyła brwi.

— Nie pamiętam, żebym kiedyś z jakimś rozmawiała.

Sol zastanawiał się przez chwilę, w końcu wybuchnął śmiechem.

— Nie chciałabyś spotkać któregoś z nich, Ellie. A ty, Tally, jeśli teraz zrobisz to co trzeba, pewnie nigdy już ich nie ujrzysz. Lepiej trzymać się z dala od takich spraw.

Tally spojrzała na ojca i przez moment w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś jeszcze prócz mądrości i pewności siebie. Sol niemal zbyt nonszalancko wyśmiał Wyjątkowe Okoliczności, lekceważąc wszystko, co działo się poza miastem.

Po raz pierwszy w życiu stwierdziła, że słucha średniego ślicznego i nie do końca mu wierzy, i od tego odkrycia zrobiło jej się słabo. Nie potrafiła też pozbyć się wrażenia, że Sol nie ma pojęcia o świecie zewnętrznym, do którego uciekła Shay.

Może większość ludzi po prostu nie chce wiedzieć. Na lekcjach historii uczono ją wszystkiego o Rdzawcach i dawnych czasach, ale ani słowem nie wspomiano o ludziach żyjących obecnie poza miastem, takich jak David. Do czasu spotkania z Shay Tally też nigdy o nich nie myślała.

Nie potrafiła jednak zlekceważyć tego wszystkiego, tak jak to uczynił ojciec.

A poza tym złożyła Shay uroczystą obietnicę. Nawet dla brzydkich słowo to jednak słowo.

— Posłuchajcie, będę musiała się nad tym zastanowić.

W pokoju zapadła na chwilę niezręczna cisza. Wyraźnie powiedziała coś, czego nie oczekiwali.

A potem Ellie zaśmiała się i poklepała ją po ręce.

— Ależ oczywiście, Tally.

Sol przytaknął, znów panując nad sytuacją.

— Wiemy, że postąpisz właściwie.

— Jasne. Ale tymczasem — zagadnęła Tally — czy mogłabym wrócić z wami do domu?

Rodzice ponownie spojrzeli na siebie, zaskoczeni.

— Teraz jest tu naprawdę dziwnie. Wszyscy wiedzą, że... nie mam już żadnych zajęć, więc zupełnie jakbym przyjechała na jesienne ferie, tyle że trochę wcześniej.

Sol pierwszy doszedł do siebie i poklepał ją po ramieniu.

— Tally, nie sądzisz, że w Starykowie czułabyś się jeszcze dziwniej? O tej porze roku nie ma tam żadnych dzieci.

— Tak, lepiej ci będzie tutaj z innymi, skarbie — dodała Ellie. — Jesteś zaledwie o kilka miesięcy starsza od niektórych z nich. A poza tym nie przygotowaliśmy twojego pokoju!

— Nie szkodzi. Nic nie może być gorsze niż siedzenie tutaj.

— Po prostu zamów trochę nowych ubrań i ustaw ekran tak, jak lubisz — zaproponował Sol.

— Nie chodzi mi o pokój...

— A poza tym — przerwała jej Ellie — po co to wszystko? Załatwisz to przecież błyskawicznie. Po prostu porozmawiaj z Wyjątkowymi Okolicznościami, powiedz im wszystko i trafisz tam, gdzie powinnaś się znaleźć.

Cała trójka spojrzała przez okno na wieże Miasta Nowych ślicznych.

— No... chyba tak.

— Kochanie — Ellie poklepała ją po nodze — czy masz inny wybór?

Za dnia ukrywała się w swoim pokoju.

Pokazywanie się gdziekolwiek było czystą torturą. Brzydcy z jej własnego domu traktowali ją jak chodzącą zarazę, a inni rozpoznając ją, wcześniej czy później zadawali zniechęcające pytanie.

— Czemu jeszcze nie jesteś śliczna?

Dziwne. Przez cztery lata była brzydka, lecz dopiero ostatnie dni w pełni uświadomiły jej, co dokładnie znaczy to słowo. Tally całymi godzinami gapiała się w lustro, dostrzegając każdą skazę, każdą niedoskonałość.

Jej wąskie wargi zaciskały się w nieszczęśliwym grymasie, włosy stawały jeszcze bardziej kędzierzawe, bo, sfrustrowana, nieustannie rozgarniała je dłońmi. Na czole wyrosły trzy wielkie pryszcze, jakby odliczały dni, które minęły od szesnastych urodzin. Wodniste, małe oczy patrzyły na nią pełne gniewu.

Tylko nocami wymykała się z maleńkiego pomieszczenia, uciekając przed nerwowymi spojrzeniami i swoją własną, brzydką twarzą.

Jak zwykle oszukiwała opiekunów i wykradała się przez okno, lecz nie miała ochoty na dawne numery. Nie było już kogo odwiedzać, komu płatać psikusów, a sama myśl o przeprawie przez rzekę sprawiała zbyt wielki ból. Na szczęście miała nową deskolotkę — oszukała ją tak, jak uczyła Shay, i przynajmniej mogła latać nocą.

Lecz latanie też nie było już takie jak kiedyś. Nie miała z kim się ścigać, noce robiły się zimne, a poza tym nieważne jak szybko frunęła, wciąż tkwiła w pułapce i doskonale o tym wiedziała.

Czwartej nocy swego wygnania poleciała aż do pasa zieleni na skraj miasta. Pędziła slalomem między ciemnymi kolumnami drzew tak szybko, że mijane gałęzie pozostawiały na jej rękach i twarzy dziesiątki skaleczeń i zadrapań.

Po kilku godzinach, gdy trawiący ją ból nieco stępsiał, Tally z radością coś sobie uświadomiła: nigdy dotąd nie latała tak dobrze. Teraz niemal dorównywała Shay. Deska ani razu nie zrzuciła jej za zbyt zbliżenie się do drzewa, a buty trzymały »ię antypoślizgowej powierzchni jak przyklejone. Mimo jesienno-chłodnego wiatru wkrótce oblała się potem. Latała, aż w końcu Ugięły się pod nią nogi, rozboleły kostki i ręce, które rozkładała niczym skrzydła, szybując przez ciemny las. Może jeśli polata tak całą noc, jutro zdoła przespać cały upiorny dzień.

Pędziła dalej, aż w końcu zmęczenie zmusiło ją do powrotu.

Gdy o świcie wdrapała się przez okno do swego pokoju, ktoś na nią czekał.

— Peris!

Jego oblicze rozjaśnił promienny uśmiech, wielkie oczy rozbłysły cudownie w słabym świetle poranka. Gdy jednak przyjrzał jej się bliżej, spoważniał.

— Co się stało z twoją twarzą, Zyzolu?

Tally zamrugła.

— Nie słyszałeś? Nie chcieli mnie zoper...

— Nie to. — Peris dotknął jej policzka, który aż zapiekł. — Wyglądasz, jakbyś całą noc żonglowała kotami.

— A, to! — Tally przeczesła dłonią włosy i zaczęła grzebać w szufladzie. Wyciągnęła spray leczniczy, zamknęła oczy i psiknęła sobie prosto w twarz. — Au — pisnęła, nim po kilku sekundach zadziałało znieczulenie. Potem spryskała także podrapane ręce. — To tylko ślady latania po północy.

— I to sporo po północy, nie sądzisz?

Za oknem słońce zaczynało powlekać różowością wieże Miasta Nowych Ślicznych. Różowością kocich wymiocin. Tally spojrzała na Perisa, wyczerpana, oszołomiona.

— Jak długo czekasz?

Poruszył się niezręcznie na krześle przy oknie.

— Dość długo.

— Przepraszam, nie wiedziałam, że się zjawisz.

Uniósł brwi w uroczym grymasie.

— Oczywiście, że się zjawiłem. Przyleciałem, kiedy tylko zorientowałem się, gdzie jesteś.

Tally odwróciła się i rozsznurowując buty próbowała się opanować. Od dnia urodzin czuła się taka opuszczona, że nie przyszło jej nawet do głowy, iż Peris chciałby się z nią zobaczyć, zwłaszcza tu, w Brzydaluwie. A jednak siedział teraz przed nią, zatroskany, niespokojny, cudowny.

— Dobrze cię widzieć.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Zresztą w ostatnich dniach cały czas miała czerwone, opuchnięte powieki.

Posłał jej promienny uśmiech.

— Ciebie też.

Myśl o tym, jak musi wyglądać w jego oczach, przeważyla szalę. Tally padła na łóżko, ukryła twarz w dłoniach i wy— buchnęła płaczem. Peris usiadł obok, przytulił ją, gdy płaka— la, a potem wytarł jej nos i posadził siłą.

— Spójrz tylko na siebie, Tally Youngblood.

Pokręciła głową.

— Proszę, nie.

— Wyglądasz strasznie! — Znalazł szczotkę i rozczesał jej włosy. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, toteż wbijała wzrok w ziemię. — Zawsze latasz nocą przez mikser?

Znów pokręciła głową, muskając lekko palcem zadrapania na twarzy.

— Tylko przez gałęzie, z dużą szybkością.

— Ach tak. Zatem twój następny błyskotliwy numer to samobójstwo. Pewnie ma przebić ten najnowszy.

— Najnowsze co?

Peris wywrócił oczami.

— Numer, przez który jeszcze nie stałaś się śliczna. Bardzo tajemnicza sprawa.

— Tak, niezły numer.

— Odkąd zrobiłaś się taka skromna, Zyzolu? Wszyscy moi przyjaciele są zafascynowani.

Tally spojrzała zapuchniętymi oczami na Perisa, zastanawiając się, czy żartuje.

— Już po alarmie przeciwpożarowym opowiedziałem im o tobie, ale teraz nie mogą się wprost doczekać spotkania — ciągnął. — Krążą nawet pogłoski, że biorą w tym udział Wyjątkowe Okoliczności.

Tally zamrugła, Peris mówił poważnie.

— To prawda — odparła. — Dlatego właśnie wciąż jestem brzydka.

Wielkie oczy Perisa rozszerzyły się jeszcze bardziej.

— Naprawdę? To takie odlotowe.

Wyprostowała się i zmarszczyła czoło.

— Czy wszyscy prócz mnie o nich wiedzą?

— Ja też nie miałem pojęcia, o czym mowa. Najwyraźniej Wyjątkowi są jak gremliny, przypisuje się im wszystkie dziwne wydarzenia. Niektórzy uważają, że to czysty wymysł. Nikt z moich znajomych nigdy nie widział Wyjątkowego.

Tally westchnęła.

— Wygląda na to, że miałam więcej szczęścia.

— A zatem naprawdę istnieją? — Peris zniżył głos do szeptu. — I rzeczywiście wyglądają inaczej? No wiesz, nie są śliczni?

— To nie to, że nie są śliczni, Peris, ale... — Tally spojrzała na niego. Wyglądał cudownie, spijając każde słowo z jej ust. Wspaniale było siedzieć obok niego, rozmawiać, dotykać się, jakby nigdy się nie rozstali. Uśmiechnęła się. — Ale nie są tak śliczni jak ty.

Roześmiał się.

— Będziesz musiała opowiedzieć mi o nich wszystko, ale nie waż się mówić nikomu innemu. Jeszcze nie. Wszyscy będą okropnie zaintrygowani. Kiedy staniesz się śliczna, urządzimy wielgachną imprezę.

Spróbowała się uśmiechnąć.

— Peris...

— Wiem, pewnie nie powinnaś o tym mówić, ale kiedy już znajdziesz się za rzeką, po prostu rzuć słówko czy dwa 0 znajomym Wyjątkowym i zobaczysz, obsypią cię zaproszeniami! Pamiętaj tylko, żeby zabrać mnie ze sobą! — Przysunął lię bliżej. — Krążą plotki, że najpyszniejsze posady przypadają ludziom, którzy w dzieciństwie lubili poszaleć. Ale to dopiero daleka przyszłość. Najważniejsze, żebyś w końcu stała się śliczna.

— Peris — Tally poczuła nagły ból żołądka — nie wydaje mi lię, żebym...

— Spodoba ci się, Tally. Być ślicznym jest naprawdę super, ft będzie milion razy lepiej, kiedy do mnie dołączysz.

— Nie mogę.

Zmarszczył brwi.

— Czego nie możesz?

Tally spojrzała na niego, ściskając mu dłoń.

— Widzisz, oni chcą, żebym wygadała sekret przyjaciółki, dziewczyny, z którą byłam bardzo blisko. Kiedy odszedłeś.

— Wygadała? Nie mów mi, że tu chodzi o jakiś dziecinny numer.

— Mniej więcej.

— No to wygadaj. To przecież nic wielkiego.

Tally odwróciła głowę.

— To ważna sprawa, Peris, coś więcej niż numer. Obiecałam mojej przyjaciółce, że dochowam tajemnicy.

Jego oczy zwężyły się i przez moment przypominał dawnego Perisa: poważnego, rozsądnego, a nawet odrobinę niezadowolonego.

— Tally, mnie też coś obiecałaś.

Przełknęła ślinę i znów spojrzała na niego; w jego oczach błyszczały łzy.

— Obiecałaś mi, że nie zrobisz niczego głupiego, Tally, że wkrótce do mnie dołączysz, że razem będziemy śliczni.

Dotknęła blizny na swej dłoni, wciąż obecnej, mimo że ta na ręce Perisa zniknęła. Sięgnął ku niej i uściśnął jej palce.

— Przyjaciele na zawsze, Tally.

Wiedziała, że jeśli jeszcze raz spojrzy mu w oczy, to koniec. Jedno spojrzenie, a jej opór zniknie.

— Przyjaciele na zawsze? — powtórzyła.

— Na zawsze.

Odetchnęła głęboko i uniosła głowę. Peris wydawał sitaki smutny, kruchy, zraniony. Taki doskonały. Wyobraziła sobie siebie u jego boku, równie piękną, i ich życie, całe dnie rozmów, śmiechu, zabaw.

— Dotrzymasz obietnicy, Tally?

Po jej plecach przebiegi dreszcz ulgi i wyczerpania. Wreszcie miała pretekst pozwalający złamać słowo. Rzeczywiście złożyła obietnicę, nim jeszcze poznała Shay. Perisa знаła całe lata, Shay zaledwie parę miesięcy.

A poza tym był przy niej, nie gdzieś w głuszy, i patrzył na nią tymi oczami...

— Oczywiście.

— Naprawdę? — Uśmiechnął się i uśmiech ten zajaśniał niczym świt za oknem.

— Tak — teraz słowa przychodziły jej bardzo łatwo. — Postaram się tam znaleźć jak najszybciej, przyrzekam.

Westchnął i uściśnął ją mocno, kołysząc łagodnie. Do oczu znów napłynęły jej łzy.

Peris w końcu zwolnił uchwyt i zerknął za okno.

— Powiniennem już iść... — Machnął ręką w stronę drzwi. — No wiesz, nim ci... ci tam... się obudzą.

— Oczywiście.

— Zwykle kładę się o tej porze, a ciebie czeka wielki dzień.

Tally przytaknęła. Nigdy w życiu nie czuła się taka zmęczona. Bolały ją mięśnie, twarz i ręce zaczęły piec, lecz jednocześnie zalała ją fala ulgi. Koszmar zaczął się trzy miesiące temu, kiedy Peris trafił za rzekę. I wkrótce dobiegnie końca.

— Dobrze, Peris. Do zobaczenia wkrótce. Jak najszybciej.

Znów ją uściśnął i ucałował słone, podrapane policzki.

— Może już za parę dni — szepnął. — Czekam.

A potem pożegnał się i wyszedł, rozglądając się na boki. Tally wyjrzała przez okno, odprowadzając go wzrokiem, i odkryła, że czeka na niego lotowóz. Śliczni rzeczywiście dostawali wszystko, czego zapragnęli.

Teraz chciała jedynie pójść spać. Skoro jednak podjęła już decyzję, nie mogła zwlekać. Wiedziała, że po odejściu Perisa powrócą dawne wątpliwości. Nie zniosłaby kolejnego takiego dnia, dalszej niewiedzy, kiedy to piekło wśród brzydkich dobiegnie końca. A poza tym obiecała Perisowi, że dołączy do niego jak najszybciej.

— Przepraszam, Shay — powiedziała cicho.

A potem podniosła obrączkę interfejsową, całą noc leżącą na stoliku, i wsunęła ją na palec.

— Wiadomość dla doktor Cable czy kogoś tam — powiedziała do niej. — Zrobię to, czego ode mnie chcecie. Pozwólcie mi tylko się przespać. Koniec wiadomości.

Westchnęła i z powrotem padła na łóżko. Wiedziała, że przed snem powinna raz jeszcze spryskać skaleczenia, lecz, na samą myśl zabolęło ją całe ciało. Kilkadziesiąt zadrapań nie przeszkodzi jej we śnie. Nic jej nie przeszkodzi.

W parę sekund później pokój przemówił.

— Odpowiedź od doktor Cable: wysyłamy po ciebie wóz. Przybędzie za dwadzieścia minut.

— Nie — jęknęła, pojęła jednak, że dyskusje nie mają sensu. Wyjątkowe Okoliczności przybędą, obudzą ją i zabiorą.

Postanowiła, że spróbuje zdrzemnąć się choć parę chwil. Lepsze to niż nic.

Lecz przez dwadzieścia minut ani na sekundę nie zamknęła oczu.

W jej zmęczonych oczach okrutni śliczni wydawali się jeszcze bardziej upiorni. Tally czuła się jak mysz w klatce pełnej jastrzębi, czekająca, aż jeden z nich pomknie w dół i ją schwyta. Ten lot okazał się gorszy nawet niż poprzedni.

Skupiła się na ściskających gardło mdłościach, próbując zapomnieć, po co tu przybyła. Wędrując pod eskortą korytarzem, starała się wziąć w garść. Poprawiła koszulę, przyglądała włosy.

Doktor Cable nie wyglądała jak ktoś dopiero co zerwany z łóżka. Tally bez powodzenia próbowała wyobrazić ją sobie zaspaną. Przenikliwe, szare jak metal oczy sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie zamykały się na dość długo, by zasnąć.

— A zatem zmieniłaś zdanie?

— Tak.

— I odpowiesz na wszystkie nasze pytania szczerze, z własnej woli?

Tally parsknęła.

— Nie dałaś mi wyboru.

Doktor Cable uśmiechnęła się.

— Zawsze mamy wybór, Tally. Ty dokonałaś swojego.

— Super. Dzięki. Posłuchaj, po prostu zadaj swoje pytania.

— Oczywiście. Po pierwsze, co, u licha, stało się z twoją twarzą ?

Tally westchnęła, dotknęła lekko skaleczeń.

— Drzewa.

— Drzewa? — Doktor Cable uniosła brwi. — No dobrze, przejdźmy do ważniejszych spraw. O czym rozmawialiście z Shay, gdy widziałaś ją po raz ostatni?

Tally przymknęła oczy. Oto nadeszła chwila, w której złamie słowo dane Shay. Lecz cichy głosik szepczący w głębi wyczerpanego umysłu przypominał, że dzięki temu także dotrzyma słowa. Teraz w końcu będzie mogła dołączyć do Perisa.

— Opowiadała o tym, że zamierza odejść, uciec z kimś, kogo nazywała Davidem.

— A tak, tajemniczy David. — Doktor Cable odchyliła się na krześle. — A czy wspominała, dokąd udadzą się z Davidem?

— Do miejsca, które nazywała Dymem. To podobno coś jak miasto, tyle że mniejsze i nikt tam nie rządzi. I nikt nie jest śliczny.

— Powiedziała, gdzie to jest?

— Tak naprawdę to nie. — Tally westchnęła i wyciągnęła z kieszeni zgnieciony liścik od Shay. — Ale zostawiła mi te wskazówki.

Doktor Cable nie zerknęła nawet na kartkę. Zamiast tego przesunęła po blacie kawałek papieru. Tally, mrugając piekącymi oczami, przekonała się, że to trójwymiarowa kopia liściku, idealnie wierna, odwzorowująca nawet lekkie wgłębienia pozostawione na papierze przez długopis Shay.

— Pozwoliliśmy sobie to skopiować, kiedy byłaś tu poprzednio.

Tally spojrzała gniewnie na doktor Cable, pojmując, że ta ją oszukała.

— Do czego więc byłam wam potrzebna? Nie wiem nic poza tym, co już powiedziałam, nie prosiłam, by opowiedziała mi coś więcej, i nie zgodziłam się z nią odejść, bo chciałam... tylko... stać się śliczna!

Rozpacz ścisnęła jej gardło, lecz postanowiła, że w żadnych okolicznościach — wyjątkowych czy nie — nie rozplacze się w obecności doktor Cable.

— Obawiam się, że instrukcje zawarte w tym liście są dla nas mało zrozumiałe, Tally.

— Dla was i dla mnie.

Jastrzębie oczy doktor Cable zwięzły się.

— Najwyraźniej zostały pomyślane tak, aby ktoś znający dobrze Shay zdołał je odczytać. Może ktoś taki jak ty.

— Pierwszy kawałek częściowo rozumiem, ale po paru liniijkach też się pogubiłam.

— Na pewno to bardzo trudne, zwłaszcza po długiej nocy pełnej... drzew. Nadal jednak uważam, że możesz nam pomóc.

Doktor Cable otworzyła leżącą na biurku niewielką teczkę. Zmęczony mózg Tally próbował rozumieć, co widzi. Za— palacz, zwinięty śpiwór...

— To zupełnie jak zestaw przetrwania, który miała Shay!

— Zgadza się, Tally. Zestawy od czasu do czasu giną, zwykle mniej więcej wtedy, gdy znika któreś z was, brzydkich.

— Czyli tajemnica się wyjaśniła. Shay przygotowała się do wyprawy do Dymu.

— Co jeszcze miała?

Tally wzruszyła ramionami.

— Deskolotkę, specjalną, z baterią słoneczną.

— Oczywiście, deskolotkę. Czemu wy, małe łobuzy, tak uwielbiacie deskolotki? Orientujesz się może, co zamierzała jeść po drodze?

— Miała opakowania prowiantu. Liofilizowanego.

— Takie? — Doktor Cable uniosła srebrną torebkę.

— Tak, dość na cztery tygodnie. — Tally odetchnęła głęboko. — Na dwa tygodnie, gdybym poszła z nią. Powiedziała, że wystarczy aż nadto.

— Dwa tygodnie? A więc nie może być zbyt daleko. — Kobieta wyciągnęła zza biurka czarny plecak i zaczęła pakować do niego najróżniejsze przedmioty. — Może ci się udać.

— Udać? Ale co?

— Wyprawa. Do Dymu.

— Mnie?

— Tally, tylko ty rozumiesz te wskazówki.

— Powiedziałam już, że nie wiem, co znaczą.

— Ale dowiesz się, kiedy wyruszysz w drogę. Przy... odpowiedniej motywacji.

— Ale przecież powiedziałam już wszystko, co chciałaś wiedzieć! Oddałam ci list! Obiecałaś!

Doktor Cable pokręciła głową.

— Obiecałam ci, Tally, że nie staniesz się śliczna, póki nie dołożysz wszelkich starań, by nam pomóc. Uważam, że możesz postarać się bardziej.

— Ale czemu ja?

— Posłuchaj mnie uważnie. Naprawdę sądzisz, że po raz pierwszy usłyszeliśmy o Davidzie? Albo o Dymie?

Tally wzdrygnęła się na dźwięk owego ostrego jak brzytwa głosu. Odwróciła się, nie chcąc patrzeć na stężałą w gniewie okrutną twarz.

— Już to wszystko wiedzieliśmy, ale kiedy tam wyruszamy, niczego nie znajdujemy. To prawdziwy Dym.

Tally znów poczuła ściskanie w gardle.

— W takim razie jak ja mam coś znaleźć?

Doktor Cable przysunęła do siebie kopię listu Shay.

— Ostatnia linijka „czekaj na głowie łysej” wyraźnie opisuje punkt spotkania. Musisz tam dotrzeć i zaczekać. Wcześniej czy później cię zabrają. Gdybym posłała lotowóz pełen Wyjątkowych, twoi przyjaciele mogliby się zrobić podejrzliwi.

— To znaczy, że mam iść sama?

Doktor Cable odetchnęła głęboko, krzywiąc się z niesmakiem.

— To nie jest zbyt skomplikowane, Tally. Zmieniłaś zdanie, postanowiłaś uciec w ślad za swoją przyjaciółką Shay. Kolejna brzydka uciekająca przed tyranią urody.

Tally spojrzała przez wzbierające łzy na okrutną twarz rozmówczynie.

— A potem co?

Doktor Cable wyjęła z teczki kolejny przedmiot, naszyjnik z małym wisiorkiem w kształcie serca. Nacisnęła go z boków i serduszko otwarło się ze szczękiem.

— Zajrzyj do środka.

Tally uniosła wisiorek do oka.

— Nic nie widzę... au!

Wisiołek błysnął, oślepiając ją na moment. Serce pisnęło cichutko.

— Lokalizator zareaguje wyłącznie na wzór twojego oka, Tally. Po jego włączeniu zjawimy się w ciągu paru godzin, umiemy podróżować bardzo szybko. — Doktor Cable upuściła naszyjnik na biurko. — Ale nie uruchamiaj go, dopóki nie dotrzesz do Dymu. Przygotowania zabrały nam sporo czasu. Chcę mieć wyniki, Tally.

Tally zamrugała oślepionym okiem, próbując zmusić wyczerpany mózg do pracy. Pojęła nagle, że wcale nie chodziło o odpowiedzi na kilka prostych pytań. Od początku pragnęli zrobić z niej szpiega, infiltratorkę. Zastanawiała się, od jak dawna to planowali. Ile razy wcześniej Wyjątkowe Okoliczności usiłowały zmusić do współpracy kogoś z brzydkich.

— Nie mogę tego zrobić.

— Możesz. Musisz. Myśl o tym jak o przygodzie.

— Proszę. Nigdy nie spędziłam poza miastem nawet jednej nocy. Nie sama.

Doktor Cable zignorowała nagły szloch, który wymknął się z ust Tally.

— Jeśli nie zgodzisz się w tej chwili, znajdę kogoś innego, a ty na zawsze zostaniesz brzydka.

Tally uniosła głowę, próbując przez płynące ciurkiem łzy przeniknąć wzrokiem okrutną maskę doktor Cable i odnaleźć prawdę. Dostrzegła ją w owych matowych, szarych jak stal oczach — zimną, straszliwą determinację, na jaką nie zdobyłby się żaden zwykły śliczny. Zrozumiała, że ta kobieta mówi poważnie.

Mogła albo dotrzeć do Dymu i zdradzić Shay, albo do końca życia zostać brzydka.

— Muszę się zastanowić.

— Powiesz im, że uciekłaś w nocy przed urodzinami — odparła doktor Cable. — To znaczy, że masz już cztery dni opóźnienia. Jeszcze trochę i ci nie uwierzą, domyślą się, co się stało. Decyduj od razu.

— Nie mogę. Jestem zbyt zmęczona.

Doktor Cable wskazała ręką ekran ścienny, na którym pojawił się obraz. Jak w lustrze, tyle że w zbliżeniu, widniała na nim Tally. Zapuchnięte oczy, ślady łez, zmęczenie i czerwone zadrapania. Włosy sterczące na wszystkie strony i wykrzywająca rysy groza na widok własnego oblicza.

— To ty, Tally. Na zawsze.

— Wyłącz to.

— Zdecyduj.

— W porządku, zgadzam się. Wyłącz to.

Ekran pociemniał.

Część II

DYM

*Nie ma piękności tak doskonałej,
iżby nie było w niej jakiejś nieprawidłowości
w proporcjach.*

Francis Bacon, *Eseje*, tł. Czesław Znamierowski

Tally wyruszyła w drogę o północy.

Doktor Cable zażądała, by nikt nie wiedział o jej misji, nawet opiekunowie domu. Peris mógł sobie plotkować — nikt i tak nie wierzył w plotki nowych ślicznych. Lecz nawet rodzice nie zostaną oficjalnie poinformowani, że ich córkę zmuszono do ucieczki. Pomijając wisiołek z serduszkami, była sama.

Wymknęła się z pokoju jak zwykle, przez okno i dalej za recyklerem. Obrączka interfejsowa pozostała na stoliku przy łóżku. Tally miała przy sobie jedynie plecak i list Shay. O mało nie zapomniała o czujniku, przypięła go jednak do kolczyka w pępku tuż przed wyjściem. Na niebie lśniła połówka tarczy księżyca, zbliżała się pełnia. Przynajmniej Tally nie musiała obawiać się ciemności.

Obok tamy czekała na nią specjalna deska długodystansowa. Prawie nie zareagowała, gdy Tally na nią wskoczyła. Większość desek chybotą się lekko, przystosowując się do ciężaru pasażera, sprężynowała niczym trampolina. Ta jednak pozostała nieruchoma. Tally pstryknęła palcami i deska uniosła się — spokojna, niewzruszona.

Nieźle, mruknęła Tally i przygryzła wargę.

Od ucieczki Shay dziesięć dni temu zaczęła mówić do siebie. To kiepski znak. Przez następnych parę dni będzie zupełnie sama. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były wymyślone rozmowy.

Deska gładko ruszyła naprzód, wznosząc się i przelatując nad tamą. Gdy znalazła się nad rzeką, Tally przyspieszyła, pochylając się do przodu. Woda pod jej stopami zamieniła się w rozmazaną srebrzystą plamę. W deskę najwyraźniej nie wbudowano ogranicznika prędkości; nie usłyszała sygnału ostrzegawczego. Ograniczały ją jedynie otwarta przestrzeń, metal w ziemi i stopy opierające się na powierzchni deski. Jeśli miała nadrobić stratę czterech dni, musiała utrzymać dużą szybkość. Gdyby zjawiała się za późno, Shay mogłaby się zorientować, że wstrzymano jej operację. A stąd już tylko krok do odgadnięcia, że Tally nie jest zwykłą uciekiniarką.

Rzeka mknęła w dół, coraz szybciej i szybciej. Tally w rekordowym czasie dotarła do bystrzyn. Nad pierwszą kataraktą krople wody uderzyły ją niczym gradowe kulki. Odchyliła się, zwalniając lekko, nadal jednak pokonywała trasę szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

Wkrótce zorientowała się, że ta deskolotka nie jest zwykłą zabawką brzydkich. To było naprawdę coś. Z przodu połyskiwał półokrąg lampek połączonych z wykrywaczem metalu, cały czas przeszukującym grunt przed nimi i sprawdzającym,

czy jest w nim dość żelaza, by pozostać w powietrzu. Podczas przeprawy przez bystrzyny światełka płonęły jasno i Tally miała nadzieję, że Shay nie myliła się co do złóż metalu w każdej rzece. W przeciwnym razie podróż mogła okazać się bardzo długa.

Oczywiście przy tej prędkości nie zdążyłaby się zatrzymać, gdyby lampki nagle zgasły, przez co podróż mogła okazać się bardzo krótka.

Lecz czujniki wciąż się świeciły, a ryk białej wody, rozbryzgi zimnej piany i podniecenie towarzyszące pokonywaniu kolejnych ostrych zakrętów w rozświetlonej blaskiem księżyca ciemności ukończyły nieco zszargane nerwy Tally. Deska okazała się mądrzejsza niż jej poprzedniczka: zaledwie w parę minut nauczyła się wszystkich niezbędnych ruchów. Przypominało to całkiem przejście z trójkołowego rowerka na motor: straszne, ale ekscytujące.

Tally zastanawiała się, czy podczas podróży do Dymu będzie musiała pokonać wiele bystrzyn. Może to naprawdę okaże się przygodą? Oczywiście na końcu czekała zdrada albo, co jeszcze gorsze, być może odkryje, że Shay niesłusznie zaufała Davidowi, a to może znaczyć... wszystko. Pewnie coś okropnego.

Zadrżała i postanowiła, że nie będzie więcej myśleć o tej ewentualności.

Gdy dotarła do miejsca zejścia na ląd, zwolniła i zawróciła na moment, by po raz ostatni spojrzeć na miasto lśniące jasno w ciemnej dolinie, tak odległe, że mogła zasłonić je jedną dłonią. W czystym, nocnym powietrzu widziała pojedyncze fajerwerki rozkwitające niczym ogniste kwiaty w cudownej miniaturze. Otaczająca ją głusza wydawała się znacznie większa, wzburzona rzeka kipiała mocą, las skrywał w swej czarnej głębinie niezliczone tajemnice.

Tally długą chwilę wpatrywała się w światła miasta. W końcu zeszła na brzeg, zastanawiając się, kiedy ponownie ujrzy swój dom.

*

**

Na szlaku myślała o tym, czy często będzie musiała maszerować pieszo. Nigdy wcześniej nie leciała tak szybko jak do bystrzyn, nawet w lotowozie Wyjątkowych Okoliczności, który mknął pośród miejskiego ruchu, i po tym pędzie, dźwigając plecak i deskę, czuła się, jakby ktoś zamienił ją w ślimaka.

Wkrótce jednak w dole pojawiły się Rdzawe Ruiny i wykrywacz wbudowany w deskę doprowadził Tally do naturalnego złoża żelaza. Przeleciała wzdłuż niego w stronę zrujnowanych wieżowców, czując narastający strach w miarę, jak ruiny rosły w oczach, przesłaniając niebo i księżyc. Wkrótce otoczyły ją sypiące się budynki, w dole migały spalone, milczące wozy. Zerkając przez puste okna, przypomniawszy sobie, że jest sama — samotny wędrowiec w pustym mieście.

— „Leć nad kolejką w rozpędzie za skok” — powiedziała na głos, próbując przegnać duchy Rdzawców.

Przynajmniej ta część wskazówek była jasna. „Kolejka” musiała oznaczać kolejkę górską.

Gdy wyniosłe ruiny ustąpiły miejsca płaskim terenom, Tally rozpędziła deskę. Dotarwszy do kolejki górskiej, pokonała ją z pełną prędkością. Być może „za skok” stanowiło jedyną istotną część wskazówki, postanowiła jednak traktować cały list jak magiczne zaklęcie i trzymać się go ściśle co do joty.

Poza tym dobrze było znów lecieć szybko, pozostawiając w tyle duchy Rdzawych Ruin. Gdy pokonywała kolejne ostre zakręty i strome odcinki, a świat wirował wokół niej, Tally czuła się jak drobinka porwana wiatrem, niepewna, dokąd ją w końcu zaniecie.

Kilka sekund przed skokiem przez wyrwę lampki wykrywacza metalu zgasły, deska runęła w dół. Tally miała wrażenie, że jej żołądek uczynił to samo, pozostawiając pustkę wewnątrz ciała. Sprawdziły się jej obawy — przy dużej szybkości ostrzeżenie przychodziło zbyt późno. Leciała w ciszy i ciemności, słysząc jedynie świst powietrza w uszach. Przypomniała sobie swój pierwszy raz i to, jak bardzo się wściekła. W kilka dni później cała sprawa stała się jedynie żartem, typowym wybrykiem brzydkich. Teraz jednak Shay znów to zrobiła: zniknęła niczym tory w dole, pozostawiając spadającą bezradnie Tally.

Zdołała doliczyć do pięciu i lampki znowu rozbłysły, a bransolety przytrzymały ją w powietrzu. Deska uniosła się i zatrzymała pewnie pod stopami. U stóp wzgórza kolejka skręciła, wspinając się długim korkociągiem. Lecz Tally nie zwolniła i nadal mknęła naprzód, mamrocząc pod nosem „w rozpędzie za skok”.

Pod stopami wciąż miała ruiny. W tym miejscu niemal zupełnie przesłaniał je gęszcz roślinności, tylko od czasu do czasu dostrzegała wśród niego bezkształtne bryły. Jednak Rdzawcy wznosili solidne budowle, z upodobaniem marnotrawiąc metal na ich szkielety. Lampki z przodu deski płonęły jasnym światłem.

Aż znajdziesz drugą, długą i płaską”, powiedziała do
bie Tally. Nauczyła się listu na pamięć, lecz powtarzanie słów wcale nie pomogło ich zrozumieć.

Pytanie brzmiało: drugą co? Kolejkę? Niemożliwe. Długa i płaska kolejka górska nie miała przecież sensu. Więc co:

Długą płaską dziurę? Może to opis wąwozu z płynącą na dnie rzeką? Ale jakim cudem wąwóz mógł być płaski?

Może „druga” to aluzja do liczby? Czy powinna szukać czegoś, co kształtem przypomina dwójkę? Ale to nonsens.

Co jeszcze może być drugie:

— Dzięki za świetną wskazówkę, Shay — powiedziała na głos Tally.

Tu, pośród szczątków ruin, gdzie pamiątki po Rdzawcach walczyły z naporem dławiącej roślinności, mówienie do siebie nie wydawało się jej wcale takie głupie. Wszystko było lepsze niż ta upiorna cisza. Zostawiała za sobą betono

we równiny, w ich szczelinach wyrastała trawa. Okna ze zwałonych ścian patrzyły na nią, zupełnie jakby w ziemi wyrosły oczy.

Przebiegała wzrokiem horyzont w poszukiwaniu wskazówek, nie dostrzegła jednak niczego długiego i płaskiego. Wpatrując się w ziemię, widziała jedynie gąszcz roślin i ciemność. Być może przeleciała już nad tym, co wskazywał wierszyk, i będzie musiała wrócić tu za dnia. Ale skąd ma wiedzieć, czy doleciała za daleko?

— Dzięki, Shay — powtórzyła.

I wtedy zauważyła coś na ziemi i zatrzymała się.

Spod całunu roślin i gruzów wyglądały geometryczne kształty — seria ułożonych w rzędzie prostokątów. Zniżając lot, przekonała się, że są to metalowe szyny i drewniane podkłady — podobne do kolejki górskiej, lecz znacznie szersze. Biegły w linii prostej jak okiem sięgnąć.

„Leć nad kolejką w rozpędzie za skok, aż znajdziesz drugą, długą i płaską”.

To była kolejka górską, tyle że długa i płaska.

— Ale do czego służy? — zastanawiała się na głos Tally. — Co to za zabawa lecieć kolejką górską bez zwrotów i spadków?

Wzruszyła ramionami. Może i Rdzawcy mieli dziwne upodobania do zabawy, ale przynajmniej to coś idealnie nadawało się dla deski. Tory ciągnęły się w obie strony, łatwo jednak zorientowała się, w którą ma lecieć, z jednej strony wiodły bowiem tam, skąd przyleciała, ku sercu ruin. Druga część ciągnęła się naprzód, na północ, ku morzu.

— „Nad morzem goń” — zacytowała z następnej linijki listu, zastanawiając się, jak daleko na północ ma lecieć.

Tally rozpędziła deskę, zadowolona, że udało jej się znaleźć odpowiedź. Jeśli wszystkie zagadki Shay okażą się równie łatwe, cała podróż będzie aż nazbyt prosta.

Tej nocy pokonała sporą część trasy.

Szlak ciągnął się pod nią, szerokimi łukami okrążając wzgórza, przecinając rzeki na rozsypanych się mostach i cały czas zmierzając w stronę morza. Dwukrotnie przeprowadził ją przez kolejne ruiny Rdzawców, mniejsze miasta, w których proces zniszczenia zaszedł znacznie dalej, pozostawiając tylko kilka poskręcanych, metalowych konstrukcji wyrastających ponad drzewa niczym palce szkieletu rozpaczliwie chwytające powietrze. Wszędzie walały się wypalone ziemiowozy, które blokowały ulice miasta; porozbijane i zmiżdżone w kolizjach, świadczyły dobitnie o ostatniej panice Rdzawców.

W pobliżu centrum jednego ze zrujnowanych miast odkryła, do czego służyła długa i płaska kolejka górską. Pośród płataniny torów podobnej do skomplikowanej sieci obwodów dostrzegła kilka rozpadających się wagonów, wielkich pojemników na kołach, pełnych rzeczy, na których zależało Rdzawcom, niezidentyfikowanych stosów rdzy i plastiku. Widząc to wszystko, Tally przypomniała sobie, że miasta Rdzawców nie były samowystarczalne i stale wymieniały się między sobą — oczywiście gdy nie walczyły o różne rzeczy. Płakała — kolejka górską musiała służyć do przewożenia towarów z miasta do miasta.

Gdy niebo zaczęło jaśnieć, usłyszała w dali szum morza — cichy, miarowy dźwięk, dobiegający spoza horyzontu. W powietrzu czuła woń soli przywołującą wspomnienia z wypraw nad ocean z Ellie i Solem, gdy była maluchem.

„Strzeż się złamanych, nad morzem goń” — pisała Shay w swym liściku. Wkrótce Tally ujrzy fale załamujące się na brzegu. Może była już blisko następnej wskazówki.

Zastanawiała się, ile czasu nadrobiła dzięki nowej deskolotce. Przyspieszyła, otulając się ciasno kurtką w barwach domu. Przed świtem robiło się bardzo zimno. Teraz tory wznosiły się powoli, przecinając formacje kredowych skał. Przypomniała sobie białe klify nad oceanem, otoczone rojem ptactwa gniazdującego w jaskiniach. Miała wrażenie, jakby od wycieczek z Solem i Ellie minęło sto lat. Czy istnieje jakakolwiek operacja, która mogłaby na zawsze cofnąć ją do tamtych czasów, sprawić, by znów stała się maluchem?

Nagle tuż przed nią otwarła się szczelina, której brzegi spinał ze sobą walący się most. W sekundę później Tally przekonała się, że most nie sięga na drugą stronę, a w dole nie płynie rzeka z osadami metalu. Przepaść wiodła wprost ku morzu.

Tally gwałtownie skręciła w poślizgu; siła hamowania sprawiła, że ugięły się pod nią kolana, a antypoślizgowe buty z piskiem przesunęły się po powierzchni deski. Jej ciało znalazło się w pozycji niemal równoległej do ziemi.

Ziemi jednak nie było.

Pod Tally otworzyła się głęboka przepaść, pęknięcie wyżłobione w klifach przez morze. Fale kotłowały się i rozbijały w ciasnym kanale, spienione grzywy lśniły w ciemności, głodny ryk echem odbijał się w uszach. Lampki wykrywacza metalu gasły kolejno, gdy Tally pozostawiła za sobą strzaskaną krawędź mostu.

Poczuła, jak deska chybotrze się i opada.

Przez głowę przemknęła jej myśl: gdyby teraz skoczyła, zdołałaby złapać drugi koniec pękniętego mostu. Ale wówczas deska runęłaby w przepaść, pozostawiając Tally bez środka transportu.

Deska w końcu zwolniła w powietrzu, jednak Tally wciąż opadała. Ostatnie podpory zwalonego mostu były teraz nad nią, poza zasięgiem. Deska zsuwała się w dół, lampki nadal gasły, w miarę jak magnesy wypadały z pola magnetycznego. Była za ciężka. Zsunęła z ramion plecak, gotowa cisnąć go w otchłań. Ale jak by bez niego przetrwała? Mogłaby jedynie wrócić do miasta po kolejne zapasy, co oznaczałoby stratę następnych dwóch dni.

Zimny wiatr znad oceanu wpadł do wąwozu, mroząc Tally do szpiku kości. Na rękach wystąpiła jej gęsia skórka.

Powiew jednak podtrzymał deskę, która przez krótką chwilę nie wznosiła się ani nie spadała. A potem znów zaczęła się zsuwać...

Tally wepchnęła dłonie do kieszeni i rozłożyła szeroko zgięte ręce, tworząc żagiel chwytający wiatr. Silniejszy powiew wydał kurtkę i lekko uniósł Tally, zmniejszając nacisk na deskę. Jedna z lampek zabłysła mocniej.

Niczym ptak z rozłożonymi skrzydłami zaczęła się wznosić.

Dźwigacze kolejno ożywały i w końcu deska zrównała się z drugim końcem mostu. Tally podprowadziła ją ostrożnie na brzeg przepaści i gdy znów znalazła się nad ziemią, jej ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Zeszła powoli na trzęsących się nogach.

— „Strzeż się złamanych, nad morzem goń” — powiedziała ochryple.

Jak mogła być tak głupia? Przyspieszyła, chociaż Shay ostrzegła ją w liście, by uważała.

Tally osunęła się na ziemię; ogarnęło ją nagle, przemożne zmęczenie. Umysł odtwarzał raz po raz ostatnią scenę — widok otwierającej się przepaści, fale w dole rozbijające się obojętnie na zębatych skałach. Ona także mogła tam być i objąć się o nie, aż w końcu nic by z niej nie zostało.

To właśnie głusza, rzekła w duchu. Każdy błąd ma tu poważne skutki.

*

**

Nim jeszcze serce Tally przestało tłuc się w piersi, przemówił żołądek.

Sięgnęła do plecaka i wyciągnęła oczyszczacz wody, który napelniła nad ostatnią rzeką. Teraz opróżniła błotołapkę; na ziemię wypłynęła łyżeczka brązowej, przefiltrowanej mazi.

— Błę — mruknęła Tally i uniosła wieczko, zaglądając do środka. Zawartość wydawała się czysta i pachniała jak woda.

Napiła się łąpczywie, większość jednak zachowała, aby przyrządzić obiad, czy raczej śniadanie. Nieważne. Zamierzała podróżować głównie nocą, tak by deska za dnia doładowywała się w promieniach słońca. W ten sposób nie marnowałyby zbyt wiele czasu.

Sięgnęła do wodoodpornej torebki i wyciągnęła na chybił trafił opakowanie z prowiantem.

„SpagBol”, odczytała etykietę i wzruszyła ramionami.

Po rozpakowaniu wyglądało to jak kłębek sztywnej włóczki wielkości palca. Wrzuciła go do oczyszczacza, który zbulgotał, gdy zawartość zawrzała.

Kiedy Tally uniosła głowę i spojrzała na jaśniejący horyzont, oczy otwały jej się szeroko. Nigdy wcześniej nie oglądała wschodu słońca poza miastem. Jak większość brzydkich rzadko czuwała o tej porze, a poza tym w mieście horyzont przytłaczała panorama Miasta Nowych Ślicznych. Widok prawdziwego świtu zdumiał ją.

Na niebie zapłonęła nagle luna pomarańcza i żółci, równie cudowna jak fajerwerki, lecz zmieniająca się w dostojnym, ledwie dostrzegalnym tempie. Takie właśnie było wszystko w głuszy, niebezpieczne albo piękne, albo jedno i drugie.

Oczyszczacz pisnął. Tally podniosła wieczko i zajrzała do środka. Czekał tam na nią makaron z czerwonym sosem i drobinami mięsa sojowego. Pachniał smakowicie. Ponownie zerknęła na etykietę.

SpagBol... Spaghetti bolognese.

W plecaku znalazła widelec i zaczęła zajadać z apetytem. W dole szumiały fale, pierwsze promienie słońca rozgrzewały Tally. To był jej najlepszy posiłek od bardzo, bardzo dawna.

W desce pozostało jeszcze trochę mocy, toteż po śniadaniu postanowiła ruszyć dalej. Raz jeszcze przeczytała pierwsze linijki listu Shay.

*Leć nad kolejką w rozpędzie za skok,
aż znajdziesz drugą, długą i płaską.
Strzeż się złamanych, nad morzem goń,
przy drugim straszny popelnij błąd.*

Jeśli „drugi” oznaczał drugi zniszczony most, to wołała natknąć się na niego za dnia. Gdyby dostrzegła dziurę sekundę za późno, sama zamieniłaby się w SpagBol w dole na skałach.

Lecz pierwszy problem stanowiła przeprawa przez szczelinę. Była znacznie szersza niż dziura w kolejce górskiej, zbyt szeroka, aby skoczyć. Pozostawało tylko obejście jej pieszo. Tally ruszyła w głąb łądu po ostrej trawie, zadowolona, że może rozprostować nogi po całonocnym locie. Wkrótce szczelina zamknęła się i godzinę później Tally znalazła się po drugiej stronie.

Teraz leciała znacznie wolniej, patrząc uważnie przed siebie. Od czasu do czasu ośmielała się szybko rozejrzeć.

Po prawej stronie wznosiły się góry, dość wysokie, aby ich wierzchołki już wczesną jesienią pokrywały śnieżne czapy. Tally zawsze uważała, że miasto jest wielkie, tworzy zamknięty świat. Lecz tutaj wszystko wydawało się niewyobrażalnie ogromne, i takie piękne. W końcu zrozumiała, czemu ludzie żyli kiedyś wśród dzikiej przyrody, mimo że nie mieli wież imprez ani rezydencji. Ani nawet wspólnych domów.

Wspomnienie domu uświadomiło Tally, jak bardzo jej obolałe mięśnie łakną gorącej kąpieli. Wyobraziła sobie olbrzymi;) wannę, jak te w Mieście Nowych Ślicznych, ze strumieniami wody i bulgoczącymi, masującymi bąbelkami. Zastanawiała się, czy oczyszczacz byłby w stanie zagrzać dość wody, by napełnić wannę, jeśli oczywiście — co mało prawdopodobne — zdołałaby jakąś znaleźć. Czy mieszkańcy Dymu w ogóle się kąpali? Ciekawe, jak będzie pachnieć, gdy tam trafi, po tylu dniach bez kąpieli. Czy w zestawie przetrwania było też mydło? Szampon? Z całą pewnością nie uwzględniał ręczników. Dotąd nie miała pojęcia, jak wielu rzeczy potrzebuje.

Druga dziura na trasie pojawiła się po godzinie: zwalony most nad rzeką spływającą z gór.

Tally zatrzymała się zręcznie i wyjrzała poza krawędź. Nie było aż tak wysoko jak poprzednio, ale nadal bardzo groźnie. Za szeroko, by skoczyć, a wędrówka wokół trwałaby wieki. Wąwóz rzeki ciągnął się w głąb łądu, w zasięgu wzroku nie dostrzegła żadnego łatwego zejścia.

— „Przy drugim straszny popełnij błąd” — wymamrotała.

Też mi wskazówka. W tym miejscu wszystko byłoby błędem. Jej umysł był zbyt zmęczony, by poradzić sobie z zagadką, a zresztą deska i tak traciła moc.

Ranek. Czas spać.

Najpierw jednak musiała rozłożyć deskolotkę. Wyjątkowy, który ją instruował, wyjaśnił, że podczas ładowania potrzebna jest jak największa powierzchnia nasłonecznienia. Pociągnęła zatrzaski, które otwarły się, i deska rozłożyła się jej w

dłoniach niczym książka, zmieniając się w dwie, następnie w cztery i dalej. Przypominało to łańcuch papierowych laleczek. W końcu Tally miała osiem deskolotek połączonych bokami, dwa razy szerszych niż jej wzrost i nie grubszych niż sztywny plik papierów. Cała konstrukcja trzepotała w powiewach morskiej bryzy niczym olbrzymi latawiec, choć magnesy deski nie pozwalały jej odlecieć.

Tally rozłożyła ją płasko na słońcu, patrząc, jak metaliczna powierzchnia czernieje, chłonąc energię słoneczną. Za kilka godzin baterie naładują się i deska będzie gotowa do lotu. Miała tylko nadzieję, że uda się ją złożyć równie łatwo.

Wyciągnęła śpiwór, wyrwała go z opakowania i wciąż w ubraniu wśliznęła się do środka.

— Pizama — mruknęła, dodając kolejną pozycję do listy rzeczy, których jej brakowało.

Zwiniętą kurtkę podłożyła pod głowę, ściągnęła koszulę i zakryła nią twarz. Na nosie czuła już pieczenie spalonej słońcem skóry i uświadomiła sobie, że zapomniała o świcie nalepić plaster z filtrem. No świetnie. Odrobina czerwonej, obłazącej skóry będzie idealnie pasować do zadrapań na jej

brzydkiej twarzy.

Sen nie nadchodził. Powoli robiło się ciepło, a ona czuła się dziwnie, leżąc tak na pustkowiu. Nad jej głową krzyczały

morskie ptaki. Tally westchnęła i usiadła. Może gdyby zjadła coś jeszcze...

Kolejno zaczęła wyciągać opakowania z prowiantem. Odczytywała etykiety.

SpagBol

SpagBol

SpagBol

SpagBol

SpagBol...

Naliczyła czterdzieści jeden opakowań, po trzy SpagBole dziennie przez dwa tygodnie. Ułożyła się na ziemi i zamknęła oczy, nagle wykończona. — Dzięki, doktor Cable. Kilka minut później zasnęła.

STRASZNY BŁĄD

Leciała. Przemykała nad ziemią bez szyn, a nawet bez deski, unosząc się w powietrzu wyłącznie dzięki sile woli i powiewom uwieczonym w rozłożonej szeroko kurtce. Przemknęła nad krawędzią wyniosłej skały, górującej nad rozległym czarnym oceanem. Stado mew ścigało ją, krzyżąc przenikliwie, a ich wrzaski raniły jej uszy niczym ostry jak brzytwa głos doktor Cable.

Nagle skała pod nią pękła i rozstała się, otwarła się w niej szeroka szczelina; ocean runął do niej z hukiem zagłuszającym krzyki morskich ptaków, a Tally odkryła, że leci w dół, w dół, w stronę czarnej wody.

Ocean pochłonił ją, nappełnił jej płuca, zamroził serce tak, że nie mogła nawet krzyknąć...

— Nie! — krzyknęła Tally, siadając gwałtownie.

W twarz uderzył ją zimny wiatr od morza, przeganiający senność. Rozejrzała się i uświadomiła sobie, że siedzi na skałach, zaplątana w śpiwór. Była zmęczona, głodna i bardzo chciało jej się siusiu, ale nie spadała w otchłań. Morskie ptaki wciąż krzyczały, lecz ich głosy dobiegały z oddali.

Ten ostatni sen był tylko jednym z bardzo wielu koszmarów o spadaniu.

Zapadała noc, słońce zachodziło nad oceanem, zabarwiając wodę krwistą czerwienią. Tally naciągnęła koszulę i kurtkę; dopiero potem odważyła się wydostać ze śpiwora. Miała wrażenie, że temperatura spada z każdą minutą, światło gasło na jej oczach. Zaczęła pośpiesznie szykować się do drogi.

Najtrudniejsze okazało się złożenie deski. Cała powierzchnia zamokła, pokryła ją cieniutka warstewka morskiej wody i rosy. Tally spróbowała zetrzeć ją rękawem kurtki, ale wo dy było za dużo, a materiału za mało. Mokra deska złożyła się z łatwością, lecz po wszystkim wydała się stanowczo za ciężka, zupełnie jakby woda nadal tkwiła uwieczona pomiędzy warstwami. Lampka sygnalizacyjna zmieniła kolor na żółty. Tally przyjrzała się uważniej; z boków deski powoli wypływały przejrzyste krople.

— Świetnie, przynajmniej mam czas coś zjeść.

Wyciągnęła z plecaka opakowanie SpagBolu i nagle uświadomiła sobie, że oczyszczacz jest pusty. Jedyne bliskie źródło wody znajdowało się u stóp skały; w żaden sposób nie zdołałaby do niego zejść. Wykręciła mokrą kurtkę, z której wypłynęło całkiem sporo brudnego płynu, a potem zaczęła zgarniać rękami wodę wyciekającą z deski. W końcu udało jej się do połowy napęlić oczyszczacz. W rezultacie otrzymała gęste, zbyt ostre i słone SpagBol, wymagające solidnego przeżucia.

Kiedy skończyła nieciekawą posiłek, kontrolka deski płonęła już zielenią.

— No dobra, gotowa do drogi — powiedziała na głos Tally. — Ale dokąd? — Stała bez ruchu, zamyślona, z jedną stopą na desce, a drugą na ziemi.

Shay napisała w liście: *Przy drugim straszny popełnij błąd*. Popęlenie błędu nie powinno być szczególnie trudne. Ale straszego? Dziś już raz o mało się nie zabiła.

Przypomniała sobie swój sen. Upadek w otchłań z pewnością stanowiłby straszny błąd. Weszła na deskę i ostrożnie zbliżyła się do krańca zwałonego mostu, patrząc w dół, w miejsce gdzie rzeka łączyła się z morzem.

Gdyby tam zeszła, mogłaby jedynie podążać w górę rzeki. Może o to właśnie chodziło we wskazówce? Ale na stromej ścianie nie dostrzegła śladu ścieżki ani nawet uchwytu.

Oczywiście żyła żelaza w skale mogłaby pozwolić jej bezpiecznie się opuścić. Przeczesala wzrokiem ściany wąwozu w poszukiwaniu czerwonego odcienia. Parę miejsc wyglądało obiecująco, lecz w gęstniejącej ciemności niczego nie mogła być pewna.

Tally uświadomiła sobie, że za długo spała. Czekanie na świt oznaczało utratę kolejnych dwunastu godzin, a poza tym nie miała już nawet kropli wody.

Pozostało jeszcze jedno wyjście: powędrować górą w głąb ładu. Mogły jednak minąć dni, nim dotrze do miejsca, z którego da się zejść. A zresztą w jaki sposób ma je zauważyć w ciemności?

Miała nadrabiać czas, a nie błąkać się po ciemku.

Przełknęła ślinę i podjęła decyzję. Musiał istnieć sposób bezpiecznego dotarcia na dół na desce. Może popełnia błąd, ale w końcu to właśnie poleciła jej w liście Shay. Posłała deskę powoli naprzód i poczuła, jak stopniowo traci stabilność. Zaczęła zsuwać się coraz szybciej, pozostawiając za sobą metalowy szlak.

Tally rozpaczliwie rozglądała się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów obecności żelaza. Podleciała bliżej kamiennej ściany, niczego jednak nie zauważyła. Parę lampek detektora metalu zamrugało i zgasło. Jeszcze trochę i zacznie spadać.

To się nie uda. Pstryknęła palcami, deska zwolniła na sekundę, próbując się podnieść. Potem jednak zadrzała i kontynuowała lot w dół.

Za późno.

Tally rozłożyła szeroko kurtkę, lecz powietrze w wąwozie ani drgnęło. Dostrzegła na kamiennej ścianie rdzawą żyłkę i podleciała bliżej. Okazało się jednak, że to tylko oślizła plama porostów. Deska opadała coraz szybciej, lampki wykrywacza metalu gasły kolejno.

W końcu deska zupełnie wysiadła.

Tally zrozumiała, że być może ten błąd będzie jej ostatnim.

Spadała jak kamień, wprost ku falom rozbijającym się na skałach, zupełnie jak we śnie. Miała wrażenie, że lodowata dłoń dławi jej gardło, a płuca wypełniają się wodą. Deska leciała tuż pod nią, wirując niczym spadający liść.

Tally zamknęła oczy, czekając na miażdżące zderzenie z zimną wodą.

Nagle coś chwyciło ją za przeguby i szarpnęło okrutnie, obracając w powietrzu. Ramiona zaprotestowały gwałtownym bólem. Okręciła się dookoła niczym gimnastyczka na kółkach.

Otworzyła oczy i zamrugła. Niewidoczna siła powoli opuszczała ją na deskę, czekającą spokojnie i nieruchomo tuż nad wodą.

— Co do... — rzuciła głośno.

I nagle, gdy dotknęła stopami twardej powierzchni, zrozumiała, co się stało.

Pochwyciła ją rzeka. Przez stulecia, czy ile tam istnieją rzeki, nanosiła tu drobiny metalu i magnesy deski zadziałały w ostatniej chwili.

— Uratowana. No, mniej więcej — wymamrotała Tally.

Roztarła ramiona obolałe po szarpnięciu wywołanym przez bransolety. Zastanowiła się przelotnie, jak szybko trzeba by spadać, by bransolety wyrwały człowiekowi ręce.

Mimo wszystko jednak dotarła na dół. Rzeka ciągnęła się przed nią aż po okryte śnieżnymi czapami góry. Tally zadrzała w powiewach wiatru znad oceanu i ciasniej owinęła się przemoczoną kurtką.

— „I dalej prosto, cztery dni długie, tę stronę wybierz, której nie lubisz” — zacytowała. Cztery dni. Lepiej zacząć od razu.

*

**

Po pierwszym oparzeniu słońcem Tally każdego ranka o świcie nalepiała na skórę plaster z filtrem. Lecz nawet kilka słonecznych godzin dziennie wystarczyło, by jej i tak już brązowe ręce jeszcze pociemniały.

SpagBol nigdy już nie smakował równie dobrze jak z.i pierwszym razem na skałach. Posiłki Tally bywały różne, od przyzwoitych do paskudnych. Najgorsze okazały się śniadani.i ze SpagBolem o zachodzie słońca. Wówczas sama myśl o kolejnej porcji makaronu całkowicie odbierała apetyt. Czasami Tally marzyła nawet, by skończyły jej się zapasy. Wówczas mu siałaby złapać rybę i ugotować ją — albo głodować; przynajmniej pozbyłaby się raz na zawsze szczenięcego sadła.

Najbardziej jednak przerażała ją myśl o tym, że mogłoby jej zabraknąć papieru toaletowego. Zużyła już połowę swej jedynej rolki i racjonowała go ściśle, wyliczając listki. Poza tym każdego dnia coraz bardziej śmierdziała.

Trzeciego dnia nad rzeką postanowiła wziąć kąpiel.

Obudziła się jak zwykle godzinę przed świtem. Miata wrażenie, że jej ciało w śpiworze całe się lepi. Rano uprała ubranie i zostawiła je na kamieniu. Myśl, że teraz miałaby je naciągnąć na brudną skórę, sprawiła, że przeszył ją dreszcz obrzydzenia.

Woda w rzece rwała szybko i nie pozostawiała niemal nic na filtrze oczyszczacza, co oznaczało, że była czysta. Była też lodowata; zapewne przyczyniły się do tego topniejące górskie śniegi. Tally modliła się, by pod koniec dnia słońce zdążyło ją choć odrobinę ogrzać.

Okazało się, że w zestawie faktycznie było mydło — parę jednorazowych opakowań wciśniętych w kąt plecaka. Tally stanęła na brzegu, ściskając w dłoni jedno z nich. Miała na sobie wyłącznie czujnik przypięty do kolczyka w pępku i dygotała w zimnych powiewach wiatru.

— No to jazda — powiedziała, starając się nie szczekać zębami.

Wsunęła do wody jedną stopę i odskoczyła gwałtownie, gdy poraziła ją fala lodowatego bólu. Wyglądało na to, że nie da się powoli wejść do wody, musiała skoczyć z rozbiegu. Ruszyła brzegiem, szukając odpowiedniego miejsca i powoli zbierając się na odwagę. Nagle uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie przebywała nago poza domem. W mieście cała przestrzeń na zewnątrz była publiczna, ale teraz Tally od kilku dni nie widziała żadnego człowieka. Zupełnie jakby świat należał wyłącznie do niej. Nawet w zimnym powietrzu cieszył ją dotyk słońca na skórze.

Zacisnęła zęby i odwróciła się w stronę rzeki. Czekanie i rozmyślanie nie pomoże jej się umyć. Wystarczy parę kroków i skok, resztę załatwi siła ciężenia.

Zaczęła odliczać od pięciu, potem od dziesięciu; jedno i drugie nic nie dało. W końcu pojęła, że marznie od samego stania.

1 wreszcie skoczyła.

Lodowata woda zacisnęła się wokół niej niczym pięść, paraliżując mięśnie, zmieniając dłonie w rozdygotane szpony. Przez moment Tally zastanawiała się, jakim cudem zdoła wrócić na brzeg. Może po prostu tu skona, na zawsze zniknie pod powierzchnią zimnej wody.

Odetchnęła głęboko, z jękiem, przypominając sobie w duchu, że ludzie przed Rdzawcami musieli nieustannie kąpać się w lodowatych strumieniach. Potem zacisnęła szczękające zęby i na moment zanurzyła głowę, odrzucając na plecy mokre włosy.

W kilka chwil później w jej brzuchu zapłonęło zaskakujące ciepło, zupełnie jakby zimna woda uruchomiła ukryte w ciele rezerwy energii. Otworzyła szeroko oczy i odkryła, że krzyczy radośnie, z podnieceniem. Góry wznoszące się nad nią po trzech dniach podróży nagle wydały się krystalicznie wyraźne, ośnieżone szczyty lśniły w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Serce Tally biło gwałtownie, krew roznosiła po ciele niespodziewane ciepło.

Lecz owa nowa energia szybko się wyczerpywała. Tally niezgrabnie rozdarła opakowanie z mydłem i namydliła całe ciało i włosy. Raz jeszcze się zanurzyła i była gotowa do wyjścia.

Oglądając się w stronę brzegu, zorientowała się, że prąd uniósł ją spory kawałek od obozu. Popłynęła w górę rzeki, a potem podreptała w stronę kamienistego brzegu.

Stojąc do pasa w wodzie i dygocząc w powiewach wiatru chłoszczącego mokrą skórę, usłyszała coś, co sprawiło, że zamarło jej serce.

Coś się zbliżało. Coś wielkiego.

STRONA, KTÓREJ NIE LUBISZ

Niebo rozdarł grzmot, odgłos miarowego, szybkiego, ogłuszającego bicia w olbrzymi bęben, które wnikało w głąb jej głowy i piersi. Zdawało się wstrząsać światem w posadach, powierzchnia rzeki marszczyła się po każdym uderzeniu.

Tally przykucnęła w wodzie, zanurzając się po szyję tuż przed tym, nim pojawiła się maszyna.

Przybyła od strony gór. Leciała nisko, wzbudzając za sobą dziesiątki odrębnych wirów powietrza. Była znacznie większa niż lotowóz i sto razy głośniejsza. Najwyraźniej działała bez magnesów — chłostała powietrze, zmuszając je do współpracy z na wpół niewidocznym dyskiem, migoczącym w blasku słońca.

Gdy maszyna dotarła do rzeki, skręciła ostro. Jej przylot wzburzył wodę, po której rozeszły się kręgi, jakby ktoś wielkim kamieniem puścił kaczkę. Tally dostrzegła w środku ludzi patrzących na jej obozowisko. Wichura uniosła rozłożoną deskę, której magnesy walczyły, starając się utrzymać ją na ziemi. Plecak zniknął w tumanie kurzu i Tally ujrzała ubranie, śpiwór i opakowania SpagBolu rozlatujące się na wszystkie strony.

Zanurzyła się jeszcze bardziej we wzburzoną wodę. Na gle poraziła ją myśl, że zostanie tu sama, naga, bez niczego. I tak już o mało nie zamarzła.

Lecz maszyna przechyliła się naprzód, zupełnie jak dc skolotka, i ruszyła dalej, kierując się w stronę morza. Zniknęła równie szybko, jak się pokazała, pozostawiając po sobie tylko wzburzoną rzekę i echo łoskotu w uszach.

Rozdygotana Tally zaczęła skradać się naprzód. Miała wrażenie, że ciało zamienia jej się w lód, z najwyższym trudem zdołała zacisnąć palce w pięści. Dotarła do obozu i chwyciła ubranie, naciągając je, nim jeszcze zachodzące słońce zdążyło ją osuszyć. Potem usiadła skulona, obejmując się ciasno ramionami, i czekała, aż dreszcze miną, co kilka sekund zerkając z lękiem w kierunku czerwonego horyzontu.

Maszyna wyrządziła mniejsze szkody, niż się Tally wyda— wało. Na deskolotce płonęła zielona lampka, plecak leżał obok, zakurzony, lecz nietknięty. Po poszukiwaniach i przeliczeniu opakowań SpagBolu przekonała się, że straciła zaledwie dwa. Natomiast śpiwór był w strzępach — coś posiekało go na kawałeczki.

Przełknęła ślinę. Ze śpiwora pozostał jedynie stos szmatek nie większych niż chustki do nosa. A gdyby tak była w środku, kiedy nadleciała maszyna?

Szybko złożyła deskę i spakowała swoje rzeczy. Mogła wyruszyć niemal natychmiast; przynajmniej dziwaczna wichura wywołana przez maszynę wysuszyła deskę.

— Dzięki — mruknęła Tally i stanęła na desce, pochylając się do przodu. Słońce już zachodziło i chciała jak najszybciej oddalić się od obozu, na wypadek gdyby wrócili.

Ale kim właściwie byli? Latająca machina przypominała konstrukcje, które Tally wyobrażała sobie, słuchając, jak nauczyciele opisują wynalazki Rdzawców: przenośne tornado prace naprzód i niszczące wszystko na swej drodze. Czytała kiedyś o pojazdach powietrznych, które przelatując, tłukły szyby w oknach, i o opancerzonych pojazdach wojskowych, które mogły przejechać przez dom.

Ale Rdzawcy od dawna już nie żyli. Kto byłby na tyle głupi, by odbudować jedną z ich szalonych maszyn?

Leciała w gęstniejącej ciemności, wypatrując uważnie kolejnej wskazówki — „i dalej prosto cztery dni długie, tę stronę wybierz, której nie lubisz” — i wszelkich innych możliwych niespodzianek.

Jedno wiedziała na pewno: nie była tu sama.

*

**

Nieco później tej samej nocy rzeka rozdzieliła się na dwie odnogi.

Tally zatrzymała się w locie, mierząc wzrokiem rozwidlenie. Jedna z odnóg była wyraźnie większa, druga przypominała najwyżej szeroki strumień. „Dopływ” — tak nazywano małą rzekę wpadającą do większej.

Może powinna trzymać się głównej rzeki, ale podróżowała już trzy dni, a jej deska poruszała się znacznie szybciej niż inne. Być może czas już na następną wskazówkę.

— „I dalej prosto cztery dni długie, tę stronę wybierz, którą nie lubisz” — wymamrotała.

Przyjrzała się dwóm rzekom w blasku księżyca — jego tarczy niewiele brakowało do pełni. Której z nich nie lubiła? Czy raczej której według Shay powinna nie lubić? Obie wyglądały zupełnie zwyczajnie. Mrużąc oczy, spojrzała w dal. Może jedna wiodła w stronę czegoś paskudnego, widocznego za dnia?

Lecz oczekiwanie oznaczało spore opóźnienie, a także nocleg na zimnej ziemi bez śpiwora.

Tally pomyślała, że wskazówka może nie dotyczyć tego rozwidlenia. Może powinna trzymać się większej rzeki do czasu, aż pojawi się coś bardziej oczywistego. Po co właściwie Shay miałyby nazywać dwie rzeki stronami? Skoro chodziło jej o to rozgałęzienie, czy nie powinna napisać: „wybierz kierunek, którego nie lubisz”?

— Strona, której nie lubię — mruknęła i nagle pamięć podsunęła jej wspomnienie.

Uniosła dłoń do twarzy. Kiedy pokazała Shay swoje morze — fy, wspomniała, iż zawsze zaczyna od podwojenia lewej strony — bo od dziecka nie znosi prawej połówki twarzy. To podobne do Shay, zapamiętać akurat coś takiego.

Czyżby w ten sposób chciała jej powiedzieć, że ma skręcić w prawo?

W prawo odchodziła mniejsza rzeka, dopływ. Z tamtej strony góry wydawały się bliższe. Może zbliżała się już do Dymu?

Wpatrywała się w ciemności w obie rzeki, dużą i małą, i wspominała słowa Shay, że symetria ślicznych to głupota, bo sama woli mieć twarz o dwóch różnych połówkach.

Wówczas sobie tego nie uświadamiała, lecz tamta rozmowa była dla Shay czymś ważnym. Po raz pierwszy wyznała, że wołałaby pozostać brzydka. Gdyby tylko Tally dostrzegła, co się święci, może zdołałaby przekonać Shay do zaniechania ucieczki i w tej chwili obie siedziałyby w wieży imprez: obok siebie, śliczne.

Nie pora teraz o tym myśleć.

Tally westchnęła i skierowała deskę nad mniejszą rzekę.

*

**

Jeszcze nim wzeszło słońce, zorientowała się, że dokonała słusznego wyboru.

W miarę jak dopływ wznosił się ku górom, pola po obu stronach zapełniły się kwiatami. Wkrótce śnieżnobiałe kielichy wyrastały gęsto niczym trawa, przesłaniając wszystkie inne barwy. W pierwszych promieniach poranka wyglądało to tak, jakby ziemia świeciła od wewnątrz.

— „W kwiatach owadzie oczy ogniste” — powiedziała do siebie Tally, zastanawiając się, czy powinna zejść z deski. Może gdzieś tu żył owad o ognistych oczach i musi go znaleźć?

Skręciła znad nurtu i zeszła na ląd.

Kwiaty docierały do samego brzegu; uklękła, by obejrzeć jeden z bliska. Pięć długich, białych płatków zakrzywiało się wdzięcznie i odginało od łodygi, otaczając ciasnym kręgiem wnętrze zawierające w sobie ślady żółci. Jeden z płatków poniżej był dłuższy, śmiałym łukiem opadał niemal na ziemię. Nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch — maleńki ptaszek wisiał pośród kielichów; przefruwając od jednego do drugiego, przysiadł na najdłuższym płatku, wsuwając dziób do środka.

— Są takie piękne — szepnęła.

I było ich tak wiele. Miała ochotę położyć się wśród kwiatów i zasnąć.

Nie zauważyła jednak niczego, co przypominałoby „owadzie oczy ogniste”. Wyprostowała się, przebiegając wzrokiem horyzont — nic oprócz wzgórz oślepiająco białych od kwiatów i srebrzystej rzeki pnącej się ku górom. Wszystko wydawało się takie spokojne; zupełnie inny świat niż ten, w który zeszłej nocy wtargnęła latająca machina.

Tally wsiadła na deskę i ruszyła naprzód wolniej, rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co pasowałoby do wskazówki Shay. Gdy słońce wynurzyło się zza horyzontu, przypomniała sobie o plastrze z filtrem.

*

**

Rzeka płynęła wyżej, między wzgórzami. Teraz z góry Tally dostrzegła puste miejsca pośród kwiatów, splachetki suchej, piaszczystej ziemi. Wyglądały dziwnie, niczym przepiękny obraz, który ktoś potraktował papierem ściernym.

Kilka razy zsiadała z deski i przyglądała się kwiatom w poszukiwaniu owadów czy czegokolwiek innego, co pasowałoby do słów „owadzie oczy ogniste”. Czas jednak płynął i nie znalazła niczego, co miałoby jakikolwiek sens.

Okolo południa dopływ zaczął się zwężać. Wiedziała, że wcześniej czy później dotrze do początku: bijącego w górach źródła, topniejącej śnieżnej czapy, i dalej będzie musiała iść pieszo. Zmęczona po długiej nocy postanowiła rozbić obóz.

Przebiegła wzrokiem niebo, zastanawiając się, czy w pobliżu kręcą się kolejne latające maszyny Rdzawców. Myśl, że coś takiego mogłoby wpaść na nią we śnie, przeraziła Tally. Kto wie, czego chcieli siedzący wewnątrz ludzie? Gdyby nie to, że ukryła się pod wodą, co by z nią zrobili?

Jedno było pewne: lśniące baterie słoneczne deskolotki doskonale widać z powietrza. Tally sprawdziła ładunek; powolne tempo i świecące na niebie jasne słońce sprawiły, że pozostała ponad połowa. Rozłożyła deskę, ale tylko częściowo, i ukryła wśród najwyższych kwiatów, jakie udało jej się znaleźć. Potem wdrapała się na szczyt najbliższego wzgórza. Stąd mogła mieć na oku deskę, a także słyszeć i widzieć wszystko, co się zbliżało. Przed snem postanowiła przepakować plecak, by w razie czego móc natychmiast uciec.

Nic więcej nie mogła zrobić.

Po dość paskudnej porcji SpagBolu zwinęła się w kłębek w miejscu, gdzie białe kwiaty rosły na tyle wysoko, by ją ukryć. Wietrzyk kołysał długimi łodygami, na jej zamkniętych powiekach tańczyły cienie.

Gdy tak leżała w ubraniu, bez śpiwora, poczuła się osobliwie odsłonięta, jednak ciepłe słońce i całonocny wysiłek wkrótce ją uspiły.

Kiedy się ocknęła, świat stał w ogniu.

OGNISTA BURZA

Najpierw we śnie usłyszała odgłos przypominający ryk wiatru.

Potem powietrze wypełnił rozdzierający trzask, dźwięk płonących suchych zarośli. Chmura dymu owiała Tally, budząc ją błyskawicznie i nieodwołalnie.

Otaczały ją gęste kłęby, które przesłaniały niebo. Wśród kwiatów przesuwała się poszarpana ściana ognia, posyłająca przed siebie fale morderczego gorąca. Tally chwyciła plecak i potykając się, zbiegła ze wzgórza, byle dalej od ognia.

Nie miała pojęcia, z której strony płynie rzeka; gęsty dym przesłaniał wszystko. Jej płuca z trudem walczyły o choćby łyk świeżego powietrza.

Nagle dostrzegła kilka promieni zachodzącego słońca przeświecających przez brązowe kłęby i zorientowała się, gdzie jest. Rzeka była z tyłu, tam gdzie ogień, po drugiej stronie wzgórza.

Tally cofnęła się na szczyt i zerknęła w dół przez dym. Ogień rósł z każdą sekundą, jęzory płomieni wystrzelały w górę zbocza, przeskakując z jednego pięknego kwiatu na następne i pozostawiając jedynie zwęglone kikuty. Pośród dymu dostrzegła błysk wody, lecz nieznośne gorąco zmusiło ją, by odskoczyła.

Potykając się, plując i kaszląc, znów zbiegła drugą stroną. Myślała tylko o jednym: czy ogień zdążył już ogarnąć desko— lotkę ?

Musiała jakoś dostać się do rzeki. Tylko woda mogła ją ochronić przed szalejącym ogniem. Skoro nie zdoła przejść przez wzgórze, to może je okrąży?

Pędem zbiegła ze zbocza. Po tej stronie kwiaty płonęły już w paru miejscach, ale jednak nie przypominało to ognistego piekła za plecami. Znalazszy się na równym terenie, pobiegła wokół podstawy wzgórza, schylając się nisko, żeby uniknąć dymu.

W połowie drogi dotarła do poczerniałej ścieżki pozostawionej przez ogień. Kruche łodygi kwiatów chrzęściły jej pod stopami, a od gorąca bijącego od wypalanej ziemi aż piekły ją oczy.

Gdy tak biegła po poczerniałych kwiatach, z każdym krokiem wokół jej stóp rozkwitały płomienie, zupełnie jakby trącała pogrzebaczem gasnący żar. Zasychały jej oczy, twarz piekła nieznośnie.

Chwilę później Tally dostrzegła rzekę. Na drugim brzegu ogień ciągnął się nieprzerwaną ścianą, ryczący wiatr napierał na niego od tyłu i posyłał w powietrze rozżarzone kawałki roślin sypiące się niczym deszcz na drugą stronę. Skłębiona fala dymu popłynęła ku niej, dławiąc ją i oślepiając.

Kiedy Tally znowu zdołała otworzyć oczy, wypatrzyła lśniąca, odbijająca światło powierzchnię deskolotki. Pobiegła ku niej, nie zważając na płonące kwiaty po drodze.

Deska wydawała się nietknięta ogniem. Ochronił ją szczęśliwy traf — i warstewka rosy, która osiadła na niej nocą.

Tally szybko złożyła deskę i wskoczyła na nią, nie czekając, aż żółte światełko zmieni się w zielone. Upał i tak niemal całkowicie ją osuszył i na polecenie wzniosła się w powietrze. Tally skierowała ją nad rzekę, tuż ponad wodę, i pomknęła w górę strumienia, szukając przerwy w ścianie ognia po lewej.

Antypoślizgowe buty były kompletnie zniszczone, ich podeszwy popękały niczym spieczone słońcem błoto. Leciała zatem powoli, po drodze zgarniając dłońmi wodę, by ochłodzić poparzoną twarz i rękę.

Nagle z lewej strony usłyszała potworny grzmot, niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym, zagłuszający ryk ognia. Wraz z deską porwał ją nagły prąd

powietrza i pchnął ku drugiemu brzegowi. Tally pochyliła się, próbując mu się przeciwstawić; wsadziła stopę do wody, usiłując zwolnić. Obiema rękami mocno trzymała deskę, rozpaczliwie walcząc z siłą spychającą ją do rzeki.

Dym nagle się rozpląnął i z ciemności wynurzył się znajomy kształt latającej maszyny. Dudniący łoskot wypełnił uszy Tally, iskry przelatywały nad rzeką, gdy wir powietrza jeszcze bardziej podsycił ogień.

Co oni wyprawiają, zastanawiała się. Czy nie zdają sobie sprawy z tego, że roznoszą pożar?

Odpowiedź na swe pytanie uzyskała chwilę później, gdy z maszyny wystrzelił jęzor płomieni, przeskoczył przez rzekę i zapalił kolejne rzędy kwiatów.

To oni zaproszyli ogień i podsycali go wszelkimi możliwymi sposobami.

Latająca machina zbliżyła się z grzmiotem i Tally dostrzegła nieludzką twarz patrzącą na nią z fotela pilota. Zawróciła, próbując uciec, lecz maszyna dźwignęła się w powietrze, przeleciała nad nią i wreszcie wiatr okazał się zbyt silny.

Tally runęła do wody. Bransolety przytrzymały ją przez moment tuż nad falami, potem jednak wiatr pochwycił deskę, znacznie lżejszą bez pasażerki, i obrócił niczym liść.

Tally wraz z plecakiem wpadła do głębokiej wody pośrodku rzeki.

*

**

Pod falami było zimno i cicho.

Przez kilka niekończących się chwil Tally czuła jedynie ulgę. Uciekła przed rozpalonym wiatrem, dudniącą maszyną, morderczym żarem ognistej burzy. Lecz ciężar bransolet i plecaka szybko ściągał ją w dół i serce w piersi zaczęło tłuc się panicznie.

Szamotała się w wodzie, próbując płynąć w stronę rozmigotanych świateł. Mokra ubranie i sprzęt przeszkadzały, lecz w chwili gdy płuca były bliskie pęknięcia, zdołała przebić się przez powierzchnię wiru. Chwyła parę haustów zadymionego powietrza i nagle fala uderzyła ją w twarz. Tally zaczęła kasłać, usiłując utrzymać się nad wodą.

Jakiś cień przesunął się nad nią, przesłaniając niebo. A potem jej dłoń na coś natrafiła — na znajomą antypoślizgową wąż powierzchnię...

Deska wróciła! Tak jak zawsze po wywrotce, bransolety uniosły Tally na tyle, że zdołała złapać się deski. Jej palce przywarły do nierównej powierzchni. Wciąż gorączkowo chwytła powietrze.

Z pobliskiego brzegu dobiegł ją piskliwy skowyt. Zamruga ła, próbując pozbyć się wody z oczu, i przekonała się, że maszyna Rdzawców wylądowała. Wyskakiwały z niej

jakieś postacie, spryskujące ziemię białą pianą. Szybko przebijały się przez płonące kwiaty do brzegu, wyraźnie zmierzając w jej stronę.

Zaczęła z trudem gramolić się na deskę.

— Zaczekaj! — zawołała najbliższa postać.

Tally chwiejnie dźwignęła się na nogi i próbowała utrzymać się na mokrej powierzchni. Spieczone buty ślizgały się, a przemoczony plecak zdawał się ważyć tonę. W chwili gdy pochyliła się do przodu, dłoń w rękawiczce chwyciła deskę. Z wody wynurzyła się twarz przysłonięta maską. Na Tally

spojrzały wielkie oczy.

Nadepnęła na rękę, miażdżąc palce. Ześliznęły się, lecz ona także za daleko przesunęła swój ciężar i koniec deski zanurzył się w wodzie. Tally znów wpadła do rzeki.

Czyjeś ręce chwyciły ją, odciągając od deskolotki, czyjeś szerokie ramiona wyniosły ją z wody. Widziała twarze w maskach : wielkie, nieludzkie oczy, patrzące na nią bez mrugnięcia.

Owadzie oczy.

OWADZIE OCZY

Przybysze zabrali ją na brzeg i dalej, do latającej maszyny.

Tally miała wrażenie, że płuca wypełnia jej woda i dym. Z każdym oddechem dostawała ataku kaszlu wstrząsającego całym ciałem.

— Połóżcie ją!

— Skąd się tu wzięła, do diabła?!

— Podajcie jej tlen.

Położyli Tally na wznak, na ziemi pokrytej grubą warstwą białej piany. Przybysz, który ją dźwigał, ściągnął owadzią maskę i Tally zamrugła ze zdziwienia.

Był śliczny. Nowy śliczny, równie piękny jak Peris.

Mężczyzna przyłożył jej maskę do twarzy. Tally przez chwilę walczyła słabo, a potem do jej płuc napłynęło czyste chłodne powietrze. Zakręciło jej się w głowie, przez moment oddychała z wdzięcznością, a potem mężczyzna zabrał maskę.

— Nie za dużo, bo dojdzie do hiperwentylacji.

Próbowała coś powiedzieć, ale zdołała jedynie zakasłać.

— Robi się kiepsko — powiedział ktoś z tyłu. — Jenks chce startować.

— Jenks może poczekać.

Tally odchrząknęła.

— Moja deska...

Mężczyzna uśmiechnął się przepięknie i uniósł wzrok.

— Mają ją. Hej, niech ktoś przyczepi deskę do śmigłowca. Jak się nazywasz, mała?

— Tally — wykaszlała.

— No cóż, Tally, gotowa do drogi? Ogień nie będzie czekał.

Odchrząknęła i znów zakasłała.

— Chyba tak.

— Dobrze. W takim razie chodź.

Mężczyzna pomógł jej wstać i pociągnął w stronę maszyny. Po chwili znalazła się w środku, gdzie było znacznie ciszej. Ktoś popchnął ją na tył wraz z trójką innych osób w owadookich maskach. Trzasnęły drzwi.

Maszyna zagrzmiała i Tally poczuła, jak odrywa się od ziemi.

— Moja deska!

— Spokojnie, mała, mamy ją.

Kobieta ściągnęła maskę. Ona też była nową śliczną.

Tally zastanawiała się, czy o tych właśnie ludzi chodziło we wskazówce. Owadzie oczy ogniste. Naprawdę miała ich szukać?

— Nic jej nie będzie? — spytał ktoś z kabiny.

— Przeżyje, Jenks. Jak zwykle zrób szeroką pętlę i popracuj nad ogniem w drodze do domu.

Gdy maszyna zaczęła się wznosić, Tally spojrzała w dół. Podążali wzdłuż rzeki; widziała ogień rozszerzający się na drugi brzeg, gnany wiatrem wzbudzonym przez ich pojazd. Od czasu do czasu z maszyny wystrzeliwał jęzor płomieni.

Powiodła wzrokiem po twarzach załogi. Jak na nowych ślicznych wydawali się niezwykle zdeterminowani, całkowicie skupieni na swym zadaniu. Tyle że to zadanie nie miało cienia sensu.

— Co wy właściwie robicie? — spytała.

— Wypalanko.

— To widzę. Ale po co?

— Żeby ocalić świat, mała. I bardzo nam przykro, że przypadkiem trafiliśmy na ciebie.

*

**

Nazywali się strażnikami.

Ten, który wyciągnął ją z rzeki, miał na imię Tonk. Wszyscy mówili z akcentem i pochodzili z miasta, o którym Tally nigdy dotąd nie słyszała.

— Leży niezbyt daleko stąd — wyjaśnił Tonk. — Ale my, strażnicy, większość czasu spędzamy w głuszy. Helikoptery ogniowe lądują w górach.

— Ogniowe co?

— Helikoptery. Siedzisz właśnie w jednym.

Rozejrzała się po hałaśliwej machinie.

— Jest strasznie rdzawy — zawołała.

— Zgadza się, prawdziwy stary model; niektóre części mają prawie dwieście lat. Kopiujemy je, gdy się zużywają.

— Ale po co?

— Można nim lecieć wszędzie, nawet w miejsca bez sieci magnetycznej, i idealnie nadaje się do wzniesienia pożarów. Rdzawcy naprawdę umieli niszczyć.

Tally pokręciła głową.

— A pożary wzniesiecie z powodu...?

Tonk uśmiechnął się, podniósł jeden z jej butów i oderwał od podeszwy zgnieciony, lecz nie spalony kwiat.

— Z powodu *phragmipedium panthera*.

— Słucham?

— Białej orchidei tygryziej. To ten kwiat, kiedyś jedna z najrzadszych roślin świata. W czasach Rdzawców jedno kłaczko kosztowało więcej niż dom.

— Dom? Ale przecież ich są miliardy.

— Zauważyłaś! — Uniósł kwiat, spoglądając wprost w delikatny kielich. — Jakieś trzysta lat temu jedna z kobiet Rdzawców znalazła sposób na przystosowanie rośliny do bardziej urozmaiconych warunków. Majstrowała przy genach, żeby łatwiej się mnożyły.

— Po co?

— Jak zwykle, żeby wymieniać je na różne inne rzeczy. Ale trochę za dobrze jej się udało. Spójrz w dół.

Tally wyjrzała przez okno. Maszyna leciała teraz wyżej, ogniste piekło zostało w tyle, pod nimi ciągnęły się bezkresne pola bieli. Od czasu do czasu dostrzegała między kwiatami spłachetki pustej ziemi.

— Wygląda na to, że świetnie jej poszło. Są ładne.

— To jedna z najpiękniejszych roślin na świecie, ale za dobrze się rozwija. Stała się najgorszym chwastem, czymś, co nazywamy monokulturą. Orchidee pokonują wszystkie inne rośliny, dławiają drzewa i trawę, a nikt ich nie jada prócz jednej odmiany kolibrów żywiących się ich nektarem. Lecz kolibry gniazdują na drzewach.

— Tam w dole nie ma żadnych drzew — zauważyła Tally. — Tylko orchidee.

— No właśnie. Dokładnie to oznacza monokultura: wszędzie jest to samo. Gdy w okolicy pojawia się dość orchidei, brakuje kolibrów, które mogłyby je zapylić, no wiesz, pomogły się rozmnażać.

— Tak — mruknęła Tally. — Wiem o ptakach i pszczołach.

— Jasne że tak, mała. Dlatego orchidee w końcu giną, padając ofiarą własnego sukcesu i pozostawiając po sobie pustkowia. Zero biologiczne. My, strażnicy, staramy się powstrzymać ich rozprzestrzenianie. Próbowaliśmy już trucizny, specjalnych chorób, drapieżników polujących na kolibry... Jednak tylko ogień cokolwiek działał.

Obrócił w palcach orchideę i uniósł zapalacz tak, by płomień liznął płatki.

— Trzeba bardzo uważać, wiesz?

Tally zauważyła, że pozostali strażnicy oczyszczają swoje buty i mundury, szukając wśród błota i piany nawet najdrobniejszych fragmentów kwiatów. Znów spojrzała w dół na bezkresną biel.

— I robicie to już przez...

— Niemal trzysta lat. Zaczęli sami Rdzawcy, gdy zorientowali się, co zrobili. Ale nigdy nie zwyciężymy, możemy mieć tylko nadzieję, że powstrzymamy inwazję chwastów.

Tally usiadła, kręcąc głową, znowu chwycił ją kaszel. Kwiaty były takie piękne, delikatne, niegroźne, a przecie/ dławiły wszystko wokół.

Strażnik pochylił się do przodu i wręczył jej swoją manierkę. Z wdzięcznością pociągnęła łyk wody.

— Wybierasz się do Dymu, prawda?

Tally zakrztusiła się i parsknęła.

— Tak. Skąd wiesz?

— Daj spokój. Brzydka czekająca w kwiatkach z deską i zestawem przetrwania?

— No tak.

Tally przypomniała sobie słowa: „W kwiatkach owadzie oczy ogniste”. Na pewno już wcześniej spotykali brzydkich.

— Pomagamy Dymiarzom, a oni pomagają nam — oznajmił Tonk. — Moim zdaniem, to wariaci — żyją prymitywnie i pozostają brzydki — ale wiedzą o głuszy więcej niż większość ślicznych z miast. W sumie to imponujące.

— No tak — mruknęła. — Chyba tak.

Zmarszczył brwi.

— Chyba? Ale przecież tam właśnie zmierzasz. Czyżbyś nie była pewna?

Tally uświadomiła sobie, że teraz właśnie zaczną się kłamstwa. Nie mogła przecież wyznać strażnikom prawdy, że jest szpiegiem, infiltratorką.

— Oczywiście, że jestem pewna.

— To dobrze. Wkrótce cię wysadzimy.

— W Dymie?

Znów zmarszczył czoło.

— Nie wiesz? Jego położenie to wielka tajemnica. Dymia— rze nie ufają ślicznym, nawet nam, strażnikom. Zabierzemy cię w zwykłe miejsce. Resztę wiesz sama, prawda?

Skinęła głową.

— Jasne, tylko cię sprawdzałam.

*

**

Helikopter wylądował w kłębach pyłu, białe kwiaty wokół skłoniły głowy do ziemi.

— Dzięki za podwózkę — powiedziała Tally.

— Powodzenia — odparł Tonk. — Mam nadzieję, że spodoba ci się w Dymie.

— Ja też.

— Ale gdybyś zmieniła zdanie, Tally, zawsze szukamy ochotników do straży.

Tally zmarszczyła brwi.

— Co to jest ochotnik?

Strażnik uśmiechnął się.

— To ktoś, kto sam wybiera sobie pracę.

— A, jasne. — Słyszała, że w niektórych miastach to możliwe. — Pomyślę. Tymczasem powodzenia. A skoro już o tym mowa, nie zamierzacie chyba wzniecać tu w okolicy żadnego ognia?

Zwiadowcy roześmiali się.

— Pracujemy wyłącznie na skraju obszaru kwiatów, by po wstrzymać je przed dalszym rozrostem. To miejsce jest w samym środku, nie ma dla niego nadziei.

Tally rozejrzała się. Jak daleko sięgała wzrokiem, widziała wyłącznie biel. Słońce zaszło godzinę temu, lecz orchidee lśniły w blasku księżyca niczym duchy. Teraz, gdy wiedziała już, czym są, widok ten zmroził ją do szpiku kości. Jak je nazwał Tonk? Biologiczne zero? Świetnie.

Wyskoczyła z helikoptera i wyrwała swą deskę z magnetycznego chwytaka obok drzwi. Cofnęła się ostrożnie, pochylając się nisko, tak jak polecieli jej strażnicy.

Maszyna ożyła z jękiem i Tally zerknęła w górę na migotliwy dysk. Tonk wyjaśnił, że pojazd unosi para cienkich ostrzy, wirujących tak szybko, że ich nie widać. Tally zastanawiała się, czy żartował. Na oko wyglądało to zupełnie jak zwykłe pole siłowe.

Wiatr znów się zerwał, maszyna wystartowała i Tally mocno przycisnęła deskę, machając na pożegnanie ręką. Po chwili pojazd zniknął na ciemnym niebie. Westchnęła.

Znów była sama.

Rozejrzała się. Nie miała pojęcia, jak zdoła znaleźć Dy— miarzy na bezkresnej pustyni orchidei.

„Do rana czekaj na głowie łysej” — tak brzmiał ostatni wiersz listu Shay. Tally przebiegła wzrokiem horyzont i jej twarz rozjaśnił uśmiech ulgi.

Nieopodal z ziemi wyrastało wysokie, okrągłe wzgórze. Musiało być jednym z pierwszych miejsc, na których wykiełkowały zmienione genetycznie kwiaty. Jego szczyt obumierał; pozostała jedynie goła ziemia zniszczona przez orchidee.

Owo miejsce bardzo przypominało łysinę.

*

**

Po kilku godzinach dotarła na łysy szczyt.

Tu jej deska nie była przydatna, lecz wędrowka w nowych butach, które podarowali jej strażnicy, okazała się nader łatwa (stare buty Tally były tak przepalone, że rozleciały się w helikopterze. Tonk napełnił także oczyszczacz wodą).

Ubranie Tally zaczęło schnąć już podczas przejażdżki helikopterem, a wędrowka dokończyła dzieła. Plecak także przetrwał kąpiel, nawet SpagBol pozostał suchy w wodoodpornych torebkach. Rzeka zabrała jedynie liścik Shay, który schowany do kieszeni zamienił się w kulkę rozmokłego papieru.

Ale prawie jej się udało. Spoglądając ze wzgórza, Tally uświadomiła sobie, że oprócz oparzeń i pęcherzy na dłoniach i stopach, sińców na kolanach i paru spalonych kosmyków włosów nieźle przetrwała wyprawę. Jeśli tylko Dy— miarze znajdą ją i uwierzą w historyjkę, że jest kolejną brzydką przybywającą, by do nich dołączyć, a nie szpiegiem, wszystko będzie dobrze.

Czekała na wzgórzu. Była wyczerpana, lecz nie mogła zasnąć. Zastanawiała się, czy naprawdę zdoła zrobić to, czego żąda doktor Cable. Naszyjnik, który od niej otrzymała, również przetrwał podróż; Tally wątpiła, by odrobina wody mogła zniszczyć urządzenie. Nie dowie się tego jednak, póki nie dotrze do Dymu i nie uruchomi nadajnika.

Przez chwilę poczuła nadzieję, że naszyjnik nie zadziała. Może jeden ze wstrząsów tak uszkodził mały skaner oczu, że nigdy nie zdoła on wysłać wiadomości do doktor Cable. Wiedziała jednak, że nie ma na co liczyć. Bez naszyjnika zo stałaby na zawsze w głuszy. Brzydka aż do śmierci.

A jeśli chciała powrócić do domu, musiała zdradzić przyjaciółkę.

Przybyli po nią parę godzin przed świtem.

Tally ujrzała ich brodzących w morzu orchidei, cztery białe ubrane postacie dźwigające deski. Na głowach mieli szerokie jasne kapelusze w plamki i pojęła, że gdyby przykucnęli wśród kwiatów, staliby się niemal niewidoczni.

Ci ludzie zadali sobie wiele trudu, by pozostać w ukryciu.

Kiedy grupka się zbliżyła, Tally rozpoznała kucyki Shay podskakujące pod jednym z kapeluszy i zaczęła gorączkowo machać rękami. Początkowo zamierzała posłuchać wskazówek z listu i zaczekać na wzgórzu, lecz na widok przyjaciółki złapała deskę i pobięła naprzeciw.

Może i była szpiegiem, ale nie mogła się doczekać spotkania z Shay.

Wysoka chuda postać oderwała się od pozostałych i pomknęła ku niej. Ze śmiechem padły sobie w ramiona.

— To ty! Wiedziałam, że to ty!

— Oczywiście, że to ja, Shay! Nie mogłam już znieść rozłąki z tobą.

I faktycznie tak było.

Shay nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

— Gdy wczoraj wieczorem zauważyliśmy helikopter, większość ludzi twierdziła, że to kolejna grupa. Mówili, że to trwało zbyt długo i że powinnam porzucić nadzieję.

Tally spróbowała się uśmiechnąć. Zastanawiała się, czy zdołała nadrobić opóźnienie. Nie mogła przecież przyznać, że wyruszyła w drogę cztery dni po szesnastych urodzinach.

— Trochę kręciłam się w kółko. Czy twój list mógł być jeszcze bardziej niejasny?

— Ach! — Twarz Shay posmutniała. — Sądziłam, że go zrozumiesz.

Nie mogąc znieść smutku i skruchy przyjaciółki, Tally pokręciła głową.

— Prawdę mówiąc list był w porządku, po prostu ja jestem kretynką. A najgorzej było, kiedy dotarłam do kwiatów. Z początku strażnicy mnie nie zauważyli i o mało się nie usmażyłam.

Oczy Shay rozszerzyły się. Po raz pierwszy uważnie przyjrzała się Tally, dostrzegając jej spaloną słońcem i podrapaną;) twarz, pęcherze na dłoniach i potargane, przypalone włosy.

— Och, Tally, wyglądasz, jakbyś przedzierała się przez strefę działań wojennych.

— Mniej więcej.

Pozostała trójka brzydkich dotarła do nich i zatrzymali się parę kroków dalej. Jeden z chłopaków uniósł w powie trze jakieś urządzenie.

— Ma przy sobie pluskwę — oznajmił.

Serce Tally zamarło.

— Co?

Shay delikatnie odebrała jej deskę i wręczyła chłopakowi, który przesunął nad nią urządzeniem, pokiwał głową i pociągnął jedną z lotek stabilizacyjnych.

— Tu jest.

— Czasami montują lokalizatory w deskach długodystansowych — wyjaśniła Shay.

— Wciąż próbują znaleźć Dym.

— Ja naprawdę... Nie miałam pojęcia, przysięgam!

— Spokojnie, Tally — rzekł chłopak. — To nie twoja wina, w desce Shay też taką znaleźliśmy. Dlatego spotykamy się z wami, nowymi, tu na polu. — Uniósł pluskwę. — Zabierzemy ją i przyczepimy do odlatującego ptaka. Zobaczymy, jak Wyjątkowym spodoba się Ameryka Południowa.

Dymiarze wybuchnęli śmiechem.

Chłopak podszedł bliżej i przesunął urządzeniem wzdłuż jej ciała. Gdy wykrywacz znalazł się na wysokości naszyjnika, Tally wzdrygnęła się nagle, ale chłopak odpowiedział

uśmiechem.

— W porządku, jesteś czysta.

Odetchnęła z ulgą. Oczywiście nie uruchomiła jeszcze naszyjnika, toteż wykrywacz niczego nie znalazł. Druga pluskwa była jedynie zmyłką doktor Cable, mającą oszukać Dymiarzy, osłabić ich czujność. To ona, Tally, stanowiła prawdziwe zagrożenie.

Shay podeszła do chłopaka i ujęła jego dłoń.

— Tally, to jest David.

Chłopak znów się uśmiechnął. Nie był piękny, ale miał miły uśmiech, a w jego twarzy Tally dostrzegła pewność siebie, jakiej nigdy wcześniej nie widywała u brzydkich. Mógł być parę lat starszy od niej; Tally nigdy nie spotkała nikogo, kto dorastałby naturalnie po swych szesnastych urodzinach. Zastanawiała się, w jakim stopniu brzydota brzydkich wiąże się z samym okresem dojrzewania.

Oczywiście Davidowi daleko było do ślicznych — uśmiech miał niesymetryczny, a czoło zbyt wysokie. To jednak głupstwo, dobrze było widzieć ich wszystkich, Shay, Davida. Nic licząc paru godzin w towarzystwie strażników, od kilku dni nie widziała ludzkiej twarzy. Miała wrażenie, że minęły wieki.

*

**

— To co masz?

— Słucham?

Croy był jednym z brzydkich, którzy wyszli jej na spotkanie. On także wydawał się starszy, ale wyglądał gorzej niż David. Niektórzy ludzie potrzebują operacji bardziej niż inni. Sięgnął po plecak Tally.

— O, dzięki. — Po tygodniu dźwigania bolały ją ramiona.

W marszu otworzył plecak i zajrzał do środka.

— Oczyszczacz, pozycjomierz... — Wyciągnął wodoodporną torebkę i zajrzał do środka. — SpagBol! Mniam.

Tally jęknęła.

— Możesz je sobie wziąć.

Oczy rozszerzyły mu się z radości.

— Mogę?

Shay odebrała mu plecak.

— Nie, nie możesz.

— Posłuchaj, jadłam to trzy razy dziennie przez ostatnie... chyba ze sto lat — zawołała Tally.

— Owszem, ale w Dymie trudno jest dostać liofilizowaną żywność — wyjaśniła Shay. — Powinnaś ją sobie zachować na wymianę.

— Wymianę? — Tally zmarszczyła brwi. — Co to znaczy?

W mieście brzydcy wymieniali się obowiązkami i skradzionymi drobiazgami. Ale jedzeniem?

Shay roześmiała się.

— Szybko się przyzwyczaisz. W Dymie nie dostaje się rzeczy ot tak, ze ściany. Musisz pilnować tego, co przyniosłaś. Nie rozdawaj dobytku każdemu, kto poprosi! — Zerknęła gniewnie na Croya, który z niemądrą miną spuścił wzrok.

— Zamierzałem dać jej coś w zamian — bronił się.

— Na pewno — wtrącił David.

Tally zauważyła, że trzymał dłoń na ramieniu Shay i dotykał jej lekko podczas marszu. Przypomniała sobie marzycielski ton, jakim Shay opowiadała zawsze o Davidzie. Może przyjaciółkę sprowadziła tu nie tylko obietnica wolności.

Dotarli do granicy morza kwiatów, zbitego gąszczy drzew i krzewów u stóp wyniosłej góry.

— Jak powstrzymujecie orchidee przed dalszym rozrostem? — spytała Tally.

Oczy Davida zajaśniały, jak gdyby poruszyła jego ulubiony temat.

— Zatrzymuje je ten stary las. Rośnie tu od wieków; pewnie nie jest starszy nawet do Rdzawców.

— Rośnie w nim mnóstwo różnych gatunków — dodała Shay. — Zielsko nie jest w stanie pokonać ich wszystkich. Spojrzała na Davida, szukając aprobaty.

— Na tamtych terenach mieściły się farmy i pastwiska podjął, wskazując ocean bieli za ich plecami. — Rdzawcy ujarzmili już ziemię, zanim zjawiły się kwiaty.

Po kilku minutach wędrówki przez las Tally zrozumiała, dlaczego orchidee nie mogły go pokonać. Splątane poszycie

i grube drzewa tworzyły po obu stronach nieprzenikniony gąszcz. Nawet na wąskiej ścieżce musiała co chwilę odsuwać gałązki i gałęzie, potykała się o korzenie i kamienie. Nigdy dotąd nie widziała równie nieposkromionej puszczy. W półmro ku między gałęziami zwieszały się pnącza porośnięte okrutny mi cierniami, przypominającymi drut kolczasty.

— I wy tu mieszkacie?

Shay roześmiała się.

— Nie martw się, czeka nas jeszcze spory kawałek drogi. Sprawdzamy, czy nikt cię nie śledzi. Dym leży znacznie wyżej, w miejscu gdzie drzewa nie są tak gęste. Wkrótce do trzemy do strumienia i będziemy mogli wsiąść na deski.

— Super — mruknęła Tally.

Stopy bolały ją okropnie w nowych butach, które jednak były cieplejsze niż zniszczone obuwie antypoślizgowe i lepiej nadawały się do marszu. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby nie dostała ich od strażników. Czy w Dymie udałoby ich się zdobyć nowe buty? Czy musiałaby wymienić się z kimś, oddać całe swoje jedzenie, a może zrobić je sama? Zerknęła na stopy idącego przed nią Davida. Jego buty rzeczywiście wyglądały na zrobione ręcznie z kawałków skóry połączonych prymitywnymi szwami. O dziwo jednak chłopak poruszał się w nich wdzięcznie, stąpając po poszyciu cichym krokiem, podczas gdy reszta grupy parla naprzód, tupiąc jak słonie.

Sama myśl o tym, że miałaby ręcznie zrobić parę butów, wstrząsnęła Tally.

Ale przecież to nie ma znaczenia, przypomniała sobie i odetchnęła głęboko. Kiedy dotrze do Dymu, włączy nadajnik i po jednym dniu, może nawet po kilku godzinach wróci do domu. A tam czeka już mnóstwo jedzenia i ubrań, wszystko, czego będzie potrzebowała. Oraz Peris i inni starzy przyjaciele.

Koszmar wreszcie dobiegnie końca.

*

**

Wkrótce usłyszeli szum płynącej wody i dotarli na niewielką polanę. David znów wyjął swoje urządzenie i wycelował nim w ścieżkę.

— Nic — uśmiechnął się szeroko do Tally. — Gratulacje, jesteś już jedną z nas.

Shay zachichotała i ponownie uścisnęła przyjaciółkę. Pozostali zaczęli szykować deski.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że przyszłaś. Myślałam, że wszystko schrzaniłam, że czekałam za długo, nim powiedziałam ci o ucieczce, i byłam taka głupia, wdałam się w kłótnię, zamiast wyjaśnić ci, co zamierzam zrobić.

Tally pokręciła głową.

— Już wcześniej wszystko powiedziałaś. Po prostu cię mnie słuchałam. Kiedy zrozumiałam, że mówisz serio, musiałam przemyśleć sprawę. Zabrało to trochę czasu... każdą cliwi lę, aż do ostatniej nocy przed moimi urodzinami. — Ode tchnęła głęboko. Czemu mówiła to wszystko, dlaczego okła mywała Shay, choć przecież nie musiała? Mogła po prostu zamilknąć, dotrzeć do Dymu i załatwić sprawę. Nie potrali ła się jednak powstrzymać i mówiła dalej: — A potem zrozu miałam, że jeśli nie pójdę, już nigdy cię nie zobaczę. I zawsze będę mieć wątpliwości.

To przynajmniej była prawda.

Jakiś czas lecieli w milczeniu w górę nad strumieniem, który rozlewał się pod sklepionym dachem z gałęzi. Niskie, poskręcane drzewa ustąpiły miejsca wyższym sosnom, po szycie przeredziło się. Od czasu do czasu w strumieniu pojawiały się bystrzyny i kaskady. Shay pomknęła naprzód przez chmury wodnego pyłu, ponad białą wodą.

— Tak bardzo chciałam ci to pokazać! — zawołała. — Ale najlepsze bystrzyny są po drugiej stronie.

W końcu pozostawili za sobą strumień i podążyli dalej wzdłuż złóż żelaza. Po jakimś czasie zatrzymali się i z góry spojrzeli w głąb niewielkiej doliny, niemal pozbawionej drzew.

Shay uścisnęła dłoń Tally.

— No, jesteśmy w domu.

Pod nimi leżał Dym.

Dym naprawdę był zadymiony.

W dolinie płonęło kilka ognisk, wokół których zebrały się niewielkie grupki ludzi. Nozdrza Tally wypełniła woń drzewnego dymu i gotowanego jedzenia, kojarząca się z kempingiem i imprezami na świeżym powietrzu. Oprócz dymu w po— wietrzu wisiała poranna mgiełka, biały palec, który wnikał w dolinę z wieńca chmur okalającego wierzchołek góry. Kilka paneli słonecznych połyskiwało słabo, wychwytyjąc promienie przenikające mgłę. Pomiedzy domami, parterowymi budowlami z długich desek, ciągnęły się ogródki. Drewno było wszędzie dookoła: płoty, różny, ścieżki wśród błota, wielkie stosy obok ognisk. Tally zastanawiała się, skąd biorą aż tyle drewna.

I wtedy dostrzegła pniaki na skraju osady. Jęknęła.

— Drzewa — wyszeptała ze zgrozą. — Ścinacie drzewa.

Shay uścisnęła jej rękę.

— Tylko w tej dolinie. Z początku wydaje się to dziwaczne, ale ludzie przed Rdzawcami też tak żyli, wiesz? A po drugiej stronie góry sadzimy nowe, walcząc z orchideami.

— No tak — mruknęła z powątpiewaniem Tally. Dostrzegła grupkę brzydkich przesuwających zwalone drzewo na dwóch deskolotkach. — Jest tu sieć?

Shay przytaknęła radośnie.

— W niektórych miejscach. Odzyskaliśmy sporo metalu z torów kolejowych, takich jak te, nad którymi doleciałaś do morza. Ułożyliśmy kilka tras przez Dym, w końcu zrobimy to w całej dolinie. Ja też pracuję nad tym projektem. Co parę kroków zakopujemy w ziemi kawałek złomu. Podobnie jak wszystko tutaj, jest to trudniejsze, niż się wydaje. Nic masz pojęcia, ile waży plecak pełen stali.

David i pozostali zmierzali już w dół, stąpając gęsiego między dwoma rzędami kamieni pomalowanych jaskrawo— pomarańczową farbą.

— To jest lotościeżka? — upewniła się Tally.

— Tak. Chodź, teraz zabiorę cię do biblioteki. Musisz poznać Szefa.

*

**

Shay wyjaśniła, że tak naprawdę Szef nikim nie kierował, jedynie próbował sprawiać takie wrażenie, zwłaszcza wobec nowych przybyszów. Zarządzał biblioteką, największym budynkiem stojącym przy centralnym placu osady.

Już w drzwiach Tally poczuła znajomą woń zakurzonych książek. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że w bibliotece są tylko książki; nigdzie nie dostrzegła dużego wiszącego ekranu roboczego ani ekranów osobistych. Widziała tylko zbieraninę najróżniejszych biurek i krzeseł oraz niezliczone rzędy półek.

Shay poprowadziła ją na środek, gdzie w okrągłej kabinie urzędował drobny mężczyzna, który przemawiał do staroświeckiego ręcznego telefonu. Gdy się zbliżyli, Tally poczuła, jak serce wali jej w piersi. Okropnie bała się tego, co zobaczy.

Szef był starym brzydkim. Po drodze Tally zauważyła kilku starszych ludzi, ale z daleka i za każdym razem zdołała odwrócić wzrok. Teraz jednak miała tuż przed oczami pomarszczoną, pokrytą żyłkami, odbarwioną, szurającą nogami straszliwą prawdę. Mlecznobiałe oczy patrzyły na przybyłych, gdy ich właściciel gromił przez telefon rozmówcę. Machnął szponiastą ręką, przeganiając dziewczęta.

Shay zachichotała i pociągnęła Tally w stronę regałów.

— W końcu do nas przyjdzie, najpierw jednak chciałabym ci coś pokazać.

— Co za biedak.

— Szef? Niezły, co? Ma jakieś czterdzieści lat! Zaczekaj, aż z nim pogadasz.

Tally przełknęła ślinę, próbując pozbyć się z umysłu obrazu obwisłej twarzy. Ci ludzie byli szaleni, skoro tolerowali to — więcej, pragnęli czegoś takiego.

— Ale jego twarz... — zaczęła.

— To nic. Zobacz tutaj.

Shay posadziła ją przy stole, podeszła do półki i wyciągnęła kilka tomów w ochronnych okładkach. Z rozmachem rzuciła je przed Tally.

— Książki, na papierze? Co z nimi?

— Nie książki, nazywali je „pismami” — oznajmiła Shay.

Otworzyła jeden tom i wskazała palcem. Osobliwie lśniące kartki wypełnione były zdjęciami. Ludzi. Brzydkich.

Oczy Tally rozszerzały się coraz bardziej, gdy Shay odwracała kolejne kartki, pokazując palcem i chichocząc. Tally nigdy wcześniej nie widziała tak wielu zupełnie różnych twarzy. Usta, oczy i nosy wszelkich możliwych kształtów, połączone w szaleńcze zestawy u ludzi w każdym wieku. A ich ciała! Niektóre były groteskowo grube albo dziwacznie umięśnione, albo boleśnie chude, i niemal wszystkie miały niewłaściwe, brzydkie proporcje. Lecz zamiast wstydić się swego kalectwa, ludzie na zdjęciach śmiali się, całowali i pozowali fotografom na wielkich przyjęciach.

— Co to za dziwolągi?

— To nie dziwolągi — odparła Shay. — O dziwo, to bardzo sławni ludzie.

— Sławni? Z czego? Ze swojej brzydoty?

— Nie, to gwiazdy sportu, aktorzy, artyści. Mężczyźni z długimi prostymi włosami to chyba muzycy. Ci najbrzydsi to politycy, a ktoś mi powiedział, że większość grubasów to komicy.

— To zabawne, choć zupełnie nieśmieszne — zauważyła Tally. — A zatem tak wyglądali ludzie, nim pojawił się pierwszy śliczny? Jak ktokolwiek mógł na nich patrzeć?

— Zgadza się, z początku to okropne. Ale o dziwo, jeśli przyjrzesz im się wystarczająco długo, zaczniesz do tego przywykać.

Shay dotarła do całostronicowego zdjęcia kobiety ubranej jedynie w obcisłą bieliznę, podobną do koronkowego kostiumu kąpielowego.

— Co to... — zaczęła Tally.

— Właśnie.

Kobieta wyglądała, jakby umierała z głodu, żebra sterczały jej pod skórą, nogi miała tak chude, że Tally zastanawiała się, jakim cudem nie złamały się pod jej ciężarem. Jej łokcie i kości miednicy wydawały się ostre jak szpilki, a przecież stała uśmiechnięta, z dumą odsłaniając ciało, zupełnie jakby dopiero co przeszła operację i nie zorientowała się, że lekarze odessali jej za dużo tłuszczu. Co zabawne, jej twarz najbardziej przypominała ślicznych. Miała wielkie oczy, gładką cerę i mały nosek, lecz kości policzkowe za bardzo sterczały, a czaszka niemal przebijała skórę.

— Co to jest u licha?

— Modelka.

— To znaczy?

— Coś w rodzaju zawodowej ślicznej. Chyba kiedy wszyscy inni są brzydcy, bycie śliczną to też praca.

— A jest w bieliźnie, bo... — zaczęła Tally i nagle w jej głowie pojawiło się wspomnienie. — Cierpi na chorobę! Tę, o której opowiadali nam nauczyciele.

— Pewnie tak. Zawsze sądziłam, że to tylko wymyślona historyjka, która ma nas nastraszyć.

Tally przypominała sobie, że w czasach przed operacją mnóstwo ludzi, zwłaszcza młodych dziewczyn, tak bardzo wstydziło się swojej otyłości, że przestawało jeść. Tracili na wadze zbyt szybko, niektórzy nie mogli przerwać, wciąż chudli i chudli, aż w końcu stawali się tacy jak ta „modelka”. Czasem nawet umierali, tak przynajmniej twierdzono w szkole. Była to jedna z przyczyn, dla których wymyślono operację. Nikt nie cierpiał już na tę chorobę, bo wszyscy wiedzieli, że w wieku szesnastu lat staną się piękni. W istocie większość ludzi obzerała się tuż przed przemianą, bo lekarze i tak wszystko usuwali.

Wpatrując się w zdjęcie, Tally zadrżała. Po co ktoś miałby do tego wracać?

— Niesamowite, nie? — Shay odwróciła się od niej. — Zobaczę, czy Szeff jest już wolny.

Nim przyjaciółka zniknęła za rogiem, Tally zauważyła, jak bardzo jest chuda. Nie chorobliwie, po prostu chuda jak u brzydkich. Już wcześniej niewiele jadła i Tally zastanawiała się, czy tu, w Dymie, niedojadanie Shay stanie się normą, aż w końcu przyjaciółka zacznie się głodzić.

Obróciła w palcach wisiołek. Teraz miała szansę. Równie dobrze mogła załatwić to od razu.

Ci ludzie zapomnieli, jak naprawdę wyglądał stary świat. Jasne, świetnie się bawili, mieszkając na powietrzu i grając w chowanego, a życie tutaj to doskonały numer zrobiony wszystkim miastom. Ale jednocześnie zapomnieli, że Rdzaw— cy byli szaleni, o mało nie zniszczyli świata na milion różnych sposobów. Ta zagłodzona prawie-śliczna była tylko jednym z nich. Po co do tego wracać?

Dymiarze już zaczęli ścinać drzewa.

Pstryknięciem otworzyła serduszek i spojrzała w małe, lśniące wnętrze, gdzie tkwił laser, gotowy, by odczytać jej siatkówkę. Uniosła wisiołek drżącą ręką. Po co czekać? Z czasem będzie jeszcze trudniej.

A zresztą jaki miała wybór?

— Tally, on zaraz...

Tally błyskawicznie zatrasnęła wisiołek i wepchnęła go za koszulę.

Shay uśmiechnęła się przebiegle.

— Zauważyłam go już wcześniej. Co z nim?

— O co ci chodzi?

— Daj spokój, wcześniej nigdy niczego takiego nie nosiłaś. Zostawiam cię samą na dwa tygodnie i robisz się romantyczna?

Tally przełknęła ślinę, wbijając wzrok w srebrne serce.

— To naprawdę bardzo ładny naszyjnik. Piękny. Ale kto ci go dał, Tally?

Odkryła, że nie potrafi skłamać.

— Ktoś. Po prostu ktoś.

Shay wywróciła oczami.

— Ostatni krótki romans? Zawsze sądziłam, że oszczędzasz się dla Perisa.

— To nie tak, tylko...

Czemu właściwie jej nie powiedzieć, zastanawiała się Tally. I tak się domyśli, kiedy zjawią się Wyjątkowi. Gdyby Shay wiedziała, przynajmniej mogłaby się przygotować, nim jej wymyślony świat się zawali.

— Muszę ci coś powiedzieć.

— Jasne.

— Moje przybycie tutaj, to... Chodzi o to, że kiedy zgłosiłam się na...

— Co ty wyprawiasz?

Tally podskoczyła, słysząc ostry głos. Przypominał starą, ochryplą wersję głosu doktor Cable, zardzewiałą brzytwę piłującą nerwy.

— Te pisma mają ponad trzysta lat, a ty nie założyłaś rękawiczek! — Szef szurając nogami, podszedł do miejsca, gdzie siedziała, wyciągnął białe, bawełniane rękawiczki i włożył je szybko. Delikatnie zamknął czasopismo. — Twoje palce pokrywają paskudne kwasy, młoda damo. Jeśli nie będziesz ostrożna, zniszczysz te pisma. Zanim zaczniesz grzebać w naszych zbiorach, zgłoś się do mnie!

— Przepraszam, Szefie — powiedziała Shay. — To moja wina.

— Nie wątpię — warknął, odstawiając pisma na półkę eleganckimi, łagodnymi ruchami, jakże różnymi od jego słów. — A teraz, młoda damo, przypuszczam, że przysłaś tu po przydział pracy?

— Pracy? — powtórzyła Tally.

Oboje spojrzeli na jej zdumioną twarz i Shay wybuchnęła śmiechem.

Wszyscy Dymiarze jadali razem, tak jak we wspólnych domach brzydkich. Długie stoły wyrzeźbiono z pni drzew, widać na nich było pętle i sęki, a także faliste słoje przebiegające przez całą długość. Były ciężkie i piękne, lecz Tally wciąż nie umiała otrząsnąć się z myśli, że aby je stworzyć, ktoś musiał zabić drzewa.

Ucieszyła się, kiedy Shay i David zabrali ją na zewnątrz, do ogniska, gdzie kręciła się grupka młodych brzydkich. Dobrze było oddalić się od ściętych drzew i niepokojących starszych brzydkich. Tu przynajmniej wszyscy Dymiarze wyglądali jak uczniowie najstarszej klasy. Tally nie miała zbytniego doświadczenia w ocenianiu wieku brzydkich, okazało się jednak, że jej szacunki mniej więcej odpowiadają prawdzie. Dwie osoby dopiero co przybyły z innego miasta i nie skończyły jeszcze szesnastu lat. Pozostałych troje — Croy, Ryde i Astrix — było przyjaciółmi Shay; należeli do grupy, która uciekła razem, nim jeszcze się poznały.

Tutaj w Dymie, zaledwie po pięciu miesiącach przyjaciele Shay zyskali już nieco pewności siebie podobnej do tej, którą widziała u Davida. W jakiś sposób otaczała ich aura autorytetu właściwa średnim ślicznym, mimo iż nie mieli mocnym li szcęk, subtelnie podkreślonych oczu i eleganckich strojów. Przez cały lunch dyskutowali na temat najnowszych projeków: kanału, który sprowadziłby odnogę strumienia bli/cj Dymu; nowych wzorów splatania owczej wełny, z której robili swetry; nowej latryny (Tally zastanawiała się, co znaczy słowo „latryna”). Wydawali się tacy poważni, jakby całe ich życie było naprawdę skomplikowanym numerem, który należy co dzień planować na nowo.

Jedzenie także okazało się poważną sprawą i nakładano je na talerze w naprawdę poważnych ilościach. Było cięższe niż to, do którego przywykła Tally. Smakowało zbyt intensywnie, jak wtedy, gdy na zajęciach z historii żywienia jej klasa próbowała gotować własne posiłki. Lecz truskawki nawet bez cukru okazały się pyszne, a chleb Dymiarzy, nawet niczym nieposmarowany, miał swój własny, wyrazisty smak. Oczywiście, Tally chętnie pochłonęłaby wszystko, co nie było SpagBolem.

Nie pytała natomiast, z czego zrobiono gulasz. Na razie myśl o martwych drzewach wystarczyła jej w zupełności.

Opróżniwszy talerze, przyjaciele Shay zaczęli wypytywać Tally o nowiny z miasta, wyniki zawodów sportowych między domami, akcję oper mydlanych, informacje polityczne. Czy słyszała, by ktoś jeszcze uciekł? Tally odpowiadała, jak umiała najlepiej. Nikt nie próbował ukrywać swej tęsknoty za domem. I kiedy tak wspominali dawnych przyjaciół i numery, ich twarze wydały się nagle dużo młodsze.

A potem Astrix spytała o jej podróż do Dymu.

— W sumie była całkiem łatwa. Kiedy już połapałam się Wc wskazówkach Shay.

— Nie aż taka łatwa. Ile ci zabrała? Dziesięć dni? — spytał David.

— Wyruszyłaś w noc przed urodzinami, zgadza się? — dodała Shay.

— Równo o północy — odparła Taiły. — Dziewięć dni... i pół.

Croy zmarszczył brwi.

— Musiało minąć sporo czasu, nim znaleźli cię strażnicy?

— Chyba tak. A kiedy mnie znaleźli, o mało nie upiekli żywcem. Wypalali właśnie kwiaty i pożar wymknął się spod kontroli.

— Naprawdę? Rany! — Przyjaciele Shay spojrzeli na nią z uznaniem.

— O mało nie spaliła mi się deska. Musiałam ją uratować i wskoczyć do rzeki.

— Stąd właśnie ślady na twarzy? — spytał Ride.

Taiły dotknęła obłazącego ze skóry nosa.

— To raczej... — już miała dodać: „poparzenia słoneczne”, lecz zebrani słuchali z takim napięciem. Tak długo była sama, iż odkryła, że cieszy ją bycie w centrum uwagi.

— Ze wszystkich stron otaczały mnie płomienie — podjęła. — Buty stopiły mi się, gdy przebiegłam przez kępę płonących kwiatów.

Shay zagwizdała.

— Niewiarygodne.

— Dziwne. Strażnicy zazwyczaj pilnie nas wypatrują mruknął David.

— Wygląda na to, że mnie przeoczyli! — Tally uznała, że lepiej nie wspominać, iż specjalnie ukryła swą deskolotkę. — A potem byłam w rzece i nigdy przedtem nie widziałam helikoptera — poza tym jednym dzień wcześniej — a on wynurzył się z hukiem z dymu, kierując ku mnie płomienie. Nic miałam pojęcia, że strażnicy są w porządku. Myślałam, że to Rdzawcy-piromani powstałi z martwych!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i Tally poczuła się lepiej pod spojrzzeniami ciepłych oczu Dymiarzy, zupełnie jak w domu, gdy opowiadała przyjacielom o wyjątkowo udanym numerze. Tyle że to było znacznie lepsze, bo naprawdę przeżyła to wszystko mimo poważnego niebezpieczeństwa. David i Shay spijali każde słowo z jej ust. Cieszyła się, że nie uruchomiła naszyjnika. Nie mogłaby tak siedzieć i napawać się podziwem Dymiarzy, gdyby właśnie ich zdradziła. Postanowiła zaczekać do nocy, kiedy będzie sama. Wówczas zrobi to, co konieczne.

— Musiałaś się czuć niesamowicie! — Głos Davida wyrwał ją z nieprzyjemnego zamyślenia. — Siedząc samotnie wśród orchidei przez tyle dni i czekając.

Wzruszyła ramionami.

— W sumie były nawet ładne. Oczywiście wtedy nie wiedziałam o superzielsku i tym wszystkim.

David marszcząc brwi, spojrzał na Shay.

— Nie uprzedziłaś jej o niczym w swoim liście?

Shay zarumieniła się.

— Powiedziałeś, żebym nie pisała niczego, co mogłoby zdradzić Dym, więc posłużyłam się czymś w rodzaju szyfru.

— Wygląda na to, że twój szyfr o mało jej nie zabił! — Słyszac słowa Davida, Shay posmutniała, on zaś obrócił się do Tally. — Niemal nikt nie dotarł tu sam, zwłaszcza jeśli po raz pierwszy znalazł się poza miastem.

— Bywałam już poza miastem. — Tally pocieszającym gestem objęła Shay. — Nic się nie stało, dla mnie to były po prostu śliczne kwiatki. No i kiedy wyruszyłam, miałam zapasy na dwa tygodnie.

— Czemu ukradłaś tylko SpagBol? — spytał Croy. — Musisz je uwielbiać — roześmiał się, a reszta mu zawtórowała.

Tally także spróbowała się uśmiechnąć.

— Nawet nie zauważyłam, co biorę. Trzy SpagBole dziennie przez dziewięć dni. Już po drugim dniu miałam go po— tą, ale człowiek musi jeść.

Przytaknęli; wszyscy wiedzieli, co to ciężka jazda i ciężka praca. Tally już wcześniej zauważyła, jak dużo jedli na lunch. Może Shay nie zapadnie jednak na chorobę głodową. Ona także opróżniła swój talerz.

— No cóż, dobrze, że ci się udało. — David wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcami po zadrapaniach na twarzy Tally. — Wygląda na to, że przeżyłaś więcej przygód, niż nam mówisz.

Tally przełknęła ślinę i wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że wygląda to skromnie.

Shay uśmiechnęła się i uścisnęła Davida.

— Wiedziałam, że też uznasz, że Tally jest super.

Nagle zadzwieczał dzwonek i wszyscy zaczęli pośpiesznie kończyć posiłek.

— Co to? — spytała Tally.

David uśmiechnął się szeroko.

— Powrót do pracy.

— Idziesz z nami — dodała Shay. — Nie martw się, to cię nie zabije.

*

**

Po drodze do pracy Shay wyjaśniła Tally, do czego służyły długie płaskie kolejki górskie, zwane kolejami. Niektóre ciągnęły się przez cały kontynent — drobna cząstka dziedzictwa! Rdzawców wciąż obecnego na świecie. Lecz w odróżnieniu od większości

ruin koleje na coś się przydawały, i to nie tylko deskarzom. Stanowiły główne źródło metalu dla Dymiarzy.

Jakiś rok wcześniej David odkrył nowe tory kolejowe. Nie prowadziły w żadne użyteczne miejsca, przygotował zatem plan zebrania z nich złomu i zbudowania kolejnych ścieżek magnetycznych w dolinie. Shay pracowała nad tym projektem od czasu, gdy dziesięć dni temu zjawiała się w Dymie.

Teraz całą szóstką weszli na deski i pomknęli na drugą stronę doliny, nad strumieniem kipiącym białą wodą i dalej, wzdłuż ostrej jak brzytwa skalnej półki bogatej w rudy żelaza. Dopiero tam Tally w końcu pojęła, jak wysoko dotarła od dnia opuszczenia wybrzeża. Miała wrażenie, że u jej stóp rozciąga się cały kontynent. Cienka warstewka chmur pod półką idealnie naśladowała skłębiony, ciężki wał nad ich głowami. Lecz poprzez mglistą zasłonę wciąż widać było la—•y, trawiaste równiny i migotliwe krzywizny rzek. Z tej strony góry nadal widziała morze białych orchidei lśniących w słońcu niczym nadciągająca pustynia.

— Wszystko jest takie wielkie — mruknęła Tally.

— I tego właśnie nie widać z miast — odparła Shay. — Nie wiemy, jakie są małe, jak niepozornych ludzi się z nas robi, by zatrzymać nas w środku.

Tally przytaknęła, wyobraziła sobie jednak tych ludzi wypuszczonych swobodnie w głuszę, ścinających drzewa i zabijających zwierzęta, by zdobyć pożywienie, przewalających się przez kraj niczym zmartwychwstała maszyna Rdzawców.

Za nic jednak nie oddałaby tej chwili, gdy tak stała i patrzyła na rozciągające się w dole równiny. Przez ostatnie czte—ry lata wpatrywała się w panoramę Miasta Nowych Ślicznych, uważając, że to najpiękniejszy widok na świecie. Teraz jednak już tak nie myślała.

*

**

Po drugiej stronie góry następna rzeka przecinała kolej Davida. Szlak z Dymu wił się we wszystkie strony, wykorzystując złoża żelaza, rzeki i suche koryta strumieni, dzięki temu ani na chwilę nie musieli schodzić z desek. Shay wyjaśniła, że piesza wędrówka i tak odpada — czekał ich przecież powrót z ładunkiem ciężkiego metalu.

Karłowate drzewa i pnącza porastały tory. Każdy drewniany podkład tkwił w objęciach dziesiątków macek roślinności.

W kilku miejscach wokół nieistniejących już odcinków torów las został wyrąbany, pozostałe jednak dzierżył mocno w swych objęciach.

— Jak mamy to stąd wyciągnąć? — spytała Tally. Kopnęła poskręcany korzeń, czując się bardzo mała w obliczu siły dzikiej przyrody.

— Popatrz! — Shay wyciągnęła z plecaka narzędzie, drażek

długości ręki, który rozkładał się teleskopowo niemal na wysokość Tally. Przekręciła jeden koniec i z drugiego wyskoczyły cztery krótkie podpory przypominające druty parasolki. — To jest podnośnik. Może poruszyć niemal wszystko.

Shay ponownie przekręciła uchwyt i druty się cofnęły. Potem wepchnęła jeden koniec podnośnika pod podkład. Wystarczył szybki ruch ręki, żeby drążek zaczął dygotać. Drewno jęknęło przeciągle. Shay pośliznęła się i zaczęła sunąć w tył, napała jednak na drążek całym ciężarem, przytrzymując go w miejscu. Powoli stare drewno zaczęło się podnosić, odrywając się od roślin i ziemi i wyginając leżącą na nim szynę. Tally dostrzegła podpory podnośnika prostujące się pod podkładem i stopniowo wypychające go w górę. Szyna wysuwała się z mocowań. Shay uśmiechnęła się szeroko.

— Mówiłam!

— Daj mi spróbować! — Tally wyciągnęła rękę, oczy jej błyszczały.

Przyjaciółka roześmiała się i wyciągnęła z plecaka kolejny podnośnik.

— Zajmij się tym podkładem, a ja przytrzymam mój.

Podnośnik okazał się cięższy, niż na to wyglądał, obsługiwało się go jednak bardzo prosto. Tally rozłożyła go i wepchnęła pod wskazany przez Shay podkład. Powoli przekręciła rączkę, czując, jak drążek drży jej w dłoni.

Drewno zaczęło się przesuwac, czuła w rękach napięcie metalu i ziemi. Kolejne pnącza pękały, Tally wyczuwała ich skargi przez podeszwy butów. Przypominało to odległe trzęsienie ziemi. Nagle powietrze wypełnił przenikliwy zgrzyt metalu — to szyna zaczęła się wyginać, odrywając się od roślinności i zardzewiałych szpikulców przytrzymujących ją przez stulecia. W końcu podnośnik otworzył się na całą długość, a szyna tylko częściowo uwolniła się z obejm. Tally i Shay z trudem cofnęły swoje narzędzia.

— Dobrze się bawisz? — Shay otarła dłonią spocone czoło.

Tally przytaknęła, uśmiechając się szeroko.

— Nie stój tak. Musimy skończyć robotę.

Kilka godzin później w rogu polany piętrzył się stos złomu. Odrywanie każdego odcinka szyny trwało godzinę, a przenieść go musieli całą szóstką. Podkłady tworzyły osobny stos; najwyraźniej drewno Dymiarzy pochodziło nie tylko z żywych drzew. Tally nie mogła uwierzyć, że aż tak wiele udało im się odzyskać. Dosłownie wyrwali tory z objęć lasu.

Nie mogła też uwierzyć w stan własnych rąk. Były czerwone i otarte, potwornie obolałe i pokryte pęcherzami.

— Kiepsko to wygląda. — David zerknął jej przez ramię, gdy ze zdumieniem wpatrywała się w swoje dłonie.

— I kiepsko się czuję — odparła. — Ale zauważyłam to dopiero teraz.

David roześmiał się.

— Ciężka praca świetnie zajmuje myśli, ale może powinnaś zrobić sobie przerwę. Miałem właśnie przyjrzeć się torom i poszukać następnego dobrego miejsca. Chcesz skoczyć ze mną?

— Jasne — rzuciła z wdzięcznością; na samą myśl o chwyceniu podnośnika jej ręce zapulsowały z bólu.

Pozostawiając resztę grupy na polanie, wskoczyli na deski i przemknęli nad poskręcanyimi drzewami, podążając za ledwie widocznymi torami w głąb gęstego lasu. David leciał nisko, tuż nad koronami drzew, z wdziękiem wymijając gałęzie i pnącza, jakby pokonywał znajomy slalom. Tally zauważyła, że nie tylko jego buty, ale i cały strój jest zrobiony ręcznie. W mieście szwy i przeszycia stanowiły tylko ozdobę, lecz kurtka Davida wyglądała na wykrojoną z kilkunastu kawałków skóry różnych kształtów i odcieni. Tworzyła patchwork, który skojarzył jej się z potworem Frankenstein, co z kolei przywiodło jej na myśl straszliwe podejrzenie.

A jeśli zrobiono ją z prawdziwej skóry, tak jak w dawnych czasach ?

Nie, nie mógł mieć na sobie skóry martwych zwierząt. Dy— miarze nie byli dzikusami. Musiała przyznać, że kurtka świetnie na nim leżała. Skóra otulała ramiona Davida niczym stara przyjaciółka. Chroniła też przed chłaśnięciami gałęzi lepiej niż jej własna domowa kurtka z mikrofibry.

Gdy dotarli do polany, David zwolnił i Tally odkryła, że mają przed sobą skalną ścianę.

— To dziwne — mruknęła. Tory zdawały się zagłębiać wprost w górę, znikając w stosie głazów.

— Rdzawcy uwielbiali linie proste — wyjaśnił David. — Kiedy budowali koleje, nie lubili niczego okręzać.

— I się przebijali? Skinął głową.

— Tak, tu kiedyś był tunel wybity w górze. Musiał się zawalić po wybuchu paniki Rdzawców.

— Myślisz, że ktoś tam był... w środku? No wiesz, kiedy to się wydarzyło.

— Raczej nie. Ale nigdy nie wiadomo. Może wewnątrz tkwi cały pociąg pełny szkieletów Rdzawców?

Tally przełknęła ślinę, próbując wyobrazić sobie ów pociąg, zmiażdżony i od stuleci pogrzebany w mroku.

— W tej okolicy las jest o wiele rzadszy — zauważył David. — Łatwiej w nim pracować. Boję się tylko, że kiedy zaczniemy podważać szyny, głazy się rozsypią.

— Wyglądają całkiem solidnie.

— Tak? Sama zobacz! — David zszedł z deski na jeden z kamieni i zgrabnie wdrapał się na miejsce ukryte w cieniu rzucanym przez zachodzące słońce.

Tally przeskoczyła na duży kamień obok Davida. Gdy jej oczy przywykły do ciemności, dostrzegła między głazami długą pustą przestrzeń, ciągnącą się w dal. David wczołgał się do środka, jego stopy zniknęły w mroku.

— Chodź! — zawołał.

— Hm, tak naprawdę nie ma tam pociągu pełnego martwych Rdzawców, prawda?

— Na razie żadnego nie znalazłem, ale może dziś nam się poszczęści.

Tally wywróciła oczami i położyła się na brzuchu. Zaczęła pełznąć naprzód i wkrótce ze wszystkich stron otoczył ją ciemny mur z kamienia.

Niedaleko zamigotało światło. Teraz widziała Davida siedzącego w niewielkiej komorze, w dłoni trzymał latarkę. Tally wyprostowała się i usiadła obok niego na płaskim kamieniu. Nad nimi wznosiły się olbrzymie, niezwykle kształty.

— Czyli tunel nie zawalił się do końca?

— Ależ nie! Skała pękła na kawałki, duże i małe.

David wycelował latarkę w głąb szczeliny między nimi.

Tally zmrużyła oczy w ciemności i zauważyła, że w dole otwiera się znacznie większa przestrzeń. Dostrzegła połysk metalu: szyny.

— Pomyśl tylko, gdybyśmy zdołali się tam dostać — podjął — nie musielibyśmy walczyć z tymi wszystkimi pnączami. Metal po prostu tam na nas czeka.

— I dzieli nas od niego jedynie sto ton kamienia.

Skinął głową.

— Owszem, ale i tak byłoby warto. — Oświetlił od dołu swoją twarz tak, że wyglądał potwornie. — Nikogo tam nie było od stuleci.

— Świetnie!

Tally poczuła mrowienie na karku, jej oczy próbowały przeniknąć ciemność. Być może żadni ludzie nie odwiedzali tego miejsca od bardzo, bardzo dawna, lecz mnóstwo istot lubi mieszkać w chłodnych, mrocznych jaskiniach.

— Myślę sobie — powiedział David — że wszystko to mogłoby się rozsypać, gdybyśmy tylko poruszyli właściwy głaz...

— A co by było, gdybyśmy poruszyli niewłaściwy, inne by nas zmiażdżyły?

David roześmiał się i przesunął latarkę tak, że teraz oświetlała Tally.

— Przypuszczałem, że to powiesz.

Tally wyteżyła wzrok, usiłując odczytać wyraz jego twarzy.

— To znaczy?

— Widzę, że się z tym zmagasz.

— Zmagam? Z czym?

— Z pobytem tu, w Dymie. Nie jesteś przekonana co do tego wszystkiego.

Tally znów poczuła dreszcz, tym razem jednak nie wywołała go myśl o węzach, nietoperzach czy od dawna nieżyjących Rdzawcach. Może David w jakiś sposób odgadł, że ona jest szpiegiem?

— Nie, chyba faktycznie nie jestem do końca przekonana — rzekła spokojnie.

Dostrzegła błysk światła odbitego w oczach Davida, kiedy skinął głową.

— To dobrze, podchodzisz do tego bardzo poważnie. Mnóstwo dzieciaków zjawia się tu, sądząc, że to tylko zabawa.

— Ani przez chwilę tak nie myślałam.

— Wiem. Dla ciebie, w odróżnieniu od większości uciekinierów, to nie numer. Nawet Shay, która naprawdę wierzy, że operacje są bardzo złe, nie traktuje Dymu z taką śmiertelną powagą.

Tally nie odpowiedziała.

Po długiej chwili ciszy w ciemności David odezwał się znowu.

— Tu jest niebezpiecznie. Miasta przypominają trochę te głazy, wydają się solidne i niewzruszone, ale jeśli zaczniesz przy nich majstrować, cały stos może się rozsypać.

— Chyba wiem, co masz na myśli — mruknęła Tally. Od dnia, kiedy zgłosiła się na operację, czuła wiszący nad głową ogromny ciężar miasta. Z pierwszej ręki dowiedziała się, jak bardzo miejsca takie jak Dym zagrażają ludziom w stylu doktor Cable. — Ale nie rozumiem do końca, czemu tak się wami przejmują?

— To długa historia, ale jej część to...

Odczekała chwilę.

— To co? — spytała w końcu.

— No... to tajemnica. Zwykle nie mówię tego ludziom, którzy właśnie przybyli. Dopiero po latach, ale ty... wydajesz się dość poważna, by móc to znieść.

— Możesz mi zaufać — oznajmiła i sama zdziwiła się dlaczego. Była szpiegiem, infiltratorką, ostatnią osobą, której powinien zaufać David.

— Mam nadzieję, Tally. — Wyciągnął ku niej rękę. — Dotknij.

Ujęła ją i przesunęła palcami po dłoni. Była twarda jak drewno stołu w jadalni, kciuk przypominał w dotyku suchą, spękaną ze starości skórę. Nic dziwnego, że David mógł bez trudu pracować cały dzień.

— Rany. Ilu trzeba lat, żeby powstały takie odciski?

— Około osiemnastu.

— Około...? — Urwała z niedowierzaniem, a potem porównała tę jego zrogowaciałą dłoń ze swoją własną: miękką, pokrytą pęcherzami. Czuła w niej mordercze popołudnie prawdziwej pracy, które dziś przeżyła, tyle że trwające całe życie. — Ale jak?

— Nie jestem uciekinierem, Tally.

— Nie rozumiem.

— To moi rodzice nimi byli.

— Och...! — Nagle poczuła się głupio, lecz wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Skoro można było żyć w Dymie, to można też było wychowywać tu dzieci. Nie widziała jednak żadnych maluchów, a całe to miejsce wydawało jej się takie ulotne, tymczasowe. Zupełnie jakby ktoś chciał urodzić dziecko podczas wycieczki, biwaku. — Jak im się udało, 110 wiesz, bez lekarzy?

— Oni sami są lekarzami.

— Ach, tak. Ale... chwileczkę, lekarzami? Ile mieli lat, kie dy uciekli?

— Dostatecznie dużo. Nie byli już brzydcy. Chyba nazywacie to średnimi ślicznymi.

— Tak, co najmniej. — Nowi śliczni pracowali bądź studiowali, jeśli tego chcieli, lecz niewielu ludzi przed wiekiem średnim decydowało się na jakiś zawód. — Zaczekaj. Co masz na myśli, mówiąc, że nie byli brzydcy?

— Bo nie byli. Ale są teraz.

Tally spróbowała zmusić swój umysł do przetrawienia jego słów.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie przeszli trzeciej operacji? Wciąż wyglądają jak średni, choć są starykami?

— Nie, Tally. Mówiłem już, to lekarze.

Słowa Davida nią wstrząsnęły. To było jeszcze gorsze niż ścięte drzewa czy okrutni śliczni. Nie czuła się tak poruszona, odkąd Peris odszedł.

— Odwrócili efekty operacji?

— Tak.

— Pokroili się tu, w głuszy? Zeby zrobić się... — Gardło zacisnęło się jej na tym słowie; miała wrażenie, że zaraz się udławi.

— Nie, to nie wymagało chirurgii.

Nagle Tally odniosła wrażenie, jakby mroczna jaskinia zamykała się wokół niej, wypierała powietrze z piersi. Zmusiła się, by odetchnąć.

David cofnął rękę i w jakimś zakątku spanikowanego umysłu uświadomiła sobie, że cały czas ją trzymała.

— Nie powinienem mówić ci tego wszystkiego.

— Nie, Davidzie, przepraszam. Nie chciałam, żeby doszło do hiperwentylacji.

— To moja wina. Dopiero co tu przybyłaś, a ja zwałem na ciebie to wszystko.

— Ale ja chcę, żebyś mi... — Walczyła, nie chciała tego mówić, ale przegrała. — Zaufał. Mówił różne rzeczy. Traktuję to poważnie. — To przynajmniej było prawdą.

— Jasne, Tally, ale na razie wystarczy. Musimy wracać.

Odwrócił się i poczołgał w stronę słońca.

Pełznąc za nim, Tally rozmyślała o tym, co David powiedział na temat głązów. Nawet największe i najmasywniejsze czekały tylko, by się zwalić, jeśli zostaną popchnięte nie tak jak należy. By cię zmiażdżyć.

Czuła naszyjnik kołyszący się na piersi, maleńki, nagłący. Doktor Cable z pewnością już się niecierpliwi, ale słowa Da— vida wszystko skomplikowały. Dym nie był tylko kryjówką garstki uciekinierów, lecz prawdziwą osadą, miastem. Jeśli Tally uruchomi nadajnik, doprowadzi nie tylko do końca wielkiej przygody Shay, ale też odbierze Davidowi dom, całe jego życie.

Poczuła, jak napiera na nią ciężar tej góry, i gdy znalazła się na słońcu, odkryła, że wciąż z trudem chwyta powietrze.

ROZTERKI SERCA

Tego wieczoru podczas kolacji przy ognisku Tally opowiedziała o tym, jak ukryła się w rzece, gdy pierwszy raz ujrzała helikopter strażników.

Wszyscy znów słuchali oszołomieni. Najwyraźniej jej podróż do Dymu należała do najbarwniejszych.

— Wyobrażacie sobie? Jestem naga, kucam w wodzie, a maszyna Rdzawców niszczy mój obóz.

— Czemu nie wylądowali? — zdziwiła się Astrix. — Nie zauważyli twoich rzeczy?

— Myślałam, że zauważyli.

— Strażnicy zgarniają tylko tych brzydkich, których znajdują w białych kwiatach — wyjaśnił David. — To miejsce spotkań, do którego ich kierujemy. Nie mogą zbierać wszystkich, bo inaczej mogliby jeszcze przez pomyłkę sprowadzić do nas szpiega.

— A tego byście nie chcieli — dodała miękko Tally.

— Mimo wszystko jednak powinni bardziej uważać ze swymi helikopterami — wtrąciła Shay. — Kiedyś posiekają kogoś na miazgę.

— Mnie to mówisz? Wiatr o mało nie porwał mojej deski

— oznajmiła Tally. — Wessał z ziemi śpiwór prosto w ostr/i i podarł na strzępy.

Ucieszyło ją zdumienie na twarzach słuchaczy.

— To gdzie spałaś? — zdziwił się Croy.

— Nie było tak źle... to tylko... — Tally urwała w samą po rękę. Tylko przez jedną noc nie miała śpiwora, ale udawała pr/r cięż, że spędziła wśród orchidei cztery dni. — Było dość ciepł< >

— Lepiej załatw sobie nowy przed nocą — poradził Davul.

— Tu, na górze, jest znacznie zimniej niż wśród zielska.

— Zabiorę ją do placówki handlowej — zaproponowali

Shay. — Przypomina to centrum zamówień, Tally, tyle że kie dy coś stamtąd bierzesz, musisz w ramach zapłaty zostaw u coś innego.

Tally poruszyła się nerwowo na krześle. Wciąż nie przy wykła do myśli, że tu trzeba za wszystko płacić.

— Mam tylko SpagBol. Przyjaciółka uśmiechnęła się.

— Idealnie nadaje się do handlu. Nie umiemy produkow;u liofilizowanej żywności oprócz suszonych owoców, a podró żowanie z prawdziwym prowiantem to mordęga. SpagBol jest na wagę złota.

**

Po kolacji Shay zaprowadziła ją do wielkiej chaty w s;im centrum miasta. Półki ugięły się pod ciężarem przedmiotów robionych w Dymie, a także kilku pochodzących z miast. Rzeczy z miast były bardzo stare i zużyte, wielokrotnie naprawiane, Tally jednak najbardziej fascynowały te inne. Wciąż bolącymi palcami dotykała glinianych dzbanków i drewnianych narzędzi, zdumiona tym, że każde z nich ma własną fakturę i ciężar. Wszystko wydawało się takie ciężkie i... poważne. Placówką kierował starszy brzydki, nie tak jednak przerażający jak SzeF. Podał jej kilka wyrobów z wełny i srebrzystych szpiworów. Koce, szale i rękawiczki były piękne — przygaszone barwy, proste wzory — lecz Shay upierała się, by Tally kupiła szpiwór z miasta.

— Są znacznie lżejsze i świetnie się składają. Lepiej nadają się do wypraw.

— Oczywiście — Tally spróbowała się uśmiechnąć. — Będzie super.

Ostatecznie wymieniła dwanaście opakowań SpagBolu na szpiwór i sześć na ręcznie zrobiony sweter, co oznaczało, że pozostało jej jeszcze osiem. Nie mogła uwierzyć, iż sweter, brązowy, ozdobiony pasami bladej czerwieni i zieleni, kosztował połowę tego co wyświecony, połatany szpiwór.

— Masz szczęście, że nie straciłaś oczyszczacza — powiedziała Shay w drodze powrotnej. — Ich nie da się kupić.

Oczy Tally rozszerzyły się.

— To co się dzieje, kiedy się zepsują?

— Mówią, że wodę ze strumienia możesz pić bez żadnego oczyszczania.

— Żartujesz!

— Nie, wielu starszych Dymiarzy tak robi. Nawet jeśli mają oczyszczacz, nie używają go.

— Błę.

Shay zachichotała.

— Racja. Ale zawsze możesz użyć mojego.

Tally położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

— Tak jak ty mojego.

Shay zwolniła kroku.

— Tally?

— Tak?

— Wtedy w bibliotece, zanim SzeF zaczął się na ciebie wydzierać, chciałaś mi coś powiedzieć.

Tally poczuła ucisk w żołądku. Cofnęła się odruchowo, ściskając wisiorek.

— No właśnie — dodała Shay. — O tym naszyjniku.

Tally skinęła głową, ale nie wiedziała od czego zacząć. Wciąż nie uruchomiła nadajnika i od rozmowy z Davidem nie była pewna, czy zdoła to zrobić. Może gdyby za miesiąc wróciła do miasta zagłodzona, z pustymi rękami, to doktor Cable ulitowałaby się nad nią.

Ale co, gdyby dotrzymała obietnicy i nie zezwoliła na ope rację? Za dwadzieścia parę lat Tally stałaby się pomarszczona i stara, brzydka jak Szef. Byłaby wyrzutkiem. A gdyby została tu w Dymie, sypiałaby w starym śpiworze i z przerażeniem myślała o dniu, gdy zepsuje jej się oczyszczacz.

Tak bardzo zmęczyły ją ciągłe kłamstwa.

— Nie powiedziałam ci wszystkiego — zaczęła.

— Wiem, ale chyba się domyślam.

Tally spojrzała z lękiem na przyjaciółkę.

— To przecież dość oczywiste, prawda? Denerwujesz się, bo złamałaś obietnicę. Nie dochowałaś tajemnicy Dymu.

Tally opadła szczęka.

Shay uśmiechnęła się i wzięła Tally za rękę.

— Gdy zbliżały się twoje urodziny, stwierdziłaś, że chcesz uciec. Ale tymczasem kogoś poznałaś. Kogoś ważnego. Tego kogoś, kto podarował ci naszyjnik z serduszkiem. I dlatego złamałaś obietnicę. Powiedziałaś temu komuś, dokąd się wybierasz.

— Hm, coś w tym stylu — wykrztusiła Tally.

Jej przyjaciółka zachichotała.

— Wiedziałam! To dlatego tak bardzo się denerwowałaś! Chcesz tu być, ale chciałybyś też być gdzie indziej, z kimś innym. I nim uciekłaś, zostawiłaś wskazówki, kopię mojego listu na wypadek, gdyby twój nowy ukochany chciał do nas dołączyć. Mam rację, prawda?

Tally zagryzła wargę. Twarz Shay jaśniała w blasku księżyca. Bez wątplenia przyjaciółka była zachwycona tym, że odgadła jej wielki sekret.

— Hm, częściowo masz rację.

— Och, Tally! — Shay chwyciła ją za ramiona. — Nie rozumiesz? Wszystko jest w porządku. Ja przecież zrobiłam zupełnie to samo!

Tally zmarszczyła brwi.

— To znaczy?

— Miałam nie mówić nikomu, że się tu wybieram. David kazał mi obiecać, że nie powiem nawet tobie.

— Dlaczego?

Shay pokiwała głową.

— Nie znał cię i nie był pewien, czy może ci zaufać. Zwykle uciekinierzy rekrutują tylko najstarszych przyjaciół, Im dzi, z którymi robili numery przez lata. Ale ja znałam cię tylko kilka miesięcy i ani razu nie wspomniałam o Dymie, aż do ostatniego dnia. Nie miałam dość odwagi, bardzo się bałam, że odmówisz.

— Czyli nie powinnaś mi była mówić?

— Jasne, że nie. I kiedy się zjawiłaś, wszyscy się zaniepo koili. Nie są pewni, czy można ci ufać. Nawet David zachowuje się przy mnie dziwnie.

— Shay, tak mi przykro.

— To nie twoja wina! — Shay gwałtownie pokręciła głową. — Tylko moja, ja wszystko schrzaniłam. Ale co z tego? Kiedy cię poznają, rozumieją, że jesteś naprawdę super.

— Tak — odparła miękko Tally. — Wszyscy byli dla mnie bardzo mili.

Pożałowała, że nie uruchomiła nadajnika w chwili, gdy tM dotarła. Wystarczył zaledwie dzień, by zrozumiała, że zdradzi nie tylko przyjaciółkę. W Dymie żyły setki ludzi.

— I jestem pewna, że ten twój ktoś też okaże się super — dodała Shay. — Nie mogę się doczekać dnia, gdy się zjawi.

— Sama nie wiem... czy do tego dojdzie.

Musiało istnieć jakieś inne wyjście z sytuacji. Może gdyby udała się do innego miasta... albo odszukała strażników i powiedziała, że zgłasza się na ochotnika, zrobiliby z niej

śliczną. Ale nie wiedziała nic o ich mieście prócz tego, że nikogo tam nie zna...

Shay wzruszyła ramionami.

— Może i nie. Ale ja też nie byłam pewna, czy przyjdiesz. — Ucisnęła dłoń Tally. — I naprawdę się cieszę, że jesteś.

Tally spróbowała się uśmiechnąć.

— Mimo że przeze mnie masz kłopoty?

— To nic takiego. Myślę, że wszyscy tu cierpią na paranoję. Spędzają mnóstwo czasu, ukrywając to miejsce przed satelitami, by nikt go nie zobaczył. Maskują też transmisje telefonów, by ich nie przechwycono. I ta cała tajemniczość w stosunku do uciekinierów? Przesada. Poza tym to niebezpieczne. Pomyśl tylko, gdybyś nie zdołała odczytać moich wskazówek, do tej pory mogłabyś być w połowie drogi na Alaskę!

— No nie wiem, Shay, może jednak wiedzą, co robią. Władze miejskie potrafią być surowe.

Shay roześmiała się.

— Nie mów tylko, że wierzysz w Wyjątkowe Okoliczności!

— Ja... — Tally przymknęła oczy — po prostu uważam, że Dymiarze powinni zachować ostrożność.

— No jasne, nie twierdzę, że powinniśmy się reklamować. Ale jeśli ludzie tacy jak ty i ja chcą tu przybyć i żyć inaczej, czemu nie? Przecież nikt nie ma prawa kazać nam stać się ślicznymi.

— Może się martwią, bo jesteśmy dziećmi? No wiesz.

— To właśnie problem z miastami, Tally. Tam wszyscy są dziećmi, rozpieszczonymi, zależnymi od innych ślicznymi.

— Tak jak mówią w szkole, wielkie oczy oznaczają bezbronność. Sama mi kiedyś powiedziałaś: kiedyś trzeba dorosnąć.

Tally kiwnęła głową.

— Wiem, co masz na myśli. Tutejsi brzydki są bardziej do rośli, widać to po ich twarzach.

Shay zatrzymała Tally i przez sekundę przyglądała się jej uważnie.

— Czujesz się winna, prawda?

Tally spojrzała jej w oczy, na moment zabrakło jej słów. I nagle w chłodnym, nocnym powietrzu poczuła się naga, jakby Shay zdołała przeniknąć wzrokiem jej kłamstwa.

— Co? — wykrztusiła.

— Winna. Nie tylko powiedziałaś komuś o Dymie, ale też, że może tu przyjść. A teraz, kiedy zobaczyłaś Dym, nie masz/ pewności, czy to taki dobry pomysł. — Shay westchnęła. Wiem, że na początku jest dziwnie i trzeba naprawdę ciężko pracować. W końcu jednak ci się spodoba, zobaczysz.

Tally odwróciła wzrok; do oczu napłynęły jej łzy.

— Nie o to chodzi. No... może trochę. Po prostu nie wiem, czy zdołam... — Słowa uwięzły jej w gardle. Gdyby nie umilkła, wyznałaby Shay całą prawdę: że jest szpiegiem, zdrajcą przysłanym tu, aby zniszczyć wszystko, co je otacza.

A Shay okazała się na tyle głupia, by ją tu doprowadzić.

— Wszystko będzie dobrze. — Shay przytuliła ją i zaczęła kołysać delikatnie, a Tally rozplakała się cicho. — Przepraszam, nie chciałam od razu wszystkiego na ciebie zważyć. Ale od chwili gdy się zjawiłaś, miałam wrażenie, że jesteś jakaś odległa, jakbyś nie była pewna, czy chcesz na mnie patrzeć.

— Powinnam powiedzieć ci wszystko.

— Cii... — Poczula, jak Shay gładzi jej włosy. — Po prostu cieszę się, że tu jesteś.

Przez chwilę Tally pozwoliła sobie na płacz. Zasłoniła twarz drapiącym wełnianym rękawem nowego swetra. Shay trwała przy niej, ciepła, a ona czuła się okropnie, i każdy gest życzliwości przyjaciółki jeszcze pogarszał sprawę.

Częściowo cieszyła się, że tu dotarła i ujrzała to wszystko. Mogła przeżyć całe życie w mieście i nie zobaczyć nawet kawałka świata. Druga połowa jej umysłu żałowała, że nie uruchomiła nadajnika w chwili, gdy ujrzała Dym. Tak byłoby znacznie łatwiej.

Ale nie mogła już cofnąć czasu. Musiała podjąć decyzję, czy zdradzi Dym, czy też nie, w pełni świadoma tego, co to oznacza dla Shay, Davida i wszystkich tutaj.

— Już dobrze, Tally — szepnęła uspokajająco Shay. — Wszystko będzie dobrze.

PODEJRZENIA

W miarę upływu czasu Tally coraz bardziej wpadała w ni tynę właściwą Dymowi.

Wyczerpanie po ciężkiej pracy w dziwny sposób dodawa ło jej otuchy. Przez całe życie Tally cierpiała na bezsenność; większość nocy leżała w łóżku, przypominając sobie wcześniejsze kłótnie, dyskusje, których nie odbyła, i rzeczy, które wolałaby zrobić inaczej. Lecz tu, w Dymie, umysł wyłączał się już w chwili, gdy głowa opadła na poduszkę, która nie była nawet poduszką, lecz jedynie nowym swetrem wepchniętym do bawełnianego worka.

Wciąż nie wiedziała, jak długo tu zostanie. Nie podjęła decyzji w sprawie włączenia nadajnika, czuła jednak, że nieustanne rozmyślenia o tym doprowadzą ją do obłądu. Posta nowiła zatem wyrzucić je z umysłu. Być może pewnego dnia ocknie się i zrozumie, że nie zdoła znieść dłużej życia jako brzydka, nieważne, kogo zrani i jaki będzie koszt. Na razie jednak doktor Cable mogła poczekać.

W Dymie puszczenie w niepamięć dręczących ją próbie mów okazało się bardzo łatwe. Tutejsze życie było zdecydowanie intensywniejsze niż w mieście. Kapała się w rzece tak zimnej, że musiała wskakiwać do niej z krzykiem, i jadła zdjęte z ognia jedzenie tak gorące, że parzyło ją w język, czego w mieście nigdy nie doświadczyła. Oczywiście tęskniła za szamponem, od którego nie piekły oczy, i spłukiwanymi toaletami (ku swej zgrozie wkrótce dowiedziała się, czym są „latryny”), i przede wszystkim sprayem leczniczym. Lecz mimo pokrytych pęcherzami, poranionych rąk Tally czuła się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. Mogła pracować cały dzień przy torach, a potem w drodze do domu ścigać się z Davidem i Shay, dźwigając w plecaku tyle metalu, ile jeszcze przed miesiącem nie zdołałaby nawet podnieść. Od Da— vida nauczyła się reperować ubrania igłą i nitką, odróżniać drapieżniki od ich ofiar, a nawet oczyszczać ryby, co okazało się mniej okropne niż ich krojenie na lekcjach biologii.

A samo piękno Dymu także pomogło jej pozbyć się trosk. Góra, niebo i okoliczne doliny zmieniały się co dzień, każdego dnia okazywały się niezwykle w zupełnie nowy sposób. Przynajmniej natura nie potrzebowała operacji, by stać się piękna. Po prostu taka była.

*

**

Pewnego ranka w drodze do pracy David podleciał na desce do Tally. Jakiś czas milczał, pokonując znajome zakręty z właściwym sobie wdziękiem. W ciągu ostatnich dwóch tygodni Tally dowiedziała się, że jego kurtkę naprawdę zrobiono ze skóry prawdziwych martwych zwierząt, ale stopniowo przywykła do tej myśli. Owszem, Dymiarze polowali, ale przypominali nieco strażników: zabijali jedynie gatunki, które

nie powinny żyć w tej części świata albo wyrwały się spod kontroli po ingerencji Rdzawców Uszyta z rozmaitych łąt kurtka na kimkolwiek innym wyglądałaby zapewne głupio, do niego jednak pasowała, jak gdyby David dorastając tu, w głuszy, w jakiś sposób złączył się ze zwierzętami, które poświęciły swe skóry na jego ubranie. Nie szkodził też fakt, że sam uszył swoją kurtkę.

— Mam dla ciebie prezent — powiedział nagle, przerywając milczenie.

— Prezent? Naprawdę?

Do tej pory Tally odkryła już, że w Dymie nic nigdy nie traciło wartości. Niczego nie wyrzucano ani nie oddawano tylko dlatego, że było stare bądź zepsute. Wszystko naprawiano, przerabiano i poddawano recyklingowi. A jeśli jeden Dymiarz nie mógł dłużej z czegoś korzystać, wymieniał to z innym. Tutejsi ludzie nieczęsto dawali prezenty.

— Tak, naprawdę. — David podleciał bliżej i wręczył jej niewielką paczuszkę.

Rozwinęła ją, niemal bez patrzenia podążając znajom;) trasą wzdłuż strumienia. To były rękawice, uszyte ręcznie, z jasnobrązowej skórki.

Tally wepchnęła do kieszeni kolorowy ozdobny papier z miasta i naciągnęła rękawiczki na pokryte pęcherzami dłonie.

— Dzięki, pasują idealnie.

Przytaknął.

— Uszyłem je, kiedy byłem w twoim wieku. Teraz są już na mnie za małe.

Taily uśmiechnęła się, żałując, że nie może go teraz uścisnąć. Gdy rozłożyli ręce podczas ostrego skrętu, na chwilę serdecznie dotknęła jego dłoni.

Gdy zaczęła poruszać palcami, odkryła, że rękawiczki są miękkie i elastyczne, nieco przetarte po latach noszenia. Białe linie na kostkach palców zaznaczały ślady po dłoniach Davida.

— Są cudowne.

— Daj spokój — zaprotestował David. — Nie są przecież magiczne ani nic takiego.

— Nie, ale mają w sobie... coś.

Historię, uświadomiła sobie Tally. W mieście miała mnóstwo rzeczy — niemal wszystko, czego zapragnęła, wypadało ze ściany. Lecz rzeczy miejskie były jednorazowe, łatwe do zastąpienia, wymienne niczym uniformy wspólnych domów złożone z podkoszulki, kurtki i spódnicy. Tu w Dymie przedmioty się starzały, w przetarciach, zagięciach i strzępach kryła się historia.

David zaśmiał się tylko i przyspieszył, dołączając do Shay z przodu grupy.

*

**

Gdy dotarli do torów, oznajmił, że muszą zebrać więcej szyn, przecinając wibropiłami rosnącą wokół roślinność.

— A drzewa? — spytał Croy.

— Co z nimi?

— Czy musimy je ścinać? — wtrąciła się Tally.

David wzruszył ramionami.

— Karłowate drzewa na niewiele się zdadzą, ale ich nu zmarnujemy. Zabierzemy do Dymu i spalimy.

— Spalimy? — powtórzyła Tally.

Zazwyczaj Dymiarze wycinali drzewa wyłącznie w dole nie, nie na całej górze. Te rosły dziesiątki lat, a David chciał ich użyć do gotowania posiłków? Spojrzała na Shay w pozukiwaniu wsparcia, ale twarz przyjaciółki miała wystudio wanie neutralny wyraz. Pewnie się z nią zgadzała, lecz nic zamierzała spierać się z Davidem na oczach wszystkich o to, jak ma kierować swym projektem.

— Tak, spalimy — odparł. — A kiedy zbierzemy metal, za sadzimy nowe. W miejscu kolei wyrosną użyteczne drzewa.

Pozostała piątka patrzyła na niego w milczeniu. David obrócił w dłoni piłę. Wyraźnie chciał już zacząć, ale wic dział, że wciąż nie ma pełnego poparcia.

— Wiesz, Davidzie — odezwał się Croy — te drzewa nie s,| bezużyteczne. Chronią poszycie przed słońcem. Dzięki temu gleba nie ulega erozji.

— No dobra, wygraliście; zamiast sadzić inne drzewa, po zwolimy, by las zarósł ziemię. Tyle drzew i marnych kr/c wów, ile tylko zechcecie.

— Ale czy musimy je wyrąbać? — spytała Astrix.

David westchnął głęboko.

Słowo „wyrąb” określało to, co Rdzawcy robili z dawny mi puszciami: ścinali drzewa, zabijali wszystko, co żyje, zmieniali całe kraje w pastwiska. Wchłonęli tropikalne dżungle: zamiast milionów powiązanych ze sobą gatunków, pozostały tylko krowy jedzące trawę. Olbrzymia sieć życia zniknęła, zamieniona na tanie hamburgery.

— Posłuchajcie, my nie będziemy wyrąbywać, usuwamy tylko śmiecie pozostawione przez Rdzawców — wyjaśnił Da— vid. — Po prostu wymaga to niewielkich zabiegów chirurgicznych.

— Moglibyśmy ciąć wokół drzew — zaproponowała Tally. — A same drzewa tylko wtedy, kiedy trzeba. Jak mówiłeś: zabieg chirurgiczny.

— W porządku — zachichotał. — Zobaczymy, co powiecie o drzewach, gdy będziecie musieli wykopać kilka z ziemi.

*

**

Miał rację.

Wibropiła z cichym pomrukiem przecinała grube pnącza, rozdzierała splątane poszycie niczym grzebień rozczesujący mokre włosy i wnikała czysto w metal, gdy nieostrożny gest zbliżył ją zanadto do szyn. Kiedy jednak jej zęby natykały się na poskręcane korzenie karłowatych drzew, robiło się trudniej.

Tally skrzywiła się, gdy piła po raz kolejny odbiła się od twardego drewna, zasypując jej twarz odłamkami kory. Cichy pomruk przeszedł w przeszywający jęk protestu. Z trudem zmusiła ostrze do wgrzyzienia się w twarde, stary konar. Jeszcze jedno cięcie i oczyści ten fragment torów.

— Dobrze ci idzie. Już prawie się udało, Tally.

Zauważyła, że Croy stał spory kawałek dalej, gotów od skoczyć, gdyby piła jakimś cudem wyśliznęła jej się z rąk. I raz Tally rozumiała, czemu David chciał pociąć karłowate drzewa na kawałki. Byłoby to znacznie łatwiejsze niż sięgać nie w głąb płataniny gałęzi i korzeni, aby przeciąć wibropi łą drewno w starannie wybranym miejscu.

— Głupie drzewa — wymamrotała, zaciskając zęby i znów opuszczając ostrze.

W końcu piła zagłębiła się w drewno, wydając piskliwy dźwięk. Po chwili przegryzła się na drugą stronę i po sekundy, protestując gwałtownie, uderzyła o ziemię.

— Tak! — Tally cofnęła się o krok i zsunęła z oczu gogle. Wciąż trzymała w dłoniach cichnącą piłę.

Croy wystąpił naprzód, kopnięciem odrzucił konar na bok.

— Idealne chirurgiczne cięcie, pani doktor.

— Chyba zacznę nad tym panować. — Tally otarła czoło.

Zbliżało się południe; słońce prażyło bezlitośnie, zalewając polanę gorącymi promieniami. Ściągnęła sweter; chł (HI poranka już dawno zniknął.

— Miałaś rację co do drzew i cienia.

— Ty to powiedziałaś — odparł Croy. — A przy okazji, ładny sweter.

Uśmiechnęła się — wraz z nowymi rękawiczkami stanowił jej największy nowy skarb.

— Dzięki.

— Ile cię kosztował?

— Sześć SpagBoli.

— Drogi, ale ładny. — Croy spojrział jej w oczy. — Tally, pamiętasz pierwszy dzień, gdy się tu zjawiłaś? Kiedy złapałem twój plecak? Naprawdę nie tknąłbym twoich

rzeczy, nie bez wymiany. Po prostu mnie zaskoczyłaś, kiedy powiedziałaś, że mogę sobie wszystko wziąć.

— Jasne, nie ma sprawy — odparła.

Teraz, gdy pracowała z Croyem, stwierdziła, że miły z niego gość. Jasne, wolałaby być w parze z Davidem bądź Shay, ale dziś ta dwójka cięła razem. Poza tym może już czas, by poznała lepiej innych Dymiarzy.

— Mam też nadzieję, że kupiłaś nowy śpiwór.

— Tak, za dwanaście SpagBoli.

— Pewnie nie masz już za wiele?

Skinęła głową.

— Zostało mi tylko osiem.

— Nieźle. Założę się jednak, że po drodze nie miałaś pojęcia, iż właśnie przejadasz swój przyszły majątek.

Tally roześmiała się. Przykucnęli pod częściowo ściętym drzewem, zbierając z torów pęki pnączy.

— Gdybym wiedziała, jak cenne są porcje jedzenia, pewnie nie zjadłabym tak wielu, mimo głodu. Tak naprawdę nie lubię już tego zarcia. Najgorsze było SpagBol na śniadanie.

— Brzmi smakowicie. — Croy zachichotał. — Myślisz, że oczyściliśmy już ten odcinek?

— Jasne, przejdźmy do następnego. — Wręczyła mu piłę.

Croy najpierw usunął najłatwiej dostępne pnącza, atakując poszycie wibrującym ostrzem.

Zauważyła, że Croy stał spory kawałek dalej, gotów od skoczyć, gdyby piła jakimś cudem wyśliznęła jej się z rąk. Iir raz Tally rozumiała, czemu David chciał pociąć karłowate drzewa na kawałki. Byłoby to znacznie łatwiejsze niż sięgać nie w głąb płataniny gałęzi i korzeni, aby przeciąć wibropi łą drewno w starannie wybranym miejscu.

— Głupie drzewa — wymamrotała, zaciskając zęby i znów opuszczając ostrze.

W końcu piła zagłębiła się w drewno, wydając piskliwy dźwięk. Po chwili przegryzła się na drugą stronę i po sekundy, protestując gwałtownie, uderzyła o ziemię.

— Tak! — Tally cofnęła się o krok i zsunęła z oczu gogle. Wciąż trzymała w dłoniach cichnącą piłę.

Croy wystąpił naprzód, kopnięciem odrzucił konar na bok.

— Idealne chirurgiczne cięcie, pani doktor.

— Chyba zacznę nad tym panować. — Tally otarła czoło.

Zbliżało się południe; słońce prażyło bezlitośnie, zalewa jąc polanę gorącymi promieniami. Ściągnęła sweter; chłód poranka już dawno zniknął.

— Miałaś rację co do drzew i cienia.

— Ty to powiedziałaś — odparł Croy. — A przy okazji, ładny sweter.

Uśmiechnęła się — wraz z nowymi rękawiczkami stanowił jej największy nowy skarb.

— Dzięki.

— Ile cię kosztował?

— Sześć SpagBoli.

— Drogi, ale ładny. — Croy spojrzał jej w oczy. — Tally, pamiętasz pierwszy dzień, gdy się tu zjawiałaś? Kiedy złapałem twój plecak? Naprawdę nie tknąłbym twoich rzeczy, nie bez wymiany. Po prostu mnie zaskoczyłaś, kiedy powiedziałaś, że mogę sobie wszystko wziąć.

— Jasne, nie ma sprawy — odparła.

Teraz, gdy pracowała z Croyem, stwierdziła, że miły z niego gość. Jasne, wolałaby być w parze z Davidem bądź Shay, ale dziś ta dwójka cięła razem. Poza tym może już czas, by poznała lepiej innych Dymiarzy.

— Mam też nadzieję, że kupiłaś nowy śpiwór.

— Tak, za dwanaście SpagBoli.

— Pewnie nie masz już za wiele?

Skinęła głową.

— Zostało mi tylko osiem.

— Nieźle. Założę się jednak, że po drodze nie miałaś pojęcia, iż właśnie przejadasz swój przyszły majątek.

Tally roześmiała się. Przykucnęli pod częściowo ściętym drzewem, zbierając z torów pęki pnączy.

— Gdybym wiedziała, jak cenne są porcje jedzenia, pewnie nie zjadłabym tak wielu, mimo głodu. Tak naprawdę nie lubię już tego żarcia. Najgorsze było SpagBol na śniadanie.

— Brzmi smakowicie. — Croy zachichotał. — Myślisz, że oczyściliśmy już ten odcinek?

— Jasne, przejdźmy do następnego. — Wręczyła mu piłę.

Croy najpierw usunął najłatwiej dostępne pnącza, atakując poszycie wibrującym ostrzem.

— Posłuchaj, Tally, jednego nie rozumiem.

— Czego?

Piła ze zgrzytem odbiła się od metalu, posyłając w powie trze snop iskier.

— Kiedy się tu zjawiłaś, powiedziałaś, że wyruszyłaś z min sta, zabierając zapas na dwa tygodnie.

— Tak.

— Dotarcie tutaj zabrało ci dziewięć dni, czyli powinno ci zostać zapasów na pięć, w sumie jakieś piętnaście opakowań. Ale pamiętam, że kiedy zajrzałem do twojej torby, pomyślałem: ma ich całe tony.

Tally przełknęła ślinę, starając się zachować obojętną minę.

— I okazuje się, że miałem rację. Dwanaście plus sześć plus osiem, to ile... dwadzieścia sześć?

— No, chyba tak.

Skinął głową, starannie manewrując piłą pod nisko wiszącą gałęzią.

— Tak też myślałem. Ale uciekłaś z miasta przed urodzinami, tak?

Tally myślała bardzo szybko.

— Jasne. Tylko że chyba nie jadałam co dzień trzech posiłków. Jak mówiłam, po jakimś czasie miałam serdecznie dosyć SpagBolu.

— Wygląda na to, że prawie w ogóle nic nie jadłaś.

Usiłowała dokonać w pamięci szybkich obliczeń, próbując wymyślić przekonującą historię. Przypomniała sobie słowa Shay z owego pierwszego wieczoru: niektórzy Dymiarze żywili co do niej podejrzenia, obawiali się, że może być szpiegiem. Tally sądziła, że wszyscy zdążyli ją już zaakceptować. Najwyraźniej jednak nie.

Odetchnęła głęboko, próbując przegnać ze swojego głosu strach.

— Posłuchaj, Croy, zdradzę ci coś. Sekret.

— Jaki?

— Pewnie opuszczając miasto, miałam zapasy na dłużej niż dwa tygodnie. Tak naprawdę nigdy ich nie policzyłam.

— Ale wciąż powtarzałaś...

— Tak, mogłam trochę podkoloryzować, żeby moja wyprawa wyglądała ciekawiej. No wiesz, żebyście myśleli, że mogłoby zabraknąć mi prowiantu, gdyby nie zjawili się strażnicy. Ale masz rację, zostało mi go mnóstwo.

— Jasne. — Spojrzał na nią, uśmiechając się łagodnie. — Tak właśnie podejrzewałem. Twoja opowieść brzmiała trochę nazbyt... ciekawie, by było to prawdziwe.

— Ale większość z tego, o czym mówiłam, była...

— Oczywiście. — Piła z jękiem ucichła mu w dłoni. — Jestem pewien, że tak było. Pytanie brzmi: jaka część?

Tally spojrzała w przenikliwe oczy, gorączkowo szukając odpowiedzi. To przecież tylko parę dodatkowych opakowań jedzenia, żaden dowód, że jest szpiegiem. Powinna po prostu to wyśmiać, ale fakt, że Croy miał rację, skutecznie ją uciszył.

— Weźmiesz na trochę piłę? — spytał miękko. — Wycinanie to ciężka praca.

Ponieważ usuwali zarośla i w południe nie musieli zawozić do miasta metalu, cała ekipa zabrała ze sobą lunch: zupełną kartoflaną i chleb ze słonymi oliwkami. Tally ucieszyła się, widząc, że Shay siada pod gęstym lasem, z dala od grupy. Po szła za nią i usiadła obok przyjaciółki wśród roztańczonych słonecznych plamek.

— Muszę z tobą pogadać.

Shay nie patrząc na nią, westchnęła cicho, łamiąc chleb na kawałeczki.

— Faktycznie, chyba musisz.

— Och, z tobą też rozmawiał?

Przyjaciółka pokręciła głową.

— Nie musiał nic mówić.

Tally zmarszczyła brwi.

— O co ci chodzi?

— To przecież oczywiste. Odkąd się tu zjawiłaś. Powinam była od razu to dostrzec.

— Ale ja nigdy... — zaczęła Tally, lecz głos ją zawiódł. — Co ty mówisz? Uważasz, że Croy ma rację?

Shay westchnęła.

— Mówię tylko, że... — urwała i odwróciła się, patrząc na Tally. — Croy? O co chodzi z Croyem?

— Rozmawiał ze mną przed lunchem. Zauważył mój swe ter i spytał, czy mam już śpiwór. I wyliczył, że po dziewięciu dniach wyprawy zostało mi za dużo SpagBoli.

— Za dużo czego? — Twarz Shay zdradzała całkowite ostu pienie. — O czym ty mówisz, do licha?

— Pamiętasz, kiedy tu przyszedłam? Powiedziałam wszystkim, że... — Tally umilkła, po raz pierwszy dostrzegając oczy Shay. Były zaczerwienione, jak gdyby nie spała. — Zaczekaj chwilkę. A ty myślałaś, że o czym mówię?

Shay uniosła dłoń i rozcapierzyła palce.

— O tym.

— Co?

— Pokaż swoją.

Tally otworzyła dłoń, naśladując przyjaciółkę.

— Ta sama wielkość — powiedziała Shay i odwróciła obie ręce. — Takie same pęcherze.

Tally spojrzała i zamrugała wstrząśnięta. Jeżeli to możliwe, ręce Shay były w jeszcze gorszym stanie, czerwone, suche i popękane, pełne śladów starych pęcherzy. Shay zawsze ciężko harowała, pierwsza rzucała się do pracy i wybierała najtrudniejsze zadania.

Palce Tally powędrowały do wsuniętych za pasek rękawiczek.

— Shay, David na pewno nie chciał...

— Na pewno chciał. Tu w Dymie ludzie zawsze długo się zastanawiają, nim dadzą coś komuś w prezencie.

Tally przygryzła wargę. Faktycznie. Wyciągnęła rękawiczki z za pasa.

— Weź je. To ty powinnaś je dostać.

— Nie. Chcę. Ich.

Tally znieruchomiała, zupełnie oszołomiona. Najpierw Croy, teraz to.

ODWAGA

Tego wieczoru kolację zjadła sama.

Teraz, gdy cały dzień ścinała drzewa, drewniany stół w ja dalni już jej nie przerażał. Słoje drewna wydały jej się przy jemnie solidne, a śledzenie ich krzywizn było łatwiejsze niż myślenie.

Po raz pierwszy dostrzegła monotonię posiłków. Znowu chleb, znowu gulasz. Parę dni temu Shay wyjaśniła, że mięso w gulaszu to królik. Potrawa nie była sojowa jak liofilizowana ne mięso w SpagBolu; przyrządzono ją z prawdziwych zwierząt, żyjących w zatłoczonej królikarni na skraju Dymu. Myśl o królikach, zabijanych, obdzieranych ze skóry i gotowanych, pasowała do nastroju Tally. Samo mięso miało ostry, lekko mdlący smak.

Shay nie rozmawiała z nią po lunchu, a Tally nie miała pojęcia, co powiedzieć Croyowi, toteż resztę dnia pracowała w milczeniu. Naszyjnik doktor Cable ciążył jej coraz bardziej, okalając gardło ciasno niczym pęczka, gałęzie i korze nie ścisakające tory kolejowe. Miała wrażenie, jakby wszyscy w Dymie wiedzieli, co naprawdę symbolizuje: jej zdradę. Tally zastanawiała się, czy teraz będzie tu mogła zostać. Croy ją podejrzewał; pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy wszyscy się dowiedzą. Cały dzień nie dawała jej spokoju straszna myśl: może naprawdę tu jest jej miejsce, lecz straciła szansę na pozostanie w Dymie, przybywając jako szpieg.

A teraz stanęła pomiędzy Davidem a Shay. Bezwiednie zraniła najlepszą przyjaciółkę. Niczym chodząca trucizna zabijała wszystko.

Pomyślała o orchideach rozrastających się na równinach, wysysających życie z innych roślin i z samej ziemi, samolubnych, niepowstrzymanych. Tally Youngblood była podobnym chwastem, tyle że w odróżnieniu od orchidei nawet nie ślicznym.

Kiedy skończyła jeść, naprzeciwko usiadł David.

— Hej.

— Cześć.

Zmusiła się do uśmiechu. Mimo wszystko poczuła ulgę na jego widok. Samotne jedzenie przypomniało jej owe dni po urodzinach, gdy siedziała u siebie, uwięziona, brzydka, choć wszyscy wiedzieli, że powinna stać się śliczna. Dziś po raz pierwszy od przybycia do Dymu znów poczuła się brzydka.

David ujął jej rękę.

— Tally, tak mi przykro.

— Przykro?

Odwrócił jej dłoń, ukazując świeże pęcherze na palcach.

— Zauważyłem, że nie nosisz już rękawiczek, przestałaś po lunchu z Shay. Nietrudno zgadnąć dlaczego.

— A tak. To nie to, że mi się nie podobają, po prostu nic mogłam.

— Jasne, wiem. To wszystko moja wina. — Rozejrzał się po zatłoczonej sali. — Moglibyśmy stąd wyjść? Muszę ci coś po wiedzieć.

Tally skinęła głową. Poczula zimno wisiorka na szyi i przy pomniała sobie obietnicę złożoną Shay.

— Tak, ja też mam ci coś do powiedzenia.

*

**

Przeszli przez Dym, mijając kuchenne ognie gaszone to patami ziemi, okna, w których zapalały się świece i żarówki elektryczne, i garstkę młodych brzydkich ścigających spłoszoną kurę. Wdrapali się wysoko na skalną półkę, z której Tally po raz pierwszy spojrzała na osadę. David poprowadził ją na wielki płaski kamień pomiędzy drzewami, z którego roztaczał się wspaniały widok. Tally jak zawsze zauważyła, z jakim wdziękiem się porusza, jakby znał doskonale każdy metr ścieżki. Nawet śliczni dysponujący idealnie wyważonymi ciałami, zaprojektowanymi tak, aby wyglądać elegancko we wszelkich możliwych strojach, nie poruszali się z równie naturalną gracją.

Z rozmysłem odwróciła wzrok. W dolinie orchidee jaśniały złowieszczo w blasku księżyca, niczym zamrożone mozaiki napierające na ciemny brzeg lasu.

David odezwał się pierwszy.

— Wiedziałaś, że jesteś pierwszą uciekinierką, która przybyła tu zupełnie sama?

— Poważnie?

Skinął głową, wciąż spoglądając na białe ukwiecone równiny.

— Zazwyczaj ja ich przyprowadzam.

Tally przypomniała sobie Shay, ich ostatnie nocne spotkanie w mieście. Przyjaciółka powiedziała wówczas, że tajemniczy David zabierze ją do Dymu. Wtedy Tally nie wierzyła, że ktoś taki w ogóle istnieje. Teraz siedzący obok David wydawał się całkowicie rzeczywisty. Traktował świat bardziej serio niż jakikolwiek inny znany jej brzydki — bardziej nawet niż średni śliczni, tacy jak jej rodzice. W pewien zabawny sposób jego oczy miały w sobie tę samą intensywność spojrzenia co u okrutnych ślicznych, tyle że nie było w nich owego chłodu.

— Dawniej robiła to moja matka — rzekł. — Ale teraz jest za stara.

Tally przełknęła ślinę. W szkole zawsze im powtarzano, że brzydki, którzy nie przeszli operacji, w końcu tracili sprawność.

— Tak mi przykro. Ile właściwie ma lat?

Roześmiał się.

— Nie, jest zupełnie zdrowa, ale brzydkim łatwiej zaufać komuś takiemu jak ja, komuś w ich wieku.

— Ach, oczywiście.

Przypomniała sobie swoją reakcję na Szefa owego pierwszego dnia. Zaledwie po paru tygodniach zdążyła się oswoić z najróżniejszymi typami twarzy, które tworzył wiek.

— Czasami garstka brzydkich dociera tu sama, podążając za zaszyfrowanymi wskazówkami, tak jak ty. Zawsze było ich

co najmniej troje czy czworo. Nikt nigdy nie zjawiał się sam.

— Pewnie uważasz mnie za idiotkę?

— Ależ nie! — Ujął jej dłoń. — Uważam, że to było bardzo odważne.

Wzruszyła ramionami.

— W sumie nie było tak źle.

— To nie wyprawa wymaga odwagi, Tally. Sam pokonywałem znacznie dłuższe trasy. Chodzi o porzucenie domu. — Pogładził lekko palcem jej bolącą rękę. — Nie wyobrażam sobie, że mógłbym odejść z Dymu, zostawić wszystko, co dotąd znałem, ze świadomością, że zapewne nigdy już tu nie wrócę.

Tally odkaszlnęła. Istotnie, nie było to wcale łatwe. Tyle że oczywiście nie miała wyboru.

— Ale ty opuściłaś swoje miasto, jedyne miejsce, w jakim kiedykolwiek żyłaś, i to zupełnie sama — podjął David. — Nie poznałaś nawet Dymiarza, kogoś, kto mógłby zaświadczyć swoim istnieniem, że Dym istnieje naprawdę. Kierowałaś się wyłącznie zaufaniem, zrobiłaś to, bo poprosiła cię przyjaciółka. Chyba dlatego uznałem, że mogę ci zaufać.

Tally spoglądała w dal na zielska. Z każdym słowem Da vida czuła się coraz gorzej. Gdyby tylko znał prawdziwy powód, dla którego tu przybyła.

— Kiedy Shay po raz pierwszy powiedział mi, że przyjdiesz, byłem na nią bardzo zły.

— Bo mogłam zdradzić położenie Dymu?

Częściowo. A częściowo dlatego, że samotna wielokilometrowa wędrówka jest dla wychowanej w mieście szesnastolatki naprawdę niebezpieczna. Ale przede wszystkim uważałem, że to zbędne ryzyko, bo nie zdołasz nawet wydostać się z własnej sypialni. — Spojrzał na nią i delikatnie uścisnął jej dłoń. -

Zdumiałem się, widząc, jak zbiegasz z tamtego wzgórza. Tally uśmiechnęła się.

Wyglądałam wtedy żałośnie. — Byłaś strasznie podrapana, włosy i ubranie miałaś przypalone w pożarze, lecz uśmiechałaś się tak radośnie. — Twarz Davida zdawała się jaśnieć w łagodnym blasku księżyca.

Tally przymknęła oczy i pokręciła głową. No świetnie. Zaraz dostanie nagrodę za odwagę, choć tak naprawdę powinien wykopać ją z Dymu za zdradę.

— Teraz nie wydajesz się już taka szczęśliwa — dodał cicho Nie wszyscy się cieszą, że tu przybyłam.

David zaśmiał się.

— Tak, Croy opowiadał mi o swym wielkim odkryciu. Naprawdę? — Otworzyła oczy.

— Nie słuchaj go. Od chwili gdy tu trafiłaś, był strasznie podejrzliwy, bo przybyłaś sama. Uważał, że ktoś musiał ci pomóc. Ktoś z miasta. Ale powiedziałem mu, że chyba oszalał.

Dzięki.

Wzruszył ramionami.

— Kiedy zobaczyłyście się z Shay, byłaś taka szczęśliwa.

Widziałem, że naprawdę za nią tęskniłaś

— Tak, martwiłam się o nią.

— Oczywiście. I miałaś dość odwagi, by sama jej poszukać, choć oznaczało to porzucenie wszystkiego, co znałaś. Tak naprawdę nie przybyłaś tu dlatego, że chciałaś zamieszkać w Dymie, prawda?

— Hm... To znaczy?

— Przybyłaś sprawdzić, czy Shay nic się nie stało.

Tally spojrzała Davidowi w oczy. Choć całkowicie mylił się co do niej, dobrze było napawać się jego słowami. Dzi siejszy dzień został skażony przez podejrzenia i wątpliwości. Lecz twarz Davida jaśniała podziwem z powodu tego, czego dokonała. Ogarnęło ją dziwne uczucie, ciepło, które prze gnało chłód wiatru.

I nagle Tally zadrżała wewnątrz, bo uświadomiła sobie, co to za uczucie. Takie samo ciepło czuła, rozmawiając z Perisem po jego operacji albo gdy nauczyciel patrzył na nią z aprobatą. Nigdy dotąd jednak nie wiązało się z kimś brzydkim. Twarze pozbawione wielkich, doskonale ukształtowanych oczu nie budziły podobnych emocji. Lecz blask księżyca, otoczenie, a może tylko słowa w jakiś sposób sprawiły, że David stał się śliczny. Tylko na chwilę.

Ale przecież cała ta magia opierała się na kłamstwach. Tally nie zasłużyła sobie na takie spojrzenie.

Odwróciła się i znów wbiła wzrok w ocean chwastów.

— Założę się, że Shay żałuje teraz, że w ogóle wspomniała mi o Dymie.

— Może w tej chwili, może będzie żałowała przez jakiś czas — odparł David. — Ale to minie.

— Ale ty i ona...

— Ona i ja — westchnął. — Wiesz, że Shay bardzo szybko zmienia zdanie.

— To znaczy?

— Za pierwszym razem chciała wyruszyć do Dymu wiosną. Wtedy, kiedy przybyli tu Croy i inni.

— Mówiła mi. Stchórzyła, prawda?

David przytaknął.

— Zawsze podejrzewałem, że stchórzy. Chciała uciec tylko dlatego, że postanowili tak jej przyjaciele. Gdyby została w mieście, byłaby zupełnie sama.

Tally przypomniała sobie pozbawione przyjaciół dni po operacji Perisa.

— Tak, znam to uczucie.

— Ale tamtej nocy się nie pokazała i bardzo się zdziwiłem, gdy parę tygodni potem ujrzałem ją w ruinach. Nagle była przekonana, że chce na zawsze opuścić miasto i mówiła już o tym, że zamierza sprowadzić przyjaciółkę, choć tobie nie wspomniała jeszcze o niczym ani słowem. — Pokręcił głową. — O mało nie zażądałem, by zapomniała o wszystkim, została w mieście i stała się śliczna.

Tally odetchnęła głęboko. Gdyby tak właśnie postąpił, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze. W tej chwili ona także byłaby śliczna i bawiła się gdzieś na wieży imprez z Perisem, Shay oraz mnóstwem nowych przyjaciół. Lecz wizja ta nie wywołała u Tally

zwykłego dreszczyku emocji. Wydała się bezbarwna i nudna, jak piosenka słyszana zbyt wiele razy.

David uściskał jej dłoń.

— Cieszę się, że tego nie zrobiłem.

Coś sprawiło, że Tally powiedziała:

— Ja też.

Słowa te zaskoczyły ją, bo zadźwięczała w nich prawda. Zerknęła na Davida i znów to poczuła. Widziała, że ma zbyt wysokie czoło, że jedną brew przecina biała kreseczka bliźniacza. Jego uśmiech był raczej krzywy, lecz miała wrażenie, jakby coś w jej głowie zmieniło się, coś, co sprawiło, że jego twarz stała się dla niej śliczna. Ciepło ciała Davida pomagało zwalczyć jesienny chłód. Przysunęła się bliżej.

— Shay bardzo się starała odpracować to, że stchórzyła za pierwszym razem i że przekazała ci wskazówki, choć obiecała, że tego nie zrobi — podjął David. — Teraz uznaję, że Dym to najwspanialsze miejsce pod słońcem, a ja jestem najlepszym człowiekiem na świecie, bo ją tu sprowadziłem.

— Ona naprawdę cię lubi, Davidzie.

— A ja naprawdę lubię ją. Ale nie jest...

— Jaka?

— Poważna. Nie tak jak ty.

Tally odwróciła się, myśli wirowały jej w głowie. Wiedziała, że musi dotrzymać słowa teraz albo nie zrobi tego nigdy. Uniosła dłoń do naszyjnika.

— Davidzie.

— Tak, zauważyłem ten wisiołek. To była druga rzecz/, jaką dostrzegłem, zaraz po twoim uśmiechu.

— Wiesz, że ktoś mi go dał?

— Zgadłem.

— A ja... powiedziałaś mu o Dymie.

Pokiwał głową.

— Tego też się domyśliłem.

— Nie jesteś na mnie zły?

Wzruszył ramionami.

— Niczego mi nie obiecywałaś. Nawet się nie znaliśmy.

— Ale czy wciąż...

David patrzył jej w oczy, twarz znów mu jaśniała. Tally odwróciła wzrok, próbując zatopić te swoje cudowne uczucia w morzu białych kwiatów.

Jej towarzysz westchnął cicho.

— Przybywając tu, porzuciłaś tak wiele: swoich rodziców, miasto, całe życie. I widzę, że zaczyna podobać ci się w Dymie. Rozumiesz, co tu robimy, nie tak jak większość uciekinierów.

— Podoba mi się tutaj, ale być może... nie zostanę.

Uśmiechnął się.

— Wiem. Posłuchaj, nie chcę cię poganiać. Może osoba, która dała ci to serce, przybędzie, może nie. Może ty wrócisz do niej. Ale tymczasem mogłabyś coś dla mnie zrobić?

— Jasne. A co?

Wstał i podał jej rękę.

— Chciałbym, żebyś poznała moich rodziców.

TAJEMNICA

Wąską, stromą ścieżką zeszli w dół zbocza po drugiej stronie. David prowadził ją szybko w ciemności, bez wahania odnajdując niemal niewidoczny szlak. Tally z najwyższym trudem dotrzymywała mu kroku.

Przez cały ten dzień przeżywała same wstrząsy, a teraz miał nastąpić największy. Wkrótce pozna rodziców Davida. Trudno było się tego spodziewać po tym, jak pokazała mu wisiołek i wyznała, że nie zachowała w tajemnicy istnienia Dymu. David reagował inaczej niż wszyscy, których dotąd znała. Może dlatego, że chował się tutaj, z dala od zwyczajów miast. A może po prostu był... inny.

Pozostawili daleko za sobą znajomą linię skał, z boku wyrosła stromo góra.

— Twoi rodzice nie mieszkają w Dymie?

— Nie, to zbyt niebezpieczne.

— Niebezpieczne? Czemu?

— To wiąże się z tym, o czym wspominałem ci pierwszego dnia w jaskini z torami.

— O twojej tajemnicy, o tym, że wychowałeś się w głuszy.

David przystanął na chwilę. Odwrócił się i spojrzał na nią w ciemności.

— Kryje się w tym znacznie więcej.

— Ale co?

— Sami ci powiedzą. Chodź.

W kilka minut później w mroku nad zboczem górskim pojawił się niewielki kwadrat rozjaśniony słabym światłem. Tally zorientowała się, że to okno, w którym za grubą zasłoną paliło się ciemnoczerwone światło. Dom wydawał się częściowo zagrzebany w ziemi, jakby ktoś go w nią wepchnął.

O krok od domu David zatrzymał się.

— Nie chcę ich zaskoczyć, bywają nerwowi — wyjaśnił, po czym krzyknął: — Halo!

Chwilę później drzwi się otworzyły, wypuszczając strumień światła.

— David? — zawołał kobiecy głos. Drzwi uchyliły się jeszcze szerzej i światło padło na nich. — Az, to David.

Zbliżywszy się, Tally stwierdziła, że to stara brzydka. Nie potrafiła określić, czy jest starsza, czy młodsza od Szefa, ale zdecydowanie nie była tak upiorna. Oczy błyszczały jej jak ślicznej, a gdy chwyciła w objęcia syna, zmarszczki na twarzy zniknęły, ustępując miejsca promiennemu uśmiechowi.

— Cześć, mamó.

— A ty musisz być Tally.

— Tak, bardzo mi miło.

Zastanawiała się, czy powinna uścisnąć jej dłoń. W mieście brzydki rzadko spotykali rodziców innych brzydkich.

Chyba że razem z przyjaciółmi odwiedzali ich w domach podczas szkolnych wakacji.

Dom okazał się znacznie cieplejszy niż wspólna sypialnia, a drewniane podłogi — znacznie mniej szorstkie, zupełnie jakby rodzice Davida żyli tu na tyle długo, że zdążyli wygładzić je stopami. Sam budynek wydawał się jeszcze bardziej solidny niż cały Dym. Teraz przekonała się, że na prawdę wykrojono go w zboczu góry. Jedną ze ścian miał z kamienia; połyskiwała warstewką przezroczystego środka zabezpieczającego.

— Cieszę się, że mogę cię poznać, Tally — oznajmiła matka Davida.

Tally zastanawiała się, jak ma na imię. David zawsze mówił o rodzicach mama i tato. Tally nie używała tych słów wobec Sola i Ellie, odkąd przestała być maluchem.

W drzwiach pojawił się mężczyzna. Uścisnął dłoń Davida i odwrócił się do Tally.

— Miło cię poznać.

Zamrugnęła, przez sekundę oddech uwiązł jej w gardle, nie była w stanie mówić. David i jego ojciec wydawali się tak podobni.

To przecież nie miało sensu. Jeśli ojciec Davida naprawdę był lekarzem już przed narodzinami syna, to musiało ich dzielić ponad trzydzieści lat. Lecz ich szczęki, czoła, a nawet lekko krzywe uśmiechy wyglądały tak podobnie...

— Tally? — zagadnął David.

— Przepraszam. Po prostu wy... wyglądacie tak samo!

Rodzice Davida wybuchnęli śmiechem, Tally poczuła, że się czerwieni.

— Często to słyszymy — rzekł ojciec. — Dla was, dzieciaków z miasta, to zawsze jest szok. Ale uczyłaś się chyba o genetyce?

— Jasne, wiem wszystko o genach. Znałam dwie siostry, brzydkie, które wyglądały niemal identycznie. Ale rodzice i dzieci? To strasznie dziwne.

Matka Davida zmusiła się do przybrania poważnej miny, lecz jej oczy wciąż się śmiały.

— Rysy dziedziczone po rodzicach odróżniają nas od innych. Duży nos, wąskie wargi, wysokie czoło — wszystko, co usuwa operacja.

— Skłonność do uśredniania — dodał ojciec.

Tally skinęła głową, przypominając sobie lekcje szkolne. Wzorcem do operacji była uśredniona przeciętna ludzka twarz.

— Jasne, to właśnie przeciętnych rysów szukamy u innych — odparła.

— Ale rodziny przekazują sobie nieprzeciętne cechy, takie jak nasze duże nosy — zauważył ojciec Davida.

Uszczypnął syna w nos. David wywrócił oczami. Tally uświadomiła sobie nagle, że nos Davida jest dużo większy niż u ślicznych. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła?

— To jedna z tych rzeczy, z których rezygnujemy, stając się ślicznymi. Rodzinny nos — uzupełniła matka. — Az, może podkreć ogrzewanie.

Tally uświadomiła sobie, że wciąż drży, ale nie z zimn Wszystko to było takie dziwne. Nie mogła przywyknąć o podobieństwa Davida do ojca.

— Nie trzeba, tu jest cudownie, hm...

— Maddy — dokończyła kobieta. — Może usiadzimy?

Az i Maddy wyraźnie ich oczekiwali. We frontowym pokoju na spodeczkach stały cztery staroświeckie filiżanki. Wkrót ce na elektrycznej kuchence zagwizdał czajnik, Az nał.il wrzątku do starego imbryka i w powietrzu uniosła sie kwm
towa won.

Tally rozejrzała się po wnętrzu. Dom nie przypominał innych z Dymu. Wyglądał jak standardowa rezydencja starych ków, pełna niepraktycznych bibelotów. W jednym kącie stał marmurowy posązek, na ścianach wisiały ozdobne kobierce ich barwy wypełniały rozświetlone pomieszczenie, łagodzą ostre krawędzie.

Maddy i Az uciekając, musieli zabrać z miasta mnóstwo rzeczy. W odróżnieniu od brzydkich, którzy dysponowali tylko uniformami wspólnych domów i innymi drobiazgami ta dwójka przed opuszczeniem miasta przez pół życia gromadziła najróżniejsze przedmioty.

Tally przypominała sobie dorastanie wśród drewnianych rzeźb Sola, abstrakcyjnych kształtów zrobionych z suchych gałęzi, które zbierała w parku jako maluch. Może dziecinstwo Davida nie różniło się tak bardzo od jej własnego.

— Wszystko to wygląda całkiem znajomo — zauważyła.

— David ci nie mówił? — zdziwiła się Maddy. — Az i ja pochodzimy z tego samego miasta co ty. Gdybyśmy zostali, może to my zamienilibyśmy cię w śliczną.

— No, chyba tak — wymamrotała Tally.

Gdyby zostali w mieście, nie byłoby Dymu i Shay nigdy by nie uciekła.

— David mówi, że dotarłaś tutaj sama — powiedziała Maddy.

Tally skinęła głową.

— Przyszłam za moją przyjaciółką, zostawiła mi wskazówki.

— I postanowiłaś wyruszyć sama? Nie mogłaś poczekać na powrót Davida?

— Nie miała czasu — wyjaśnił David. — Wyruszyła w noc przed szesnastymi urodzinami.

— Odłożyłaś wszystko na ostatnią chwilę — mruknął Az.

— Bardzo dramatycznie — dodała z aprobatą Maddy.

— Tak, naprawdę nie miałam wyboru. Nigdy nie słyszałam o Dymie, aż do chwili gdy moja przyjaciółka Shay poinformowała mnie, że odchodzi. To było tydzień przed moimi urodzinami.

— Shay? Chyba jej nie poznaliśmy? — spytał Az.

Tally zerknęła na Davida, który wzruszył ramionami. Nie przyprowadził tu Shay? Zastanawiała się przez chwilę, co naprawdę łączy tych dwoje.

— W takim razie bardzo szybko podjęłaś decyzję — stwierdziła Maddy.

Tally powróciła myślami do teraźniejszości.

— Musiałam. Miałam tylko jedną szansę.

— Powiedziane jak na Dymiarza przystało. — Az nalał z imbryka do filiżanek ciemnego płynu. — Herbaty?

— Hm, proszę. — Tally uniosła spodeczek. Przez ciekłą białą ściankę filiżanki poczuła parzące gorąco i zrozumiał, że to jedna z tych palących język mikstur Dymiarzy, pociągnęła ostrożnie łyk. Gorzki smak sprawił, że jej twarz wykrzywiła się w grymasie. — Ach! To znaczy... przepraszani. Tak naprawdę nigdy jeszcze nie piłam herbaty.

— Poważnie? — zdziwił się Az. — Gdy tam mieszkaliśmy, była bardzo popularna.

— Słyszałam o niej, ale to napój głównie staryków. Hm, to znaczy tylko późni śliczni ją pijają. — Tally z całych sił walczyła z nadpływającym rumieńcem.

Maddy zaśmiała się.

— Jesteśmy dość starykowie, więc nieźle do nas pasuje.

— Mów za siebie, moja droga.

— Spróbuj teraz. — David wrzucił do herbaty Tally białą prostokątną bryłkę.

Przy następnym łyku odkryła słodycz łagodzącą gorycz. Teraz mogła już popijać bez skrzywienia.

— David chyba mówił ci coś o nas — zagadnęła Maddy.

— No tak, mówił, że uciekliście dawno temu. Przed jego urodzeniem.

— Czyżby? — Az miał zupełnie taką samą minę jak David, gdy członek grupy pracującej przy torach zrobił coś bezmyślnego i niebezpiecznego wibropił.

— Nie powiedziałem o wszystkim, tato — wtrącił szybko David. — Mówiłem tylko, że wychowałem się w głuszy.

— Resztę zostawiłeś nam? — rzekł odrobinę sztywno Az. — Jakież to miłe z twojej strony.

David wytrzymał spojrzenie ojca.

— Tally przybyła tu, żeby sprawdzić, czy jej przyjaciółce nic się nie stało. Całą drogę pokonała sama. Ale może nie zechce zostać.

— Nikogo nie zmuszamy do życia tutaj — rzuciła Maddy.

— Nie to miałem na myśli — rzekł szybko David. — Uważam po prostu, że powinna wiedzieć, zanim zdecyduje się wrócić do miasta.

Tally, zaskoczona, wodziła wzrokiem między Davidem i jego rodzicami. Dziwnie ze sobą rozmawiali, nie jak brzydki i starykowie. Przypominało to raczej dyskusje brzydkich, równych z równymi.

— Co takiego powinnam wiedzieć? — zapytała cicho.

Wszyscy spojrzeli na nią. Maddy i Az uważnie mierzyli ją wzrokiem.

— Chodzi o wielką tajemnicę — rzekł w końcu Az. — Tajemnicę, która sprawiła, że niemal dwadzieścia lat temu uciekliśmy z miasta.

— Tajemnicę, którą zazwyczaj zachowujemy dla siebie — dodała beznamiętnie Maddy, wbijając wzrok w syna.

— Tally zasłużyła na to, by się dowiedzieć! — David patrzył wprost w oczy matki. — Zrozumie, jakie to ważne.

— Jest jeszcze dzieckiem. Dzieckiem z miasta.

— Dotarła tu sama, dysponując jedynie kilkoma bełkotliwymi wskazówkami.

Maddy skrzywiła się.

— Nigdy nawet nie byłeś w mieście, Davidzie, nie masz pojęcia, jacy są bezradni. Całe życie przeżywają jak w bańce mydlanej.

— Przetrwiała samotnie dziewięć dni, mamó, i przeżyła okropny pożar.

— Proszę, przestańcie — wtrącił Az. — Ona przecież tutaj siedzi. Mam rację, Tally?

— Owszem — odparła cicho Tally. — I bardzo bym chciała wiedzieć, o czym mowa.

— Wybacz, Tally — odezwała się Maddy. — Ale ta tajemnica jest bardzo ważna. I bardzo niebezpieczna.

Tally pokiwała głową, wbijając wzrok w podłogę.

— Tu wszystko jest niebezpieczne.

Przez moment milczeli; Tally słyszała jedynie cichutki brzęk: to Az mieszał herbatę.

— Widzicie? — rzekł w końcu David. — Ona rozumie. Możecie jej zaufać. Zasługuje, by poznać prawdę.

— Wszyscy zasługują — odparła cicho Maddy. — W końcu.

— No cóż... — Az zawiesił głos i pociągnął łyk herbaty. — Chyba będziemy musieli ci powiedzieć, Tally.

— Ale co?

David odetchnął głęboko.

— Prawdę o byciu ślicznym.

ŚLICZNE UMYSŁY

— Byliśmy lekarzami — zaczął Az.

— Ściślej rzecz biorąc, chirurgami kosmetycznymi — dodała Maddy. — Oboje setki razy przeprowadzaliśmy operacje, a gdy się poznaliśmy, mnie skierowano właśnie do Komisji Standardów Morfologicznych.

Tally spojrzała na nią wielkimi oczami.

— Rady Urody?

Maddy uśmiechnęła się, słysząc tę nazwę.

— Szykowaliśmy się do kongresu morfologicznego. To podczas nich miasta wymieniają się danymi dotyczącymi operacji.

Tally skinęła głową. Miasta bardzo starały się pozostać niezależne od siebie, lecz Rada Urody była instytucją globalną, pilnującą, by wszyscy śliczni wyglądali mniej

więcej podobnie. Gdyby ludzie z jednego miasta stali się śliczniejsi niż pozostali, podważyłoby to całą ideę operacji.

Podobnie jak większość brzydkich Tally często marzyła, że pewnego dnia sama zasiądzie w Radzie i będzie pomagać w decydowaniu, jak ma wyglądać następne pokolenie. W szkole oczywiście brzmiało to strasznie nudno: same wykresy, średnie, pomiary źrenic ludzi oglądających różne twarze.

— Ja tymczasem prowadziłem niezależne badania dotyczące narkozy — oznajmił Az. — Staralem się poprawić bezpieczeństwo operacji.

— Bezpieczeństwo? — zdziwiła się Tally.

— Co roku wciąż kilka osób jej nie przeżywa, jak przy każdym zabiegu. Głównie z powodu długiej narkozy.

Tally zagryzła wargi. Nigdy o tym nie słyszała.

— Ach!

— Odkryłem, że środek używany do narkozy podczas operacji powoduje komplikacje, małe skazy w mózgu, ledwie widoczne nawet przy użyciu najlepszego sprzętu.

Tally postanowiła, że zaryzykuje ujawnienie swej niewiedzy

— Co to jest skaza?

— W uproszczeniu to grupka komórek, które nie wyghj dają jak należy — tłumaczył Az. — Jak rana, rak albo coś, czc go tam być nie powinno.

— Ale nie mogłeś po prostu tego powiedzieć. — David wywrócił oczami i mrugnął do Tally. — Lekarze.

Maddy puściła mimo uszu słowa syna.

— Gdy Az pokazał mi swoje wyniki, zaczęłam drażyć sprą wę. Miejskowa komisja miała w bazie danych miliony skanów. Nie informacji umieszczanych w podręcznikach medycznych, lecz suchych danych z badań ślicznych na całym świecie. Skazy występowały u wszystkich.

Tally zmarszczyła brwi.

— Chcecie powiedzieć, że ludzie byli chorzy?

— Wcale na takich nie wyglądali, a skazy nie były patologiczne, nie rozprzestrzeniały się. Mieli je niemal wszyscy i zawsze dokładnie w tym samym miejscu. — Wskazała punkt na czubku głowy.

— Odrobinę w lewo, skarbie. — Az wrzucił do swej herbaty białą kostkę.

Maddy skinęła głową, po czym podjęła temat.

— Co najważniejsze, mieli je niemal wszyscy na całym świecie. Gdyby stanowiły zagrożenie dla zdrowia, u dziewięćdziesięciu dziewięciu procent populacji powinny wystąpić jakieś objawy.

— Ale nie były naturalne? — wtrąciła Tally.

— Nie. Mieli je tylko postoperacyjni, to znaczy śliczni — odrzekł Az. — Nie brzydzy. Bez wątpienia stanowiły efekt operacji.

Tally poruszyła się niespokojnie. Na myśl o tajemnicy ukrytej w mózgach wszystkich ludzi zrobiło jej się słabo.

— Dowiedzieliście się, co je powoduje?

Maddy westchnęła.

— Owszem, w pewnym sensie. Przyjrzelismy się z Azem bliżej wszystkim negatywnym — to znaczy nielicznym ślicznym, którzy nie mieli skaz — próbując ustalić, czym różnią się od reszty. Co sprawia, że są odporni? Badania wykluczyły grupę krwi, płeć, wzrost, iloraz inteligencji, znaczniki genetyczne — nic nie pasowało. Ci śliczni niczym nie wyróżniali się spośród reszty.

— Dopóki nie odkryliśmy zadziwiającego zbiegu okolic/ ności — wtrącił Az.

— Ich pracy — dodała Maddy.

— Pracy?

— Wszyscy negatywni pracowali w podobnych zawodach — oznajmił Az. — Byli strażakami, opiekunami, lekarzami, politykami, ludźmi zatrudnionymi w Wyjątkowych Okolicznościach. Oni wszyscy nie mieli skaz. A pozostali śliczni — owszem.

— Zatem wy też ich nie mieliście?

Az przytaknął.

— Zbadaliśmy siebie, wynik był negatywny.

— W przeciwnym razie nie siedzielibyśmy tutaj — powiedziała cicho Maddy.

— To znaczy?

Teraz przemówił David.

— Skazy nie są przypadkowe, Tally, stanowią element operacji, tak jak kształtowanie kości i zdzieranie skóry to część procesu stawania się ślicznymi, która zmienia ludzi.

— Ale mówicie, że nie wszyscy je mają.

Maddy przytaknęła.

— U niektórych ślicznych znikają albo też są świadomic usuwane. Zawsze u osób, których zawód wymaga szybkiej reakcji, na przykład w pracy na oddziale intensywnej opieki medycznej albo podczas gaszenia pożarów. Ludzi mający trudności do czynienia z konfliktami i niebezpieczeństwem.

— Z wyzwaniem — dodał David.

Tally powoli wypuściła powietrze, przypominając sobie wyprawę do Dymu.

— A strażnicy?

Az przytaknął.

— Miałem kilku z nich w swojej bazie. Byli negatywni.

Przypomniała sobie twarze strażników, którzy ją uratowali. Miały w sobie nieznaną jej wcześniej pewność siebie, determinację, jak u Davida, całkiem inaczej niż u ślicznych, z których zawsze nabijali się z Perisem.

Peris...

Przełknęła ślinę, czując w głębi gardła coś bardziej gorzkiego od herbaty. Próbowwała sobie przypomnieć, jak zachowywał się Peris, gdy wpadła na imprezę w apartamentowcu Garbo. Tak bardzo wstydziła się własnej twarzy, że nie zapamiętała niczego szczególnego w związku z Perisem. Wyglądał zupełnie inaczej, wydawał się starszy, dojrzały.

Ale jednocześnie to coś, co ich łączyło, zniknęło... zupełnie jakby stał się kimś innym. Czy tylko dlatego, że od dnia operacji żyli w innych światach? A może to coś więcej? Próbowwała sobie wyobrazić Perisa tu w Dymie, ciężko pracującego, szyjącego własne ubrania. Dawny, brzydki Peris z radością przyjąłby wyzwanie. Ale śliczny Peris?

Zakręciło jej się w głowie, jakby dom znalazł się w windzie pędzącej chyżo w dół.

— Co robią te skazy? — spytała.

— Nie wiemy dokładnie — odparł Az.

— Ale mamy niezłe pojęcie — dodał David.

— Przypuszczenia — poprawiła Maddy.

Az wbił nerwowo wzrok w swoją filiżankę.

— Dość mocne, by uciec? — podsunęła Tally.

— Nie mieliśmy wyboru — powiedziała Maddy. — Wkrótce po naszym odkryciu odwiedziły nas Wyjątkowe Okoliczności. Zabrali wszystkie dane i polecieli nie grzebać głębiej pod groźbą utraty licencji. Mogliśmy albo uciec, albo zapożyczyć o wszystkim.

— A o czymś takim trudno zapomnieć — uzupełnił Az.

Tally odwróciła się do Davida. Siedział obok matki z po-
nurą miną, przed nim na stole stała nietknięta filiżanka. Jego rodzice wciąż się wahali, czy ujawnić jej swoje podejrzenia. Ale widziała, że David nie żywi podobnych obaw.

— I co o tym myślicie? — spytała go.

— Wiesz chyba, jak żyli Rdzawcy? — odpowiedział pytaniem. — O wojnach, zbrodniach i tak dalej.

— Oczywiście. Byli szaleni, o mało nie zniszczyli świata.

— I to przekonało ludzi, by przenieśli swoje miasta z głuszy i zostawili przyrodę w spokoju — wyrecytował David. A teraz wszyscy są szczęśliwi, bo wyglądają tak samo: są śliczni. Nie ma już Rdzawców ani wojen. Zgadza się?

— Tak. W szkole mówili, że to bardziej skomplikowane, ale w skrócie tak właśnie wygląda.

Uśmiechnął się ponuro.

— Może nie jest to wcale skomplikowane? Może wojny i wszystko inne odeszło, bo nie ma już żadnych kontrowersji, konfliktów, ludzie nie domagają się zmian. Pozostała tylko masa uśmiechniętych ślicznych i parę osób, które wszystkim rządzą.

Tally przypomniała sobie przeprawy przez rzekę do Mia — sta Nowych Ślicznych, oglądanie nieustających zabaw. Kiedyś z Perisem przechwalali się, że nigdy nie staną się tacy płytki, niemądrzy. Ale gdy go zobaczyła...

— Kiedy stajesz się śliczny, zmienia się nie tylko twój wygląd — powiedziała.

— Tak — potwierdził David. — Również to, jak myślisz.

SPALONE MOSTY

Siedzieli razem do późna, rozmawiając z Azem i Maddy o ich odkryciach, ucieczce w głąsę oraz założeniu Dymu. W końcu Tally musiała zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju od chwili, gdy ich ujrzała.

— Jak właściwie zmieniliście się z powrotem? Byliście przecież śliczni, a teraz jesteście...

— Brzydcy? — dokończył Az z uśmiechem. — To akurat okazało się łatwe. Jesteśmy ekspertami w zakresie fizycznej części operacji. Gdy chirurg rzeźbi twarz ślicznego, używa specjalnego inteligentnego plastiku do kształtowania kości. Potem, gdy zmieniamy nowych ślicznych w średnich bądź późnych, wprowadzamy do plastiku odczynnik inicjujący, który rozmiękcza go jak glinę.

— Brrr — Tally wzdrygnęła się, wyobrażając sobie nagle miękącą twarz, którą można ugnieść w inny kształt.

— Przy codziennym podawaniu dawek tego odczynnika plastik stopniowo się rozpływa i zostaje wchłonięty przez 01 ganizm. Twarz powraca do stanu wyjściowego. Mniej więcej.

Tally uniosła brwi.

— Mniej czy więcej?

— Nie da się przywrócić fragmentów usuniętych kości. Nie możemy też bez operacji dokonywać poważniejszych zmian, na przykład korygować czyjegoś wzrostu. Maddy i ja zachowaliśmy wszystkie niekosmetyczne korzyści z operacji: idealnie zdrowe zęby, doskonały wzrok, odporność na choroby. Ale wyglądamy niemal tak jak przed zabiegiem. A co do odessanego tłuszczu — poklepał się po brzuchu — łatwo go uzupełnić.

— Ale po co? Czemu chcieliście stać się brzydcy? Byliście lekarzami, nie zmienili wam przecież mózgów.

— Naszym mózgom nic nie jest — odparła Maddy. — Ale chcieliśmy stworzyć społeczność ludzi bez tych skaz, ludzi wolnych od sposobu myślenia ślicznych. Tylko w ten sposób mogliśmy przekonać się, jak naprawdę wpływają na ludzi skazy. To oznaczało, że musieliśmy zebrać grupę młodych brzydkich pochodzących z miast.

Tally zrozumiała.

— Zatem i wy musieliście stać się brzydcy. W przeciwnym razie kto by wam zaufał?

— Zmodyfikowaliśmy odczynnik inicjujący, stworzyliśmy pigułkę zażywaną raz dziennie. Po kilku miesiącach nasze dawne twarze powróciły. — Maddy spojrzała na męża z błyskiem w oku. — W gruncie rzeczy był to fascynujący proces.

— Na pewno — mruknęła Tally. — A skazy? Czy nie da się stworzyć pigułki, która by je usuwała?

Oboje przez chwilę milczeli.

— Nie znaleźliśmy odpowiedzi przed przybyciem Wyjął kowych Okoliczności — rzekła w końcu Maddy. — Nie jeste śmy z Azem specjalistami od mózgów. Od dwudziestu lat bez powodzenia pracujemy nad tym problemem, ale tu, w Dymie, widzimy różnicę, jaką robi pozostanie brzydkim.

— Sama też ją widziałam — Tally pomyślała o tym, jak bar dzo różnili się Peris i David.

Az uniósł brwi.

— Szybko się uczysz.

— Ale wiemy, że lekarstwo istnieje — oznajmił David.

— Skąd?

— Musi istnieć — odparła Maddy. — Nasze dane wskazy wały, że po pierwszej operacji wszyscy mają skazy. Kiedy za tem ktoś trafia do jednego z ryzykownych zawodów, władze w jakiś sposób go leczą. Skazy usuwa się w sekrecie, może nawet pigułką, tak jak plastik, i mózg powraca do normy. Musi istnieć prosty lek.

— Któregoś dnia go znajdziecie — rzekł cicho David.

— Nie mamy niezbędnego sprzętu. — Maddy westchnęła. — Ani nawet ślicznego pacjenta, którego moglibyśmy badać.

— Ale chwileczkę — nie ustępowała Tally. — Mieszkaliście w mieście pełnym ślicznych. A kiedy zostaliście lekarzami, usunięto wam skazy. Nie zauważyliście, że się zmieniacie?

Maddy wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że zauważyliśmy. Uczyliśmy się, jak działa ludzki organizm i jak stawić czoło ogromnej odpowiedzialności wynikającej z ratowania życia innym. Ale nie sądziliśmy, że zmieniają nam się mózgi. Myśleliśmy po prostu, że dorastamy.

— No tak. Ale kiedy przyglądaliście się wszystkim innym, nie zauważyliście, że jest z nimi coś nie tak, że mają coś z głowami?

Az uśmiechnął się.

— Nie mieliśmy zbyt wiele materiału porównawczego, jedynie kilku kolegów, którzy wydawali się inni od reszty, bardziej zaangażowani. Ale nie dostrzeegliśmy w tym nic dziwnego. Historia świadczy o tym, że większość ludzi zawsze zachowywała się biernie. Przed operacją istniały wojny, nienawiść, wyrąb drzew. To, w co zmieniały nas skazy, nie różni się zbyt od ludzkości z czasów Rdzawców. Tyle że obecnie nieco łatwiej nami kierować.

— Obecnie skazy to norma — dodała Maddy. — Wszyscy przywykliśmy do ich skutków.

Tally odetchnęła głęboko. Przypomniała sobie wizytę Sola i Ellie. Rodzice byli tak pewni siebie, a przecież pod niektórymi względami kompletnie zagubieni. Ale też zawsze wydawali się tacy: mądrzy, pewni siebie, a jednocześnie zupełnie oderwani od problemów życiowych brzydkiej Tally. Czy sprawiało to uszkodzenie mózgu? Dotąd Tally zawsze sądziła, że rodzice po prostu mają tacy być.

Z kolei nowiutcy śliczni mieli być płytcy, próżni i egoistyczni. Jako brzydki, Peris nabijał się z nich — ale potem nie czekał ani chwili, mogąc dołączyć do zabawy. Nikt nigdy nie czekał. Skąd zatem wiadomo, jaką rolę odgrywała operacja, a jaką tendencja ludzi do kontynuowania dawnych tradycja

Można to było sprawdzić, tworząc zupełnie nowy świat. I to właśnie zaczęli robić Maddy i Az.

Zastanawiała się, co było pierwsze: operacja czy skazy i Czy stanie się ślicznym stanowiło jedynie przynętę maj;)c,) zwabić wszystkich pod nóż? A może skazy to ukoronowanie procesu przemiany? Może to logiczny wniosek: skoro wszy scy wyglądają tak samo, powinni też myśleć tak samo.

Odchyliła się na krześle. Piekły ją oczy, żołądek zaciskał się za każdym razem, kiedy myślała o Perisie, rodzicach i wszystkich znajomych ślicznych. Jak bardzo różnili się od niej. Jakie to uczucie być ślicznym? Co kryło się naprawdę za owymi wielkimi oczami i idealnymi rysami?

— Jesteś zmęczona? — spytał David.

Zaśmiała się cicho. Miała wrażenie, że od chwili przybycia do tego domu minęło kilka tygodni. Parę godzin rozmowy odmieniło cały jej świat.

— Może odrobinę.

— Chyba już pójdziemy, mamó.

— Oczywiście, Davidzie. Jest późno, a Tally ma wiele do przemyślenia.

Maddy i Az wstali, David pomógł Tally podnieść się z krzesła. Oszołomiona, poruszając się jak w transie, pożegnała się z nimi i wzdrygnęła, odczytując wyraz ich starych, brzydkich twarzy: litowali się nad nią, żalowali, że musiała poznać prawdę i że to oni tę prawdę jej ukazali. Po dwudzie

stu latach być może przywykli do tego, nadal jednak rozumieli, jak straszliwa jest to wiedza.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości miało odmienione mózgi i tylko kilka osób na świecie wiedziało dokładnie, w czym rzecz.

*

**

— Rozumiesz już, dlaczego chciałem, żebyś poznała moich rodziców?

— Tak, chyba tak.

Maszerowali razem w ciemności, wspinając się po zboczu w stronę Dymu. Teraz, gdy księżyc zaszedł, niebo iskrzyło się od gwiazd.

— Mogłabyś wrócić do miasta, o niczym nie wiedząc.

Tally zadrżała, uświadamiając sobie, ile razy była tego bliska. W bibliotece otworzyła już przecież wisiołek i o mało nie przyłożyła go do oka. Gdyby to zrobiła, Wyjątkowi zjawiliby się w ciągu paru godzin.

— Nie mogłem znieść tej myśli — dodał David.

— Ale przecież niektórzy brzydcy wracają, zgadza się?

— Jasne, nudzi ich życie w obozie, a my nie możemy ich zmusić.

— Pozwalacie im odejść, mimo że nie wiedzą, co naprawdę oznacza operacja?

David zatrzymał się i położył ręce na jej ramionach. Jego twarz wykrzywił bolesny grymas.

— My też nie wiemy. A gdybyśmy informowali wszystkich o naszych podejrzaniach, większość by nam nie uwierzyła, lecz pozostali rzuciliby się do miast ratować swych przyjaciół. W końcu miasta dowiedziałyby się, co mówimy, i uczyniłyby wszystko co w ich mocy, by nas zniszczyć.

Już to robią, pomyślała Tally. Ilu szpiegów Wyjątkowi zmusili szantażem do poszukiwania Dymu? Ile razy byli bliscy znalezienia go? Bardzo chciała wyjawić Davidowi, co planują. Ale jak? Nie mogła zdradzić, że ona także przybyła tu jako ko szpieg. David nigdy już by jej nie zaufał.

Westchnęła. Oto idealny moment, aby się wycofać, im stać dłużej pomiędzy Davidem a Shay.

— Nie wyglądasz na uszczęśliwioną.

Spróbowała się uśmiechnąć. David podzielił się z nią swą największą tajemnicą, powinna zdradzić mu swoją. Ale broniła jej odwagi, by wymówić właściwe słowa.

— To była długa noc, nic więcej.

Odpowiedział uśmiechem.

— Nie martw się, nie będzie trwała wiecznie.

Zastanawiała się, ile czasu dzieli ich od świtu. Za kilka godzin usiądzie do śniadania obok Shay i Croya, i wszyscy kich innych, których o mało nie zdradziła, o mało nie skażała na operację. Wzdrygnęła się na tę myśl.

— Hej! — David siłą uniósł jej głowę. — Świetnie się dziś spisałaś. Moi rodzice są pod wrażeniem.

— Słucham? Moim?

— Oczywiście, Tally. Natychmiast zrozumiałaś, co oznacza to wszystko. Większość ludzi z początku nie wierzy. Twierdzą, że władze nie mogłyby być takie okrutne.

Uśmiechnęła się ponuro. — Nie martw się, ja wierzę.

— Właśnie. Oglądałem mnóstwo przybywających tu dzieciaków z miasta, ale ty różnisz się od nich, wyraźnie postrzegasz świat, choć dorastałaś rozpieszczona jak oni. Dlatego właśnie musiałem ci powiedzieć, dlatego...

Tally spojrzała mu w oczy i przekonała się, że jego twarz znów jaśnieje. Ponownie wydała jej się śliczna.

— To dlatego jesteś piękna, Tally.

Słowa te na moment ją oszołomiły, niczym niezwykle uczucie, gdy patrzy się w oczy nowego ślicznego.

— Ja?

— Tak.

Zaśmiała się, kręcąc głową.

— Z moimi małymi ustami i blisko osadzonymi oczami?

— Tally...

— Kędzierzawymi włosami i spłaszczonym nosem:

— Nie mów tak.

Musnął palcami jej policzki pokryte już niemal zagojonymi zadrapaniami; przez moment dotknął też warg. Wiedziała, jakie twarde ma dłonie, szorstkie niczym drewno. Lecz ich pieczyta wydała się delikatna, nieśmiała.

— To najgorsza rzecz, którą wam zrobili. Wam wszystkim. Niezależnie od skaz w mózgach, najgorsze dokonuje się, nim jeszcze sięgną po nóż. Robią wam pranie mózgu, przekonują, że jesteście brzydki.

— Bo jesteśmy. Wszyscy są.

— Uważasz zatem, że i ja jestem brzydki?

Odwróciła wzrok.

— To pytanie nie ma sensu. Tu nie chodzi o jednostki.

— Owszem, chodzi, Tally. Wyłącznie.

— To znaczy nikt nie może naprawdę być... Widzisz, istnieją pewne cechy biologiczne, które... — Słowa uwięzły jej w gardle. — Naprawdę myślisz, że jestem piękna?

— Tak.

— Piękniejsza od Shay?

Oboje zamarli z otwartymi ustami. Pytanie wyrwało się Tally, nim zdążyła się zastanowić. Jak mogła powiedzieć coś tak okropnego?

— Przepraszam.

David wzruszył ramionami, odwrócił głowę.

— To uczciwe pytanie. Owszem.

— Co owszem?

— Uważam, że jesteś piękniejsza do Shay. — Powiedział to spokojnie, lekko, jakby mówił o pogodzie.

Tally przymknęła oczy, miała wrażenie, jakby nagle waliło się na nią wyczerpanie całego dnia. Ujrzała twarz Shay, jej zbyt szeroko rozstawione oczy — i gdzieś wewnątrz wezbrało w niej paskudne uczucie, niweczące ciepło, które budził David.

Przez całe życie co dzień przeżywała innych brzydkich i sama też była przezywana. Tłuścioch, Świńskie Oko, Szkic letor, Pyszczytaty, Dziwoląg — brzydacy obsypywali się podobnymi przezwiskami z zapalem, bez cienia wahania. Ale też bez wyjątków, toteż nikt nie czuł się wykluczony i nikogo nie uważano za pięknego, uprzywilejowanego z racji przypadkowego układu genów. Po to właśnie przeprowadzano operacje. Dlatego przeobrażono wszystkich w ślicznych.

Zachowała się nie w porządku wobec Shay.

— Nie mów tak, proszę.

— Sama pytałaś.

Otworzyła oczy.

— Ale to straszne. To złe.

— Posłuchaj, Tally, nie to się dla mnie liczy. Znacznie bardziej interesuje mnie, co masz w środku.

— Ale najpierw widzisz moją twarz, reagujesz na symetrię, odcień skóry, kształt oczu i na podstawie tych reakcji decydujesz, co kryję w sobie. Jesteś tak zaprogramowany!

— Nie jestem zaprogramowany. Nie wychowywałem się w mieście.

— To nie tylko kultura, ale ewolucja!

Wzruszył ramionami i uniósł ręce w obronnym geście, z jego głosu zniknął gniew.

— Może częściowo — zaśmiał się ze znużeniem. — Ale wiesz, co najpierw mnie w tobie zainteresowało?

Tally odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić.

— Co?

— Zadrapania na twarzy.

Zamrugnęła.

— Słucham?

— Te zadrapania. — Ponownie dotknął lekko jej policzka.

Znów zwalczyła elektryzujące uczucie, jakie pozostawiły jego palce.

— To wariactwo. Niekoszona skóra stanowi oznakę nie sprawnego układu odpornościowego.

David roześmiał się.

— Zadrapania były oznaką tego, że przeżyłaś przygodę, Tally, że przedarłaś się przez głuszę, by tu dotrzeć. Dla mnie to znak, że masz do opowiedzenia świetną historię.

Jej oburzenie osłabło.

— Świetną historię? — Pokręciła głową, czując, jak wzbiera w niej śmiech. — Prawdę mówiąc, podrapałam sobie twarz w mieście, latając na desce między drzewami. Z dużą szyb kością. Niezła przygoda, co?

— Kryje się w tym jednak pewna historia. Słusznie pomyślałem w chwili, gdy cię zobaczyłem: lubisz podejmować ryzyko. — Nawinął sobie na palec kosmyk jej przypalonych włosów. — Ciągłe podejmujesz ryzyko.

— Chyba tak.

Stanie tu w ciemności z Davidem też wydawało się ryzykowne, zupełnie jakby wszystko znów miało się zmienić. Je go oczy wciąż miały ów wyraz, wyraz ślicznych.

Może naprawdę potrafił przeniknąć wzrokiem jej brzydką twarz? Może to, co w sobie kryła, liczyło się dla niego bardziej niż cokolwiek innego?

Weszła na kamień wielkości pięści, z trudem utrzymując równowagę. Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości

Przelknęła ślinę.

— Naprawdę uważasz, że jestem piękna?

— Tak. To, co robisz i jak myślisz, czyni cię piękną.

Nagle przez głowę przemknęła jej osobliwa myśl.

— Okropnie bym nie chciała, żebyś przeszedł operację! — Nie mogła uwierzyć, że to mówi. — No wiesz, nawet gdyby nie zmienili ci przy tym mózgu.

— Rany, dzięki. — Jego uśmiech zajaśniał w ciemności.

— Nie chcę, żebyś wyglądał tak jak wszyscy inni.

— Sądziłem, że o to właśnie chodzi w byciu ślicznym.

— Ja też. — Dotknęła jego brwi w miejscu, gdzie przecinała ją biała szrama.

— Skąd masz tę bliznę?

— Pamiątka po przygodzie. To niezła historia, kiedyś ci ją opowiem.

— Obiecujesz?

— Obiecuję.

— To dobrze.

Pochyliła się do przodu, napierając na niego całym ciężarem, i gdy jej stopa ześliznęła się z kamienia, ich usta się zetknęły. Objął ją mocno i przyciągnął bliżej. W chłodzie przedświt jego ciało promieniowało ciepłem, było czymś

solidnym, niewzruszonym, dającym oparcie w niepewnym świecie Tally. Trzymała go mocno, zaskoczona intensywnością pierwszego pocałunku.

Chwilę później odsunęła się, chwytając powietrze. Przez sekundę pomyślała: jakie to dziwne. Brzydycy całowali się, jasne, i znacznie więcej, ale zawsze uważali, że nic nie ma znaczenia do dnia, kiedy staną się śliczni.

Ale to miało znacznie.

Znów przyciągnęła do siebie Davida, wbijając palce w skórę jego kurtki. Zimno, obolałe mięśnie, potworna prawda, której się dowiedziała — wszystko to jeszcze wzmagało świeże uczucie.

A potem jego dłoń dotknęła jej karku, przesunęła się po cienkim łańcuszku aż do zimnego, twardego, metalowego wisiorka.

Tally zeszytniała, ich usta rozłączyły się.

— A co z tym? — spytał.

Zacisnęła dłoń na metalowym serduszku, wciąż obejmując Davida drugą ręką. Nie ma mowy, by teraz powiedziała mu o doktor Cable. Zraziłaby go, być może na zawsze. Wi siorek wciąż tkwił między nimi.

I nagle zrozumiała, co musi zrobić. Znalazła doskonale wyjście.

— Chodź ze mną.

— Dokąd?

— Do Dymu, muszę ci coś pokazać.

Pociągnęła go w górę zbocza, maszerując szybko na szczyt.

— Nic ci nie jest? — spytał zdyszany. — Nie chciałem cię..

— Wszystko w porządku — uśmiechnęła się szeroko, a potem spojrzała w dół. W centrum miasta płonęło samotne ognisko, wartownicy zbierali się przy nim co godzinę, by się rozgrzać. — Chodź.

Nagle ze wszystkich sił zapragnęła załatwić to szybko, nim jej zdecydowanie osłabnie, nim ciepłe uczucie ustąpiło miejsca wątpliwościom. Niemal biegła między oznakowanymi farbą kamieniami lotościeżki. David z trudem dotrzymywał jej kroku. Gdy dotarła na dół, puściła się pędem, nie zważając na ciemne, milczące chaty, widząc tylko płonące w dali ognisko. Biegła lekko, bez trudu, jakby leciała na desce. Po chwili dotarła do ogniska i stanęła, czując na twarzy gorąco i dym. Szybko rozpięła łańcuszek.

— Tally?

David podbiegł do niej zdyszany i wyraźnie oszołomiony. Chwytał powietrze, próbując powiedzieć coś więcej.

— Nie — rzekła — po prostu patrz.

Wisiołek kołysał się na łańcuszku w jej dłoni, migocząc czerwienią w blasku ognia. Tally skupiła na nim wszystkie swoje wątpliwości, strach przed zdemaskowaniem, przerażenie wywołane groźbami doktor Cable. Chwyła

wisiorek, ściskając nieustępliwy metal tak mocno, aż w końcu rozboleły ją mięśnie, jakby chciała zmusić własny umysł do zaakceptowania niewyobrażalnej myśli, że może naprawdę do końca życia pozostanie brzydka. Choć w pewnym sensie wcale nie brzydka.

A potem wyprostowała palce i cisnęła naszyjnik w sam środek ogniska.

Wylądował na rozżarzonej kłodzie. Przez chwilę metalowe serce odcinało się czernią od ognia, potem stopniowo zżółkło i rozżarzyło się bielą. W końcu z cichym trzaśnięciem— ciem, jakby coś uwięzione w środku eksplodowało, zsunęło się z kłody i zniknęło wśród płomieni.

Odwróciła się do Davida; przed oczami tańczyły jej jasne błyski, echa ognia. David wciągnął w płuca dym i zakasłał.

— Rany, to było dramatyczne.

Nagle Tally poczuła się głupio.

— Tak, chyba tak.

Podszedł bliżej.

— Poważnie do tego podeszłaś. Ten, kto ci go dał...

— Już się nie liczy.

— A jeśli się zjawi?

— Nikt się nie zjawi. Jestem pewna.

David uśmiechnął się i objął mocno Tally, odciągając \. od ogniska.

— No cóż, Tally Youngblood, niewątpliwie potrafisz po kazać, na czym ci zależy. Wiesz, że wystarczyło powiedzieć: 'I tak bym ci uwierzył.

— Nie, musiałam to zrobić, musiałam go spalić. Zeby wiedzieć na pewno.

Pocałował ją w czoło i roześmiał się.

— Jesteś piękna.

— Kiedy to mówisz, prawie... — szepnęła.

Nagle zalała ją fala potwornego zmęczenia, jakby resztki jej energii trafiły do ognia wraz z wisiorkiem. Była zmęczona na po szaleńczym biegu, po długiej nocy z Maddy i Azcni, po całym dniu ciężkiej pracy. A jutro będzie musiała stawu czoło Shay i wyjaśnić, co takiego zaszło między nią i Da vi dem. Oczywiście w chwili gdy Shay odkryje, że naszyjnik zniknął, zrozumie wszystko.

Ale przynajmniej nie pozna prawdy. Wisiorek był spalony, nie do rozszyfrowania. Nikt już się nie dowie, do czego naprawdę służył. Przytuliła się do Davida, rozluźniła się, zamknęła oczy. Wciąż widziała przed sobą rozżarzone serce.

Była wolna, doktor Cable już tu nie przybędzie. Nikt jej nie zmusi do rozstania z Davidem i Dymem, nie zrobi z mózgiem Tally tego, co z mózgami ślicznych. Nie była już szpiegiem. Była u siebie. I odkryła, że płacze.

David w milczeniu odprowadził ją do sypialni. Przy drzwiach pochylił się, by ją pocałować, ona jednak cofnęła się, kręcąc głową. W środku była Shay. Jutro Tally będzie musiała jej powiedzieć. Nie będzie to łatwe, lecz wiedziała, że teraz zdoła już znieść wszystko.

David zrozumiał, pocałował swój palec i przesunął nim wzdłuż jednego z zadrapań na jej policzku.

— Do zobaczenia jutro — szepnął.

— Dokąd idziesz?

— Przejść się. Muszę pomyśleć.

— Czy ty nigdy nie sypiasz?

— Nie dzisiaj — uśmiechnął się.

Tally musnęła ustami jego dłoń i wśliznęła się do środka. Zrzuciła buty i wczłogała się do łóżka w ubraniu, zasypiając w ciągu sekundy. Jakby z barków spadł jej ciężar całego świata.

Następnego ranka obudził ją hałas, odgłosy biegania, krzyki i skowyt maszyn. Niebo za oknem było pełne lotowozów.

Przybyły Wyjątkowe Okoliczności.

Część III W OGIEŃ

*Uroda to Meduzy głowa,
choćby zrąbała ją dłoń męża,
martwa, zabijać wciąż gotowa,
po wieczność groźna i potężna.
Archibald MacLeish, Uroda.*

Tally odwróciła się od okna i ujrzała puste łóżka. Była sama w sypialni.

Potrząsnęła głową, oszołomiona, wciąż senna i pełna niedowierzania. Ziemia zadrżała pod jej bosymi stopami, ściany zadygotały. Raptem plastikowa szyba w jednym z okien pękła i dotąd stłumiona kakofonia z zewnątrz zaatakowała uszy Tally. Budynek drżał, jakby zaraz miał się zawalić.

Gdzie byli wszyscy? Czyżby uciekli już z Dymu i zostawili ją samą w obliczu inwazji?

Pobiegła do drzwi i otworzyła je mocnym pchnięciem. Tuż przed nią lądował lotowóz; na moment wzbity z ziemi pył oślepił Tally. Rozpoznała złowrogą sylwetkę wozu, taką samą jak w pojeździe Wyjątkowych Okoliczności, który zabrał ją na pierwsze spotkanie z doktor Cable. Ten jednak w miejscach, gdzie pojazdy naziemne miały koła, wyposażony był w cztery migające śmigła. Przypominało to skrzyżowanie zwykłego lotowozu z helikopterem strażników.

Uświadomiła sobie, że wóz ten mógł poruszać się wszędzie, tak w granicach miasta, jak i poza nim. Przypomniała sobie słowa doktor Cable — „Zjawimy się w kilka godzin” ale szybko przegnała tę myśl. Ten atak nie mógł mieć nic wspólnego z jej osobą.

Lotowóz z łoskotem osiadł na ziemi. Nie miała czasu, że by tam stać i myśleć. Odwróciła się i pobiegła.

W obozie panował kompletny chaos, wśród dymu mio tali się oszołomieni ludzie. Jakaś siła rozrzuciła ogniska po

za wykopane doły, zasypując wszystko rozżarzonymi kawałkami drewna. Dwa duże budynki stały w ogniu, króliki i kury biegały pod nogami, dym, kurz i popiół kłębiły się dookoła. Wszędzie miotaly się dziesiątki Dymiarzy; niektórzy próbowali gasić ogień, inni uciec, jeszcze inni po prostu panikowali.

Wśród tego wszystkiego krążyły postacie okrutnych ślicznych. Ich szare uniformy przesuwaly się w zamęcie niczym cienie. Wdzięczni, spokojni, jakby nieświadomi otaczającego je chaosu chwyтали panikujących Dymiarzy. Poruszali się błyskawicznie, a choć Tally nie dostrzegła u nich żadnej broni, pozostawiali za sobą jedynie spętanych, oszołomionych ludzi.

Wyjątkowi dysponowali nadludzką siłą i szybkością; najwyraźniej specjalna operacja obdarzyła ich czymś więcej niż tylko straszliwymi twarzami.

W pobliżu stołówki około dwudziestu Dymiarzy stawilo opór, broniąc się przed garstką Wyjątkowych siekierami i zaimprovizowanymi pałkami. Tally ruszyła w ich

stronę; poprzez dławiący smród dymu do jej nozdrzy dotarły wonie posiłku. Zaburczało jej w brzuchu.

Uświadomiła sobie, że przespała sygnał wzywający na śniadanie, zbyt zmęczona, by obudzić się z innymi. Wyjątkowi musieli poczekać, aż większość Dymiarzy zgromadzi się w stołówce, dopiero wtedy przypuścili atak. Oczywiście — chcieli za jednym zamachem schwytać ich jak najwięcej.

Na razie nie atakowali dużej grupy przed stołówką; czekali cierpliwie, otaczając budynek pierścieniem. Ich liczba z każdą chwilą rosła, co minutę lądowały kolejne lotowozy. Jeśli ktokolwiek próbował przedrzeć się przez kordon, reagowali szybko, rozbrajając i obezwładniając śmiałków. Lecz większość Dymiarzy była zbyt wstrząśnięta, by stawić opór, sparaliżowana widokiem straszliwych twarzy przeciwników. Tutejsi ludzie w większości nigdy dotąd nie widzieli okrutnych ślicznych.

Tally przywarła do ściany budynku, próbując zniknąć obok stosu drew na opał. Osloniła oczy przed kurzem, poszukując drogi ucieczki. W żaden sposób nie zdołałaby dotrzeć do centrum, gdzie na dachu placówki handlowej leżała jej deska ładująca się w słońcu. Jedyną szansę dawał las.

Wycinający drzewa Dymiarze pozostawili kępę drzew tuż za granicą osady, zaledwie dwadzieścia sekund biegu od miejsca, w którym Tally się znalazła. Lecz między nią a granicą gęstego zagajnika stała Wyjątkowa, czekająca, by przechwycić uciekinierów. Oczy kobiety obserwowały podejście, jej głowa obracała się w jedną i w drugą stronę z osobliwą regularnością, jak u kogoś, kto ze znużeniem ogląda odbywający się w zwolnionym tempie mecz tenisowy.

Tally podkradła się bliżej, nadal przyciśnięta do ściany. W górze przeleciał lotowóz, zasypując jej oczy tumanem ku rzu i ostrych trocin.

Gdy odzyskała wzrok, odkryła przycupniętego obok sta rzejącego się brzydkiego.

— Hej! — syknął.

Rozpoznała te obwisłe rysy, gorzki wyraz twarzy.

To był SzeF.

— Młoda damo, mamy problem! — Jego ostry głos przebił się przez panującą wokół kakofonię.

Tally zerknęła w stronę czekającej Wyjątkowej.

— Tak, wiem.

Nad nimi przemknął z hukiem kolejny lotowóz i SzeF zaciągnął Tally za róg budynku. Przycupnęli za beczką zbierającą cą deszczówkę z rynien.

— Też ją zauważyłaś? — Uśmiechnął się, demonstrując dziu rękę po brakującym zębie. — Może gdybyśmy pobiegli oboje, jednemu z nas by się udało. Jeśli drugie stawi opór.

— Chyba tak. — Tally zerknęła na Wyjątkową, czekającą spokojnie jak staryk na prom, mający zabrać go w rejs roz koszy. — Ale są bardzo szybcy.

— To zależy! — Zsunął z ramienia brezentową torbę.

Mam tu dwie rzeczy, przygotowane na wszelki wypadek.

Szef rozpiął torbę i wyciągnął plastikowy pojemnik, dość duży, by zmieścić kanapkę.

— Oto jedna! — Uniósł odrobinę wieczko i ze środka ule ciał obłoczek pyłu. W chwilę później głowę Tally ogarnęła fala ognia. Zakryła twarz, mrugając łzawiącymi oczami i próbując wykasłać płomień, który wtargnął w jej gardło. — Niezłe, co? — Szef zachichotał. — To czysta papryka habanero, wysuszona i zmielona na proszek. W strąkach nie jest taka zła, ale sproszkowana piekielnie pali oczy.

Tally przez chwilę mrugała gwałtownie, w końcu łzy przestały płynąć.

— Zwariowałaś? — wykrztusiła.

— Drugą rzeczą jest ta torba, zawierająca reprezentatywną próbkę dwustu lat kultury obrazkowej Rdzawców. To bezcenne eksponaty, nie do zastąpienia. Którą chcesz?

— Słucham?

— Wolisz paprykę habanero czy torbę z pismami? Chcesz dać się złapać, walcząc z tą Wyjątkową, czy też ocalić przed barbarzyńcami bezcenny fragment dziedzictwa ludzkości?

Tally jeszcze raz zakasłała.

— Chyba... wolę uciec.

— To dobrze. — Szef się uśmiechnął. — Ja mam dosyć uciekania, dosyć tracenia włosów i krótkowzroczności. Zrobiłem, co do mnie należy, a ty wydajesz się dość szybka.

Wręczył jej brezentową torbę. Była ciężka, lecz Tally od przybycia do Dymu stała się znacznie silniejsza. Pisma to

drobnostka w porównaniu ze złomem.

Przypomniała sobie swój pierwszy dzień tutaj, gdy w bibliotece zobaczyła pismo i odkryła ze zgrozą, jak kiedyś wyglądała ludzkość. Wówczas od zdjęć zrobiło jej się niedobrze, teraz była gotowa je ocalić.

— Oto mój plan — oznajmił Szef. — Ja ruszę pierwszy, a kiedy Wyjątkowa mnie złapie, sypnę jej w twarz papryką. Wtedy pobiegiesz prosto i szybko, nie oglądając się

za siebie. Przy odrobinie szczęścia obojgu nam się uda. Choć nie miałbym nic przeciwko liftingowi. Gotowa?

— Ruszajmy — odparła Tally.

— Raz... dwa... — Szef urwał. — Oho. Jest pewien problem, młoda damo.

— Jaki?

— Nie masz butów.

Tally opuściła wzrok. W całym tym zamęcie wypadła z szalasu na bosaka. Po ubitej ziemi obozowiska Dymiarzy chodziło się łatwo, ale w lesie...

— Nie zdołasz przebiec dziesięciu metrów, mała. — Szef odebrał jej torbę i wręczył plastikowy pojemnik.

— Ruszaj.

— Ale ja... — zająknęła się. — Nie chcę wracać do miasta.

— Tak, młoda damo, a ja nie miałbym nic przeciwko porządnej opiece dentystycznej. Lecz wszyscy musimy się poświęcić, począwszy od tej chwili! — Wypowiadając ostatnie słowo, wypchnął ją zza beczki.

Tally potykając się, pobiegła naprzód, całkowicie odsłonięta na środku ulicy. Ryczący lotowóz zdawał się przelatywać tuż nad jej głową. Pochyliła się, pędząc ku drzewom.

Wyjątkowa przekrzywiła głowę, spokojnie splotła ręce na piersi i zmarszczyła czoło niczym nauczycielka widząca maluchy bawiące się nie tam, gdzie powinny.

Tally zastanawiała się, czy papryka w ogóle podziela na tę kobietę. Ale może Wyjątkowa zareaguje na nią tak jak Tally. A wtedy ona zdoła dotrzeć do lasu. Mimo że miała być przynętą. Mimo że nie miała butów. Nawet gdyby okazało się, że schwytali Davida i już nigdy go nie zobaczy...

Myśl ta wzbudziła w niej gwałtowny gniew. Tally pobiegła wprost w stronę kobiety, ściskając oburącz pojemnik.

Okrutne rysy Wyjątkowej rozjaśnił uśmiech. Ułamek sekundy przed zderzeniem Wyjątkowa jakby rozplynęła się, zniknęła z oczu Tally niczym moneta w dłoniach magika. I zaraz Tally poczuła, że coś twardego uderza ją w łydkę. Ból ogarnął całą nogę. Poleciała naprzód, wyciągając ręce, by powstrzymać upadek, i wypuszczając pojemnik.

Ciężko wylądowała na ziemi, przejeżdżając po niej dłońmi. Obracając się w kurzu, Tally dostrzegła przykucniętą Wyjątkową. Kobieta po prostu uskokczyła niewiarygodnie szybko, a ona potknęła się o nią niczym niezgrabny maluch podczas bójki.

Wypluwając kurz, Tally zobaczyła pojemnik. Leżał poza jej zasięgiem. Poczłogała się w jego stronę, lecz potężny ciężar przygniótł ją twarzą do ziemi. Czyjeś ręce

skrępowwały jej z tyłu dłonie. Twardy plastik kajdanek wrzynał się w ciało. Walczyła, ale nie mogła się ruszyć.

A potem straszliwy ciężar ustąpił. Jedno trącenie butem obróciło ją bez wysiłku. Wyjątkowa stała nad nią, uśmiechając się zimno; w dłoni trzymała pojemnik.

— Spokojnie, brzydka — powiedziała. — Uspokój się, nie chcemy cię skrzywdzić. Ale zrobimy to, jeśli nas zmusisz.

Tally zaczęła coś mówić, lecz jej szczękę przeszyła błyskawica bólu. Padając, uderzyła brodą o ziemię.

— Co jest w nim takiego ważnego? — spytała kobieta, potrząsając pojemnikiem i próbując zajrzeć do środka przez półprzejrysty plastik.

Tally dostrzegła Szefa biegnącego powoli, niezgrabnie w stronę lasu. Brezentowa torba wyraźnie mu ciążyła.

— Otwórz i sama zobacz — wykrztusiła boleśnie.

— Tak też zrobię — Wyjątkowa wciąż się uśmiechała. — Ale najpierw to! — Skupiła uwagę na Szefie i nagle jej sylwetka uległa zmianie. Teraz przypominała zwierzę, przykucnięte, gotowe do skoku niczym kot.

Tally przekręciła się i kopnęła na oślep, trafiając w pojemnik, który się otworzył. Obłoczek brązowozielonego pyłu omiótł głowę Wyjątkowej. Kobieta zamarła z wyrazem niedowierzania na twarzy. Zaczęła się dławić, zadrżała, a potem zacisnęła pięści i powieki i krzyknęła.

Dźwięk, który z siebie wydała, nie był ludzki. Wwiercał się w uszy niczym wibropiła zgrzytająca o metal. Każdy mięsień ciała Tally walczył, próbując uwolnić się z kajdanek, bo instynkt nakazywał zatkać uszy. Znów kopnęła, przeturlała się i dźwignęła na nogi. Potykając się, ruszyła w stronę lasu.

Gardło zaswędziało ją, gdy wciągnęła w nie drobiny papryki niesione z wiatrem. Biegając, zaczęła kasłać, oczy łzawiły i piekły, poruszała się niemal na oślep. Ze związanymi z tyłu rękami wpadła między drzewa i straciła równowagę, padając na ziemię, gdy bosą stopą natrafiła na coś w gęstym poszyciu.

Zaczęła czołgać się naprzód, próbując się ukryć.

Okazało się, że nieludzki krzyk Wyjątkowej stanowił coś w rodzaju alarmu. Trójka okrutnych ślicznych zareagowała na niego natychmiast. Jeden odprowadził na bok obsypaną papryką Wyjątkową, pozostali ruszyli w stronę lasu.

Tally zamarła; krzaki ledwie ją zasłaniały.

I wtedy poczuła pieczenie w gardle, narastające, drażniące. Wstrzymała oddech, zamykając oczy, lecz jej pierś zaczęła drżeć, ciało trzęsło się, żądając, by wyrzuciła z płuc ślady papryki. Musiała zakasłać.

Raz po raz przelykała ślinę z nadzieją, że w ten sposób ugasi ogień płonący w gardle. Płuca domagały się tlenu, ale nie odważyła się odetchnąć. Jeden z Wyjątkowych stał zaledwie o krok od niej, przeczesując wzrokiem las i kręcąc powoli głową. Jego oczy poruszały się bez przerwy.

Stopniowo, boleśnie, płomień w piersi Tally zaczął przygasać. Kaszel zmarł sam bezszelestną śmiercią. Odprężyła się i w końcu wypuściła powietrze.

Mimo łoskotu lotowozów i trzasku płonących budynków oraz odgłosów bitwy Wyjątkowy jakimś cudem usłyszał ów cichy wydech. Jego głowa obróciła się błyskawicznie, oczy zwęziły. Zdawało się, że ledwie się ruszył, a jednak stał już obok i chwycił Tally za kark.

— Podstępna jesteś — rzekł.

Chciała coś odpowiedzieć, zamiast tego jednak rozkasła— ła się gwałtownie i nim znów zdążyła odetchnąć, mężczyzna pchnął ją twarzą na ziemię.

— Teraz już tylko nas zgarniają — dodał.

— Widziałeś Shay?

Croy wzruszył ramionami.

— Kiedy zaatakowali, jadła śniadanie, ale straciłem ją z oczu.

— A Szefa?

Croy rozejrzał się.

— Nie.

— Chyba zdołał uciec. Próbowaliśmy razem. Na twarzy Croya pojawił się mroczny uśmiech.

— Zabawne. Zawsze powtarzał, że nie miałby nic przeciw schwytaniu, wspominał coś o liftingu.

Tally zdołała się uśmiechnąć, potem jednak pomyślała o skazach w mózgu towarzyszących przemianie w ślicznych i wstrząsnął nią dreszcz. Zastanawiała się, jak wielu schwytanych wie, co naprawdę ich czeka.

— Zgadza się, Szef zamierzał się poddać, żeby pomóc mi uciec. Ale nie dałabym rady przedrzeć się przez las.

— Dlaczego? Poruszyła palcami stóp.

— Nie mam butów. Croy uniósł brwi.

— Wybrałaś sobie kiepski dzień na to, by zasnąć.

— Chyba faktycznie.

Nowych przybyszy ustawiono w grupki na zewnątrz zatłoczonej królikarni. Para Wyjątkowych krążyła po zagrodzie, błyskając czytnikiem w oczy związanych Dymiarzy i wyprowadzając ich kolejno za ogrodzenie.

— Pewnie rozdzielają nas według miast — mruknął Croy.

— Po co?

— Zeby nas zabrać do domu — odparł chłodno.

— Do domu — powtórzyła.

Zaledwie zeszłej nocy słowo to zmieniło dla niej swe znaczenie. Teraz dom został zniszczony, leżał w ruinach, płonący, podbity.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Shay i Davida. Znajome twarze wokół były blade, zmęczone, brudne, malował się na nich szok i poczucie klęski, lecz Tally uświadomiła sobie nagle, że nie myśli już o nich jako o brzydkich. Teraz to lodowate oblicza Wyjątkowych mimo swej urody wydawały jej się przerażające.

Jej wzrok przyciągnęło nagle zamieszanie. Trzech najeźdźców niesło przez zagrodę szarpiącą się postać ze skrępowanymi rękami i nogami. Pomaszerowali wprost do kąta, gdzie tkwili Tally i Croy i rzucili ofiarę na ziemię.

To była Shay.

— Uważajcie na nią.

Dwójka pilnujących Wyjątkowych spojrzała na wciąż szarpiącą się dziewczynę.

— Zbrojny opór? — spytał jeden z nich.

Zapadła cisza. Tally dostrzegła na ślicznej twarzy jednego z Wyjątkowych świeży siniak.

— Nie miała broni, ale jest niebezpieczna.

Zostawili ją i odeszli; w ich ruchach pełnych okrutnej gracji widać było pośpiech.

— Shay — szepnął Croy.

Dziewczyna przeturlała się do nich, twarz miała czerwoną, usta spuchnięte i zakrwawione. Splunęła na ziemię krwistą, czerwoną śliną.

— Croy — wykrztusiła niewyraźnie. A potem jej wzrok padł na Tally. -Ty!

— Och, Shay... — zaczął Croy.

— Ty to zrobiłaś! — Całe jej ciało wiło się niczym wąż w śmiertelnych drgawkach. — Nie wystarczyło ci, że ukradłaś mi chłopaka? Musiałaś zdradzić cały Dym!

Tally zamknęła oczy, gorączkowo kręcąc głową. To nie mogło być prawdą. Zniszczyła przecież wisiołek, pochłonął go ogień.

— Shay — rzucił Croy — uspokój się, spójrz na nią. Ona z nimi walczyła.

— Ślepy jesteś, Croy? Rozejrzyj się! To jej sprawka! Tally odetchnęła głęboko. Zmusiła się, żeby spojrzeć na

Shay. W oczach przyjaciółki gorzała nienawiść.

— Shay, przysięgam, to nie ja. Ja nigdy... — Głos jej się nagle załamał.

— Kto inny mógł ich tu doprowadzić?

— Nie wiem.

— Nie możemy obwiniać się nawzajem, Shay — wtrącił Croy. — To mogło być cokolwiek. Obraz z satelity, wyprawa zwiadowcza.

— Szpieg.

— Spójrz tylko na nią, Shay — zawołał Croy. — Jest związana, jak my, stawiała opór.

Shay zacisnęła powieki i z uporem pokręciła głową.

Dwoje Wyjątkowych ze skanerem oczu dotarło do ich kąta. Mężczyzna zatrzymał się, kobieta ostrożnie podeszła.

— Nie chcemy was skrzywdzić — oznajmiła. — Ale zrobimy to, jeśli nas zmusicie.

Okrutna śliczna chwyciła Croya za podbródek i błysnęła mu skanerem w oczy. Spojrzała na czytnik.

— Jeszcze jeden z naszych.

Jej towarzysz uniósł brwi.

— Nie wiedziałem, że mamy tak wielu uciekinierów.

We dwójkę dźwignęli Croya i poprowadzili na zewnątrz, w stronę największej grupy Dymiarzy. Tally zagryzła wargę. Croy był jednym z dawnych przyjaciół Shay, a zatem ta dwójka Wyjątkowych pochodziła z ich miasta. Może wszyscy przybyli właśnie stamtąd.

To musiał być przypadek. Na pewno nie ona zawiniła. Widziała, jak wisiołek płonie.

— Widzę, że przeciągnęłaś już na swoją stronę nawet Croya — wysyczała Shay.

Do oczu Tally napłynęły łzy, tym razem wcale nie za sprawą papryki.

— Spójrz na mnie, Shay!

— Od początku cię podejrzewał. Ale za każdym razem powtarzałam mu: nie, Tally to moja przyjaciółka, nigdy nie zrobiłaby nic, by mnie zranić.

— Ja nie kłamię!

— Jak udało ci się przekonać Croya? Tak, jak przekonałaś Davida?

— Shay, nie chciałam, by to się stało.

— W takim razie gdzie byliście wczoraj?

Tally przełknęła ślinę, próbując uspokoić drżący głos.

— Po prostu rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Opowiedziałam mu o naszym jniku.

— I to trwało całą noc? A może postanowiłaś wziąć się do rzeczy, nim przybędą Wyjątkowi? Ostatnia zabawa z nim. I ze mną.

Tally opuściła głowę.

— Shay...

Silna dłoń chwyciła ją za brodę i uniosła. Tally zamrugała, błysnęło oślepiające czerwone światło. Wyjątkowa spojrzała na odczyt.

— Hej, to ona.

Tally pokręciła głową.

— Nie.

Drugi Wyjątkowy zerknął na czytnik i przytaknął.

— Tally Youngblood?

Nie odpowiedziała. Podnieśli ją z ziemi i otrzepali.

— Pójdiesz z nami. Doktor Cable chce cię zobaczyć, natychmiast.

— Wiedziałam! — syknęła Shay.

— Nie!

Pociągnęli Tally w stronę bramki.

Odwróciła głowę, oglądając się za siebie, szukając słów, które mogłyby wszystko wyjaśnić.

Shay patrzyła na nią wściekle z ziemi, zaciskając zakrwawione usta. Jej wzrok padł na skrępowane przeguby Tally. W sekundę później Tally poczuła, że uścisk ustępuje, jej ręce opadły. Wyjątkowi przecięli kajdanki.

— Nie — szepnęła.

Jeden z nich uścisnął jej ramię.

— Nie martw się, Tally, raz-dwa zawieziemy cię do domu.

— Od lat szukaliśmy tej grupy — dodała kobieta.

— Tak. Dobra robota.

W RAZIE USZKODZENIA

Zabrali ją do biblioteki, zamienionej w kwaterę główną na jeźdźców. Na długich stołach stały rzędy przenośnych ekrana nów roboczych, obsługiwanych przez Wyjątkowych. Panując;) tu zwykle ciszę zastąpił szmer krótkich rozmów i rozkazów. Ostre głosy okrutnych ślicznych raziły uszy Tally.

Doktor Cable czekała przy jednym z długich stołów. P(grążona w lekturze starego pisma, wydawała się niemal odprężona, oderwana od gorączkowej działalności innych.

Ach, Tally — wyszczerzyła zęby w parodii uśmiechu. -

Miło cię znów widzieć. Usiądź.

Tally zastanawiała się, co kryje się za tym powitaniem

Wyjątkowi traktowali ją jak współniczkę. Czyżby naszyjnik przed zniszczeniem wysłał do nich jakiś sygnał?

Tak czy inaczej, jej jedyną szansą ucieczki było przyłączenie się do tej gry. Odsunęła krzesło i usiadła.

— Do licha, spójrz tylko na siebie! — rzekła doktor Cable. — Jak na kogoś, kto chce być śliczny, lubisz dziwnie wyglądać.

— Miałam ciężki ranek.

— Nieźle się poobijałaś.

Tally wzruszyła ramionami.

— Po prostu starałam się zejść wam z drogi.

— Istotnie. — Doktor Cable odłożyła pismo na stół. — Tyle że, jak się zdaje, kiepsko ci to idzie.

Tally zakasłała dwukrotnie, wyrzucając z płuc ostatnią drobinę papryki.

— Chyba faktycznie.

Doktor Cable zerknęła na ekran roboczy.

— Widzę, że stawiałaś opór.

— Część Dymiarzy już wcześniej mnie podejrzewała. Kiedy zatem usłyszałam, jak nadlatujecie, próbowałam wydostać się z miasta. Nie chciałam tu być, kiedy wszyscy się zorientują, co się dzieje, bo przypuszczałam, że będą na mnie wściekli.

— Instynkt samozachowawczy. Tego przynajmniej ci nie brakuje.

— Wcale nie chciałam się tu znaleźć.

— Nie, i niezbyt ci się spieszyło! — Kobieta odchyliła się, splatając długie, smukłe palce. — Od jak dawna tu jesteś?

Tally zmusiła się do kolejnego ataku kaszlu. Zastanawiała się, czy odważy się skłamać. Głos, wciąż ochryply i roztrzęsiony po zetknięciu z papryką, raczej by jej nie

zdradził, a choć gabinet doktor Cable w mieście był jednym wielkim wykrywaczem kłamstw, tutejszy stół i krzesła zrobiono z solidnego drewna. W ich wnętrzu nic się nie kryło.

— Niezbyt długo — odparła tylko.

— Nie dotarłaś tu tak szybko, jak liczyłam.

— O mały włos w ogóle bym tu nie dotarła. A kiedy przy byłam, od moich urodzin minęły wieki. Dlatego mnie podejrzewali.

Doktor Cable pokręciła głową.

— Chyba powinnam była martwić się o ciebie, o to, jak sobie radzisz sama w głuszy. Biedna Tally.

— Dzięki za troskę.

— Gdybyś znalazła się w prawdziwych tarapatach, z pewnością uruchomiłabyś nadajnik. Pamiętaj o instynkcie samozachowawczym.

— Chyba że spadłabym ze skały — prychnęła Tally. — Co o mały rzeczywiście się nie stało.

— I tak byśmy się zjawili. W razie uszkodzenia naszyjnik automatycznie wysłałby sygnał.

Znaczenie tych słów powoli dotarło do Tally: w razie uszkodzenia naszyjnik... Zacisnęła dłonie na krawędzi stołu, próbując nie okazywać emocji.

Oczy doktor Cable zwężyły się. Może i nie miała tu maszyn odczytujących głos, bicie serca i reakcje Tally, ale dysponowała własnymi zmysłami.

— A skoro już o nim mowa, gdzie właściwie jest?

Palce Tally powędrowały do szyi. Rzecz jasna doktor Cable od razu dostrzegła brak wisiorka. Wszystkie pytania prowadziły do tej sprawy. Gorączkowo poszukiwała odpowiedzi. Nie miała już kajdanek; musiała dostać się do placówki handlowej. Jeśli dopisze jej szczęście, jej deska wciąż leży na dachu i rozłożona ładuje się w porannym słońcu.

— Ukryłam go — odparła. — Bałam się.

— Bałaś? Czego?

— Ostatniej nocy, po tym jak upewniłam się, że to naprawdę Dym, uruchomiłam nadajnik. Ale mają tu sprzęt do wykrywania pluskiew, znaleźli jedną w mojej desce — którą umieściliście tam, nic mi nie mówiąc.

Doktor Cable uśmiechnęła się, bezradnie rozkładając ręce.

— To o mały nie załatwiło mnie na dobre — podjęła Tally. — Kiedy więc otworzyłam wisiorek, przestraszyłam się, że się zorientują, iż wysłałam sygnał, i ukryłam go na wypadek,

gdyby zaczęli szukać.

— Rozumiem. Czasami silnemu instynktowi samozachowawczemu towarzyszy pewna doza inteligencji. Cieszę się, że postanowiłaś nam pomóc.

— Tak jakbym miała wybór.

— Zawsze miałaś wybór, Tally. Ale podjęłaś właściwą decyzję. Postanowiłaś przybyć tutaj i znaleźć swoją przyjaciółkę, ocalić ją przed życiem w brzydocie. Powinnaś się cieszyć.

— Umieram z radości.

— Ach, wy brzydcy, jesteście tacy zadziorni. Cóż, wkrótce dorośniesz.

Na te słowa po plecach Tally przeszedł dreszcz. Dla doktor Cable dorastanie oznaczało zmiany w mózgu.

— Musisz zrobić dla mnie coś jeszcze, Tally. Zechcesz przynieść mi naszyjnik? Wolałabym nie zostawiać żadnych śladów.

Tally uśmiechnęła się.

— Z przyjemnością.

— Ten oficer będzie ci towarzyszył. — Doktor Cable uniosła palec i u jej boku pojawił się Wyjątkowy. — A żeby ochronić cię przed twoimi przyjaciółmi z Dymu, udamy, że jesteś odważną buntowniczką.

Wyjątkowy wykręcił Tally ręce i znów poczuła na przegubach twardy plastik. Odetchnęła głęboko, krew pulsowała jej w skroniach.

W końcu zmusiła się, by mruknąć:

— Jak sobie chcecie.

*

**

— Tędy.

Tally poprowadziła Wyjątkowego w stronę placówki handlowej, ogarniając wzrokiem sytuację. Dym został pokonany, wszędzie wokół płonęły ognie, niektóre zaczynały już przygasać. Z poczerńałego drewna wciąż wznosiły się chmury dymu, snując się po obozie.

Parę twarzy spojrzało na nią podejrzliwie. Była jedynym Dymiarzem wciąż stojącym na nogach, wszyscy inni leżeli na ziemi, skuci i pod strażą. Większość stłoczono w pobliżu królikarni.

Tally uśmiechała się ponuro do tych, którzy na nią patrzyli, z nadzieją iż zauważą, że ona również ma na rękach kajdanki.

Gdy dotarli do placówki, uniosła głowę.

— Ukryłam go na dachu.

Wyjątkowy podejrzliwie przyjrzał się budynkowi.

— W porządku — rzekł. — Zaczekaj tutaj, usiądź i nie wstawaj.

Wzruszyła ramionami, klękając ostrożnie.

Wyjątkowy wspiął się na dach z łatwością, która sprawiła, że Tally zadrzała. Jak ma pokonać tego okrutnego ślicznego? Nawet gdyby miała wolne ręce, i tak byłby wyższy, silniejszy, szybszy.

W chwilę później wychylił głowę spoza krawędzi dachu.

— Gdzie jest?

— Pod rapczukiem.

— Czym?

— Rapczukiem. No wiesz, takim staroświeckim wihajstrem w miejscu, gdzie dach łączy się z aberbunkiem.

— O czym ty mówisz, do diabła?

— To pewnie dymiarski slang. Pokażę ci.

Przez sekundę na obojętnej twarzy mężczyzny dostrzegła cień irytacji pomieszanej z podejrzliwością. Zeskoczył jednak na ziemię i przyciągnął parę skrzyń, ustawiając je w stos. Wskoczył na nie i podniósł Tally, sadzając ją na skraju dachu, jakby nic nie ważyła.

— Jeśli choć tkniesz którąś z deskolotek, zrzucę cię na głowę — ostrzegł spokojnie.

— Tu są deski?

Przeskoczył nad nią i wciągnął ją na dach.

— Znajdź go.

— Nie ma sprawy.

Ruszyła ostrożnie po ukośnym dachu, nieco przesadnie demonstrując trudność utrzymania równowagi bez rąk.

Baterie słoneczne ładujących się desek jaśniały oślepiająco w promieniach słońca. Deska Tally leżała za daleko, po drugiej stronie dachu, poza tym była rozłożona na osiem części. Poskładanie jej w całość zabrałoby całą długą minutę. Lecz Tally dostrzegła w pobliżu jedną deskę, chyba należącą do Croya, rozłożoną tylko raz. Lampka płonęła zielonym blaskiem. Wystarczy jedno kopnięcie i deska będzie gotowa do lotu.

Tally nie mogła jednak lecieć ze skrępowanymi rękami. Spadłaby przy pierwszym skręcie.

Odetchnęła głęboko, ignorując tę część mózgu, która dostrzegała jedynie odległość dzielącą ją od ziemi. Jeśli tylko Wyjątkowy okaże się tak szybki i silny, jak się zdawało...

Mam na sobie kamizelkę bungee, powtarzała sobie kłamliwie w duchu. Nic mi się nie stanie.

Pozwoliła, by bosa stopa pośliznęła się na gonce, i straciła równowagę.

Twarde gonty wbijały się jej w kolana i łokcie, gdy turlała się w dół, krzyząc z bólu. Walczyła, usiłując utrzymać się na dachu, jej stopy przebierały bezradnie po śliskim drewnie.

W chwili gdy dotarła do krawędzi, poczuła na ramieniu żelazny uchwyt. Po sekundzie zawisała w powietrzu, widząc w dole czekającą ziemię. Zatrzymała się jednak z boleśnie wykręconą ręką i usłyszała ostry jak brzytwa głos Wyjątkowego. Przeklinał.

Przez moment kołysała się, zatrzymana w locie, a potem oboje zaczęli się ześlizgiwać.

Czuła palce i stopy mężczyzny szukające oparcia. Owszem, był silny, ale nie miał się czego przytrzymać. Wiedziała, że zaraz spadnie.

Ale przynajmniej pociągnie go za sobą.

A potem Wyjątkowy sapnął i Tally poczuła potężne szarpnięcie, gdy wrzucił ją z powrotem na dach. Nad jej głową przemknął cień, coś uderzyło o ziemię. Wyjątkowy rzucił się z dachu, by ją uratować!

Przeturlała się i przykucnęła. Wstała, uniosła stopą połówkę deski Croya i zatrasnęła ją. Nagle usłyszała jakiś dźwięk z tyłu i cofnęła się szybko.

Na krawędzi pojawiły się palce Wyjątkowego, a potem jego ciało. Upadek w ogóle mu nie zaszkodził.

— Nic ci nie jest? — spytała. — Rany, jesteście naprawdę silni. Dzięki, że mnie uratowałeś.

Spojrzał na nią lodowato.

— Znajdź szybko to, po co przyszliśmy, i postaraj się przy tym nie zabić.

— Dobra.

Tally odwróciła się, zdołała zaczepić stopą o gont i znów się zachwiała. Po sekundzie tkwiła już w ramionach Wyjątkowego. Wreszcie usłyszała w jego głosie prawdziwy gniew.

— Wy brzydcy jesteście tacy... niekompetentni!

— Może, gdybyś mógł...

Nim zdążyła dokończyć, poczuła, jak ucisk na przegubach znika. Uniosła przed siebie ręce, roztarła ramiona.

— Au. Dzięki.

— Posłuchaj! — Jego okrutny głos brzmiał ostrzej niż kie dykolwiek. — Nie chcę cię skrzywdzić, ale...

— Zrobisz to, jeśli cię zmuszę.

Tally uśmiechnęła się. Idealnie. Stał dokładnie we właściwym miejscu.

— Znajdź to, czego chce doktor Cable, i nie waż się tknąć

żadnej z tych desek.

— Nie martw się, nie muszę — odparła i z całej siły pstryknęła palcami obu dłoni.

Deskolotka Croya skoczyła naprzód, zwalając Wyjątkowego z nóg. Mężczyzna znów sturlał się z dachu, a Tally wskoczyła na deskę.

UCIECZKA

Nigdy wcześniej nie leciała na bosaka. Młodzi Dymiarze urządzali sobie najróżniejsze zawody, nosili ciężary, wsiadali na deski parami, ale nikt nie był aż tak głupi.

Podczas pierwszego zwrotu o mało nie spadła. Skręcała właśnie na nową lotościeżkę, którą zaledwie kilka dni wcześniej wyłożyli złomem. W chwili gdy deska się przekrzywiła, bose stopy zaczęły się z niej ześlizgiwać i niemal obróciło Tally w powietrzu. Gorączkowo wymachując rękami, w jakiś sposób zdołała się utrzymać. Przemknęła nad obozem i królikarnią.

Za plecami usłyszała chóralny okrzyk — jeńcy dostrzegli ją i zrozumieli, że ktoś ucieka. Była jednak zbyt skupiona na utrzymaniu się na desce, by się obejrzeć.

Odzyskawszy równowagę, przypomniała sobie, że nie ma też bransolet. Jeśli spadnie, nic jej nie uratuje. Podkurczając palce, próbowała przywrzeć mocniej do deski. Przysięgła sobie, że następny zakręt pokona wolniej. Gdyby tego ranka niebo było pochmurne, słońce nie wysuszyłoby jeszcze rosy, która osiadła na desce Croya, a ona leżałaby na ziemi w królikarni, zapewne ze skręconym karkiem. Na szczęście, podobnie jak większość młodych Dymiarzy, sypiała z przypiętym do pępka czujnikiem.

Za plecami usłyszała skowyt startujących lotowozów.

Wiedziała, że istnieją tylko dwie drogi, którymi można wydostać się z Dymu na desce. Instynktownie skierowała się w stronę szyn, przy których pracowała. Zostawiła za sobą dolinę i zdołała bez upadku skręcić ostro nad białą wodą. Bez plecaka i ciężkich bransolet bezpieczeństwa czuła się niemal naga.

Deska Croya nie była tak szybka jak jej własna i nie znała stylu Tally. Lot na niej przypominał rozchodzenie nowych butów — podczas wyścigu o życie.

Gdy znalazła się nad wodą, jej twarz, ręce i stopy obryzgała piana. Tally uklękła, przytrzymując się deski mokrymi dłońmi i lecąc tak nisko, jak się dało. Owszem, wodny pył utrudniał lot, lecz dzięki barierze drzew pozostawała niewidoczna. Ośmieliła się zerknąć za siebie — jak dotąd nie pojawił się żaden lotowóz.

Pędząc nad krętym strumieniem i pokonując kolejne znajome zakręty, Tally wspominała wszystkie wyścigi z Davi— dem i Shay do miejsca pracy. Zastanawiała się, gdzie jest teraz David. W obozie, skrępowany i gotów do przewiezienia do miasta, którego nigdy wcześniej nie oglądał? Czy zedrą mu twarz i zastąpią śliczną maską, zamieniając mózg w papkę, którą władze uznają za stosowną dla dawnego renegata wychowanego w głuszy?

Pokręciła głowę, próbując przegnać ów obraz z umysłu. Davida nie było wśród schwytyanych Dymiarzy. Gdyby go złapali, z pewnością by walczył. Musiał zatem uciec.

Nad jej głową z rykiem przeleciał lotowóz. Wzbudzona przez niego fala powietrzna o mało nie zrzuciła Tally z deski. W kilka sekund później pojęła, że ją zauważyli. Wóz z ogłuszającym rykiem zawrócił, zmierzając z powrotem w stronę rzeki.

W górze przemknęły cienie. Tally uniosła wzrok i przekonała się, że podążają za nią dwa lotowozy. Ich śmigła połyskiwały jasno jak noże w porannym słońcu. Wozy mogły lecieć wszędzie, ją jednak ograniczały lotki magnetyczne. Była uwięziona na lotościeżce.

Przypomniała sobie pierwszy lot, gwałtowne skręty i szarpnięcia wozu kierowanego przez okrutnego ślicznego. W linii prostej były znacznie szybsze niż deska. Tally miała jednak pewną przewagę: знаła tę trasę na pamięć.

I na szczęście trasa nie biegła prosto.

Tally chwyciła oburącz deskę i przeskoczyła z rzeki nad pasmo niskich skał. Wozy pomknęły naprzód w rozpędzie, a ona skręciła nad żyłę żelaza. Teraz jednak znalazła się na otwartej przestrzeni, za jej plecami ciągnęły się bezkresne równiny.

Zauważyła w przelocie, że dzień jest przepiękny, na niebie nie było ani jednej chmurki.

Leżała niemal zupełnie płasko, aby zmniejszyć opór powietrza, wyciskając maksymalną prędkość z deski Croya.

Wyglądało na to, że nie zdąży dotrzeć do następnej osłony przed powrotem wozów.

Zastanawiała się, jak zamierzają ją schwytać. Głusza kiem? W siatkę? A może po prostu wywrócą ją falami po wietrzę? Przy tej szybkości, bez bransolet bezpieczeństwa, każdy atak, który strąciłby Tally z deski, zabiłby ją.

Być może wcale im to nie przeszkadzało.

Z prawej strony usłyszała zawodzenie śmigieł, z każdą chwilą głośniejsze.

Tuż przed tym, nim dźwięk ją doścignął, Tally skręciła w pełnym poślizgu. Siła odśrodkowa przygniotła ją do deski. Oba lotowozy znów przeleciały nad nią, nie zdążywszy wyhamować, lecz wzbudzony przez nie podmuch parę razy obrócił ją w kółko. Deska przekręciła się raz, drugi. Tally trzymała się kurczowo, podczas gdy świat wirował wokół niej.

Wkrótce jednak odzyskała panowanie nad deską i znów skierowała ją naprzód, rozpędzając maksymalnie. Lotowozy wciąż zawracały. Owszem, Wyjątkowi byli szybsi, lecz jej deska okazała się zwrotniejsza.

Zbliżał się następny zakręt. Wozy zmierzały wprost ku niej; tym razem poruszały się wolniej. Piloci zorientowali się, że przy maksymalnej szybkości za każdym razem zdoła im się wymknąć.

Ale niech spróbują lecieć poniżej poziomu drzew!

Kłęcząc na desce i nadal trzymając się jej oburącz, Tally weszła w następny zakręt, opadając nad popękane koryto wyschniętego strumienia. Potworny ryk lotowozów narastał z każdą chwilą.

Zbyt łatwo wpadali na jej trop, pewnie używali czujników namierzających temperaturę ciała między drzewami, tak jak opiekunowie domów. Przypomniała sobie mały przenośny grzejnik, z pomocą którego tyle razy wykradała się z sypialni. Gdyby tylko miała go teraz.

I nagle stanęły jej przed oczami jaskinie, które David pokazał jej pierwszego dnia pobytu w Dymie. Zimny kamienny masyw góry z łatwością zamaskuje ciepło jej ciała.

Ignorując odgłosy pościgu, pędziła wzdłuż łożyska i ponad złożem rudy, a potem nad rzeką prowadzącą w stronę torów. Manewrowała nad wodą; lotowozy trzymały się nad drzewami, czekając cierpliwie, aż zabraknie jej osłony.

Zbliżając się do skrzyżowania nad tory, Tally rozpedziła się jeszcze, lecąc tuż nad wodą. W pędzie pokonała zakręt i pomknęła nad szynami.

Wozy pozostały nad rzeką. Wyjątkowi być może spodziewali się, że ich ofiara skręci w jakąś odnogę, lecz nagłe pojawienie się starej kolei kompletnie ich zaskoczyło. Jeśli zdoła dotrzeć do góry, nim tamci zakończą powolne manewry, będzie bezpieczna.

W ostatniej chwili Tally przypomniała sobie miejsce, w którym zdemontowali szyny, i uniosła deskę, szykując się do przerażającego, bezwładnego upadku. Pokonała wyrwę szerokim łukiem. Magnesy znów znalazły metal i w trzydzieści sekund później zatrzymała się w poślizgu na końcu trasy.

Zeskoczyła z deski, obróciła ją i pchnęła w stronę rzeki. Bez ściągających ją bransolet deskolotka poszybuję powoli nad koleją aż do wyrwy, gdzie runie na ziemię. Przy odrobinie szczęścia Wyjątkowi uznają, że Tally spadła, i zaczną szukać w tamtym miejscu.

Wczołgała się po głazach do jaskini, macając przed sobą w ciemności. Pełzła szybko coraz dalej, z nadzieją że tony kamienia nad głową wystarczą, by ukryć ją przed Wyjątkowymi. Gdy światelko u wylotu tunelu zmalało do rozmiarów oka, zdyszana Tally opadła na kamień. Po locie wciąż trzęsły jej się ręce, raz po raz powtarzała sobie w duchu, że jej się udało.

Ale właściwie co? Nie miała butów, deski, przyjaciół, a nawet oczyszczacza wody czy torebki SpagBolu. Nie miała domu, do którego mogłaby wrócić.

Była zupełnie sama.

— Już jestem trupem — powiedziała głośno.

I wtedy ktoś odezwał się w ciemności.

— Tally? To ty?

W ciemności czyjeś dłonie chwyciły ramiona Tally.

— Udało ci się! — Głos należał do Davida. Kompletnie oszołomiona Tally nie była w stanie mówić.

Przysunęła się blisko i wtuliła twarz w jego pierś.

— Kto jeszcze jest z tobą? Pokręciła głową.

— Ach — szepnął David.

A potem objął ją mocniej, jaskinia wokół nich zadrżała. Gdzieś w górze powoli przeleciał lotowóz. Tally wyobraziła sobie maszyny Wyjątkowych przeczesujące wszystkie szczeliny w skale w poszukiwaniu ofiary.

Czy właśnie doprowadziła ich do Davida? Cóż za doskonała ostateczna zdrada.

Ponownie usłyszeli niski grzmot i David pociągnął ją głębiej w ciemność długą krętą ścieżką. Wokół robiło się coraz mroczniej i zimniej.

W nieruchomym powietrzu Tally czuła chłód i wilgoć. Wyobraziła sobie pociąg pełen martwych Rdzawców, pogrzebany pod kamieniami.

Czekali w milczeniu. Mieli wrażenie, że upłynęły całe go— dziny. Wciąż się obejmowali, nie mając odwagi nic powiedzieć, póki odgłosy pościgu nie ucichły.

— Co się stało w Dymie? — wyszeptał w końcu David.

— Dziś rano zjawili się Wyjątkowi.

— Wiem, widziałem! — Uścisnął ją mocniej. — Nie mogłem zasnąć, więc poleciałem na desce w góry obejrzeć wschód słońca. Przelecieli dokładnie nade mną, dwadzieścia lotowo— zów wynurzających się zza skał. Ale co się dzieje teraz?

— Zamknęli wszystkich w królikarni, rozdzielili na grupy.

Croy mówił, że odeślą nas do miast.

— Croy? Kogo jeszcze widziałaś?

— Shay, kilku jej przyjaciół. Może Szefowi się udało, razem próbowaliśmy uciec.

— A moi rodzice?

— Nie wiem.

Nagle ucieszyła się, że ciemność skrywa jej wzrok. Strach dźwięczący w głosie Davida był dostatecznie bolesny. Jego rodzice założyli Dym i znali tajemnicę operacji. Nie wiedziała, jaka kara czeka pozostałych Dymiarzy, ale ich z pewnością będzie sto razy gorsza.

— Nie mogę uwierzyć, że to się stało — szepnął David. Tally bardzo chciała jakoś go pocieszyć, lecz w ciemności

widziała tylko szyderczy uśmiech doktor Cable.

— Jak zdołałaś uciec? — spytał.

Przyciągnęła jego dłonie do swych przegubów, na których wciąż tkwiły plastikowe bransoletki kajdanek.

— Przecięłam je, wspięłam się na dach placówki handlowej i ukradłam deskę Croya.

— Mimo że pilnowali cię Wyjątkowi?

Zagryzła wargę; milczała.

— To niezwykle. Matka twierdzi, że to nadludzie. Druga operacja wzmacnia wszystkie ich mięśnie i podkręca układ nerwowy. W dodatku wyglądają tak strasznie, że mnóstwo ludzi na sam ich widok wpada w panikę. — Przytulił ją mocniej. — Ale powinienem był wiedzieć, że tobie uda się uciec.

Tally przymknęła oczy. W nieprzeniknionej ciemności nie czyniło to żadnej różnicy. Tak bardzo chciała zostać tu na zawsze, nigdy nie musieć walczyć ze światem zewnętrznym.

— Po prostu miałam szczęście.

Ze zdumieniem odkryła, że znów kłamie. Gdyby tylko od razu wyznała prawdę, Dymiarze wiedzieliby, co zrobić z wisiorkiem. Mogli przyczepić go do odlatującego ptaka i w tej chwili doktor Cable zmierzałaby do Ameryki Południowej, zamiast z biblioteki doglądać zniszczenia Dymu.

Lecz Tally wiedziała, że nie może wyznać prawdy, nie teraz. David nigdy już by jej nie zaufał, nie po tym, jak zniszczyła jego dom i rodzinę. Straciła już Perisa, Shay i swój nowy dom. Nie mogła znieść myśli o utracie Davida.

A zresztą co dobrego działyby wyznanie? David pozostałby sam, ona także. A teraz potrzebowali się nawzajem.

Przesunął dłońmi po jej twarzy.

— Wciąż mnie zdumiewasz, Tally.

Zadrzała; jego słowa dźgnęły ją niczym nóż.

W tym momencie Tally zawarła układ z samą sobą. W końcu będzie musiała powiedzieć Davidowi, co niechcący zrobiła. Nie teraz, ale kiedyś. Kiedy wszystko naprawi. Odpokutuje, choć częściowo naprawi to, co zniszczyła. Może wówczas David zrozumie.

— Ruszemy za nimi. Uratujemy ich.

— Kogo? Moich rodziców?

— Pochodzili z mojego miasta, zgadza się? Zatem tam właśnie ich zabiorą. A także Shay i Croya. Uratujemy ich wszystkich.

David zaśmiał się gorzko.

— My dwoje przeciwko bandzie Wyjątkowych?

— Nie będą się nas spodziewać.

— Ale jak ich znajdziemy? Nigdy nie byłem w mieście, ale słyszałem, że jest duże. Żyje tam ponad milion ludzi.

Tally odetchnęła powoli, raz jeszcze wspominając pierwszy lot do biura doktor Cable. Niskie budynki barwy ziemi na skraju miasta, za pasem zieleni, pośród fabryk. Wielkie, niekształtne wzgórze w pobliżu.

— Wiem, gdzie ich znajdziemy.

— Co takiego? — David cofnął się gwałtownie.

— Byłam tam. W siedzibie Wyjątkowych Okoliczności.

Na chwilę w jaskini zapadła cisza.

— Sądziłem, że są tajemnicą. Większość przybywających tu dzieciaków nie wierzyła nawet w ich istnienie.

Tally zaczęła mówić szybko, w duchu przerażona łatwo ścią, z jaką przychodzą jej kolejne kłamstwa.

— Jakiś czas temu wykręciłam naprawdę ostry numer, coś, co zwraca uwagę opiekunów. — Oparła głowę o pierś Davida,

ciesząc się, że nie widzi jego ufną twarz. — Zakradłam się do

/

Miasta Nowych Ślicznych. Mieszkają tam ludzie po operacji, cały czas się bawią.

— Słyszałem o tym mieście. A brzydkim zabrania się wstępu do niego, tak?

— Tak. To poważny numer. W każdym razie założyłam maskę i wpadłam nieproszona na imprezę. O mało mnie nie złapali, toteż chwyciłam kamizelkę bungee.

— Co to?

— Coś jak deska, tyle że ją wkładasz. Wymyślono ją do ucieczki z wysokich, płonących budynków, lecz nowi śliczni używają ich głównie do wygłupów. Złapałam jedną, uruchomiłam alarm przeciwpożarowy i zeskoczyłam z dachu. Wystraszyłam mnóstwo ludzi.

— Jasne. Shay opowiedziała mi całą historię w drodze do Dymu. Twierdziła, że jesteś najbardziej odlotową brzydką na świecie. Ja zawsze tylko myślałem, że w mieście musi być strasznie nudno.

— No, chyba jest.

— I złapali cię? Shay o tym nie wspominała.

Kłamstwa tkwały się same, wplatając w swą sieć jak najwięcej nitek prawdy.

— Myślałam, że mi się udało. Ale znaleźli tam moje DNA czy coś takiego. W parę dni później zabrali mnie do Wyjątkowych Okoliczności i przedstawili jednej strasznej kobiecie.

Myślę, że nimi kieruje. To wtedy pierwszy raz zobaczyłam Wyjątkowych.

— Naprawdę są z bliska tacy okropni?

Przytaknęła w ciemności.

— Są piękni, bez dwóch zdań, ale w okrutny, straszliwy sposób. Pierwszy raz jest najgorszy. Chcieli mnie tylko nastraszyć. Ostrzegli, że jeśli znów mnie złapią, będę mieć kłopoty. Powiedzieli, że nie mogę nikomu o nich wspomnieć. Dlatego właśnie nie powiedziałam Shay.

— To wiele tłumaczy.

— Ale co?

— Ciebie. Zawsze zdawałaś się wiedzieć, jak niebezpiecznie jest tu, w Dymie. W jakiś sposób rozumiałaś, czym naprawdę są miasta. Nawet przed rozmową z rodzicami, nim poznałaś prawdę o operacji. Byłaś jedyną znaną mi uciekinierką, która od razu zrozumiała.

Tally potwierdziła. To przynajmniej było prawdą.

— Bo rozumiem.

— I wciąż chcesz tam wrócić po moich rodziców i Shay, zaryzykować schwytnie, własny umysł?

Jej głos załamał się w szlochu.

— Muszę.

Żeby naprawić to, co ci zrobiłam, dodała w duchu.

David objął ją mocniej i spróbował pocałować. Musiała odwrócić głowę; w jej oczach w końcu zakręciły się łzy.

— Tally, jesteś niesamowita.

Dopiero następnego ranka wykradli się z jaskini.

Tally zmrużyła oczy, oślepiona promieniami słońca. Rozglądała się po niebie w poszukiwaniu floty lotowozów wzlatujących nagle ponad drzewa. Przez całą noc jednak nie usłyszeli żadnych niepokojących odgłosów. Może teraz, po zniszczeniu Dymu, Wyjątkowi uznali, że nie warto zawracać sobie głowy schwyтaniem ostatnich uciekinierów.

Deska Davida całą noc leżała ukryta w jaskini i niemal przez dobę nie widziała słońca. Wystarczyło jej jednak ładunku, żeby dowieść ich na górę. Polecieli nad rzekę. Po całym dniu bez jedzenia Tally burczało w brzuchu. Przede wszystkim jednak musiała się napić wody; w ustach zaschło jej tak bardzo, że ledwie mogła mówić.

David ukląkł na brzegu i zanurzył głowę w lodowatym nurcie rzeki.

Na ten widok Tally zadrżała. Bez koca i butów strasznie zmarzła w jaskini, nawet skulona w ramionach Davida. Musiała zjeść coś ciepłego, nim zdoła stawić czoło czemukolwiek zimniejszemu od porannego wiatru.

— A jeśli Wyjątkowi wciąż są w Dymie? — spytała. — Skąd weźmiemy jedzenie?

— Mówiłaś, że zamknęli jeńców w królikarni. Gdzie się podziały króliki?

— Biegały dokoła.

— Właśnie. Do tej pory powinny tam biegać i łatwo będzie je złapać.

Skrzywiła się.

— No dobra, jeśli tylko je upieczemy.

David roześmiał się.

— Oczywiście.

— Nigdy jeszcze nie rozpałałam ogniska — wyznała.

— Nie martw się, masz talent.

Wszedł z powrotem na deskę i wyciągnął rękę.

Tally nigdy wcześniej nie latała we dwoje i stwierdziła, iż cieszy się, że robi to z Davidem, a nie z kimś innym. Stała przed nim, przyciśnięta całym ciałem, wyciągała rękę, on obejmował ją w pasie. Bez słowa pokonywali kolejne zakręty. Tally stopniowo przenosiła swój ciężar, czekając, aż David uczyni to samo. Powoli opanowali tę sztukę i ich ciała zaczęły poruszać się razem, wspólnie sterując deską jakże znajomą trasą.

Udało im się, choć musieli lecieć bardzo wolno. Tally cały czas nasłuchiwała odgłosów pościgu. Gdyby nagle pojawił się lotowóz, szybka ucieczka mogła okazać się bardzo trudna.

Poczuł Dym na długo przed tym, nim go ujrzeli.

Ze zbocza góry budynki wyglądały jak wypalone ognisko, dymiące, rozsypujące się, poczerniałe. W obozie nic się nie poruszało prócz paru skrawków papieru unoszonych wiatrem.

— Wygląda na to, że palił się całą noc — mruknęła Tally.

David skinął głową, oniemiały. Ścisnęła mu rękę, zastanawiając się, jakie to uczucie widzieć dom rodzinny zamieniony w dymiącą ruinę.

— Tak mi przykro, Davidzie — szepnęła.

— Musimy tam zejść. Muszę sprawdzić, czy moi rodzice... — przełknął, nie kończąc.

Tally szukała wzrokiem oznak czyjejś obecności w Dymie. Wydawał się opuszczony, być może jednak paru Wyjątkowych ukrywało się wśród ruin, czekając na przybycie niedobitków.

— Powinniśmy zaczekać.

— Nie mogę. Dom moich rodziców jest po drugiej stronie grzbietu. Może Wyjątkowi go nie zauważyli.

— Jeśli tak, Maddy i Az wciąż tam będą.

— A jeżeli uciekli?

— To ich znajdziemy. Tymczasem jednak sami nie dajmy się złapać.

David westchnął.

— Zgoda.

Tally mocno trzymała go za rękę. Rozłożyli deskę i czekali, wypatrując oznak ludzkiej obecności. Słońce wznosiło się na niebie, od czasu do czasu nagle podsycony żar znów ożywał. Ostatnie fragmenty drewnianych budynków waliły się kolejno i rozsypywały w popiół.

Nieliczne zwierzęta szukały pożywienia. Tally w milczącej zgrozie patrzyła, jak wilk zabija zbląkanego królika. Po krótkiej walce na ziemi pozostała tylko kępka futra i plama krwi. Oto co przetrwało z dzikiej przyrody zaledwie kilka godzin po upadku Dymu.

— Gotowa do zejścia? — spytał po godzinie David.

— Nie — odparła Tally. — Ale chyba nigdy nie będę gotowa.

*

**

Zbliżyli się powoli, gotowi do ucieczki w razie pojawienia się Wyjątkowych. Gdy jednak dotarli na skraj miasta, Tally poczuła, że jej niepokój zmienia się w coś gorszego: straszliwą pewnością, że nikt tu nie pozostał.

Dom zniknął, na jego miejscu pozostały tylko zwęglone szczątki.

Przy królikarni ślady stóp wskazywały miejsca, w których grupki Dymiarzy przechodziły tam i z powrotem przez bramę. Cała społeczność zamieniona w bezwolne stado bydła. Wokół wciąż kicało kilka królików.

— Przynajmniej nie umrzemy z głodu — rzekł David.

— Chyba nie — zgodziła się Tally, choć widok Dymu przegnał jej głód. Zastanawiała się, jak Davidowi zawsze udaje się myśleć praktycznie, bez względu na otaczającą go grozę. — Hej, co to?

W kącie zagrody, tuż za płotem, na ziemi leżało kilkanaście małych przedmiotów. Podlecieli bliżej. David zmrużył oczy, próbując przeniknąć wzrokiem ścianę dymu. — Wyglądają jak... buty.

Tally zamrugła. Miał rację. Obniżyła deskę i zeskoczyła, biegnąc w tamtą stronę. Rozejrzała się zdumiona. Na ziemi leżało około dwudziestu porzuconych par butów we wszystkich możliwych rozmiarach. Padła na kolana, przyglądając się im dokładniej — sznurówki wciąż miały zawiązane, jakby zrzucili je ludzie ze skrzepowanymi na plecach rękami...

— Croy mnie poznał — mruknęła.

— Słucham?

— Kiedy uciekłam, przeleciałam dokładnie nad królikarnią. Croy musiał poznać, że to ja. Wiedział, że nie mam butów, żartowaliśmy z tego.

Wyobraziła sobie Dymiarzy czekających bezradnie na to, co przyniesie los, raz jeszcze stawiających opór. Croy zrzucił pewnie buty, a potem wyszeptał do wszystkich wokoło: „Tally jest wolna i bosa”. Zostawili jej dziesiątki par, z których mogła wybierać. Tylko w ten sposób mogli pomóc jedynej z nich, której udało się uciec.

— Wiedzieli, że tu wrócę. — Jej głos się załamał.

Nie wiedzieli tylko, że to ona ich zdradziła.

Podniosła parę, która mogła mieć właściwy rozmiar. Zauważyła antypoślizgowe podeszwy do jazdy na desce. Wciągnęła je szybko; pasowały nawet lepiej niż buty, które dostała od zwiadowców.

Tally wskoczyła z powrotem na deskę, ukrywając grymas

bólu wykrzywającego jej usta. Od tej pory tak to miało wyglądać. Każdy życzliwy gest jej ofiar tylko pogarszał sprawę.

— W porządku, ruszajmy.

Lotościezka wiła się przez dymiący obóz pomiędzy zwęglonymi ruinami. David zatrzymał deskę obok długiego budynku, z którego zostały tylko poczerńiałe szczątki.

— Tego się bałem.

Tally próbowała sobie przypomnieć, co się tu mieściło. Zupełnie jakby przestała poznawać znajome budynki przy ulicach przekształconych w stosy popiołu i zwęglonych kłód.

I wtedy ujrzała kilka poczerniałych stronic unoszonych z wiatrem. Biblioteka.

— Nie zabrali książek, nim... — zachłysnęła się. — Ale czemu?

— Nie chcą, żeby ludzie wiedzieli, jak było, zanim zaczęto przeprowadzać operacje. Wolą, żebyście nadal nienawidzili samych siebie, w przeciwnym razie zbyt łatwo byłoby wam przywyknąć do brzydkich twarzy, normalnych twarzy.

Obróciła się i spojrzała wprost w oczy Davida.

— Przynajmniej niektórych.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

— Szef uciekał ze starymi pismami. Może mu się udało.

— Jak? Pieszko? — W głosie Davida zabrzmiała nuta powątpiewania.

— Mam nadzieję, że jednak zdołał uciec.

Nachyliła się i deska pomknęła na skraj miasta.

W miejscu walki z Wyjątkową na ziemi wciąż pozostała plama papryki. Tally zeskoczyła, próbując sobie przypomnieć, którędy dokładnie Szef wbiegł do lasu.

— Jeśli uciekł, pewnie już dawno go tu nie ma — rzekł David.

Przecisnęła się przez gąszcz, wypatrując śladów walki. Poranne słońce przenikało przez liście, w zaroślach widziała wyraźną ścieżkę usłaną połamanymi gałęziami. Szef nie poruszał się z wdziękiem, wpadł między krzaki niczym rozpędzony słoń.

Znalazła brezentową torbę na wpół ukrytą pod omszałym zwalonym pniem. Otworzywszy ją, przekonała się, że pisma wciąż w niej tkwią, każde owinięte czule w foliowy pokrowiec. Zarzuciła torbę na ramię, rada, że zdołała uratować coś z biblioteki. Jedno drobne zwycięstwo nad doktor Cable.

Chwilę potem zobaczyła Szefa.

Leżał na plecach z głową wykręconą pod kątem, który natychmiast wydał się Tally nienaturalny. Zaciskał palce, pod paznokciami miał krew. Musiał walczyć, by odwrócić ich uwagę, nie pozwolić, żeby znaleźli torbę. A może zrobił to dla Tally, widząc, że także dotarła do lasu.

Przypomniała sobie, co kilka razy usłyszała z ust Wyjątkowych.

„Nie chcemy cię skrzywdzić. Ale zrobimy to, jeśli nas zmusisz”.

Nie żartowali. Nigdy nie żartowali.

Potykając się, oszołomiona, ruszyła z powrotem dźwigając na ramieniu torbę.

— Znalazłaś coś? — spytał David. Nie odpowiedziała.

Dostrzegł wyraz jej twarzy i zeskoczył z deski.

— Co się stało?

— Złapali go. I zabili.

David wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Odetchnął powoli.

— Chodź, Tally, musimy iść.

Zamrugła. Promienie słońca nagle wydały jej się dziwnie nienaturalne, skrzycone niczym szyja Szefa. Zupełnie jakby to, co ujrzała między drzewami, straszliwie odmieniło świat.

— Dokąd? — wymamrotała.

— Musimy iść do domu moich rodziców.

David skierował deskę ponad skalny grzbiet tak szybko, że Tally miała wrażenie, iż zaraz zleci. Wbiła palce w jego kurtkę, przytrzymując się i dziękując losowi za antypoślizgo— we podeszwy nowych butów.

— Posłuchaj, Davidzie, Szef na pewno z nimi walczył. Dlatego go zabili.

— Moi rodzice też by walczyli.

Tally zagryzła wargę, skupiając uwagę na utrzymaniu się na desce. Gdy dotarli do miejsca, w którym ścieżka najbardziej zbliżała się do domu rodziców Davida, chłopak zeskoczył i popędził w dół zbocza.

Tally uświadomiła sobie, że deska wciąż nie jest w pełni naładowana, toteż zmarnowała chwilę, by ją rozłożyć. Dopiero potem ruszyła za nim. Wcale nie spieszyła się do odkrycia, co Wyjątkowi zrobili z Maddy i Azem, kiedy jednak pomyślała, że David mógłby sam znaleźć swych rodziców, puściła się biegiem.

Potrzebowała sporo czasu, by w gęstych zaroślach odnaleźć właściwą drogę. Dwie noce temu przybyli tu w ciemności i z innej strony. Nasłuchiwała Davida, niczego jednak nie usłyszała. Ale potem wiatr się zmienił i spomiędzy drzew do leciała ją woń dymu.

Podpalenie domu nie było łatwe.

Przytulone do górskiego zbocza kamienne ściany i dach były odporne na ogień, lecz napastnicy najwyraźniej wrzuci li do środka coś wyposażonego we własne paliwo. Eksplozja wypchnęła okna na zewnątrz, na trawniku przed domem skrzyły się odłamki szkła. Z drzwi pozostało jedynie parę zwęglonych kawałków drewna kołyszących się na zawiasach w powiewach wiatru.

David stał przed domem, niezdolny przekroczyć próg.

— Zostań tu — poleciła Tally.

Weszła do środka, lecz przez parę pierwszych chwil oszołomiło ją powietrze. W ukośnych promieniach porannego słońca wirowały drobinki popiołu, tańcząc wokół Tally niczym maleńkie spiralne galaktyki, poruszane prądami towarzyszącymi jej przejściu.

Poczerniałe deski podłogi chrzęściły jej pod stopami, miejscami wypalone do gołego kamienia. Lecz kilka rzeczy przetrwało.

Pamiętała ze swej poprzedniej wizyty marmurowy posążek; jeden z kobierców wiszących na ścianie jakimś cudem także pozostał nietknięty. W salonie, na zwęglonych meblach jaśniało kilka białych filizanek. Tally podniosła jedną z nich i pomyślała, że jeśli one przetrwały, ludzkie ciało pozostawiłoby więcej niż tylko nikłe ślady.

Przełknęła ślinę. Jeśli rodzice Davida tu byli, z łatwością znajdzie to, co z nich zostało.

Dalej, w głębi domu, w niewielkiej kuchni zwisały z sufitu wyprodukowane w mieście garnki i patelnie. Poskręcany, osmalony metal w paru miejscach wciąż połyskiwał, Tally zauważyła torebkę mąki i parę suszonych owoców. Zabur— czało jej w brzuchu.

Ostatnia była sypialnia.

Farba pokrywająca niski, kamienny ukośny sufit popękała i poczerniała od gorąca. Tally wciąż czuła żar bijący od łóżka; słomiany siennik i grube pierzyny także padły łupem płomieni.

Lecz Aza i Maddy nie było. W pokoju nie dostrzegła niczego, co przypominałoby ludzkie szczątki. Odetchnęła z ulgą i wróciła na zewnątrz, raz jeszcze sprawdzając wszystkie pomieszczenia.

Przekroczywszy próg, spojrzała na Davida.

— Albo zostali schwytani przez Wyjątkowych, albo uciekli — oznajmiła.

David skinął głową i precyzyjnie przesunął się obok. Tally uklękła na ziemi i zaczęła kaszleć; jej płuca w końcu zbuntowały się przeciw wciąganiu w nie dymowi i popiołowi. Ręce i dłonie miała czarne od sadzy.

Kiedy David pojawił się znowu, trzymał w dłoni nóż.

— Wyciągnij rękę.

— Co?

— Kajdanki. Nie mogę ich znieść.

Posłusznie uniosła dłonie. David ostrożnie wsunął klingę pomiędzy ciało a plastik, przesuując ją tam i z powrotem i próbując przepiłować bransolety.

Po minucie zrezygnowany wyciągnął nóż.

— To nic nie daje.

Tally przyjrzała się uważniej. Na plastiku pozostały tylko lekkie ślady. Nie miała pojęcia, jak Wyjątkowy zdołał przeciąć kajdanki na pół, lecz zabrało mu to tylko chwilę. Może użył wyzwalacza chemicznego.

— Może to plastik lotniczy? — podsunęła. — Czasami te materiały bywają twardsze od stali.

David zmarszczył brwi.

— To jak udało ci się je rozciąć?

Tally otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie mogła przecież mu powiedzieć, że Wyjątkowi uwolnili ją sami.

— I czemu masz po dwie bransolety na każdym przegubie?

Oglupiała opuściła głowę, przypominając sobie, że najpierw skuli ją po schwytaniu, a potem znów, przed obliczem doktor Cable, nim poszła odzyskać naszyjnik.

— Nie wiem — wykrztusiła w końcu. — Może po prostu zakładali nam podwójne? Ale uwolniłam się z łatwością. Rozciąłam je na ostrym kamieniu.

— To nie ma sensu. — David przyjrzał się nożowi. — Tato zawsze powtarzał, że to najbardziej użyteczna rzecz, jaką za brał z miasta. Jest zrobiony z superstopów i monowłókien.

Wzruszyła ramionami.

— Może część łączącą bransolety produkują z innego materiału?

David pokręcił głową, nie do końca przekonany, w końcu jednak też wzruszył ramionami.

— No cóż, będziemy musieli z nimi żyć. Ale jedno jest pewne: moi rodzice nie uciekli.

— Skąd wiesz?

Uniósł nóż.

— Gdyby mieli choć chwilę, tato z pewnością by go zabrał. Wyjątkowi musieli całkowicie ich zaskoczyć.

— Tak mi przykro, Davidzie.

— Przynajmniej żyją. — Spojrzał jej w oczy i Tally przekonała się, że jego panika minęła. — Co, Tally, nadal chcesz ruszyć za nimi?

— Tak, oczywiście.

David uśmiechnął się.

— To dobrze. — Usiadł obok niej; zerknął przez ramię na dom i pokręcił głową. — Zabawne, mama zawsze ostrzegała mnie, że coś takiego się stanie. Od dziecka próbowali mnie przygotować i przez długi czas im wierzyłem. Lecz po tych wszystkich latach zacząłem się zastanawiać. Może rodzice cierpieli na paranoję? Może, jak zawsze powtarzali uciekinierzy, Wyjątkowe Okoliczności nie istnieją?

Tally skinęła głową w milczeniu, nie dowierzając własnemu głosowi.

— A teraz, kiedy to się stało, wydaje się jeszcze mniej rzeczywiste.

— Tak mi przykro, Davidzie. — Ale nigdy nie dowie się, jak bardzo jej przykro, nie, póki ona nie zdoła uratować jego rodziców. — Nie martw się, znajdziemy ich.

— Najpierw musimy gdzieś zajrzeć.

— Gdzie?

— Jak mówiłem, rodzice myśleli o tej chwili, odkąd założyli Dym. Poczynili pewne przygotowania.

— Na przykład upewnili się, że potrafisz o siebie zadbać. — Musnęła palcami miękką skórę jego kurtki.

Uśmiechnął się, ścierając palcem sadzę z jej policzka.

— Zrobili znacznie więcej. Chodź ze mną.

*

**

W jaskini nieopodal domu, o wylocie tak małym, że Tally musiała wczołgiwać się na brzuchu, David pokazał jej zapasy gromadzone przez rodziców od dwudziestu lat.

Były tam oczyszczacze wody, pozycjomierze, leciutkie ubrania i śpiwory — wedle standardów Dymiarzy prawdziwy majątek. Cztery deskolotki wyglądały na starsze modele, lecz wyposażono je identycznie jak tę, którą Tally otrzymała od doktor Cable na drogę do Dymu. Obok leżała paczuszka zapasowych pępkowych czujników, zabezpieczona przed wilgocią. Wszystko było najwyższej jakości.

— Rany, rzeczywiście planowali z wyprzedzeniem.

— Zawsze. — David podniósł latarkę i sprawdził promień na kamieniu. — Za każdym razem gdy przychodziłem tutaj, żeby sprawdzić stan zapasów, wyobrażałem sobie tę chwilę. Milion razy planowałem dokładnie, czego będę potrzebował.

Zupełnie jakbym wyobrażał sobie to tyle razy, że w końcu musiało się wydarzyć.

— To nie twoja wina, Davidzie.

— Gdybym tylko tu był...

— Siedziałbyś teraz w lotowozie Wyjątkowych Okoliczności, skuty, niezdolny kogokolwiek uratować.

— Tak, a zamiast tego jestem tutaj. — Spojrzał na nią. -1 ty też tu jesteś. Tylko ciebie nigdy wcześniej sobie nie wyobrażałem. Niespodziewana sojuszniczka.

Zdołała się uśmiechnąć.

Wyciągnął z kąta dużą wodoszczelną torbę.

— Konam z głodu.

Tally skinęła głową. Nagle zrobiło jej się słabo. Dwa dni wcześniej nie zjadła kolacji.

David zaczął grzebać w torbie.

— Mnóstwo liofilizowanego jedzenia. Zobaczmy. Wege— Ryż, MakCurry, SzwedKlops, PadThai... Co wybierasz?

Tally odetchnęła głęboko. Z powrotem w głuszę.

— Cokolwiek, byle nie SpagBol.

Tally i David wyruszyli o zachodzie słońca.

Każde z nich jechało na dwóch deskach. Ściśnięte razem niczym kanapka mogły udźwignąć dwakroć większy ciężar, z którego lwią część stanowiły podczepione od spodu torby. Spakowali wszystko, co mogło im się przydać, a także ocalone przez Szefa pisma. Cokolwiek się stanie, powrót do Dymu nie będzie miał sensu.

Tally ostrożnie leciała nad rzeką spływającą z góry. Do datkowy ciężar kołyszący się w dole był niczym kula u nogi. Ale przynajmniej znów miała na rękach bransolety bezpie czeństwa.

Podążali do miasta zupełnie inną drogą niż ta, którą Tally dotarła do Dymu. Tamtą opracowano, kierując się łatwością, lotu, brano też pod uwagę podwiezienie helikopterem przez strażników. Ta nie była tak prosta. Tally i David ze względu na obciążenie nie zdołaliby pokonać pieszo nawet krótkiego dystansu, a zatem cała podróż musiała odbywać się nad tar nami nadającymi się do lotu na desce, choćby wymagało itak mocnego nakładania drogi. Dodatkowo z powodu na jazdu na Dym zamierzali omijać szerokim łukiem wszystkie inne miasta.

Na szczęście David odwiedzał miasto Tally dziesiątki razy, sam oraz w towarzystwie niedoświadczonych brzydkich. Znał rzeki i tory, ruiny i naturalne złoża rud metalu, a także dziesiątki tras ucieczki zaplanowanych na wypadek, gdyby ści gały go władze.

— Dziesięć dni — oznajmił tuż po starcie. — Jeśli będziemy lecieć całą noc i ukrywać się za dnia.

— Brzmi nieźle — odparła Tally, w duchu zastanawiała się jednak, czy zdążą na czas, by ocalić kogokolwiek przed operacją.

W pierwszą noc lotu około północy skręcili znad strumienia wiodącego na łyse wzgórze i podążyli wzdłuż suchego koryta biegnącego pośród białych kwiatów. W ten sposób dotarli na skraj rozległej pustyni.

— Jak się przez nią przeprawimy?

David wskazał ciemne kształty wyrastające z piasku i tworzące długi szereg nikonący w dali.

— To kiedyś były wieże, połączone stalowymi kablami.

— Do czego służyły?

— Przenosiły elektryczność z elektrowni wiatrowej do jednego z dawnych miast.

Tally zmarszczyła brwi.

— Nie miałam pojęcia, że Rdzawcy korzystali z energii wiatrowej.

— Nie wszyscy byli szaleni. Jedynie większość. — David wzruszył ramionami. — Musisz pamiętać, że my sami wywodzimy się właśnie od Rdzawców i wciąż posługujemy się wymyśloną przez nich technologią. Część z nich musiała mieć dobre pomysły.

Kable przetrwały na pustyni, chronione przez wędrujące warstwy piasku i niemal całkowity brak opadów. Owszem, w niektórych miejscach poprzerywały się bądź przerdzewiały, toteż Tally i David musieli poruszać się ostrożnie, z wzrokiem wbitym w wykrywacze metalu swych desek. Gdy docierali do wyrwy zbyt długiej, by ją przeskoczyć, rozwijali długi, gruby drut, który zabrał David, i przeprowadzali nad nim deski niczym parę opornych osłów pokonujących wąski mostek.

Tally nigdy wcześniej nie widziała prawdziwej pustyni. W szkole uczono ją, że roi się na nich od życia, lecz ta przypominała pustkowie, które wyobrażała sobie jako maluch — jałowe, łagodne wzniesienia ciągnące się w dal jedno za drugim. Nic się wśród nich nie poruszało oprócz powolnych piaskowych węży, popychanych wiatrem.

Znała nazwę tylko jednej wielkiej pustyni na kontynencie.

— Czy to Mojave?

David pokręcił głową.

— Jest dużo mniejsza i nienaturalna. Stoimy w miejscu, gdzie pojawiło się białe zielsko.

Tally aż gwizdnęła. Miała wrażenie, że piasek ciągnie się bez końca.

— Co za katastrofa!

— Kiedy poszycie, zagłuszone przez orchidee, znika, nic nic wiąże żywej gleby. Wiatr ją zdmuchuje i pozostaje tylko piasek.

— Czy już na zawsze zostanie tu pustynia?

— Nie, za jakieś tysiąc lat powinno to wrócić do normy. Jeżeli ktoś do tego czasu znajdzie sposób powstrzymania zielska. Jeśli nie, wszystko zacznie się od nowa.

*

**

O świcie dotarli do miasta Rdzawców, grupy ponurych budowli uwięzionych pośrodku morza piasku. Przez stulecia pustynia wtargnęła i tutaj, wydmy wędrowały ulicami, lecz budynki zachowały się w lepszym stanie niż inne ruiny widziane przez Tally. Piasek ścierał i wygładzał krawędzie, ale nie niszczył wszystkiego tak zachłannie jak deszcz i roślinność.

David i Tally nie byli jeszcze zmęczeni, ale nie mogli podróżować za dnia — piasek nie dawał żadnej ochrony przed słońcem ani nie zapewniał kryjówek w razie, gdyby ktoś ich szukał. Rozbili obóz na pierwszym piętrze niskiej fabryki, która zachowała

niemal cały dach. Wszędzie wokół stały starodawne milczące maszyny, dorównujące rozmiarom lotowozom.

— Co to za miejsce? — spytała Tally.

— Myślę, że kiedyś robili tu gazety — odparł David. — To coś jak książki, tyle że co dzień kupowało się nowe, a stare wyrzucało.

— Żartujesz!

— Bynajmniej. A ty sądziłaś, że w Dymie marnowaliśmy drzewa!

Tally znalazła plamę słonecznego światła w miejscu, gdzie zawalił się dach, i rozłożyła ich deski. David wyciągnął dwie paczuszki Sałajaj.

— Czy dziś w nocy dolecimy do końca pustyni? — spytała, patrząc, jak jej towarzysz wyciska do oczyszczaczy ostatnie krople wody z butelek.

— Bez problemu. Przed północą znajdziemy się nad rzeką.

Przypomniała sobie coś, co Shay powiedziała jej bardzo dawno temu, za pierwszym razem, gdy pokazała jej swój sprzęt przetrwania.

— Czy naprawdę można nasiusiać do oczyszczacza i, no wiesz, potem to wypić?

— Tak, już to robiłem.

Tally wzdrygnęła się i wyjrzała przez okno.

— No dobra, nie powinnam była pytać.

Podszedł do niej od tyłu, śmiejąc się cicho, i położył jej dłonie na ramionach.

— Zdumiewające, do czego zdolni są ludzie, byle tylko przetrwać — rzekł.

Westchnęła.

— Tak, wiem.

Okno wychodziło na boczną ulicę, częściowo osłonięte przed zachłanną pustynią. Stało na niej kilka wypalonych ziemnych wozów, na wpół zagrzebanych w ziemi. Ich po czerniałe sylwetki odcinały się ostro na tle białego piasku.

Tally potarła bransolety kajdanków, wciąż tkwiące na jej przegubach.

— Rdzawcy bez wątplenia chcieli przetrwać. We wszyskich ruinach, jakie widziałam, roi się od wozów, którymi pro-

bowali uciec. Ale wyraźnie nikomu się nie udało.

— Niektórym owszem. Tyle że nie wozami.

Tally odchyliła się i oparła wygodniej, czując promieniujące z niego ciepło. Miną godziny, nim poranne słońce wypali chłód pustyni.

— Zabawne. W szkole nie rozmawialiśmy o tym, jak do tego doszło — o ostatniej panice, gdy świat Rdzawców się zawalił. Nauczyciele wzruszali tylko ramionami i mówili, że ich kolejne błędy nakładały się na siebie, aż w końcu wszystko zaważyło się jak domek z kart.

— To tylko częściowo prawda. Szef miał kilka starych książek na ten temat.

— I co w nich pisali?

— Rdzawcy faktycznie mieszkali w domku z kart, ale ktoś go trącił, i to bardzo mocno. Nigdy nie dowiedzieli się kto. Może była to broń Rdzawców, która wymknęła się spod kontroli. Może mieszkańcy jakiegoś biednego kraju, którym nie podobało się, jak Rdzawcy kierują światem. Może zadziałał przypadek, jak z kwiatami, albo samotny naukowiec, który chciał namieszać.

— Ale co się stało?

— Na wolność wydostała się bakteria. Tyle że nie atakowała ludzi, ale ropę naftową.

— Zakaziła ropę?

Skinął głową.

— Ropa jest organiczna, powstała ze starych roślin, dinozaurów i takich różnych szczątków. Ktoś stworzył bakterię, która ją zjadała. Zarodniki roznosiły się w powietrzu, a gdy wylądowały w ropie, oczyszczonej bądź nie, zaczynały się rozwijać. Przypominało to pleśń, zmieniały skład chemiczny ropy. Widziałas kiedyś fosfor?

— To pierwiastek, zgadza się?

— Tak. Zapala się od kontaktu z powietrzem.

Tally przypomniała sobie, jak bawili się nim na zajęciach chemii, w ochronnych goglach, i jak dyskutowali o numerach, do których można by go wykorzystać. Ale nikt nie wymyślił numeru niezagrażającego życiu innych.

— Ropa, zakażona przez bakterie, była równie niebezpieczna jak fosfor. Po zetknięciu z tlenem wybuchała, a gdy się paliła, z dymem unosiły się zarodniki i leciały z wiatrem, póki nie dotarły do następnego samochodu, samolotu czy szybu naftowego i znów nie zaczęły rosnać.

— Rany, oni przecież używali ropy do wszystkiego. Zgadza się?

David przytaknął.

— Tak jak w tamtych wozach. Musiały zostać zarażone, gdy próbowano nimi wydostać się z miasta.

— Czemu nie uciekali pieszo?

— Pewnie z głupoty.

Tally znów zadrżała, lecz nie z zimna. Trudno było myśleć o Rdzawcach jak o prawdziwych ludziach, a nie idio tycznej, niebezpiecznej, czasem komicznej masie z dawnych dziejów. Ale tam w dole byli ludzie, a raczej to, co z nich z<> stało po kilku stuleciach. Wciąż siedzieli w poczerniałych wozach, jak gdyby nadal próbowali umknąć swemu losowi.

— Ciekawe, czemu nie mówili nam tego na lekcjach historii. Zwykle uwielbiają wszelkie opowieści, w których Rdzawcy wychodzą na durni.

David zniżył głos.

— Może nie chcieli, byście zrozumieli, że każda cywilizacja ma swój słaby punkt. To jedyny pewnik, o którym trzeba pamiętać. Jeśli ktoś to ukryje, pozostaje tylko bezsensowna historyjka opowiadana w szkole.

— Nie my — zaprotestowała Tally. — Odnawialne źródła energii, mądra gospodarka zasobami, ograniczona populacja.

Dwa oczyszczacze zapiszczały i David udał się w ich kierunku.

— Nie musi to być kwestia ekonomii — rzekł, przynosząc jedzenie. — Słaby punkt może stanowić idea.

Tally odwróciła się po swoją Sałjaj, ściskając w dłoniach ciepłe naczynie, i zauważyła poważne spojrzenie Davida.

— Czy to jedna z tych rzeczy, o których rozmyślałeś tyle lat, wyobrażając sobie najazd na Dym? Zastanawiałeś się kiedyś, co mogłoby sprawić, by miasta stały się historią?

Uśmiechnął się i przełknął duży kęs.

— Z każdym dniem widzę to coraz wyraźniej.

ZNAJOME WIDOKI

Następnej nocy zgodnie z planem dotarli na skraj pustyni. Kolejne trzy dni podążali wzdłuż rzeki aż do morza. Teraz znajdowali się jeszcze dalej na północ i październikowe noce stały się równie mroźne, jak znane Tally zimy. David rozpakował wyprodukowane w mieście stroje arktyczne ze srebrzystego mylaru; Tally wciągnęła swój na zrobiony ręcznie sweter, jedyne co pozostało jej z Dymu. Cieszyła się, że w noc przed przybyciem Wyjątkowych nie miała siły się rozebrać. Dzięki temu nie straciła go razem ze wszystkim innym.

Noce spędzane na desce mijały bardzo szybko, zwłaszcza że tym razem nie musiała odszyfrowywać tajemniczych zapisków Shay, uciekać przed pożarami kwiatów i umierać ze strachu na widok prastarych maszyn Rdzawców opadających z nieba. Świat wydawał się bardzo pusty, od czasu do czasu natykali się tylko na kolejne ruiny. Miała wrażenie, jakby byli z Davidem ostatnimi żywymi ludźmi.

Uzupelnili swoje menu rybą złapaną w rzece, a Tally upiekła królika na własnoręcznie rozpalonym ognisku. Obserwując Davida reperującego skórzane ubranie, uznała, że nigdy nie nauczy się radzić sobie z igłą i nitką. David pokazał jej, jak odczytywać z gwiazd godzinę i kierunek, a ona zademonstrowała, jak uruchomić oprogramowanie dla zaawansowanych w deskach, aby przystosować je jak najlepiej do nocnych podróży.

Nad morzem skręcili na południe, zmierzając wzdłuż północnej odnogi tej samej nabrzeżnej kolei, którą Tally podążała kiedyś do Dymu.

David twierdził, że w dawnych czasach ciągnęła się nieprzerwanie aż do ojczystego miasta Tally i jeszcze dalej, obecnie jednak w torach ziały rozległe wyrwy, a nad morzem zbudowano nowe miasta, musieli zatem kilka razy zapuszczać się w głąb lądu. Lecz David znał rzeki, odnogi kolei i inne metalowe ścieżki pozostawione przez Rdzawców, toteż zmierzali szybko w stronę swego celu.

Przeszkadzała im tylko pogoda. Po paru dniach podróży brzegiem nad oceanem pojawił się groźny, ciemny wał chmur. Z początku sztorm jakby nie miał ochoty zbliżyć się do lądu. Przez całą dobę powoli zbierał się na odwagę, ciśnienie powietrza zmieniało się gwałtownie i tak ostro, że deski chygotały pod ich stopami. Sztorm nie nadszedł bez ostrzeżenia, kiedy jednak w końcu uderzył, okazał się znacznie gorszy, niż wyobrażała sobie Tally.

Nigdy dotąd nie zetknęła się z pełną mocą huraganu na otwartym terenie. Wcześniej zawsze chroniły ją solidne budowle leżące w głębi lądu miasta. Oto kolejna lekcja demonstrowająca dziką potęgę przyrody.

Przez trzy dni Tally i David kulili się w plastikowym namiocie wciśniętym pod skalną polkę. Ciepła i światła dostarczały im chemiczne sygnalizatory; modlili się, aby magnesy w deskach nie ściągnęły na nich pioruna. Przez pierwszych parę godzin szalejący żywioł fascynował ich, ze zdumieniem przypatrywali się jego potędze, zastanawiając się, kiedy skałami wstrząśnie następny grzmot. Później jednak ulewny deszcz stał się nudny i monotony i cały dzień rozmawiali o wszystkim i niczym, ale głównie o swoim dzieciństwie. Po tych rozmowach Tally uznała, że rozumie Davida lepiej niż kogokolwiek innego. Trzeciego dnia uwięzienia w namiocie potwornie się pokłócili — Tally nie umiała sobie przypomnieć o co — i kłótnia zakończyła się dopiero, gdy David wypadł na zewnątrz i przez godzinę stał samotnie na lodowatym wietrze i deszczu. Kiedy w końcu wrócił, potrzebował kilku godzin, by się rozgrzać, nawet w jej ramionach.

— Za długo to trwa — rzekł wreszcie.

Tally uścisnęła go mocniej. Przygotowanie pacjenta do operacji wymagało czasu, zwłaszcza u osób starszych niż szesnastolatki. Lecz doktor Cable nie będzie czekać wiecznie ze zmianą rodziców Davida. Każdy dzień opóźnienia zwięd— szął prawdopodobieństwo tego, że Maddy i Az trafili już pod nóż. U Shay, będącej w idealnym wieku do zmiany, wyglądało to jeszcze gorzej.

— Dotrzemy tam w porę, nie martw się. Przed zmian;) mierzyli mnie dokładnie co tydzień przez cały rok. Porządne przygotowanie operacji wymaga czasu.

Ciałem Davida wstrząsnął dreszcz.

— Tally, a jeśli wcale nie zależy im, by zrobić to porządnie?

*

**

Następnego ranka burza minęła i gdy wyjrzeli na zewnątrz, odkryli, że świat zupełnie zmienił swoje barwy. Chmury były jaskraworóżowe, trawa bajecznie zielona, a ocean ciemniejszy niż kiedykolwiek. Na jego powierzchni jaśniały białe grzywy pian i kawałki drewna, które wiatr porwał do morza. Lecieli cały dzień, by nadrobić stracony czas, wstrząśnięci i zdumieni, że świat wciąż może istnieć po takiej burzy.

A potem kolej skręciła w głąb ładu i po paru nocach dotarli do Rdzawych Ruin.

Ruiny wydawały się mniejsze, zupełnie jakby iglice skurczyły się od czasu, gdy Tally pożegnała się z nimi ponad miesiąc wcześniej, wyruszając do Dymu uzbrojona wyłącznie w list Shay i plecak pełen SpagBołu. Gdy wraz z Davidem przemykali nad mrocznymi ulicami, nie miała już wrażenia, że duchy Rdzawców obserwują ich z okien.

— Kiedy za pierwszym razem odwiedziłam w nocy to miejsce, naprawdę się bałam — wyznała.

David przytaknął.

— Niewiarygodne, jak dobrze zachowały się te ruiny. Ze wszystkich, które widziałem, te wydają się najmłodsze.

— Spryskali je czymś, by zachować dla szkolnych wycieczek.

Oto miasto w pigułce, uświadomiła sobie Tally. Niczego nie pozostawiono samemu sobie; wszystko zmieniało się w łapówkę, ostrzeżenie bądź lekcję.

Większość zapasów ukryli w zwalonym budynku daleko od centrum, do tego stopnia zrujnowanym, że unikali go nawet najśmielsi brzydcy. W dalszą drogę zabrali tylko oczyszczacz, latarkę i parę porcji jedzenia. David nigdy nie zbliżył się bardziej do miasta, toteż Tally natychmiast wyprzedziła go i pierwsza ruszyła wzdłuż złóż metalu, które Shay pokazała jej parę miesięcy wcześniej.

— Myślisz, że kiedyś jeszcze będziemy przyjaciółkami? — spytała, gdy maszerowali w stronę rzeki, po raz pierwszy dźwigając swe deski.

— Ty i Shay? Oczywiście.

— Nawet po tym, jak... ty i ja?

— Przypuszczam, że kiedy uratujemy ją przed Wyjątkowymi, wybaczy ci wszystko.

Nie odpowiedziała. Shay zgadła już, że to ona zdradziła Dym. Tally wątpiła, by cokolwiek zdołało zmienić jej uczucia.

Po dotarciu do rzeki z najwyższą prędkością przemknęli nad białą wodą, radzi, że pozbyli się w końcu ciężkich toreb. Czując zimną pianę na twarzy, otoczona rykiem wody, Tally niemal mogła wyobrazić sobie, że to jedna z jej ekspedycji w czasach, gdy była jeszcze beztroskim dzieciakiem z miasta, a nie...

Czym właściwie się stała? Nie była już szpiegiem i nie mogła się dłużej nazywać Dymiarzem. Zdecydowanie niebyła śliczna, ale też nie czuła się już brzydka. Ot, nic szczególnego. Ale przynajmniej miała jakiś cel.

Przed sobą ujrzeli miasto.

— No jest! — zawołała do Davida, przekrzykując huk wody. — Widziałeś przecież wcześniej miasta, prawda?

— Byłem blisko paru, ale nie bliżej niż teraz.

Tally powiodła wzrokiem po znajomej panoramie smukłych wież oraz apartamentowców, oświetlonych słabymi rozbłyskami fajerwerków. Poczowała ukłucie czegoś przypominającego tęsknotę za domem, tyle że znacznie gorszego. Widok

A

Miasta Nowych Ślicznych kiedyś budził w niej tęsknotę, teraz jednak przypominał pustą skorupę, niczego już nie obiecywał. Podobnie jak David ona także straciła swój

dom. Lecz w odróżnieniu od Dymu jej miasto istniało nadal, tuż przed oczami — tyle że pozbawione wszystkiego, co kiedyś miało dla niej znaczenie.

— Do wschodu słońca zostało kilka godzin — stwierdziła. — Chcesz zerknąć na Wyjątkowe Okoliczności?

— Im szybciej, tym lepiej — odparł David.

Tally skinęła głową, obserwując znajome układy świateł i cieni otaczających miasto. Mieli dosyć czasu, żeby dotrzeć tam i wrócić przed świtem.

— Ruszajmy.

*

**

Lecieli wzdłuż rzeki aż do pierścienia drzew i krzewów oddzielających Brzydalowo od przedmieści. Pas zieleni był najlepszym miejscem, w którym mogli przemieszczać się niepostrzeżenie.

— Nie tak szybko! — syknął zza jej pleców David, gdy Tally pomknęła między drzewami.

Zwolniła.

— Nie musisz szeptać, nocą nikt tu nie przychodzi. To terytorium brzydkich, a oni leżą teraz w łózkach, chyba że robią jakieś numery.

— No dobra — odparł. — Ale czy nie powinniśmy bardziej uważać na lotościeżki?

— Lotościeżki? Davidzie, w mieście deski działają wszędzie, w ziemię wbudowano metalową sieć.

— No tak.

Tally uśmiechnęła się. Tak bardzo przywykła do życia w świecie Davida, że dobrze było choć raz wyjaśnić coś jemu.

— Co się stało? — zażartowała. — Nie umiesz dotrzymać mi kroku?

David uśmiechnął się szeroko.

— Sprawdź mnie.

Tally zawróciła i śmignęła naprzód, pędząc zygzakiem pomiędzy wysokimi topolami i dając się kierować instynktowi.

Przypomniała sobie dwa loty wozem do siedziby Wyjątkowych Okoliczności. Przelecieli nad pasmem zieleni niedaleko granicy miasta, potem nad pierścieniem transportowym, strefą przemysłową, pomiędzy przedmieściami średnich ślicznych i zewnętrznym Starykowem. Najtrudniejsze będą;) przedmieścia, bo brzydacy praktycznie tam nie bywali. Na szczęście średni śliczni wcześniej chodzili spać. Przynajmniej większość.

Ściagała się z Davidem wzdłuż pasa zieleni, aż w końcu dokładnie naprzeciwko nich na drugim brzegu rzeki zapłonęły światła wielkiego szpitala. Tally przypomniała sobie

ów pierwszy, straszny ranek, gdy zabrali ją stamtąd tuż przed wyczekiwaną operacją, zawieźli na przesłuchanie, odebrali całą przyszłość. Skrzywiła się ponuro na myśl, że tym razem to ona zamierza poszukać Wyjątkowych Okoliczności.

Gdy opuścili pas zieleni, Tally poczuła dziwny dreszcz. Jakaś drobna jej cząstka wciąż czekała, aż obręczka interfejsowa ostrzeże ją, że opuszczają granice Brzydalowa. Jak mogła nosić to coś przez szesnaście lat? Wówczas obręczka wydawała się niemal częścią jej samej. Teraz jednak myśl o nieustannym monitorowaniu i informowaniu budziła w Tally wstręt.

— Trzymaj się blisko — powiedziała do Davida. — Tu powinniśmy już porozumiewać się szeptem.

Jako maluch Tally mieszkała na przedmieściach średnich ślicznych z Solem i Ellie. Lecz w tamtych czasach jej świat był żałośnie maleńki: kilka parków, ścieżka do szkoły maluchów, zakątek pasa zieleni, do którego zakradała się, żeby szpiegować brzydkich. Podobnie jak Rdzawe Ruiny, teraz równe rzędy domów i ogrodów wydawały jej się znacznie mniejsze, przypominały ciągnącą się bez końca dolinę lalek.

Pochyleni przemykali szybko nad dachami, z nadzieją że gdyby nawet ktoś jeszcze nie spał i wybrał się na nocną przebieżkę albo spacer z psem, to raczej nie patrzyłby w górę. Ich deski dzieliła od dachów najwyżej szerokość dłoni, w dole migały hipnotyczne, monotonne wzory dachówek. Natknęli się tylko na ptasie gniazda i kilka kotów, które zaskoczone umykały im z drogi.

Przedmieścia skończyły się nagle. Ostatni park przeszedł płynnie w pierścień transportowy, gdzie podziemne fabryki wystawiały głowy nad powierzchnię, a ciężarówki całymi dniami i nocami krążyły po betonowych drogach. Tally skic rowała deskę wyżej i zaczęła przyspieszać.

— Tally — syknął David — zobaczą nas!

— Spokojnie, te ciężarówki są automatyczne. Nikt tu nie przychodzi, zwłaszcza nocą.

Jej towarzysz nerwowo zerknął na ciężkie pojazdy.

— Zobacz, nie mają nawet reflektorów.

Wskazała ręką olbrzymi pociąg przejeżdżający w dole, oświetlony jedynie słabym czerwonym migotaniem z dołu to laser nawigacyjny odczytywał kody kreskowe nadruko wane na drodze. Lecieli dalej; David wciąż wzdygał się na widok pojazdów w dole. Wkrótce ponad przemysłową pu stynią Tally dostrzegła znajomy widok.

— Widzisz to wzgórze? U jego stóp mieści się siedziba Wyjątkowych Okoliczności. Lećmy w górę i przyjrzyjmy się z lotu ptaka.

Wzgórze było zbyt wysokie, by umieścić na nim fabrykę, i najwyraźniej zbyt duże i solidne, aby dało się je spłaszczyć środkami wybuchowymi i buldożerami. Wyrastało

zatem po środku równiny niczym przekrzywiona piramida, stronie z jednej strony i opadające łagodnie z drugiej, pokryte chasz czarni i zrudziałą trawą. Pomknęli w górę łagodnego zbocza, wymijając kilka głazów i karłowatych drzew, i wkrótce dotarli na szczyt.

Z góry Tally sięgała wzrokiem aż do Miasta Nowych Ślicznych, jaśniejącego dysku mniej więcej wielkości talerza. Dzielnice zewnętrzne spowijała ciemność, a w dole niskie, brązowe budynki Wyjątkowych Okoliczności oświetlał tylko blask ostrych reflektorów ochrony.

— To tam — oznajmiła, zniżając głos do szeptu.

— Nie wygląda zbyt imponująco.

— Większa część mieści się pod ziemią. Nie wiem, jak daleko sięga.

W milczeniu przyglądali się grupce budynków. Z góry Tally widziała wyraźnie druty rozciągnięte wokół kompleksu, tworzące niemal idealny kwadrat. To oznaczało solidne zabezpieczenia. W mieście nie było zbyt wielu barier — przynajmniej tych widocznych. Jeśli nie powinno się gdzieś chodzić, uprzejmie uprzedzała o tym obrączka interfejsowa.

— Ogrodzenie wydaje się dość niskie, można nad nim przelecieć.

Tally pokręciła głową.

— To nie ogrodzenie, to drut sensorowy. Jeśli zbliżysz się na dwadzieścia metrów, Wyjątkowi będą wiedzieli, że tam jesteś. Podobnie gdy dotkniesz ziemi za nim.

— Dwadzieścia metrów? Za wysoko, by przelecieć na deskach. To co mamy zrobić, zapukać do bramy?

— Z tego, co widzę, nie ma tu żadnej bramy. Mnie w obie strony wieźli lotowozem. David zabębnił palcami w deskę.

— Może ukradniemy jeden?

— Lotowóz? — Tally zagwizdała. — To byłby rzeczywiście niezły numer. Znałam brzydkich, którzy wyprawiali się na przejażdżki, ale nie wozami Wyjątkowych Okoliczności.

— Szkoda, że nie możemy po prostu zeskoczyć.

Przyjrzała mu się, mrużąc oczy.

— Zeskoczyć?

— Z tego miejsca. Wsiąść na deskolotki u stóp wzgórza, rozpędzić się do maksymalnej prędkości i w tym miejscu ze skoczyć. Powinniśmy trafić dokładnie w ten wielki budynek.

— Trafić, to dobre słowo. Zostałaby z nas miazga.

— Chyba tak. Nawet gdybyśmy założyli bransolety, przy takim upadku pewnie wyrwałoby nam ręce ze stawów. Potrzeba by spadochronów.

Tally spojrzała w dół, obliczając trajektorię i uciszając Da— vida, gdy zaczął coś mówić. Trybiki w jej mózgu obracały się gwałtownie. Przypomniała sobie imprezę w apartamentowcu Garbo. Zdawało się, że upłynęły od niej całe lata.

W końcu pozwoliła sobie na uśmiech.

— Nie spadochronów, Davidzie. Kamizelek bungee.

— Jeśli się pospieszymy, wystarczy nam czasu.

— Czasu? Na co?

— Na wizytę w szkole teatralnej w Brzydalowie. W piwnicy trzymają kamizelki bungee, jest ich tam cały stójak.

David odetchnął głęboko.

— Dobra.

— Nie boisz się chyba?

— Nie... — skrzywił się. — Po prostu nigdy wcześniej nie widziałem aż tylu ludzi.

— Ludzi? Nie widzieliśmy żadnych ludzi.

— Ale wszystkie te domy w drodze tutaj. Cały czas myślałem, że w każdym mieszkają ludzie, stłoczeni razem.

— Myślisz, że są stłoczeni na przedmieściach? — roześmiała się Tally. — Zaczekaj, aż zobaczysz Brzydalowo.

*

**

Zawrócili, lecąc nad dachami z maksymalną szybkością. Niebo było czarne jak smoła, lecz Tally znała się już wystarczająco na gwiazdach, by wiedzieć, że od świtu dzieli ich zaledwie parę godzin.

Dotarłszy do pasa zieleni, skręcili z powrotem na trasę, którą przylecieli. Żadne z nich się nie odzywało, oboje skupiali całą uwagę na manewrach między drzewami. Ta część pasa przeprowadziła ich przez Park Kleopatry, gdzie Tally na pamiątkę dawnych czasów przemknęła między slalomowymi tyczkami. Gdy mijała ścieżkę wiodącą do dawnego domu, poczuła instynktowne ukłucie. Przez ułamek sekundy wydało jej się, że może skrócić, wdrapać się przez okno i położyć do łóżka.

Wkrótce ujrzeli przed sobą ciężkie wieże szkoły teatralnej w Brzydalowie i Tally poleciła Davidowi się zatrzymać.

Ta część była najłatwiejsza; Tally miała wrażenie, iż minął milion lat od czasu, kiedy wraz z Shay pożyczyły jedną ze szkolnych kamizelek bungee do swego ostatniego numeru, skoku Shay na głowy nowych brzydkich w bibliotece. Szybko odszukała drogę do tego samego okna, przez które się włamały, brudnej, zapomnianej szyby schowanej za krzewami ozdobnymi, i odkryła, że wciąż jest niezamknięte.

Pokręciła głową. Zaledwie dwa miesiące temu podobny wyczyn wydawał jej się niezwykle śmiały. Wówczas numer w bibliotece był najodważniejszą psotą, jaką umiały wymyślić z Shay. Teraz wiedziała, czym naprawdę są numery: sposobem pozwalającym brzydkim wyładować energię do czasu, aż ukończą szesnaście lat;

pozbawioną sensu rozrywką zajmującą ich do chwili, gdy dorosłość i operacja na zawsze pozbawią ich buntowniczej natury.

— Daj mi latarkę. I zaczekaj tutaj — rzekła do Davida.

Wśliznęła się do środka, znalazła stojak z zapasowymi kamizelkami, wybrała dwie i po niecałej minucie była już z powrotem na zewnątrz. Przeciskając się przez okno, zauważyła, że David wpatruje się w nią oszołomiony.

— Co się stało? — spytała.

— Nic, tylko... jesteś w tym taka dobra. Taka pewna siebie. Ja denerwuję się samym faktem, że znalazłem się w mieście.

Uśmiechnęła się szeroko.

— To nic takiego. Wszyscy to robią.

W głębi ducha Tally ucieszyła się jednak, że zaimponowała Davidowi swoimi umiejętnościami włamywacza. W ciągu ostatnich kilku tygodni nauczył ją rozpałać ogień, oprawiać rybę, rozbijać namiot i odczytywać mapę konturową. Dobrze było dla odmiany być tą lepszą.

Zachowując ostrożność, wrócili do pasa zieleni i nim jeszcze na niebie zajaśniała pierwsza łuna, dotarli do rzeki. W pędzie pokonali białą wodę i skręcili nad złożę metali. W chwili gdy ujrzeli ruiny, niebo zaczynało się zmieniać.

Podczas pieszej wędrowki Tally odwróciła się do swego towarzysza.

— Jutro w nocy, tak?

— Nie ma sensu czekać.

— Nie.

Istniał ważny powód, by jak najszybciej podjąć próbę uwolnienia jeńców. Od dnia najazdu na Dym minęły ponad dwa tygodnie.

David odchrząknął.

— Jak myślisz, ilu Wyjątkowych zastaniemy w środku?

— Kiedy tam byłam, widziałam ich całe mnóstwo, ale to się działo za dnia. Zakładam, że kiedyś muszą sypiać.

— Czyli w nocy będzie pusto?

— Wątpię, może być kilku strażników. — Nie dodała nic więcej. Nawet jeden Wyjątkowy bez trudu pokonałby paru brzydkich. Największe zaskoczenie nie mogło wyrównać przewagi, jaką okrutnym ślicznym dawały ich siła i niezwykły refleks. — Będziemy po prostu musieli się starać, żeby nas nie zauważyli.

— Jasne. Albo liczyć na to, że znajdą sobie akurat jakieś inne zajęcie.

Tally maszerowała przodem. Teraz, gdy znaleźli się bezpiecznie poza miastem, ogarnęło ją znużenie; z każdym krokiem traciła pewność siebie. Przez całą drogę nie zastanawiali się zbytnio nad czekającym ich zadaniem. Uwolnienie więźniów z

siedziby Wyjątkowych Okoliczności nie było zwykłym numerem brzydkich, takim jak kradzież kamizelki czy przedostanie się na drugi brzeg rzeki. To była naprawdę poważna sprawa.

A choć Croy, Shay, Maddy i Az prawdopodobnie tkwili uwięzieni w tych paskudnych podziemnych budynkach, zawsze istniała możliwość, że zabrano ich gdzie indziej. A nawet

jeśli nie, Tally nie miała pojęcia, gdzie dokładnie szukać ich wewnątrz labiryntu mdląco brązowych korytarzy.

— Tak bym chciała, żebyśmy mieli jakąś pomoc — mruknęła cicho.

Nagle poczuła dłoń Davida na ramieniu. Zatrzymała się.

— Może mamy.

Spojrzała na niego pytająco, a potem podążyła za jego wzrokiem w stronę ruin. Na szczycie najwyższego wieżowca dogasały właśnie ostatnie iskry zimnego ognia.

Byli tam brzydcy.

— Szukają mnie — oznajmił.

— To co zrobimy?

— Czy istnieje jakaś inna droga powrotna do miasta?

— Nie, będą musieli przejść tą ścieżką.

— W takim razie zaczekamy.

Tally zmrużyła oczy, przyglądając się ruinom. Iskierki zgasły. W pierwszym brzasku poranka nie widziała niczego. Ktokolwiek tam był, zaczął na ostatnią możliwą chwilę powrotu do domu.

Oczywiście, jeśli szukali Davida, byli potencjalnymi uciekinierami. Zbuntowani uczniowie ostatniej klasy nie przejmowali się opuszczonym śniadaniem.

Odwróciła się do Davida.

— Wygląda na to, że brzydcy wciąż cię szukają. I nie tylko tutaj.

— Oczywiście — odparł. — Pogłoski będą krążyły jeszcze przez pokolenia we wszystkich miastach, nieważne, czy będę żył, czy nie. Zwykle po rozpaleniu zimnego ognia nie dostaje się odpowiedzi, toteż minie dużo czasu, nim nawet brzydcy, którzy mnie poznali, domyślą się, że już się nie zjawię. A większość z nich nie ma pojęcia, że Dym...

Głos mu się załamał, Tally chwyciła go za rękę. Przez chwilę zapomniał, że Dym już nie istnieje.

Czekali w ciszy, aż w końcu usłyszeli tupot stóp na kamieniach. Brzmiał jak kroki kilkorga brzydkich rozmawiających ściszym głosem, wciąż w obawie przed spotkaniem z duchami z Rdzawych Ruin.

— Teraz patrz — szepnął David, wyciągając z kieszeni latarkę. Wstał i wycelował promień we własną twarz. — Mnie szukacie? — spytał głośnym, autorytatywnym tonem.

Trójka brzydkich zamarła, gapili się na niego z otwartymi ustami. A potem chłopak upuścił deskę, która z trzaskiem uderzyła o kamienie, wyrwijąc ich z transu.

— Kim jesteś? — zdołała wykrztusić jedna z dziewcząt.

— Mam na imię David.

— Och. To znaczy, że jesteś...

— Prawdziwy? — Zgasił latarkę i uśmiechnął się szeroko. — Tak. Często słyszę to pytanie.

*

**

Nazywali się Sussy, An i Dex i przychodzili w ruiny od miesiąca. O istnieniu Dymu usłyszeli przed laty, gdy jeden z seniorów ich wspólnego domu uciekł.

— Właśnie przeniosłam się do Brzydłowa — powiedziała Sussy. — Ho był seniorem. Kiedy zniknął, wszyscy snuli najbardziej zwariowane teorie o tym, dokąd się udał.

— Ho? — David pokiwał głową. — Pamiętam go, był u nas kilka miesięcy, potem zmienił zdanie i wrócił. Do tej pory stał się już śliczny.

— Ale naprawdę tam dotarł? Do Dymu? — zapytała An.

— Tak, sam go zaprowadziłem.

— Rany, więc Dym istnieje naprawdę! — An spojrzała z podnieceniem na swych przyjaciół. — My też chcemy go zobaczyć.

David otworzył i zamknął usta, a jego spojrzenie umknęło w bok.

— Nie możecie — oznajmiła Tally. — Nie w tej chwili.

— Czemu nie? — zdziwił się Dex.

Tally zawahała się. Prawda, że Dym został zniszczony przez uzbrojonych najeźdźców, wydawała się zbyt niewiarygodna. Kilka miesięcy temu ona także nie uwierzyłaby, że jej miasto jest do tego zdolne. A gdyby potwierdziła, że Dym przestał istnieć, plotka rozniosłaby się wśród wszystkich brzydkich. Dzieło doktor Cable dobiegłoby końca, nawet gdyby kilkoro uratowanych Dymiarzy zdołało stworzyć kolejną osadę w głuszy.

— No cóż — zaczęła — od czasu do czasu Dym musi się przenieść, by nikt go nie odkrył. W tej chwili tak naprawdę nie istnieje, wszyscy są rozproszeni i nie rekrutujemy.

— Przenosi się, cały? O rany — mruknął Dex.

An zmarszczyła brwi.

— Chwileczkę. Skoro nie rekrutujecie, to co tu robicie?

— Organizujemy numer — odparła Tally. — Naprawdę wielki. Może moglibyście nam pomóc? A potem, kiedy Dym stanie na nogi, pierwsi się o tym dowiedzie.

— Chcecie, żebyśmy wam pomogli? To coś w rodzaju inicjacji? — zainteresował się Dex.

— Nie — odparł stanowczo David. — W Dymie nikogo do niczego nie zmuszamy. Ale jeśli zechcecie pomóc, będziemy wam wdzięczni.

— Potrzebujemy dywersji. Czegoś, co odwróci uwagę — dodała Tally.

— Brzmi fajnie! — An popatrzyła na pozostałych, którzy pokiwali głowami.

Gotowi na wszystko, pomyślała Tally. Zupełnie jak ona jeszcze tak niedawno. Niewątpliwie byli seniorami, niecały rok młodszymi od niej. Zdumiało ją jednak, jacy młodzi się wydają.

David wpatrywał się w nią wraz z innymi, czekając, aż przedstawi swój pomysł. Musiała coś wymyślić, i to natychmiast. Coś dobrego. Coś, co dostatecznie zaintryguje Wyjątkowych, by zechcieli to sprawdzić.

Coś, co zwróci uwagę samej doktor Cable.

— Będziecie potrzebowali mnóstwo zimnych ogni.

— Nie ma sprawy.

— I umiecie się dostać do Miasta Nowych Ślicznych, prawda?

— Miasta Nowych Ślicznych? — An zerknęła na przyjaciół. — Ale przecież mosty zgłaszają wszystkich, którzy przeprawiają się przez rzekę.

Tally uśmiechnęła się, zawsze rada, że może nauczyć kogoś nowego numeru.

SKOK W PRZEPAŚĆ

Oboje cały dzień czekali w Rdzawych Ruinach, patrząc, jak plamy słonecznego światła przenikającego przez dziury w dachu powoli przesuwały się po podłodze, niczym promienie reflektorów odliczające godziny. Tally bardzo długo nie mogła zasnąć; raz po raz wyobrażała sobie skok z wzgórza w niepewną przepaść. W końcu odpłynęła, zbyt zmęczona, by śnić.

Gdy ocknęła się o zmierzchu, zobaczyła, że David zdążył już spakować do dwóch plecaków wszystko, co mogło okazać się niezbędne podczas ucieczki. Polecieli na skraj ruin, każde z nich na dwóch złożonych deskach. Jeśli się uda, będą potrzebowali dodatkowych, wywożąc uciekinierów z siedziby Wyjątkowych Okoliczności.

Śniadanie zjedli nad rzeką. Tally powoli przeżuwała swoje SzwedKlopsy. Gdyby złapali ich dziś w nocy, przynajmniej nigdy już nie będzie musiała jeść liofilizowanego prowiantu. Czasami miała wrażenie, że mogłaby niemal zgodzić się na uszkodzenie mózgu, byle tylko nigdy już nie musieć skosztować makaronu instant.

Gdy zapadła ciemność, David i Tally dotarli do białej wody; w chwili gdy w Brzydaluwie zgasły światła, przemknęli nad pasem zieleni. O północy czekali już na szczycie wzgórza nad siedzibą Wyjątkowych Okoliczności.

Tally wyciągnęła lornetkę i wycelowała w stronę Miasta Nowych Ślicznych, gdzie teraz właśnie ożywały kolejne wieże imprez.

David chuchnął w dłonie; w październikowym chłdzie z jego ust wydobył się biały obłoczek pary.

— Naprawdę sądzisz, że to zrobią?

— Czemu nie? — odparła, mierząc wzrokiem ciemne plamy największego ogrodu rozkoszy w mieście. — Wydawali się zainteresowani.

— No tak, ale czy nie za bardzo ryzykują? Dopiero co nas poznali.

Wzruszyła ramionami.

— Brzydacy żyją po to, by robić numery. Czy nigdy nie zrobiłeś czegoś tylko dlatego, że zaintrygował cię tajemniczy nieznajomy?

— Kiedyś dałem rękawiczki pewnej nieznajomej i zobacz, ile kłopotów sobie napytałem.

Tally opuściła lornetkę i przekonała się, że David się uśmiecha.

— Dziś nie wydajesz się taki zdenerwowany — zauważyła.

— Cieszę się, że w końcu tu jesteśmy i coś robimy. A kiedy tych troje zgodziło się nam pomóc, poczułem, jakby...

— Jakby to mogło się udać?

— Nie, coś lepszego! — Spojrzał na kompleks Wyjątkowych Okoliczności. — Byli tacy gotowi, pełni zapału tylko po to, aby narobić kłopotów, aby wyciąć numer. Z początku o mało nie umarłem, słysząc, że zachowujesz się, jakby Dym jeszcze istniał. Jeśli jednak znajdzie się dość brzydkich podobnych do nich, może znów powstanie.

— Oczywiście, że tak — odparła cicho.

David wzruszył ramionami.

— Może tak? Może nie? Ale nawet gdybyśmy dziś wieczór schrzanili sprawę i oboje trafili pod nóż, ktoś przynajmniej będzie walczył dalej, sprzeciwiał się im.

— Mam nadzieję, że to będziemy my — mruknęła Tally.

— Ja też.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Gdy ją wypuścił, Tally odetchnęła głęboko i przymknęła oczy. Teraz, gdy zaczęła naprawiać wyrządzone szkody, pocałunki z Davidem sprawiały jej jeszcze większą przyjemność, wydawały się bardziej szczerze.

— Spójrz — szepnął David.

W ciemnych dzielnicach Miasta Nowych Ślicznych coś się działo.

Uniosła lornetkę.

Na tle czerni ogrodu rozkoszy zapłonęła migotliwa linia, zupełnie jakby w ziemi otwarła się ognista szczelina. Po chwili dołączyły do niej następne potężne łuki i kręgi jaśniejące w ciemności. Kolejne części zdawały się ożywać w przypadkowej kolejności, w końcu jednak ułożyły się w litery i słowa.

Wreszcie cały migotliwy twór zajaśniał w mroku. Pierwsze zaczynały już przygasać, lecz przez parę chwil Tally nawet bez lornetki mogła odczytać napis. Z Brzydala musiał być wielki, widoczny dla każdego patrzącego tęsknic

przez okno. Dwa proste słowa: DYM ŻYJE.

Patrząc, jak litery gasną i rozpadają się w plątaninę chaotycznych linii i łuków z gasnących zimnych ogni, Tally zastanawiała się, czy słowa te odpowiadają prawdzie.

— No, są — rzucił David.

Pod nimi w dachu największego budynku pojawił się wielki, kolisty otwór, przez który wyleciały kolejno trzy lo— towozy, pędząc z rykiem w stronę miasta. Tally miała nadzieję, że An, Dex i Sussy posłuchali jej rady i już dawno uciekli z Miasta Nowych Ślicznych.

— Gotów? — spytała.

W odpowiedzi David ściągnął mocniej paski swojej kamizelki i wskoczył na deski.

*

**

Pomknęli w dół wzgórza, zawrócili i ruszyli z powrotem w górę. Po raz dziesiąty Tally sprawdziła lampkę na kołnierzu swej kamizelki: nadal płonęła zielenią. Widziała też kołyszącą się obok lampkę Davida. Nie mieli żadnego pretekstu, by przerwać akcję.

Wspinając się w mrok, rozpędzali się coraz bardziej; całe wzgórze pod nimi stało się jedną wielką pochylnią. Wiatr szarpał ją za włosy, zamrugała, gdy parę owadów odbiło się jej od twarzy. Zaczęła przesuwając się ostrożnie na przód połączonych desek, aż w końcu czubek jednego antypośliz— gowego buta znalazł się w powietrzu.

A potem horyzont przed nią jakby umknął i Tally przykucnęła, gotowa do skoku. Ziemia zniknęła.

Tally odbiła się z całej siły, posyłając deski w dół stromego zbocza, gdzie zatrzymają się same. Oboje z Davidem wyłączyli bransolety bezpieczeństwa — nie chcieli, by deski poleciały za nimi do wnętrza kompleksu. Jeszcze nie.

Wyleciała w powietrze, przez kilka sekund ciągle się wznosząc. Pod nią leżały zewnętrzne dzielnice miasta, olbrzymi patchwork świateł i cieni. Rozłożyła ręce i nogi.

Na szczycie łuku cisza zdawała się pochłaniać wszystko — żołądek ściskający się w nieważkości, jej podniecenie i strach, wiatr chłoszczący twarz. Tally oderwała wzrok od czekającej w milczeniu ziemi i odważyła się zerknąć na Davida. Leciał tuż obok i patrzył na nią z twarzą rozjaśnioną radością.

Uśmiechnęła się do niego i spojrzawszy w dół, odkryła, że ziemia zaczyna się zbliżać z coraz większą prędkością. Tak jak wyliczyła, mieli wylądować w samym środku kompleksu. Spięła się, czekając na potężne szarpnięcie, gdy kamizelka pociągnie ją w górę.

Przez długą chwilę nic się nie działo, ziemia cały czas się zbliżała i Tally zaczęła się zastanawiać, czy kamizelki poradzą sobie z upadkiem z takiej wysokości. W jednej chwili przez jej głowę zdołało przemknąć sto różnych wersji tego, co poczuje, uderzając w ziemię z taką prędkością. Oczywiście, zapewne nie poczuje nic.

Już nigdy.

Ziemia zbliżała się i zbliżała, aż w końcu Tally była pewna, że coś jest nie tak. I nagle paski kamizelki ożyły gwałtownie, wpijając się boleśnie w jej uda i ramiona, wyciskając powietrze z płuc. Ich nacisk narastał, zupełnie jakby owinięto ją grubym pasmem gumy próbującym powstrzymać upadek. Naga ziemia kompleksu pędziła ku niej, płaska, ubitn i twarda. Kamizelka rozpaczliwie próbowała wyhamować upadek, miażdżąc ją niczym ręką olbrzyma.

W końcu niewidzialna guma naciągnęła się do granic wytrzymałości i Tally zatrzymała się, drżąc, niecałe pół metra od ziemi. Musiała cofnąć ręce, aby nie dotknąć gruntu. Miała wrażenie, że wybałuszone oczy zaraz wypadną jej z czaszki.

A potem jej upadek zmienił kierunek i poleciała w górę, odbijając się i wirując w powietrzu. Niebo i horyzont tańczyły wokół jak podczas przejażdżki w wesołym miasteczku. Tally nie miała pojęcia, gdzie jest David — ani w ogóle gdzie jest góra i dół. Ten skok był dziesięć razy dłuższy niż lot z dachu apartamentowca Garbo. Ilu odbić trzeba, by wyhamować?

Teraz znów spadała. Zamiast ziemi widziała pod sobą budynek. Jedną stopą o mało nie dotknęła dachu, gdy kamizelka znów zadziałała, obracając ją siłą rozpędu. Tally zdołała się zorientować, gdzie jest góra i dół — w samą porę. Ujrzała zbliżający się skraj dachu. Przeleciała nad budynkiem.

Szamocząc się w uchwycie kamizelki, lecąc bezradnie w górę i w dół, minęła skraj dachu. Udało jej się jednak zatrzymać, chwytając wyciągniętą ręką za rynnę.

— Uff — sapnęła, rozglądając się wokół.

Budynek nie był zbyt wysoki i gdyby spadła, odbiłaby się bezpiecznie. Lecz w chwili gdy jej stopa dotknęłaby ziemi, włączyłby się alarm. Oburącz uchwyciła się rynny.

Kamizelka, zadowolona z powstrzymanego upadku, zaczęła się wyłączać i ciało Tally stopniowo odzyskiwało normalny ciężar. Próbowwała wciągnąć się na dach, ale ciężki plecak pełen sprzętu ratunkowego ściągał ją w dół. Zupełnie jakby usiłowała się podciągać, mając na nogach ołowiane buty.

Wisiała bezwładnie, nie wiedząc, co robić, czekając, aż spadnie.

Nagle na dachu rozległy się kroki. Ujrzała twarz. Davida.

— Jakież kłopoty?

Mruknęła w odpowiedzi, a on pochylił się i chwycił pasek plecaka. Pozbawiona ciężkiego brzemienia Tally z łatwością podciągnęła się na dach.

David usiadł obok, kręcąc głową.

— Powiedz, Tally, robiłaś to dla zabawy?

— Nie co dzień.

— Tak też sądziłem. Moglibyśmy chwilkę odpocząć?

Rozejrzała się po dachu. Nikt się nie zjawiał, nie dźwięczał żaden alarm. Najwyraźniej druty nie wyczuły ich obecności. Uśmiechnęła się.

— Jasne, nawet dwie chwilki, jeśli chcesz. Wygląda na to, że Wyjątkowi nie spodziewali się, że ktoś może skoczyć na nich z nieba.

Dach siedziby Wyjątkowych Okoliczności z góry wydawał się płaski i monotony. Teraz jednak Tally widziała wyloty szybów wentylacyjnych, anteny, włazy awaryjne i oczywiście wielkie okrągłe wrota, przez które wypadły lotowozy. Obecnie wrota były zamknięte. Cud, że ani ona, ani David nie rozbili sobie o nic głowy, odbijając się od dachu.

— Jak dostaniemy się do środka? — spytał David.

— Powinniśmy zacząć od tego. — Wskazała ręką wrota dla lotowozów.

— Nie sądzisz, że jeśli przejdziemy tamtędy, nie będąc lo— towozem, ktoś coś zauważy?

— Jasne, ale może spróbujemy je zablokować. Jeżeli zjawią się kolejni Wyjątkowi, nie chcemy im ułatwiać pościgu.

— Dobry pomysł.

David zaczął grzebać w plecaku i wyciągnął coś, co przypominało tubkę żelu do włosów. Wycisnął sporo białej mazi wzdłuż krawędzi wrót, uważając, by nawet odrobina nie dotknęła skóry palców.

— Co to?

— Klej, a ściślej nanoklej. Możesz nim przykleić podeszwy do sufitu i wisieć głową w dół.

Oczy Tally rozszerzyły się. Słyszała pogłoski o numerach, jakie można robić z pomocą nanokleju, lecz brzydkim nie pozwalano go zamawiać.

— Powiedz mi, że tego nie zrobiłeś. Uśmiechnął się.

— Musiałem je tam zostawić, straciłem bardzo dobre buty. I jak się dostaniemy?

Tally wyjęła z plecaka podnośnik i wyciągnęła rękę.

— Windą.

Wielka metalowa skrzynia stercząca z dachu przypominała zwykłą szopę, lecz podwójne drzwi i czytnik siatkówek zdradzały, do czego służy naprawdę. Tally zmrużyła oczy,

pilnując, by nie błysnął w nie czytnik, i wcisnęła podnośnik pomiędzy skrzydła drzwi. Zgniotły się niczym folia. Za nimi mroczny szyb opadał w nicość. Zacmokała. Odbijające się echo powróciło z daleka. Zerknęła na lampkę na kołnierzu — wciąż była zielona. Odwróciła się do Davida.

— Zaczekaj, aż zagwiżdżę.

I postąpiła krok w powietrze.

**

Upadek w głąb szybu był znacznie gorszy niż skok z dachu apartamentowca Garbo czy nawet lot z wierzchołka wzgórza. Ciemność nie pozwalała sprawdzić, jak jest głęboko, i Tally miała wrażenie, że spada całą wieczność.

Wyczuwała przelatujące obok ściany, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zbacza i nie rozbije się o jedną z nich. Wyobraziła sobie, jak odbija się między nimi aż na sam dół i ląduje połamana i zakrwawiona.

Przycisnęła ręce do boków.

Przynajmniej jednak była pewna, że kamizelka zadziała i tutaj. Windy używały tych samych lifterów magnetycznych co inne lotopojazdy, toteż na dole szybu zawsze montowano grubą metalową płytę.

Doliczyła do pięciu, nim kamizelka zadziałała. Tally odbiła się dwukrotnie prosto w górę i w dół, po czym osiadła na twardej powierzchni i odkryła, że otacza ją cisza i nieprzenikniona ciemność. Wyciągając ręce, wymacała wokół cztery gładkie ściany, nic nie przypominało wewnętrznej strony zamkniętych drzwi. Na palcach pozostał smar.

Zerknęła w górę. Daleko nad nią jaśniał niewielki prostokąt światła; widziała małą twarz Davida patrzącego w dół. Ściągnęła wargi, by zagwizdać, nagle jednak zamarła.

Z dołu dobiegł ją stłumiony dźwięk. Ktoś rozmawiał.

Przykucnęła, próbując zrozumieć słowa, usłyszała jednak tylko ostry jak brzytwa głos okrutnej ślicznej. Szyderczy ton przypominał doktor Cable. Nagle bez ostrzeżenia podłoga pod jej nogami poleciała w dół i Tally z trudem utrzymała równowagę. Gdy winda znów przystanąła, stopa wykręciła się jej boleśnie, lecz szczęśliwie Tally zdołała nie upaść.

Dźwięki w dole ucichły. Miała pewność co do jednego: kompleks nie był pusty.

Uniosła głowę i zagwizdała, po czym wtuliła się w kąt szybu, osłaniając rękami głowę. Zaczęła liczyć.

W pięć sekund później obok niej zadyndała para stóp i znów wzleciała w górę. Promień latarki Davida chybotął się wokół jak pijany. Wreszcie chłopak osiadł obok niej.

— Rany, ciemno tutaj.

— Cii — syknęła.

Skinął głową, oświetlając szyb latarką. Tuż nad sobą ujrzeli wnętrza zamkniętych drzwi. Oczywiście — stojąc na dachu windy, znajdowali się między piętrami.

Tally splotła palce, łącząc dłonie, by podsadzić Davida tak, żeby zdołał wsunąć podnośnik między skrzydła. Rozsunęły się z metalicznym zgrzytem, od którego zjeżyły jej się włosy. David podciągnął się na piętro, po czym pochylił się i podał jej rękę.

Chwyciła je i szarpnęła. Antypoślizgowe buty z piskiem zsuwały się po ścianie szybnym stado spanikowanych myszy.

Robili stanowczo zbyt dużo hałasu.

W korytarzu panował mrok. Tally usilnie wmawiała sobie, że nikt ich jeszcze nie usłyszał. Może nocą całe piętro było puste. Wyciągnęła własną latarkę, celując w kolejne mijane drzwi. Na każdym z nich widniała niewielka brązowa tabliczka.

— Radiologia. Neurologia. Rezonans magnetyczny — czytała cicho. — Sala operacyjna numer dwa.

Spojrzała na Davida. Wzruszył ramionami i pchnął drzwi. Otworzyły się.

— Najwyraźniej jeśli pracujesz w podziemnym bunkrze, to nie zawracasz sobie głowy zamykaniem drzwi — rzekł cicho. — Ty pierwsza.

Tally zakradła się do środka. Sala była wielka, wzdłuż ścian stały ciemne, milczące maszyny. Pośrodku ustawiono zbiornik operacyjny, płyn odsączono, rurki i elektrody leżały niedbale w kałuży na dnie. Obok na metalowym stole połyskiwały okrutne noże i wibropiły.

— To wygląda jak zdjęcia, które pokazywała mi mama — rzekł David. — Przeprowadzają tu operacje.

Tally przytaknęła. Lekarze umieszczali ludzi w zbiorniku tylko podczas poważnych zabiegów.

— Może to tutaj przerabiają ludzi na Wyjątkowych — rzekła. Myśl ta wcale nie dodała jej otuchy.

Wrócili na korytarz. Któreś kolejne drzwi opatrzone były tabliczką KOSTNICA.

— Czy chcesz... — zaczęła.

— Nie. — David pokręcił głową.

Przeszukali pozostałą część piętra. Ogólnie rzecz biorąc, mieścił się tu niewielki, doskonale wyposażony szpital. Nie znaleźli żadnych sal tortur ani cel. I żadnych Dymiarzy.

— Dokąd teraz?

— No cóż — odparła z namysłem Tally. — Gdybyś był złowrogą doktor Cable, gdzie wsadziłbyś swoich więźniów?

— Złowrogą kim?

— A, to nazwisko kobiety, która kieruje tym miejscem. Zapamiętałam je, kiedy mnie zgarnęli.

David zmarszczył brwi i Tally przestraszyła się, czy aby nie powiedziała zbyt dużo. W końcu wzruszył ramionami.

— Chyba umieściłbym ich w lochu.

— Jasne, a zatem na dół.

*

**

Znaleźli schody przeciwpożarowe wiodące w dół, kończyły się jednak zaledwie po jednym piętrze. Najwyraźniej dotarli na najniższy poziom siedziby Wyjątkowych Okoliczności.

— Ostrożnie — wyszeptała Tally. — Wcześniej słyszałam na dole ludzi wysiadających z windy Muszą gdzieś tu być.

To piętro oświetlał błyśnięcie, fosforyzujący pasek biegnący środkiem korytarza. Gdy Tally zaczęła odczytywać tabliczki na drzwiach, po plecach przebiegł jej zimny dreszcz.

— Pokój przesłuchań numer jeden, pokój przesłuchań numer dwa, izolatka numer jeden — szeptała. Promień latarki przemykał po kolejnych wyrazach niczym spłoszony świetlik. — Sala dezorientacyjna numer jeden. Och, Davidzie, oni muszą gdzieś tu być.

Jej towarzysz skinął głową i pchnął lekko pierwsze z brzegu drzwi, te jednak nie ustąpiły. Przesunął palcami wzdłuż krawędzi, szukając miejsca, gdzie można by wsunąć podnośnik.

— Nie pozwól, żeby czytnik błysnął ci w oczy — ostrzegła go cicho Tally. Wskazała umieszczoną obok drzwi niewielką kamerę. — Jeśli wydaje mu się, że widzi oko, odczytuje siatkówkę i sprawdza w wielkim komputerze.

— Mnie tam nie znajdzie.

— I wtedy dopiero zgłupieje. Po prostu nie podchodź zbyt blisko. Działa automatycznie.

— Jasne! — David pokiwał głową. — A zresztą te drzwi i tak są zbyt gładkie, nie byłoby gdzie wcisnąć podnośnika. Szukajmy dalej.

Po kilkunastu krokach wzrok Tally przyciągnęła jedna z tabliczek.

— Areszt długoterminowy — wyszeptała.

Po obu stronach drzwi ciągnęły się spore odcinki gładkiej ściany, jakby kryjące się za nią pomieszczenie było większe niż pozostałe. Przycisnęła do nich ucho, próbując wyłowić choćby najśłabszy dźwięk.

Nagle usłyszała znajomy głos. Zbliżał się.

— Davidzie — syknęła, odskakując od drzwi i przywierając do ściany.

David rozejrzył się gorączkowo w poszukiwaniu jakiegokolwiek kryjówki. Oboje byli całkowicie odsłonięci.

Drzwi się otworzyły i z wnętrza wydobył się złowieszczy głos doktor Cable.

— Po prostu nie dość dobrze się starasz. Musisz ją przekonać, że...

— Doktor Cable — rzuciła Tally.

Kobieta odwróciła się gwałtownie w jej stronę, jastrzębie rysy wykrzywił grymas zdumienia.

— Chciałabym się poddać.

— Tally Youngblood? Jak...

Podnośnik Davida uderzył głucho w jej czaszkę i doktor Cable osunęła się na ziemię.

— Czy ona... — wyjąkał David, twarz miał trupioblada.

Tally uklękła i obróciła głowę kobiety, oglądając ranę. Ani śladu krwi, ale była nieprzytomna. Owszem, okrutni śliczni byli bardzo groźni, ale wciąż dawało się ich zaskoczyć.

— Nic jej nie będzie.

— Doktor Cable, co się dzieje...?

Tally odwróciła się w stronę głosu, jej wzrok padł na stojącą obok młodą kobietę.

Była wysoka i elegancka, o idealnych rysach. Oczy — głębokie i melancholijne, iskrzące się miedzią i złotem — spoglądały niespokojnie. Pełne usta rozchyliły się bez słowa. Uniosła wdzięcznie rękę i serce Tally niemal zatrzymało się w piersi na widok tak pięknego zmieszania.

A potem kobieta uśmiechnęła się w ciemności, jakby ją rozpoznała, i Tally odkryła, że też się uśmiecha. Dobrze było móc ucieszyć tę śliczną.

— Tally! To ty!!!

To była Shay. Była śliczna.

— Shay...

— Udało wam się! — Promienny uśmiech Shay zgasł, gdy spojrzała na leżącą bezwładnie doktor Cable. — Co jej się stało?

Tally zamrugła, oszołomiona przemianą przyjaciółki. Uroda Shay sprawiła, że strach, zaskoczenie i podniecenie Tally zniknęły, a pozostał jedynie podziw.

— Zmieniłaś się...

— No ba! David! Nic wam nie jest?

— Hm, cześć! — Głos miał suchy, ściskające podnośnik ręce drżały. — Potrzebujemy twojej pomocy, Shay.

— Tak, chyba faktycznie potrzebujecie. — Ponownie zerknęła na doktor Cable i westchnęła. — Widzę, że wciąż umiecie nieźle namieszać.

Tally odwróciła wzrok od pięknej twarzy przyjaciółki, próbując skupić myśli.

— Gdzie są wszyscy? Rodzice Davida? Croy?

— Właśnie tutaj. — Shay machnęła ręką, wskazując pomieszczenie za plecami. — Wszyscy zamknięci. Doktor C. była okropnie przezięta.

— Zatrzymaj ją tutaj — polecił David.

Przecisnął się obok Shay i wbiegł do środka. Tally dostrzegła długą salę z rzędami niewielkich drzwi po obu stronach; w każdym osadzono małe okienko.

Shay obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

— Tak się cieszę, że nic ci się nie stało, Tally. Myśl o tym, że błądasz się samotnie w głuszy... Ale oczywiście nie byłaś sama, prawda?

Spojrzawszy w oczy przyjaciółki, Tally ponownie zastygła w podziwie.

— Co oni ci zrobili?

Shay uśmiechnęła się.

— Oprócz tego, co widać?

— Tak. To znaczy nie. — Tally pokręciła głową, nie wiedząc, jak spytać Shay, czy ma uszkodzony mózg. — Czy ktoś jeszcze z nich jest...

— Śliczny? Nie. Mnie wzięli pierwszą, bo sprawiałam najwięcej kłopotu. Trzeba było widzieć, jak kopałam i gryzłam. — Shay zachichotała.

— Zmusili cię?

— Tak, doktor C. potrafi być strasznie męcząca, ale w sumie bardzo mi ulżyło.

Tally przełknęła ślinę.

— Ulżyło...?

— Tak, nie cierpiałam tego miejsca. Jestem tu tylko dlatego, że doktor C. chce, żebym zaglądała i rozmawiała z Dymiarzami.

*

**

— Mieszkaś w Mieście Nowych Ślicznych — powiedziała miękko Tally.

Spróbowała przeniknąć wzrokiem piękną maskę, sprawdzić, co kryje się za wielkimi, idealnymi oczami Shay.

— Jasne. Przychodzę prosto z niesamowitej imprezy.

Tally dopiero teraz usłyszała, że jej przyjaciółka lekko

bełkocze. Była pijana. Może dlatego zachowywała się tak dziwnie. Ale nazwała pozostałych Dymiarzami, nie była już jedną z nich.

— Chodzisz na imprezy, Shay? Kiedy wszyscy siedzą tu zamknięci?

— No tak — rzekła obronnym tonem Shay. — Przecież wyjdą stąd, gdy tylko ich zmienią, kiedy Cable nasyci się już swoją władzą. — Spojrzała na nieprzytomną postać na podłodze i pokręciła głową. — Ale jutro będzie w paskudnym nastroju, dzięki wam dwojgu.

Z sali zatrzymań dobiegł skowyt protestującego metalu. Tally usłyszała głosy.

— Wygląda na to, że nie zostanie tu nikt, kto miałby tego słuchać — dodała Shay.

— A jak się w ogóle miewacie?

Tally otworzyła usta, zamknęła i w końcu zdołała odpowiedzieć.

— My... w porządku.

— To super. Posłuchaj, przepraszam, że byłam taka okropna. Sama wiesz, jacy są brzydcy. — Roześmiała się. — Oczywiście, że wiesz.

— Już mnie nie nienawidzisz?

— Nie bądź niemądra, Tally.

— Cieszę się.

Oczywiście słowa Shay nie miały znaczenia. To nie było wybaczenie, tylko uszkodzenie mózgu.

— Zrobiłaś mi wielką przysługę. Dzięki tobie mogłam w końcu opuścić Dym.

— Nie wierzysz w to chyba, Shay?

— To znaczy?

— Jak mogłaś tak szybko zmienić zdanie?

Przyjaciółka roześmiała się.

— Wystarczył jeden gorący prysznic, by mnie przekonać. — Wyciągnęła rękę i dotknęła włosów Tally, splątanych i potarganych po dwóch tygodniach spania w namiocie i całych dniach jazdy. — A skoro już mowa o prysznicu. Jak ty wyglądasz!

Tally zamrugała, do oczu napłynęły jej palące łzy. Shay tak bardzo chciała zachować swoją twarz, żyć poza miastem na własnych warunkach. Ale pragnienie to zniknęło...

— Nie chciałam cię... zdradzić — rzekła cicho.

Shay zerknęła ponad jej ramieniem, po czym znów spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

— On nie wie, że pracowałeś dla doktor C., prawda? Nie martw się, Tally — wyszeptała, unosząc do ust elegancki, smukły palec. — Twój brzydki, mały sekret jest u mnie bezpieczny.

Tally przełknęła ślinę, zastanawiając się, czy Shay poznała całą historię. Może doktor Cable opowiedziała im o wszystkim.

U boku doktor Cable coś zabrzęczało. Na tablecie roboczym, który trzymała w ręce, migąło światełko rozmowy przychodzącej.

Tally podniosła tablet i wręczyła Shay.

— Porozmawiaj z nimi.

Przyjaciółka mrugnęła porozumiewawczo, po czym nacisnęła guzik.

— Halo, to ja, Shay. Nie, przykro mi, doktor Cable jest zajęta. Co robi? To skomplikowane... — Wyłączyła mikrofon. — Nie powinnaś ratować ludzi czy coś? O to chyba chodzi w tym całym numerze?

— A zostaniesz tutaj ?

— No ba. To wygląda pysznie. Może i jestem śliczna, ale nie totalnie nudna.

Tally precyzyjnie się obok niej i wbiegła do sali. Dwoje drzwi stało otworem, matka Davida i jeszcze jeden Dymiarz kręcili się na środku sali, ubrani w pomarańczowe kombinezony. Spojrzeli na nią z oszołomionymi, sennymi minami. David pracował nad kolejnymi drzwiami, wpychając podnośnik w wąską szczelinę nad podłogą.

Tally dostrzegła twarz Croya gapiącego się przez maleńkie okienko i wbiła podnośnik w szparę pod jego drzwiami. Urządzenie ożyło, gruby metal zaskrzypiał, odginając się w górę.

— Davidzie, oni wiedzą, że coś się święci! — zawołała.

— W porządku, już prawie skończyliśmy.

Jej podnośnik wybił niewielki otwór w metalu. Ale nie dość duży. Tally zresetowała go i metal znów zajęczał. Dni spędzone przy torach wkrótce się opłaciły — podnośnik wyrwał w drzwiach dziurę wielkości kłapy dla psa.

W dziurze pojawiły się ręce Croya, potem jego głowa. Kombinezon darł się na sterczących ostrych kawałkach metalu. Maddy chwyciła go za ręce i pociągnęła.

— To już wszyscy, którzy zostali — oznajmiła. — Ruszajmy,

— A co z tatą? — zawołał David.

— Nie możemy mu pomóc!

Maddy wybiegła na korytarz.

David i Tally spojrzeli po sobie ze zgrozą i podążyli za nią.

Maddy biegła korytarzem w stronę windy, ciągnąc za sobą za rękę Shay, która pstryknęła przycisk tabletu.

— Chwileczkę, chyba już wraca. Proszę zaczekać.

Zachichotała i znów zmutowała urządzenie.

— Zabierzcie Cable — zawołała Maddy. — Potrzebujemy jej.

— Mamo! — David popędził za nią.

Tally spojrzała na Croya, a potem na bezwładną postać doktor Cable. Chłopak zrozumiał. Każde z nich złapało jeden przegub i ruszyli szybkim krokiem, wlokąc kobietę po gładkiej podłodze. Antypoślizgowe buty Tally zapisały.

Gdy cała grupka dotarła do windy, Maddy złapała doktor Cable za kołnierz i podciągnęła do czytnika. Kobieta jęknęła cichutko. Maddy ostrożnie otworzyła jej oko i winda pisnęła, otwierając się posłusznie. Maddy ściągnęła z palca doktor Cable obrączkę interfejsową, puściła kobietę i wciągnęła do środka Shay. Tally i pozostali Dymiarze podążyli za nią, lecz David zatrzymał się zdecydowanie.

— Mamo, gdzie jest tato?

— Nie możemy mu pomóc.

Maddy wyrwała Shay tablet i uderzyła nim o ścianę, a po tem, nie zważając na protesty syna, pociągnęła go do windy. Drzwi się zamknęły i winda spytała:

— Które piętro?

— Dach — poleciała Maddy, wciąż ściskając w palcach obrączkę interfejsową.

Winda ostro ruszyła, a Tally poczuła w uszach ucisk od szybkiej jazdy.

— Jaki jest plan ucieczki? — warknęła Maddy.

Senność z jej oczu zniknęła całkowicie, zupełnie jakby wczoraj położyła się spać, oczekując, że dziś rano ją uratują.

— Hm, deskolotki — zdołała odpowiedzieć Tally. — W sumie cztery.

Uświadamiając sobie, że jeszcze tego nie zrobiła, uruchomiła bransolety.

— Och, super! — zawołała Shay. — Wiecie, że nie latałam na desce od czasu opuszczenia Dymu?

— Jest nas siedmioro — oznajmiła Maddy. — Tally, weź Shay. Astrix i Ryde, lećcie razem. Croy, ty leć sam, postaraj się ich zgubić. Davidzie, ja będę z tobą.

— Mamo... — rzekł błagalnie David. — Jeśli jest śliczny, nie mogłabyś go wyleczyć? Albo przynajmniej spróbować?

— Twój ojciec nie jest śliczny, Davidzie — odparła łagodnie. — Nie żyje.

— Dajcie mi nóż! — Maddy wyciągnęła rękę, nie zważając na wstrząśniętą twarz syna.

Tally pogrzebała w plecaku i podała kobiecie multinóż. Maddy otworzyła krótkie ostrze i wycięła kawałek materiału z rękawa swojego kombinezonu. Gdy winda dotarła na dach, jej drzwi rozsunęły się do połowy i zatrzymały z jękiem, odsłaniając nierówną dziurę, którą wybiła Tally, żeby dostać się do środka. Wyśliznęli się przez nią kolejno i pobiegli na skraj dachu.

Sto metrów dalej Tally dostrzegła przywołane przez bransolety deski, unoszące się nad ziemią. Wszędzie wokół dźwięczały syreny. Jeśli nawet jakimś cudem Wyjątkowi nie zarejestrowali dotąd ich ucieczki, pozbawione pasażerów deski uruchomiły alarm.

Obróciła się na pięcie, szukając wzrokiem Davida. Dreptał oszołomiony na końcu grupy, jak w półśnie. Złapała go za ramiona.

— Tak mi przykro.

Pokręcił głową, nie do niej, do nikogo.

— Nie wiem, co robić, Tally.

Uścisnęła mu dłoń.

— Musimy uciekać, w tej chwili możemy zrobić tylko tyle. Słuchaj swojej matki.

Spojrzał jej w oczy jak ogłupiały.

— Dobrze.

Zaczął mówić coś jeszcze, lecz jego słowa zagłuszył dźwięk przypominający drapanie olbrzymich paznokci o metal. Wrota do lotowozów walczyły z nanoklejem, cały dach zaczął dygotać.

Maddy, która wyszła z windy ostatnia, zablokowała drzwi podnośnikiem.

Dobiegający z wnętrza głos powtarzał monotennie:

— Wezwanie windy. Wezwanie windy.

Istniały jednak inne drogi wiodące na dach. Maddy odwróciła się do Davida.

— Zaklej włazy, żeby nie mogli wyjść.

Przez moment spojrzał przytomniej i skinął głową.

— Ja zaraz sprowadzę deski — oznajmiła Tally i pobiegła na skraj dachu.

Gdy tam dotarła, skoczyła w powietrze; miała nadzieję, że w kamizelce bungee wciąż jeszcze pozostał jakiś ładunek.

Po jednym odbiciu wylądowała na ziemi i puściła się biegiem. Deski wyczuły jej bransolety i pomknęły ku niej.

— Tally! Uważaj!

Słyszając krzyk Croya, momentalnie się obejrzała — przez kompleks biegła ku niej grupa Wyjątkowych. Za ich plecami na parterze dostrzegła otwarte drzwi. Pędzili z niehumanoidalną szybkością, pokonując dzielącą ich odległość długimi, płynnymi susami.

Deski trąciły ją w łydki z tyłu, niczym psy gotowe do zabawy. Tally wskoczyła na nie i zachwiała się, stawiając po jednej stopie na każdej z par złożonych desek. Nigdy nie słyszała, by ktokolwiek leciał jednocześnie na czterech. Ale najbliższego okrutnego ślicznego dzieliło już od niej zaledwie parę kroków.

Pstryknęła palcami i błyskawicznie wzniosła się w powietrze.

Wyjątkowy skoczył zdumiewająco wysoko, palce wyciągniętej dłoni musnęły przednią krawędź desek, które zachy— botały się pod Tally — zupełnie jakby stała na trampolinie, na którą właśnie ktoś wskoczył. Pozostali Wyjątkowi obserwowali ją z ziemi, czekając, aż spadnie.

Lecz Tally odzyskała równowagę i pochyliła się naprzód, zmierzając z powrotem w stronę budynku. Deski nabrały szybkości. W parę sekund później zeskoczyła na dach i kopnięciem posłała jedną parę w stronę Croya. Rozłączył je, podczas gdy ona rozpięta pozostała.

— Leć już — poleciła Maddy. — Weź to.

Wręczyła Tally zwitek pomarańczowego materiału, z boku lśniły fragmenty obwodów. Tally zauważyła, że Maddy wycięła kawałki z rękawów wszystkich kombinezonów.

— W materiał wszyto pluskwę — wyjaśniła. — Upuść to gdzieś, żeby ich zmylić.

Tally kiwnęła głową, rozglądając się w poszukiwaniu Da— vida. Biegł ku nim z ponuro wykrzywioną twarzą, ściskając w dłoni pustą tubkę po kleju.

— David... — zaczęła.

— Ruszaj! — krzyknęła Maddy, popychając Shay na deskę za plecami Tally.

— Oho, bez bransolet? — Shay zachwiała się. — Wiesz chyba, że to nie pierwsza moja impreza dzisiaj.

— Wiem, złap się mnie. — Tally wyprysnęła z dachu.

Przez chwilę obie chygotały się, o mało nie tracąc równowagi. Tally wparła się mocniej w deskę i poczuła, jak Shay oplata ją mocno rękami w pasie.

— Rany, Tally! Zwolnij!

— Trzymaj się.

Pochyliła się, skręcając, zdenerwowana, że deska reaguje ospale. Nie tylko jednak dźwigała dwie osoby, ale chwiejne ruchy Shay ogłupiały czujniki.

— Nie pamiętasz, jak się lata?

— Jasne, że pamiętam! — odparła Shay. — Po prostu odrobinę zardzewiałam, Zyzolu. No i trochę za dużo dziś wypiałam.

- Tylko mi nie spadnij. To by zabolalo.
- Hej! Nie prosiłam, żeby mnie ratować!
- Chyba faktycznie nie.

Tally spojrzala w dół. Przepływały właśnie nad Staryko— wem, omijając pas zieleni i kierując się prosto w stronę rzeki. Gdyby Shay przy tej szybkości runęła na ziemię, nie zostałaby ranna. Zginęłaby na pewno.

Tak jak ojciec Davida. Tally zastanawiała się, jak umarł. Czy próbował uciec Wyjątkowym jak Szefer? A może doktor Cable coś mu zrobiła? Jedna myśl utkwiała jej w głowie: jakkolwiek się to stało, to była jej wina.

Shay, jeśli spadniesz, pociągnij mnie ze sobą.

— Co?

— Po prostu trzymaj się mnie i nie puszczaj, nieważne, co się stanie. Mam na sobie kamizelkę bungee i bransolety, powinniśmy się odbić.

Prawdopodobnie. Chyba że kamizelka pociągnie w jedną stronę, a bransolety w drugą. Albo też połączony ciężar Tally i Shay okaże się za duży dla lifterów.

— To daj mi bransolety, głuptasie.

Tally pokręciła głową.

— Nie mamy czasu.

— Chyba nie! Nasi Wyjątkowi przyjaciele będą wściekli.

Shay objęła ją mocniej.

Już prawie dotarły do rzeki, a wciąż nie dostrzegała żadnych śladów pościgu. Nanoklej musiał stawić naprawdę niezły opór. Lecz Wyjątkowe Okoliczności dysponowały innymi lotowozami — co najmniej trzema, których start widziała wcześniej — a zwykli opiekunowie też je mieli.

Tally zastanawiała się, czy Wyjątkowi wezwą na pomoc opiekunów, czy też zachowają całą sytuację w tajemnicy. Co pomyśleliby sobie opiekunowie o podziemnym więzieniu? Czy władze miejskie wiedziały, co Wyjątkowe Okoliczności zrobiły z Dymem albo z Azem?

Ujrawszy w dole błysk wody, weszła w zakręt i upuściła zwitek pomarańczowej tkaniny. Materiał opadł z trzepotem w stronę rzeki. Prąd poniesie go do miasta, w przeciwną stronę, niż zmierzały.

Tally i David uzgodnili, że spotkają się w górze rzeki, daleko za ruinami, gdzie kilka lat wcześniej znalazł jaskinię. Ponieważ wejście do niej przesłaniał wodospad, ukryje ich przed czujnikami ciepła. Stamtąd będą mogli wrócić do ruin i odzyskać resztę sprzętu, a potem...

Odbudować Dym? W siódmkę? Z Shay w roli honorowej ślicznej ? Tally uświadomiła sobie, że ich plany nie wykraczały poza dzisiejszą noc. Do tej chwili przyszłość nie wydawała się rzeczywista.

Oczywiście wciąż jeszcze mogą ich złapać.

— Myślisz, że to prawda? — krzyknęła Shay. — To, co powiedziała Maddy?

Tally odważyła się obejrzeć na swą towarzyszkę, jej śliczna twarz wyrażała troskę.

— No wiesz, Az czuł się świetnie, kiedy odwiedziłam go parę dni temu — podjęła Shay. — Sądziłam, że zamierzają zmienić go w ślicznego, a nie zabić.

— Nie wiem.

Maddy zapewne nie skłamała w tej sprawie. Ale może się myliła.

Pochyliła się do przodu, mknąc nisko nad rzeką i próbując zostawić za sobą lodowaty chłód ściskający żołądek. Gdy dotarli do białej wody, wodny pył omiół im twarze.

Shay zaczęła poruszać się jak należy, odchylając przy kolejnych łagodnych zakrętach.

— Hej, pamiętam to! — wykrzyknęła.

— Pamiętasz coś jeszcze z czasów sprzed operacji? — zawołała Tally, przekrzykując ryk wody.

Shay skuliła się za nią, gdy wpadły w obłok piany.

— Oczywiście, głuptasie.

— Nienawidziłaś mnie. Bo odebrałam ci Davida. Bo zdradziłam Dym. Pamiętasz?

Przez chwilę Shay milczała, Tally słyszała tylko huk białej wody i świst wiatru. W końcu jej towarzyszka pochyliła się bardziej i przemówiła z namysłem wprost do ucha Tally.

— Tak, wiem, o co ci chodzi. Ale to wszystko sprawy brzydkich. Szalona miłość, zazdrość, potrzeba buntu przeciw miastu. Każdy dzieciak jest taki. Ale potem się dorasta, wiesz?

— Dorosłaś z powodu operacji? Czy nie wydaje ci się to dziwne?

— To nie z powodu operacji.

— Zatem dlaczego?

— Po prostu dobrze jest wrócić do domu, Tally. Dzięki temu zrozumiałam, jakim wariactwem był cały ten Dym.

— A twoje gryzienie i kopniaki?

— No wiesz, potrzebowałam kilku dni, żeby to do mnie dotarło.

— A dotarło przed czy po tym, jak stałaś się śliczna?

Shay znów umilkła. Tally zastanawiała się, czy można rozmowami uleczyć uszkodzony mózg.

*

**

Wyciągnęła z kieszeni pozycjomierz, od współrzędnych jaskini wciąż dzieliło je pół godziny lotu. Zerkając przez ramię, nie dostrzegła żadnych lotowozów. Jeszcze nie. Jeśli wszystkie cztery deski poleciały w stronę rzeki innymi trasami i wszystkie wyrzuciły swe pluskwy w innych miejscach, Wyjątkowych czeka ciekawa noc.

I byli jeszcze Dex, Sussy i An, którzy obiecali uprzedzić wszystkich znajomych brzydkich lubiących wycinać numery, by tej nocy wybrali się na przejażdżkę. W pasie zieleni będzie się roić od ludzi. Tally zastanawiała się, ilu brzydkich widziało płonące litery w Mieście Nowych Ślicznych. Ilu wie już, czym jest Dym, a ilu wymyśla właśnie własne historie tłumaczące tajemnicze przesłanie? Jakie nowe legendy stworzyli z Davidem dzięki tej drobnej dywersji?

Gdy dotarły nad spokojniejszy odcinek rzeki, Shay znów się odezwała.

— I jak, Tally?

— Słucham?

— Czemu chcesz, żebym cię nienawidziła?

— Nie chcę, żebyś mnie nienawidziła, Shay. — Tally westchnęła ciężko. — A może chcę? Zdradziłam cię i okropnie się z tym czuję.

— Dym i tak nie trwałby wiecznie, Tally. Nieważne, czy ujawniłaś nasze położenie, czy nie.

— Nie ujawniłam! — krzyknęła Tally. — A przynajmniej nie specjalnie. A ta cała sprawa z Davidem była wyłącznie przypadkiem. Nie chciałam cię zranić.

— Oczywiście, że nie. Po prostu się pogubiłaś.

— Ja się pogubiłam? — Tally jęknęła. — To przecież ty...

Urwała. Jak Shay mogła nie dostrzegać, że operacja ją zmieniła? Nie tylko obdarzyła śliczną twarzą, ale też... umysłem ślicznej. Nic innego nie mogło wyjaśnić tej szybkiej przemiany, porzucenia reszty z nich na rzecz imprez i gorących pryszniców, zapomnienia o dawnych przyjaciółach. Tak samo uczynił Peris wiele miesięcy temu.

— Kochasz go? — spytała Shay.

— Davida? Ja... hm... może.

— To słodkie.

— To nie jest słodkie, tylko prawdziwe!

— W takim razie czemu się tego wstydzisz?

— Ja nie...

Tally prychnęła. Na moment zdekoncentrowała się i tył deski opadł nisko, wzbijając za nimi rozbryzg wody. Shay wykrzyknęła radośnie i złapała ją mocniej. Tally zazgrzytała zębami i posłała deskę nieco wyżej.

Kiedy Shay przestała się śmiać, odezwała się ponownie.

— I uważasz, że to ja się pogubiłam?

— Posłuchaj, Shay, co do jednego jestem pewna. Nie chciałam zdradzić Dymu, szantażem zmusili mnie, żebym wyruszyła tam jako szpieg. A kiedy wezwałam Wyjątkowych, zrobiłam to przypadkiem. Ale przykro mi, Shay. Tak mi przykro, że zniszczyłam twoje marzenie.

Tally poczuła, że płacze, wiatr porywał jej łzy. Przez chwilę leciały w milczeniu, mijając ciemne ściany drzew.

— Cieszę się, że wy dwoje zdołaliście wrócić do cywilizacji — odparła Shay, obejmując ją mocno. — I nie jest mi wcale przykro z powodu tego, co się stało. Może dzięki temu poczujesz się lepiej.

Tally pomyślała o skazach w mózgu Shay, maleńkich skupiskach rakowych komórek, ranach, czy czym tam były, o których istnieniu Shay nie miała nawet pojęcia. Tkwiły tam, zmieniając myśli przyjaciółki, wpływając na jej uczucia, podcinając u podstaw to, kim kiedyś była. Sprawiając, że jej wybaczyła.

— Dzięki, Shay. Ale nie, nie czuję się lepiej.

Tally i Shay pierwsze dotarły do jaskini.

Croy zjawił się kilka minut później, bez ostrzeżenia. Wpadł do jaskini przez wodospad w gwałtownej eksplozji plusków i przekleństw. Stracił równowagę i poleciał w ciemność, jego ciało przeturlało się po kamieniach z niepokojącym łoskotem.

Tally wybiegła z tyłu jaskini z latarką w dłoni.

Croy potrząsnął głową, jęknął.

— Zgubiłem ich.

Spojrzała w stronę wylotu jaskini, przesłoniętego grubą ścianą wody.

— Mam nadzieję. Gdzie są wszyscy?

— Nie wiem. Maddy kazała nam lecieć w różne strony. Ponieważ tylko ja byłem sam, najpierw okrążyłem cały pas zieleni, żeby ich zgubić.

Położył głowę na ziemi; wciąż dyszał ciężko, z dłoni wysunął mu się pozycjomierz.

— Rany, szybko leciałeś.

— Ty mi to mówisz? I to bez bransolet.

— Znam to. Przynajmniej miałeś buty — mruknęła Tally. — Ktoś cię ścigał?

Skinął głową.

— Jak się dało najdłużej, nie wyrzucałem pluskwy i pociągnąłem za sobą większość Wyjątkowych. Ale w pasie kręciło się całe stado deskarzy, no wiesz, dzieciaków z miasta. Wyjątkowi wciąż się mylili.

Tally uśmiechnęła się. Dex, An i Sussy świetnie się spisali.

— Co z Davidem i Maddy? Wszystko w porządku?

— No nie wiem, czy można tak powiedzieć — rzekł cicho. — Ale wystartowali tuż po was i nie wyglądało na to, by ktoś ich ścigał. Maddy powiedziała, że lecą wprost w ruiny. Mamy się tam z nimi spotkać jutro w nocy.

— Jutro? — powtórzyła Tally.

— No wiesz, Maddy chciała pobyć trochę sama z Davidem.

Tally skinęła głową, lecz serce ścisnęło jej się w piersi.

David jej potrzebował. A przynajmniej taką miała nadzieję. Myśl o tym, że musi radzić sobie ze śmiercią Aza bez niej, sprawiła, że lodowata kula w żołądku stała się jeszcze zim— niejsza.

Oczywiście towarzyszyła mu Maddy. Az był przecież jej mężem, a Tally spotkała go tylko raz. Ale mimo wszystko.

Westchnęła, próbując sobie przypomnieć swoje ostatnie słowa do Davida. Pożałowała, że nie zabrzmiały bardziej pocieszająco. Nie miała nawet czasu go

przytulić. Od chwili napaści na Dym nie rozstawała się z Davidem dłużej niż na godzinę podczas burzy, a teraz nie zobaczy go cały długi dzień.

— Może powinnam wrócić do ruin? Mogłabym tam pójść jeszcze dzisiaj.

— Nie wariuj — rzekł Croy. — Wyjątkowi wszędzie nas szukają.

— Ale na wypadek gdyby czegoś potrzebowali...

— Maddy kazała ci powiedzieć: nie.

Astrix i Ryde zjawili się pół godziny później, wlatując do jaskini z większym wdziękiem niż Croy i z własnymi historiami ucieczki przed lotowozami. Pościg odbywał się bardzo chaotycznie, Wyjątkowych najwyraźniej kompletnie zaskoczyły wydarzenia tej nocy.

— Nawet się do nas nie zbliżyli — powiedziała Astrix.

Ryde pokręcił głową.

— Miotali się wszędzie.

— Wygląda na to, że wygraliśmy bitwę — stwierdził Croy.

— Pokonaliśmy ich w ich własnym mieście. Przez nas wyszli na durniów.

— Może nie będziemy już musieli ukrywać się w głuszy?

— podsunął Ryde. — Zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze jako brzydcy robiliśmy różne numery. Tyle że tym razem ujawnimy miastu prawdę.

— A jeśli nas złapią, Tally znów może nas uratować! — krzyknął Croy.

Tally spróbowała się uśmiechnąć, słysząc ich wiwaty, wiedziała jednak, że nie poczuje się lepiej, póki znów nie zobaczy Davida. Dopiero jutro. Czowała się jak banitka, odcięta od jedynej rzeczy, która miała jakiegokolwiek znaczenie.

Shay po długich narzekaniach na wilgoć we włosach i pytaniach, kiedy odwiozą ją do domu, zasnęła w końcu w niewielkiej szczelinie. Tally podczołgała się do niej i przytuliła, próbując zapomnieć o zmianach, jakie zaszły w umyśle Shay. Przynajmniej jej nowe ciało nie było tak boleśnie chude. W wilgotnej, chłodnej jaskini promieniowała przyjemnym ciepłem. Skulona przy niej Tally w końcu przestała się trząść.

Minęło jednak dużo czasu, nim zasnęła.

Obudził ją zapach PadThai.

Croy znalazł w jej plecaku oczyszczacz i paczuszki z jedzeniem i szykował posiłek na wodzie z wodospadu, najwyraźniej próbując ugłaskać Shay.

— Niewielka ucieczka to jedno, ale nie wiedziałam, że zaciągnięcie mnie aż tutaj. Znudziły mnie wasze bunty, mam okropnego kaca i naprawdę muszę umyć włosy.

— Masz tu wodospad — podsunął Croy.

— Ale on jest zimny! Mam potąd tych przegieć z życiem poza miastem.

Tally wyczołgała się ze szczeliny. Zesztywniałe mięśnie bolały, czuła w nich każdy kamień, na którym spała. Za wodną zasłoną zapadał zmierzch. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła jeszcze przespać noc.

Shay przykucnęła na kamieniu, pałaszując PadThai i narzekając, że nie jest dość pikantne. Zmęczona, w brudnych ciuchach, z włosami lepiącymi się do twarzy wciąż wyglądała zachwycająco. Ryde i Astrix obserwowali ją w milczeniu, oszołomieni. Należeli do grupki dawnych przyjaciół Shay, którzy uciekli do Dymu, gdy ona stchórzyła, toteż musiały minąć miesiące od czasu, kiedy widzieli śliczną twarz. Wszyscy najwyraźniej bez słowa skargi słuchali jej marudzenia.

Bycie ślicznym ma przynajmniej tę zaletę, że ludzie łatwiej znoszą czyjeś irytujące zachowanie.

— Dzień dobry — pozdrowił ją Croy. — SzwedKlopsy czy WegeRyż?

— Co będzie szybciej.

Tally przeciągnęła się. Chciała już teraz jak najprędzej wyruszyć do ruin.

*

**

Gdy zapadł zmrok, Tally i Croy wykradli się z za wodospadu. Na niebie nie dostrzegli ani śladu Wyjątkowych. Wątpiła, by ktoś szukał tak daleko. Czterdzieści minut od miasta na szybkiej desce to długa droga.

Dali sygnał pozostałym i razem ruszyli w górę rzeki, w miejsce gdzie koryto zbliżało się nieco do ruin. Stamtąd czekał ich długi marsz. Czworo brzydkich dźwigało deski i zapasy. Shay przestała narzekać, szła z boku, nadąsana, skacowana i milcząca. O dziwo wcale się nie męczyła — przez dwa tygodnie nie straciła kondycji zdobytej w Dymie, a operacja wzmacniała jeszcze mięśnie nowych ślicznych, przynajmniej na jakiś czas. A choć Shay oznajmiła, że chce wrócić do miasta, najwyraźniej nie przyszło jej do głowy, że mogłaby wyruszyć tam sama.

Tally zastanawiała się, co z nią poczną. Wiedziała, że nie istnieje proste lekarstwo; Maddy i Az pracowali nad nim przez dwadzieścia lat — bez powodzenia. Ale nie mogli zostawić Shay w takim stanie. Oczywiście w chwili gdy ją uleczą, jej nienawiść do Tally powróci.

Co jest gorsze: przyjaciółka z uszkodzonym mózgiem czy taka, która tobą gardzi?

*

**

Po północy dotarli na skraj ruin, wskoczyli na deski i pomknęli do opuszczonego budynku, w którym schronili się

Maddy i David.

Czekał na nich na zewnątrz.

Wyglądał na zmęczonego. Nawet w blasku gwiazd zauważyła ciemne kręgi pod jego oczami. Objął jednak Tally, gdy tylko zeskoczyła z deski, tuląc ją mocno, a ona odpowiedziała mocnym uściskiem.

— Dobrze się czujesz? — wyszeptała i sama poczuła się jak idiotka. Co właściwie miał odpowiedzieć? — Och, Davidzie, oczywiście, że nie. Tak mi przykro, ja...

— Ciii. Wiem. — Cofnął się o krok i uśmiechnął.

Tally z ogromną ulgą uściśniła mu ręce, jakby upewniała się, że jest rzeczywisty.

— Tęskniłam — rzekła.

— Ja też. — Pocałował ją.

— Jesteście tacy słodcy! — Shay stała obok, przeczesując palcami włosy po przejeździe na wietrze.

— Cześć, Shay. Wyglądasz na głodną.

— Tylko jeśli macie normalne, nieprzeżięte żarcie — odparta Shay.

— Niestety nie. Trzy rodzaje błyskawicznego curry.

Shay jęknęła, odepchnęła go i wmaszerowała do sypiącego się budynku. Odprowadził ją wzrokiem, lecz w jego oczach Tally nie dostrzegła ani śladu podziwu widocznego na twarzach Ryde'a i Astrix. Zupełnie jakby David nie dostrzegał urody Shay.

Odwrócił się do niej.

— W końcu nam się poszczęściło.

Spojrzała ze zdumieniem na jego zmęczoną, bladą twarz.

— To znaczy?

— Zdołaliśmy uruchomić tablet, ten, który miała przy sobie doktor Cable. Mama wymontowała część telefoniczną, żeby nie mogli nas wyśledzić. Udało jej się wyświetlić dane robocze Cable.

— Na jaki temat?

— Wszystkie notatki na temat przemiany ślicznych w Wyjątkowych, nie tylko fizycznej — przyciągnął ją bliżej — ale też na temat skaz w mózgu. Jest tam wszystko, czego nie powiedzieli moim rodzicom, gdy byli lekarzami!

Tally przełknęła ślinę.

— Shay...

Skinął głową.

— Mama sądzi, że uda jej się znaleźć lekarstwo.

PRZYSIĘGA HIPOKRATESA

Zostali na skraju Rdzawych Ruin.

Od czasu do czasu nad wałącym się miastem przepływały lotowozy, zataczając powolne kręgi na niebie. Lecz Dy— miarze od dawna ukrywali się przed satelitami i pojazdami powietrznymi. W ruinach rozmieścili fałszywe tropy — chemiczne światełka wydzielające ciepło odpowiadające przeciętnemu człowiekowi — a okna swych budynków zakryli płachtami czarnego mylaru. No i oczywiście ruiny były wielkie — odnalezienie siedmiorga ludzi w mieście mieszczącym kiedyś miliony to niełatwa sprawa.

Każdej nocy Tally obserwowała, jak rosną wpływy „Nowego Dymu”. Mnóstwo brzydkich widziało płonąca wiadomość w noc ucieczki albo o niej słyszało i pielgrzymki do ruin stały się coraz częstsze, aż w końcu zimne ognie jaśniały na szczytach wysokich budynków od północy aż do brzasku.

Tally, Ryde, Croy i Astrix kontaktowali się z brzydkimi z miasta, roznosząc nowe plotki, ucząc nowych numerów i pokazując im stare pisma uratowane przez Szefa z Dymu. Jeśli wątpili w istnienie Wyjątkowych Okoliczności, Tally demonstrowała plastikowe bransoletki wciąż opasujące jej przeguby i zachęcała, by spróbowali je przeciąć.

Lecz nad wszystkimi legendami górowała jedna, nowa. Maddy uznała, że nie może już dłużej utrzymywać w sekrecie istnienia skaz w mózgu; każdy brzydki miał prawo wiedzieć, z czym naprawdę wiąże się operacja. Pozostali powtarzali wiadomość swym przyjaciołom z miasta: pod nożem zmienia się nie tylko twarz. Ceną urody jest osobowość — prawdziwe ja.

Oczywiście nie każdy brzydki wierzył w równie niezwykłą opowieść, ale część z nich owszem. A niektórzy zaczęli zakradać się nocą do Miasta Nowych Ślicznych, by pomówić ze swymi dawnymi przyjaciółmi i przekonać się na własne oczy.

Wyjątkowi czasami próbowali przeszkodzić im w zabawie i zastawiali pułapki na nowych Dymiarzy. Ale za każdym razem ktoś zdążył ich ostrzec, a żaden lotowóz nie był w stanie doścignąć deskarza na krętych ulicach pośród gruzów. Nowi Dymiarze poznali wkrótce wszystkie zakamarki ruin, jakby się w nich urodzili, i już po kilku dniach umieli zniknąć w mgnieniu oka.

Tymczasem Maddy pracowała nad lekarstwem, używając materiałów odnalezionych w ruinach i dostarczonych przez miejskich brzydkich gotowych „wypożyczyć” odczynniki ze szpitala i pracowni chemicznych. Maddy zamknęła się w sobie, utrzymując kontakt wyłącznie z Davidem. Szczególnie chłodno traktowała Tally, która teraz, gdy jego matka została sama, czuła wyrzuty

sumienia z powodu każdej chwili spędzonej z Davidem. Nikt z nich nie wspominał ani słowem o śmierci Aza.

Shay została z nimi. Cały czas uskarżała się na jedzenie, ruiny, swoje włosy i ubranie, i na to, że wciąż musi oglądać same brzydkie twarze, ale w jej słowach nie było goryczy, jedynie ciągła irytacja. Po pierwszych kilku dniach nie wspominała więcej o odejściu. Być może po operacji stała się uległa; może sprawił to fakt, że niedługo mieszkała w Mieście Nowych Ślicznych i wciąż pamiętała ich jako swych przyjaciół. Tally czasami zastanawiała się, czy Shay w duchu nie odczuwa przyjemności, iż jest jedyną śliczną pośród buntowników. Z całą pewnością nie musiała pracować — Ryde i Astrix natychmiast spełniali każde jej życzenie.

David pomagał matce, przeczesując ruiny w poszukiwaniu materiałów, i uczył przetrwania w guszy wszystkich brzydkich gotowych do nauki. Lecz w ciągu dwóch tygodni po śmierci jego ojca Tally odkryła, iż tęskni za dniami, gdy byli razem tylko we dwoje.

Dwadzieścia dni po ucieczce Maddy ogłosiła, że znalazła lekarstwo.

*

**

— Shay, wyjaśnię ci to bardzo dokładnie.

— Dobrze, Maddy.

— Kiedy przeszłaś operację, zrobili coś z twoim mózgiem.

Shay uśmiechnęła się.

— Tak, jasne! — spojrzała wymownie na Tally. — Tally cały czas mi to powtarza, ale wy po prostu nie rozumiecie.

Maddy splotła ręce na piersi.

— Co masz na myśli?

— Podoba mi się to, jak wyglądam — oznajmiła z uporem. — Jestem szczęśliwsza w tym ciele. Chcecie rozmawiać o uszkodzeniach mózgu? Przyjrzyjcie się sobie. Wciąż tylko ganiacie po ruinach i udajecie komandosów. Wciąż tylko planujecie i knujecie, oszalali ze strachu i paranoi, a nawet zazdrości. — Powiodła wzrokiem tam i z powrotem między Tally i Maddy. — To właśnie oznacza bycie brzydkim.

— A ty jak się czujesz, Shay? — spytała spokojnie Maddy.

— Czuję się pysznie. Miło jest uwolnić się od szalejących hormonów. Oczywiście szkoda, że tkwię tutaj, zamiast bawić się w mieście.

— Nikt cię tu nie trzyma, Shay. Czemu nie odeszłaś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem... Martwię się o was, tu jest niebezpiecznie, a narażanie się Wyjątkowym to nie najlepszy pomysł. Sama powinnaś wiedzieć najlepiej, Maddy.

Tally głośno wciągnęła powietrze, lecz wyraz twarzy Maddy się nie zmienił.

— I chcesz nas przed nimi chronić? — spytała spokojnie.

Shay wzruszyła ramionami.

— Po prostu żal mi Tally. Gdybym nie opowiedziała jej o Dymie, w tej chwili byłaby śliczną, a nie mieszkała w tej dziurze. I myślę, że w końcu zdecyduje się dorosnąć. Wtedy wrócimy razem.

— Ty jakoś nie chcesz sama podjąć decyzji.

— Jakiej decyzji?

Shay wywróciła oczami. Zerknęła na Tally z miną świadcząca o kompletnym znudzeniu. Obie dziesiątki razy przerabiała już tę rozmowę i w końcu Tally zrozumiała, że Shay nie da się przekonać, iż jej osobowość uległa zmianie. Dla niej nowe spojrzenie na świat stanowiło po prostu efekt dorastania, dojrzałości, pozostawienia za sobą rozpalonych emocji

kojarzących się z brzydotą.

— Nie zawsze taka byłaś, Shay — wtrącił David.

— Nie, kiedyś byłam brzydka.

Maddy uśmiechnęła się łagodnie.

— Te pigułki nie zmieniają twojego wyglądu, wpłyną tylko na umysł, odwracając to, co zrobiła ci doktor Cable. Wówczas sama zdecydujesz, jak chcesz wyglądać.

— Zdecyduję? Gdy pomieszacie mi w głowie?

— Shay! — Tally w swym wzburzeniu zapomniała o obietnicy, że będzie cicho. — To nie my namieszaliśmy ci w głowie.

— Tally — upomniał ją cicho David.

— Jasne, to ja tu jestem szalona. — W głosie Shay zabrzmiała znajoma, jękliwa nuta. — Nie wy, choć mieszkacie w walącym się budynku na skraju martwego miasta i powoli zmieniacie się w dziwolągi. A przecież moglibyście być piękni. Pewnie, to ja jestem wariatką... bo próbuję wam pomóc!

Tally usiadła i skrzyżowała ręce na piersi, wstrząśnięta słowami Shay. Za każdym razem gdy odbywały tę rozmowę, rzeczywistość wydawała się jej nagle odrobinę niepewna. A może faktycznie to ona i pozostali Nowi Dymiarze oszaleli? Czuła się jak podczas pierwszych strasznych dni w Dymie, gdy nie wiedziała, po czyjej jest stronie.

— W jaki sposób nam pomagasz, Shay? — spytała spokojnie Maddy.

— Próbuję sprawić, żebyście zrozumieli.

— Tak jak wtedy, gdy doktor Cable przyprowadzała cię do mojej celi?

Oczy Shay zwięzły się, jej twarz spochmurniała, tak jakby wspomnienia z podziemnego więzienia nie pasowały do reszty obrazu ślicznego świata.

— Wiem, że doktor C. potraktowała cię okropnie. Wyjątkowi to świry, wystarczy na nich spojrzeć. Ale to nie znaczy, że musicie przez całe życie uciekać. To właśnie próbuję wam powiedzieć. Kiedy się zmienicie, Wyjątkowi dadzą wam spokój.

— Dlaczego?

— Bo nie będziecie już nigdzie mieszać.

— Dlaczego?

— Bo będziecie szczęśliwi. — Shay odetchnęła głęboko, znowu stając się spokojna. Uśmiechnęła się przepięknie. — Jak ja.

Maddy wzięła ze stołu tabletki.

— Nie zażyjesz ich z własnej woli?

— Nie ma mowy. Mówiłaś, że nie są bezpieczne.

— Mówiłam, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak.

Shay roześmiała się.

— Naprawdę musisz sądzić, że zwariowałam. Nawet jeśli te pigułki zadziałają, pomyśl, co mają zrobić. Z tego co zrozumiałam, „wyleczony” oznacza to, że człowiek staje się zazdrosnym, nadętym, marudnym brzydkiem. I że myśli, że zna wszystkie odpowiedzi. — Skrzyżowała ręce. — Pod wieloma względami jesteś podobna do doktor Cable. Obie wierzycie święcie, że osobiście musicie zmienić świat. Ale ja tego nie chcę. I ich też nie chcę.

— Dobrze zatem... — Maddy zabrała pigułki i schowała do kieszeni. — Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— To znaczy ? — wtrąciła Tally.

David uściśnął jej dłoń.

— To wszystko, co możemy zrobić.

— Co? Mówiliście, że możemy ją wyleczyć.

Maddy pokręciła głową.

— Tylko jeśli sama tego zechce. Te tabletki są eksperymentalne, Tally, nie możemy podać ich komuś wbrew jego woli. Nie wiemy nawet, czy zadziałają.

— Ale jej umysł... ma przecież skazy!

— Halo! — zawołała Shay. — „Ona” siedzi tutaj.

— Przepraszam, Shay — rzekła łagodnie Maddy. — Tally...

Kobieta odsunęła barierę mylarową i wyszła na coś, co Nowi Dymiarze nazywali balkonem. W istocie był on częścią najwyższego piętra budynku w miejscu, gdzie zawałił się dach, odsłaniając wspaniałą panoramę ruin.

Tally poszła za nią. Za ich plecami Shay natychmiast zmieniła temat i zaczęła się dopytywać, co będzie na obiad.

Po chwili dołączył do nich David.

— Czyli podamy jej pigułki w sekrecie? — wyszeptała Tally.

— Nie — odparła stanowczo Maddy. — Nie możemy. Nie zamierzam przeprowadzać eksperymentów medycznych na nieświadomej pacjentce.

— Eksperymentów medycznych? — Tally przełknęła ślinę.

David ujął jej dłoń.

— Nie wiemy na pewno, jak zadziała coś takiego. Szanse są niewielkie, mniej więcej jeden procent, ale może na zawsze uszkodzić jej mózg.

— Już jest przecież uszkodzony.

— Ale ona jest szczęśliwa, Tally. — David pokręcił głową. — I potrafi sama podejmować decyzje.

Tally cofnęła rękę, spoglądając w dal ponad miastem. Na jednej z wysokich iglic płonął już zimny ogień. Zjawili się brzydcy, złaknieni nowych pogłosek.

— Dlaczego w ogóle musimy pytać? Oni nie prosili o zgo— dę, gdy to zrobili.

— I to właśnie nas od nich różni — oznajmiła Maddy. — Gdy dowiedzieliśmy się z Azem, co naprawdę oznacza operacja, zrozumieliśmy, że braliśmy udział w czymś okropnym. Zmieniano umysły ludzi bez ich wiedzy. Jako lekarze złożyliśmy starożytną przysięgę zabraniającą czegoś takiego.

Tally spojrzała jej prosto w twarz.

— Ale skoro nie zamierzałaś pomóc Shay, po co w ogóle męczyłaś się, szukając leku?

— Gdybyśmy wiedzieli, że lekarstwo zadziała bezpiecznie, moglibyśmy podać je Shay i po wszystkim spytać o zdanie. Ale do testów potrzebujemy ochotnika.

— I gdzie takiego znajdziemy? Każdy śliczny odmówi.

— Może na razie, Tally. Ale jeśli będziemy regularnie zapuszczać się do miasta, może w końcu znajdziemy chętnego.

— Ale przecież wiemy, że Shay jest szalona!

— Nie jest szalona — zaprzeczyła Maddy. — W istocie jej argumenty mają pewien sens. Jest teraz szczęśliwa i nie chce podejmować śmiertelnego ryzyka.

— Ale nie jest sobą. Musimy z powrotem ją zmienić.

— Az zginął właśnie dlatego, że ktoś tak myślał — oznajmiła ponuro Maddy.

— Co?

David objął ją ramieniem.

— Mój ojciec... — odchrząknął.

Tally czekała w ciszy. W końcu dowie się, jak zginął Az.

David odetchnął głęboko.

— Doktor Cable chciała zmienić ich wszystkich, ale martwiła się, że mama i tato nawet po operacji mogą opowiadać innym o skazach, bo tyle lat o nich myśleli. — Jego głos zadrżał lekko, lecz David mówił dalej, spokojnie, ostrożnie, jakby nie śmiał zdradzać jakichkolwiek emocji. — Doktor Cable pracowała już nad metodami zmiany wspomnień, pozwalającymi wymazać Dym na zawsze z umysłów ludzi. Zabrali mojego ojca na operację, z której już nie wrócił.

— To straszne. — Tally objęła go mocno.

— Az padł ofiarą eksperymentu medycznego, Tally — wyjaśniła Maddy. — Nie mogę zrobić tego samego Shay. W przeciwnym razie miałyby rację co do mnie i doktor Cable.

— Ale Shay uciekła. Nie chciała stać się śliczna.

— Nie chciała też, by na niej eksperymentowano.

Tally przymknęła oczy. Zza mylarowej zasłony dobiegał głos Shay opowiadającej Ryderowi o szczotce do włosów, którą sama zrobiła. Od kilku dni z dumą demonstrowała wszystkim swe dzieło z drewnianych drzazg wciśniętych w bryłkę gliny, zupełnie jakby było najważniejszą rzeczą, jakiej dokonała w życiu.

Zaryzykowali wszystko, by ją ocalić, ale nic to nie dało. Shay nigdy nie będzie już taka sama.

I była to wina Tally. Przybyła do Dymu i sprowadziła Wyjątkowych. To przez nią Shay zmieniła się w pustogłową lalkę, a Az zginął.

Odetchnęła głęboko.

— W porządku, masz ochotniczkę.

— O kim ty mówisz, Tally?

— O sobie.

— Co takiego? — wykrzyknął David.

— Zażywając pigułki, niczego nie dowiedziesz, Tally — dodała Maddy. — Nie masz przecież skaz.

— Ale będę miała. Wrócę do miasta, dam się złapać i doktor Cable pošle mnie na operację. Za kilka tygodni zjawicie się i zabierzecie mnie. Podasz mi lek. Masz swoją ochotniczkę.

Przez chwilę stali w milczeniu. Słowa same wyrwały się z ust Tally. Nie mogła uwierzyć, że to powiedziała.

— Tally... — David pokręcił głową. — To szaleństwo.

— To nie jest szaleństwo. Potrzebny wam ochotnik, ktoś, kto nim jeszcze stanie się śliczny, zgodzi się zażyć lekarstwo, nawet eksperymentalnie.

— Nie możesz się poddać! — krzyknął David.

Tally odwróciła się do Maddy.

— Mówiłaś, że masz dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że pigułki zadziałają, tak?

— Tak. Ale ten jeden procent może zamienić cię w warzywo.

— Jeden procent? W porównaniu z włamaniem do siedziby Wyjątkowych Okoliczności to pestka!

— Tally, przestań! — David nią potrząsnął. — To zbyt niebezpieczne.

— Niebezpieczne? Davidzie, bez problemu dostaniesz się do Miasta Nowych Ślicznych, brzydcy z miasta ciągle to robią. Po prostu wyciągnij mnie z apartamentowca i posadź na desce. Polecę z tobą, tak jak Shay ze mną. A potem mnie wyleczysz.

— A jeśli Wyjątkowi zdecydują się zmienić ci pamięć, tak jak mojemu ojcu?

— Nie zrobią tego — wtrąciła Maddy.

David spojrział ze zdumieniem na matkę.

— Przy Shay nie zadali sobie trudu. Doskonale pamięta Dym. Obawiali się tylko mnie i Aza. Przez pół życia zajmowaliśmy się skazami w mózgach i uznali, że nawet jako śliczni będziemy o nich mówić.

— Mamo! — krzyknął David. — Tally nigdzie nie pójdzie!

— A poza tym — podjęła Maddy — doktor Cable na pewno nie skrzywdzi Tally.

— Przestań mówić tak, jakby już było postanowione, że Tally to zrobi!

Tally spojrzała w oczy Maddy, a kobieta skinęła głową. Wiedziała.

— Davidzie — zaczęła Tally — ja muszę to zrobić.

— Ale dlaczego?

— Z powodu Shay. Tylko w ten sposób Maddy może ją uleczyć. Zgadza się? Matka Davida potwierdziła.

— Nie musisz ratować Shay. — David mówił powoli, z naciskiem. — Dość już dla niej zrobiłaś. Przyszłaś za nią do Dymu, uratowałaś przed Wyjątkowymi Okolicznościami!

— Zrobiłam dużo więcej. — Tally odetchnęła głęboko. — To przeze mnie jest śliczna i bezmózgowa.

David pokręcił głową.

— O czym ty mówisz?

Odwróciła się do niego i wzięła go za rękę.

— Davidzie, nie przybyłam do Dymu tylko po to, żeby sprawdzić, czy z Shay wszystko w porządku. Miałam zabrać ją do miasta — westchnęła. — Miałam ją zdradzić. — Tally tyle razy wyobrażała sobie, jak wyznaje Davidowi swą tajemnicę, niemal co noc ćwiczyła to w głowie i teraz nie mogła uwierzyć, że nie jest to kolejny koszmar, w którym nagle musi przyznać się do wszystkiego. Gdy jednak dotarło do niej, że to dzieje się naprawdę, zaczęła mówić coraz szybciej. — Byłam szpiegiem doktor Cable. Właśnie stąd wiedziałam, gdzie szukać siedziby Wyjątkowych Okoliczności. To dlatego Wyjątkowi zjawili się w Dymie. Miałam ze sobą nadajnik.

— Gadasz bzdury! — zaprotestował David. — Kiedy się zjawili, walczyłaś. Uciekłaś. Pomogłaś uratować moją matkę...

— Zmieniłam zdanie i nigdy nie zamierzałam włączyć nadajnika, naprawdę. Chciałam zostać w Dymie, ale w noc przed inwazją, gdy dowiedziałam się o skazach... — zamknęła oczy — po tym, jak się pocałowaliśmy, przypadkiem go włączyłam.

— Co?

— Mój naszyjnik. Naprawdę nie chciałam. Chciałam go zniszczyć, ale to ja sprowadziłam Wyjątkowych do Dymu, Davidzie, to przeze mnie Shay jest śliczna. Z mojej winy twój ojciec nie żyje.

— Wymyśliłaś to sobie! Nie puszczę cię...

— Davidzie! — rzuciła ostro Maddy, uciszając syna. — Ona nie kłamie.

Tally otworzyła oczy.

Maddy przyglądała się jej ze smutkiem.

— Doktor Cable opowiedziała mi, jak cię zmanipulowała, Tally. Z początku nie uwierzyłam, ale tej nocy, gdy nas uwolniliście, sprowadziła Shay, która to potwierdziła.

Tally skinęła głową.

— Pod koniec Shay wiedziała, że to ja zdradziłam.

— Wciąż to wie — dodała Maddy. — Ale teraz nie ma to już dla niej znaczenia i dlatego właśnie Tally musi to zrobić.

— Obie powariowałyście! — krzyknął David. — Posłuchaj, mamó, przestań się cackać i podaj Shay pigułki. — Wyciągnął rękę. — Albo ja sam to zrobię.

— Davidzie, nie pozwolę ci stać się potworem. A Tally dokonała już wyboru. David z niedowierzaniem przyglądał się im obu.

— Byłaś szpiegiem? — wykrztusił w końcu.

— Tak. Na początku.

Potrząsnął głową.

— Synu... — Maddy wystąpiła naprzód, próbując go objąć.

— Nie!

Odwrócił się i uciekł, zrywając mylarową zasłonę i kompletnie zaskakując wszystkich. Nawet Shay odebrało mowę.

Nim Tally zdążyła za nim pobiec, Maddy złapała ją mocno.

— Powinnaś już ruszać do miasta.

— Dzisiaj? Ale...

— W przeciwnym razie przekonasz samą siebie do zmiany decyzji. Albo zrobi to David.

Tally uwolniła się.

— Muszę się z nim pożegnać.

— Musisz iść.

Przyglądając się Maddy, Tally w końcu zrozumiała. Choć oczy kobiety nie wyrażały gniewu, tylko smutek, kryło się w nich coś zimnego. Może David nie winił Tally za śmierć Aza, ale Maddy owszem.

— Dziękuję — powiedziała miękko, zmuszając się, by nie odwrócić oczu.

— Za co?

— Za to, że mu nie powiedziałaś. Ze pozwoliłaś mi samej to zrobić.

Maddy pokręciła głową i zdołała się uśmiechnąć.

— Przez ostatnie dwa tygodnie David bardzo cię potrzebował.

Tally przełknęła ślinę i cofnęła się, patrząc na ruiny.

— Wciąż mnie potrzebuje.

— Tally...

— Pójdę dzisiaj, jasne? Ale wiem, że to David sprowadzi mnie tu z powrotem.

Przed odejściem Tally napisała list do samej siebie.

To był pomysł Maddy. Uznała, że lepiej, jeśli wyrazi zgodę na piśmie. W ten sposób nawet jako śliczna, niezdolna pojąć, czemu miałyby chcieć naprawiać swój mózg, będzie mogła odczytać własne słowa i dowiedzieć się, co się stanie.

— Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej — mruknęła Tally. — Bylebyś tylko wyleczyła mnie, nieważne, co będę mówić. Nie zostawiaj mnie w takim stanie jak Shay.

— Wyleczę cię, Tally. Obiecuję. Potrzebna mi tylko pisemna zgoda.

Maddy wręczyła jej pióro i kawałek cennego papieru.

— Ja nie umiem pisać — powiedziała Tally. — Już tego nie wymagają.

Kobieta ze smutkiem pokręciła głową.

— No dobrze, podyktuj, ja napiszę.

— Nie ty. Shay może to dla mnie napisać. Nauczyła się, gdy przygotowywała się do ucieczki do Dymu.

Tally przypomniała sobie nabazgrane przez przyjaciółkę wskazówki, nieporadne, ale czytelne.

Pisanie listu nie trwało długo. Shay chichotała, słysząc pełne uczucia słowa Tally, lecz posłusznie zanotowała je wszystkie. W tym, jak przykładła stalówkę do papieru, było coś wzruszającego; wyglądała jak maluch, który uczy się pisać litery.

Kiedy skończyły, Davida wciąż nie było — poleciał na jednej z desek w głąb ruin. Porządkując swoje rzeczy, Tally cały czas zerknęła za okno z nadzieją, że się zjawi.

Ale Maddy chyba miała rację. Gdyby znów go zobaczyła, przekonałaby samą siebie, by tego nie robić, albo może Da— vid by ją powstrzymał.

Albo, co gorsza, nie.

Nieważne jednak, co mówił teraz, zawsze będzie pamiętał, co zrobiła, jak wiele kosztowała jej tajemnica. Tylko w jeden sposób mogła się upewnić, że jej wybaczył. Jeśli zjawi się, by ją uratować, będzie wiedziała.

— No to ruszajmy — rzuciła Shay, gdy skończyły.

— Shay, nie zostanę tam na zawsze. Wolałabym, żebyś...

— Daj spokój, mam potąd tego miejsca.

Tally zagryzła wargę. Jaki sens ma poddanie się, skoro Shay chce z nią iść? Oczywiście później znów będą mogli ją wykraść. Kiedy dowiodą, że lekarstwo działa, będą mogli podać je każdemu. Albo wszystkim.

— Tylko z jednego powodu tak długo siedziałam w tej dziurze: miałam nadzieję, że w końcu wrócisz. — Shay zniżyła głos. — To moja wina, że nie jesteś jeszcze śliczna. Uciekając, wszystko zepsułam. Jestem ci to winna.

— Och, Shay! — Tally nagle zakręciło się w głowie. Przymknęła oczy.

— Maddy zawsze powtarza, że mogę odejść, kiedy tylko zechcę. Nie chcesz chyba, żebym wróciła zupełnie sama?

Tally spróbowała sobie wyobrazić Shay samotnie maszerującą w stronę rzeki.

— Nie, chyba nie.

Spojrzała w twarz przyjaciółki i dostrzegła w jej oczach błysk, coś głębokiego, poruszonego myślą o wspólnej wyprawie z Tally.

— Proszę! Będziemy super się bawić w Mieście Nowych Ślicznych.

Tally rozłożyła ręce.

— Zgoda. I tak nie mogę cię przecież powstrzymać.

*

**

Leciały razem na jednej desce. Croy towarzyszył im na drugiej; kiedy dotrą na skraj miasta, miał zabrać obie deski z powrotem.

Przez całą drogę nie odzywał się ani słowem. Pozostali Nowi Dymiarze słyszeli ich kłótnię i w końcu dowiedzieli się, co zrobiła Tally. Croy przyjął to najgorzej — podejrzewał ją, a ona skłamała mu w żywe oczy. Pewnie teraz żałował, że sam jej nie powstrzymał, zanim zdążyła wszystkich zdradzić.

Kiedy dotarli do pasa zieleni, zmusił się jednak, by na nią spojrzeć.

— Co oni ci zrobili? Jak cię zmusili do czegoś takiego?

— Powiedzieli, że nie będę się mogła zmienić, dopóki nie znajdę Shay.

Odwrócił wzrok, wpatrując się w światła Miasta Nowych Ślicznych płonące jasno w czystym, zimnym listopadowym powietrzu.

— A zatem w końcu twoje życzenie się spełni.

— Tak. Chyba tak.

— Tally będzie śliczna! — zawołała Shay.

Croy puścił to mimo uszu. Ponownie spojrzał na Tally.

— Mimo wszystko dziękuję, że mnie uwolniłaś, to był naprawdę niezły numer. Mam nadzieję, że... — Wzruszył ramionami i pokręcił głową. — Do zobaczenia wkrótce.

— Oby.

Croy złożył deski i pomknął z powrotem ponad rzeką.

— Ale będzie super — mówiła Shay. — Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz wszystkich moich nowych przyjaciół, a ty przedstawiś mi w końcu Perisa.

— Jasne.

Ruszyły razem w stronę Brzydalowa i wkrótce znalazły się w Parku Kleopatry. Pod stopami miały twardą, zmarzniętą ziemię, kulily ramiona w ochronie przed zimnem. Tally miała na sobie kupiony w Dymie sweter; chciała, aby Maddy zatrzymała go dla niej, ale ostatecznie zostawiła kurtkę z mikrofibry. Miejskie ubrania były zbyt cenne, by marnować je na kogoś, kto wracał do cywilizacji.

— Widzisz, już i tak zyskałam niezłą popularność — ciągnęła Shay. — Tylko mając kryminalną przeszłość, możesz dostać się na najlepsze imprezy. Nikt przecież nie chce słuchać, jakie przedmioty przerabiałaś w szkole brzydkich.

Zachichotała.

— W takim razie wszyscy powinni za nami szaleć.

— No ba! Kiedy opowiemy o tym, jak porwałaś mnie z głównej siedziby Wyjątkowych Okoliczności? A ja przekonałam cię, żebyś odeszła z tej bandy dziwolągów? Ale będziemy musiały trochę wszystko stonować, Zyzolu, bo w prawdę i tak nikt nie uwierzy.

— Fakt, chyba masz rację.

Pomyślała o liście zostawionym u Maddy. Czy za kilka tygodni ona sama zdoła uwierzyć w prawdę? Jak w oczach ślicznej będą wyglądać słowa uciekinierki, zrozpaczonej, tragicznej i brzydkiej?

Gorzej, jak dla niej będzie wyglądał David po kilku tygodniach nieustannego przebywania w otoczeniu samych ślicznych twarzy? Czy będzie pamiętać, że ktoś może stać się piękny nawet bez operacji? Próbowwała przywołać przed oczami twarz Davida, lecz myśl o tym, ile czasu minie, nim znów go ujrzy, za bardzo bolała.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie po operacji, nim przestanie za nim tęsknić. Maddy uprzedziła, że potrzeba kilku dni, by skazy zaczęły działać. Nie oznaczało to jednak, że Tally sama zmieni zdanie.

Może jeśli postanowi tęsknić mimo wszystko, powstrzyma umysł przed zmianą. W odróżnieniu od większości ludzi wiedziała o istnieniu skaz. Może zdoła je pokonać?

Nad ich głowami przemknęła mroczna plama, lotowóz opiekunów. Tally instynktownie zamarła. Miejscy brzydcy wspominali, że ostatnio władze podwoiły patrole. W końcu nawet rządzący zauważyli, że coś się zmieniło.

Wóz zatrzymał się i osiadł miękko na ziemi obok nich. Rozsunęły się drzwi i rozbłysło oślepiające światło.

— W porządku, dzieci... Och, przepraszam, panienko. Światło padło na twarz Shay, a następnie powędrowało w stronę Tally.

— Co wy tu... — Opiekunowi głos uwiązł w gardle. To przebijało wszystko — śliczna i brzydka spacerujące razem.

Opiekun zbliżył się, jego piękna twarz zdradzała osłupienie. Tally uśmiechnęła się. Przynajmniej do końca umiała zrobić wrażenie.

— Jestem Tally Youngblood — oznajmiła spokojnie. — Chcę stać się śliczna.